

SZKOŁA UCZY I KARZE NIEPOKORNYCH.

SEBASTIAN IMIELSKI

SZKOŁA NA WZGÓRZU



DRUGIE MIEJSCE
w konkursie na
powieść kryminalną

RW2010

SEBASTIAN IMIELSKI
SZKOŁA NA WZGÓRZU

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Sebastian Imielski 2015

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński

Zdjęcie na okładce © aleshin / Fotolia.com

Zdjęcie na okładce © yurephoto / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-149-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Część pierwsza

Kociół

1.

Szkoła. Cholera. Trwa na Kominowym Wzgórzu niczym zamek upadłego księcia. I obserwuje. Skanuje poddanych rozrzuconych po Sławinie i okolicach. Pilnuje, by nie wyjawili jej tajemnic.

Przeszłość. Tutaj to słowo klucz. Wytrych do rozwikłania najmroczniejszych sekretów. Przez lata nikt nie chciał go dotykać. Ze strachu? Zapewne. Szkoła uczy i karze niepokornych.

Trafiłem w jej łapy w połowie sierpnia. Naiwniak z niewielkim stażem liczył na nowy początek. Idylliczny małomiasteczkowy klimat uleczy wszelkie rany – tak sobie to tłumaczyłem. Mama nie ma racji, siostra też. Wcale się nie cofam. To po prostu przerwa. Chwila oddechu w szaleńczym rytmie kariery. Na Kaszubach odpocznę, nabiorę nowych sił. Boże, ależ byłem naiwny.

Kiedy zacząłem żałować podjętej decyzji? Chyba już w momencie, gdy ujrzałem schody. Stanowiły one kwintesencję wszelkich logik zawartych w tym budynku. Konieczność codziennego wdrapywania się po serpentynie nierównych stopni to pierwszy z demotyatorów, na jaki natrafiali uczniowie. Sam po wejściu na szczyt ściekałem potem. Nie mogłem sobie wyobrazić, jakim trzeba być idiotą, by wybudować szkołę na wzgórzu. Nawet jeśli powstała w szczytowym okresie peerelowskich absurdów, to brak jakiegokolwiek myśli w tym koncepcie był zadziwiający.

Dziś widzę, ile znaków opatrnościowych przestrzegało mnie przed przybyciem do Sławina. Zawał mamy, zepsuty autobus PKS i powódź. Tak, powódź, od niej właściwie wszystko się zaczęło. Oberwanie chmury przeszło nad tą częścią Kaszub w dniu mojej przeprowadzki. Sam moment wylewu Gotwałki mnie ominął, jednak gdy autobus z wielkim trudem zajechał ma przystanek przy kościele, główną drogą płynęła już sporych rozmiarów rzeczka. Przeprowadzenie się na drugą stronę kosztowało mnie przemoczone buty i spodnie. Na szczęście dom Zofii Sawickiej stał niedaleko. Trzy tygodnie wcześniej wynająłem tam pokój na piętrze. Zofia była szkolną bibliotekarką w wieku przedemerytalnym, mieszkała sama i towarzystwo młodego nauczyciela bardzo jej odpowiadało. W sekretariacie stwierdzili, że lepszego lokum nie znajdę. Skorzystałem z okazji. Chyba

przypadliśmy sobie do gustu. Z mojego punktu widzenia nieograniczony dostęp do szkolnych plotek i opowieści mógł okazać się cenny.

– Proszę, proszę, toż to nasz nowy belfer – rzekła, gdy zobaczyła mnie broczącego po kostki w błocie, z dużą torbą na ramieniu. Sama próbowała ogarnąć chaos w ogrodzie. Woda dokonała w nim sporych zniszczeń. Płot od strony ulicy leżał zwalony i przygnieciony grubą warstwą szlamu.

– Teraz to nic. Zobaczylbyś, co tu się działo rano.

Powódź nie ocaliła też niewielkiej kapliczki. Figurka Matki Boskiej leżała na wpół zakryta jakimś zielskiem. Wrzuciłem torbę na piętro, zakasałem rękawy i ruszyłem na pomoc swojej gospodyni. Deszcz już nie padał. Słońce wychyliło się zza chmur. Wtedy jeszcze myślałem, że wszystko się jakoś ułoży.

2.

Dyrektor Mech posturą przypominał zapaśnika i nie mam tu na myśli klasycznej odmiany tego szlachetnego sportu, a raczej amerykański wrestling. Mierzył na pewno blisko dwóch metrów, a zasięg jego ramion musiał być porównywalny z parametrami gwiazd NBA. Oceniając po wyglądzie, stanowił absolutne przeciwieństwo znanych mi dotąd dyrektorów placówek oświatowych. Jako nauczyciel z ośmioletnim stażem przeżyłem w sumie trzech dyrektorów. Dwójka pochodziła z gimnazjum numer pięćdziesiąt pięć w Gdańsku, gdzie zaczynałem pracę po studiach i kontynuowałem ją do czerwca tego roku; jeden natomiast, a właściwie jedna kierowała prywatnym gimnazjum w Gdyni, w którym zahaczyłem się na dodatkowym etacie w zeszłym roku. Żadna z tych osób nie wywarła na mnie przy pierwszym spotkaniu takiego wrażenia jak Mech.

Jakby tego było mało, wystrój jego gabinetu przypominał bardziej miejsce urzędowania rektora wyższej uczelni niż pokój dyrektora prowincjonalnego zespołu szkół. Już sama przestrzeń była imponująca. Gabinet miał ze czterdzieści metrów kwadratowych. Okazała rzeźbiona biblioteka zajmowała wschodnią ścianę pomieszczenia, obok niej wisiało lustro w zdobionej drewnianej oprawie. Sam Mech zasiadał pod oknem za idealnie dopasowanym do wystroju wnętrza biurkiem w odcieniu orzecha. Wszystko to, w połączeniu z pasującym do kompletu krzesłem i stojącym za jego plecami zegarem, stanowiło zestaw mebli gdańskich. Moja babcia miała przed laty podobną bibliotekę, autentyczny antyk z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Podejrzywałem, że meble Mecha to współczesne imitacje. Gdyby były prawdziwe, to w tak dobrym stanie musiałyby być warte majątek.

– Jak pan widzi, aura nie rozpieszczała nas w tym roku – powiedział, pochylając się nad parującym kubkiem kawy. Przede mną stała herbata. Siedziałem na krześle po drugiej stronie biurka, które ze względu na rozmiary spokojnie mogło spełniać rolę stołu konferencyjnego. Ciekawiło mnie, czy podobne pogawędki z nowymi pracownikami były w tej szkole normą? Rozmawialiśmy od kwadransa. Mech opowiadał głównie o planach związanych z rozpoczynającym się rokiem szkolnym i o gronie nauczycielskim. Roztaczał wizję wyremontowanej za unijne fundusze sali gimnastycznej, pochwalił się również nowymi szatniami oraz otwartą w zeszłym roku pracownią komputerową, która z powodu nieszczęsnego dachu ucierpiała nieco podczas ulewy.

– Co prawda trąba powietrzna ominęła Sławino, ale oberwanie chmury trochę nas podtopiło – kontynuował, a ja próbowałem przybrać minę zafascynowanego słuchacza. – Nic wielkiego w porównaniu z powodziami na południu kraju, ale nawet do tego tutejsi mieszkańcy nie są przyzwyczajeni. Susze, owszem, dawały się nam we znaki, takiego potopu jednak dawno tu nie widziano. Ja przynajmniej sobie nie przypominam.

Początkowe minuty rozmowy wiele mi o nim powiedziały. Mech był gawędziarzem. Typem człowieka, który poszukuje osób lubiących słuchać rozbudowanych historii. To pierwsza z cech niepasujących do niedźwiedziowatego wyglądu. Zastanawiałem się, jak mogła wyglądać jego droga na to stanowisko. Informacje zawarte na szkolnej stronie internetowej były bardzo skąpe. Dowiedziałem się z nich właściwie tylko tyle, że ma pięćdziesiąt siedem lat i od czternastu rządzi tutejszą szkołą.

Kiedy skończył rozprawiać o zaletach prowadzonej przez siebie placówki, rozmowa zesłała na temat mojego zakwaterowania.

– Będzie się panu u Zosi dobrze mieszkało – zawyrokował. – To legenda naszej szkoły. Złoty człowiek. Zadzomowił się już pan?

– Tak – odparłem. – Pokój jest bardzo przytulny. Piękna okolica, no i będę miał blisko do pracy.

Nagle w gabinecie zawibrował ciepły głos:

– Dyrektorze, przyszła pani Juraszek. – Nie wiedzieć kiedy sekretarka uchyliła drzwi, wciskając do gabinetu głowę, zupełnie jakby jakaś magiczna moc

uniemożliwiła jej pokazanie całej sylwetki.

Twarz Mecha rozpromieniła się.

– Świetnie, proszę, niech wejdzie.

Gdy próg pomieszczenia przestąpiła odziana w obcisłe dzinsy śliczna blondynka, zrozumiałem, skąd nagle ogniki podniecenia w oczach statecznego wydawałoby się Mecha. Dziewczyna podeszła do biurka i z szerokim uśmiechem podała mężczyźnie rękę.

– Dzień dobry – przywitała się.

Mech wstał, co uwidocznilo komiczną dysproporcję pomiędzy nimi. Dziewczyna sięgała mu do ramienia. Nie zważając na to, dyrektor szarmancko musnął ustami wyciągniętą ku sobie dłoń, i zwrócił się w moją stronę.

– Pani Andżelika będzie uczyć w naszej szkole języka angielskiego – rzekł z dumą.

Teraz ja stałem się beneficjentem słodkiego uśmiechu. Młoda anglistka odgarnęła zalotnie opadającą na oczy grzywkę, po czym wyciągnęła rękę na powitanie.

– Andżelika Juraszek – powiedziała cienkim, nieco piskliwym głosem.

– Sylwester Cichy – przedstawiłem się, ściskając jej dłoń.

Była odważna, tak się ubierając. Dzinsy i bluzka z dekoltem to raczej swobodny strój jak na wizytę u przyszłego pracodawcy. Sam wbiłem się w swój najlepszy garnitur. Osoba przyglądająca się całej sytuacji z zewnątrz zapewne wzięłaby nas za istoty z totalnie różnych planet.

– Trochę mnie pan dyrektor uspokoił – rozpoczęła, bez wahania zajmując miejsce obok mnie. – Już myślałam, że będę tu jedynym nowym nauczycielem.

– To wyjątkowy rok. – Mech powoli wypowiadał słowa, jakby każde niosło wiekopomną prawdę. – Zwykle stanowimy zwarty i zgrany zespół pedagogiczny, ale ostatnio trapią szkołę pewne kłopoty. Dwoje nauczycieli ze względów zdrowotnych nie mogło kontynuować pracy, stąd bardzo szybka decyzja

o zatrudnieniu państwa. Pan Sylwester obejmie klasy naszej polonistki Wiolety Warmińskiej, która przeszła na wcześniejszą emeryturę. Pani natomiast zajmie miejsce Mariana Zacharskiego, którego po wypadku samochodowym czeka długa rekonwalescencja.

Andżelika syknęła i pokiwała z z troskaniem głową, co natychmiast podchwycił Mech.

– To na szczęście tylko noga – tłumaczył. – Wypadek wyglądał naprawdę groźnie. Gdyby nie refleks Mariana, mogłoby dojść do prawdziwej tragedii. Dacie wiarę? Pijany traktorzysta, który zajechał mu drogę, nawet się nie zatrzymał, a musiał widzieć staczające się ze zbocza auto. Dopiero kilka godzin później dopadła go policja. Co się na tych drogach dzieje, to naprawdę trudno pojąć. Człowiek przeszedł dwie operacje, a i tak może zostać inwalidą.

– Tak jest wszędzie, panie dyrektorze – skomentowała dziewczyna. – To nie narkotyki czy papierosy, lecz alkohol jest w naszym społeczeństwie największym złem. Jeśli nie wbijemy tego młodym do głów, to za parę lat staniemy się otumanionym, niezdolnym do własnego zdania, odtwórczym narodem.

Mech wydawał się zaskoczony, ale i niezwykle usatysfakcjonowany tą konkluzją. Rozparł się w swym fotelu, jakby musiał dogłębniej przeanalizować usłyszane słowa.

– Cieszę się, słysząc to z ust tak młodej osoby – powiedział w końcu, nie spuszczać z dziewczyny wzroku. – To daje pewną nadzieję. Taki powiew świeżości wszystkim nam dobrze zrobi.

To było genialne. Andżelika natychmiast skupiła na sobie pełnię jego uwagi. Nie zdziwiłbym się, gdyby dyrektor zupełnie zapomniał o mojej osobie. Agencje PR-owe powinny się o nią zabijać. Po jaką cholere pchała się na etat w małomiasteczkowej szkole?

Wymiana zdań trwała jeszcze przez kilka minut. W tym czasie Mech rozprawiał o zaletach sławińskiego krajobrazu. Andżelika natychmiast poprosiła o polecenie jej kilku miejsc, bo jak stwierdziła, jest zapalonym fotografem i wielką miłośniczką przyrody. Po stworzeniu naprędce listy botaniczno-zoologicznych hitów dyrektor pożegnał nas, przypominając o czwartkowej radzie pedagogicznej.

– Poznacie wszystkich i ustalimy szczegóły planu zajęć. Bez obaw,

poczujecie się jak w domu. Tu panuje zupełnie inna atmosfera niż w dużych miastach.

Gdy wyszliśmy z gabinetu, zaatakowała nas głucha cisza pustego holu. Za kilka dni miał się zapęlić tabunami pełnej wakacyjnych wrażeń młodzieży. Rozpocznie się kocioł, pomyślałem. Tak nazywałem każdy początek roku szkolnego.

– Jeeezu, co za dziura – rzuciła „słodka” Andżelika, po czym bez wahania włożyła papierosa do ust. – Nie mam pojęcia, jak wytrzymam na tym zadupiu. Ledwo usiedziałam parę minut z tym nudziarzem i mam dość. Palisz?

– Nie – odparłem zaskoczony. Grzebała nerwowo w przewieszanej przez ramię torebce, aż w końcu wyciągnęła zapalniczkę i jednym pstryknięciem wznieciła płomień, którym natychmiast zajęła się końcówka papierosa.

– Skąd jesteś? – zapytała, gdy zmierzaliśmy w kierunku wyjścia ze szkoły. Unoszące się pod sufitem kłęby papierosowego dymu znaczyły przebytą korytarzem drogę.

– Z Gdańska.

– I sprowadziłeś się tutaj? Na głowę upadłeś? Nie mogłeś zahaczyć się w Trójmieście?

– Tak się złożyło, że właśnie tego chciałem uniknąć. A ty?

– Słupsk – odparła. – Wspaniałe miasto rosnącej beznadziei.

Gdy opuściliśmy szkołę, mruknęła coś na pożegnanie i ruszyła w kierunku schodów wiodących ku centralnej części miejscowości. Bezwiednie odprowadziłem ją wzrokiem. Jedno było pewne: atrakcyjna nauczycielka wśród nabuzowanej hormonami młodzieży zwiastowała kłopoty. Obserwując trzpiotkę w dyrektorskim gabinecie, nie dawałem jej szans na dotrwanie do końca roku szkolnego. Zaciągająca się grubym marlboro kobieta wywróciła moje wyobrażenie do góry nogami. Niezła aktorka.

Skierowałem się ku przeciwległemu zejściu. Do rozpoczęcia roku szkolnego pozostały trzy dni.

3.

Po spotkaniu z Mechem naiwnie przyjąłem, iż jest on niepodzielnym władcą Zespołu Szkół w Sławinie. Błąd nowicjusza. Życie szybko nakierowało mnie na właściwy tor.

Podczas gdy dyrektor przekładał kartki na swym wypolerowanym orzechowym biurku, pionki na edukacyjnej szachownicy rozstawiała jego żona Laura. Wicedyrektor.

Jędza, Cholera, Gestapówa – to zasób określeń usłyszanych po zaledwie jednym dniu pracy. Wszystkie pochodziły z okolic pokoju nauczycielskiego.

– Nie warto podskakiwać, bo cię zniszczy – tłumaczył mi Andrzej Detlaff, historyk, z którym już po pierwszym spotkaniu na radzie pedagogicznej nawiązałem najlepszy kontakt. – Z drugiej strony nie możesz być zbyt miękki. Zdominuje cię i zgnoi. Trzeba wypracować złoty środek.

– A jak ty sobie radzisz? – spytałem.

– Nie wychyłam się, jeśli idzie o sprawy organizacyjne, jednak merytorycznie obstaję twardo przy swoim zdaniu – odparł, popijając kawę. Byliśmy w pokoju nauczycielskim. Trwały ostatnie przygotowania do rozpoczęcia roku szkolnego. – Kiedyś chciała mi narzucić podręcznik. W porządku. Przesiedziałem nad nim całą noc, wypunktowałem słabe strony i przedstawiłem Laurodontowi elaborat, z którego pewnie połowy nie zrozumiała. W sumie to dyletantka, uczyła kiedyś techniki, od lat jednak siedzi w papierach. Jak ją zagniesz, to odpuszcza. Wtedy masz spokój. Dziewczyny się za bardzo przejmują i ona to wykorzystuje.

– Mech się nie wcina?

Andrzej aż się zachnął.

– Nie wyściubia nosa z tej swojej twierdzy. Wszystko załatwia Laura. Czasem mam wrażenie, że ma do niego pilota i używa, gdy jej się podoba.

Dyrektorka despotka nie mieściła się w moich planach. Niemniej pozostali nauczyciele sprawiali wrażenie zgranego, przyjaznego grona. Gdy pojawiłem się na radzie pedagogicznej, Andrzej od razu wziął na siebie rolę kompana przewodnika

i przedstawił mnie pozostałym. Chemiczka Basia Karpińska była przysadzistą, wesołą kobietą po pięćdziesiątce. Tego dnia prowadziła ognistą dyskusję z fizykiem Pawłem Kalickim na temat dostosowania ich planów lekcyjnych do wymogów podstawy programowej.

– I tak godzinami – skomentował Andrzej. – Jakby nie było ciekawszych tematów. À propos. Jak tam puchary? Oglądałeś wczoraj Legię?

Nie oglądałem, nie miałem telewizora. Chwilę później w pokoju nauczycielskim pojawił się Robert Zych. Uczył WOS-u i zajęć technicznych. Podszedł do nas. Natychmiast rozpoczęły się żale nad miernotą krajowego futbolu. Obaj panowie wyraźnie się kolegowali. Z wyglądu stanowili swoje przeciwieństwa. Andrzej, z postępującą łysiną, niewielkim brzuszkiem i w szarym sweterku, sprawiał wrażenie kawalera po czterdziestce, z dawno utraconą nadzieją na ożenek. Robert był szczupły i wysoki, a średni wiek zdradzały jedynie mocno posiwiałe włosy.

– Ojej, a to kto? – W jednej chwili temat szans naszych drużyn w europejskich pucharach rozplynął się niczym marzenia reprezentacji o awansie do Mistrzostw Świata. Do pokoju weszła Andżelika. Ubrała się bardziej formalnie niż na wizytę w gabinecie dyrektora. Paradoksalnie podkreśliło to tylko jej atrakcyjność.

– Mój Boże, zakochałem się – wycedził Andrzej i natychmiast przygładził odstający nad uszami kosmyk włosów. – Co za łania. Idę się przedstawić.

Robert natychmiast ruszył jego śladem. Naiwniacy, pomyślałem. Ta łania pożre was ze smakiem, a kości porzucą kojotom. Zresztą niech się sami przekonają.

Chwilę później naszym oczom ukazała się Laura Mech. Rozmowy natychmiast ucichły, wszyscy wyraźnie się jej bali. Postura dyrektorki budziła respekt. Mechowa była ogromną kobietą, wysoką i szeroką. Przypominała wkurzoną hipopotamicę. Ukryte pod rudą grzywką oczy strzelały miazdzącym spojrzaniem. Ile miała lat? Może pięćdziesiąt.

– Nie traćmy czasu – powiedziała surowo, bez słowa przywitania.

Cisza aż biła po uszach.

Rada trwała blisko pięć godzin. Większą jej część zajęło przyklepywanie rozwiązań narzuconych przez Laurę. Nieliczni zgłaszali uwagi do planu. Po zakończeniu tej smutnej pokazówki wróciłem do swojego nowego domu. Gdy rozdzwoniła się komórka, przekładałem właśnie rzeczy z torby do szafy. Spojrzałem na wyświetlacz i bezwiednie syknąłem. Szykowała się nieprzyjemna rozmowa.

– No nareszcie, miło, że w ogóle odbierasz. – Wyrzut w głosie siostry był nieodłącznym towarzyszem naszych rozmów. – Masz zamiar całkowicie się wyalienować?

Nie spełniłem obietnicy i nie zdałem raportu z mojego nowego życia. Stąd te pretensje. Mama się denerwowała, wiedziałem o tym, ale konieczność bezustannego tłumaczenia się doprowadzała mnie do obłądu. Matka zadzwoniła ze skargą do Ani. Tak to zazwyczaj działało.

– Rada przeciągnęła się do wieczora – odparłem, starając się przybrać stanowczy ton. – Zaraz do niej zadzwonię.

– Szkoda, że muszę ci o tym przypominać. Chyba przyjedziesz na weekend?

– Mam sporo roboty – skłamałem. – Muszę się przygotować do zajęć. Wpadnę w przyszłym tygodniu.

– Fantastycznie. Teraz mam na głowie dwa domy. Braciszek zwinął manatki i zwałił wszystko na mnie. Pamiętasz, że mam dzieci i pracę?

– Nie przesadzaj. Traktujesz matkę jak osobę niepełnosprawną. Przecież nie jest tak źle, by nie mogła o siebie zadbać.

– Wiesz co, czasem zastanawiam się, gdzie ty masz serce? Przy jej zdrowiu kosztujesz ją dodatkowo tyle nerwów. I jeszcze robisz łaskę, że zadzwonisz? Najpierw twój nieszczęsny ślub, potem wyjazd. Ona ma sześćdziesiąt osiem lat i przeszła zawał. Liczysz na szybki pogrzeb i pozbycie się problemu?

Boże, jak ona mnie wkurzała! Miałem ochotę trzasnąć telefonem i zakończyć rozmowę. Zrobiłbym to, gdyby nie świadomość, iż miała trochę racji. Uciekałem od kłopotów, pozostawiając zmartwienia innym. Odburknąłem parę standardowych formułek i rozłączyłem się. Chwilę później zadzwoniłem do mamy. Początkowo wydawała się obrażona, co stanowiło obowiązkowy punkt rytuału, później się

rozkreśliła i w konsekwencji uniknąłem cierpkich słów. Uspokoiła ją zapewne moja opowieść o sielskiej atmosferze i dokonanym wspaniałym wyborze. Obiecałem, że wkrótce ją odwiedzę. Na szczęście zasięg sieci komórkowej w domu Zofii, a jak się później okazało w całym Sławinie, był mizerny – aby rozmawiać, musiałem stać przy oknie – miałem więc pretekst, by nie rozgadywać się zbytnio.

Po południu wybrałem się na zakupy. Chciałem zapełnić przypadające mi dwie półki w lodówce. Jeden z nabytych w małym sklepiku słoików z gołąbkami miał stanowić mój obiad.

– Mogę to nazwać na sto różnych sposobów, ale na pewno nie są to gołąbki – skomentowała Zofia, widząc, jak łyżką wypycham zawartość słoika do niewielkiego garnka. – Tak zawsze wyglądają twoje obiady?

– Przeważnie – odpowiedziałem, mieszając zawartość, by się nie przypaliła. – Uroki kawalerskiego życia.

Gospodyni wzruszyła tylko ramionami. Nagle poczułem, jak coś włochatego ociera się o moją nogę.

– Jezu! – Odskokczyłem przestraszony. – Co to?

Zofia wzięła na rękę duże rude kocisko.

– Poznaj Leopolda – powiedziała, tuląc się do zwierzaka. – Mojego najlepszego przyjaciela.

– Cześć, Leo – rzekłem. – O mało co nie dostałem przez ciebie zawału.

Kot szybko znudził się czułościami. Skoczył na taboret, z niego na podłogę, a następnie prysnął przez uchylone drzwi na dwór. Przerzuciłem bulgoczące gołąbki z rondelka na talerz. Zofia przyglądała się temu zniesmaczona.

– Jak ogród? Dochodzi do siebie? – spytałem z nadzieją odwrócenia uwagi od mojego obiadu. Gospodyni westchnęła z rezygnacją.

– Przedwczoraj znajomy przywiózł sporo ziemi. Dziś będzie stawiał płot, a ja zabiorę się za wyrównywanie terenu.

– Sama? – zdziwiłem się. – Nie mają jakiejś maszyny? Pomogę ci.

– Nie trzeba – odparła. – Trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Trochę to mało powiedziane, pomyślałem. Woda wymyła znaczną część działki i ubytków było sporo. No ale skoro nie chciała pomocy, nie zamierzałem się narzucać.

– A kapliczka ? – zapytałem.

– Niestety nie da się jej uratować. Postument skruszał i połamał się na dobre. Na wiosnę zamówię nowy, ale starego będzie mi żal. Po wojnie kapliczkę ustawił przy domu mój teść. Taka podzięką za uratowanie życia z hitlerowskiej nawały. Przetrwała tyle lat...

Zofia błędziła w rodzinnych wspomnieniach, by za chwilę powrócić na ziemię.

– Co do kwiatów, większość się z tego nie podniesie. Wszystkie róże szlag trafił. Mam nadzieję, że przetrwają drzewka owocowe i tuje.

Przez pół godziny słuchałem opowieści o trudach ogrodnictwa. Jasne było, że to jej hobby i pasja. Zastanawiałem się, dlaczego mieszka sama. Nie ma rodziny? Byłem bliski zadania tego pytania, ale w końcu się powstrzymałem. Może kryła się za tym jakaś przykra historia. Nie znaliśmy się jeszcze na tyle dobrze, by poruszać niewygodne tematy. Ona również nie wypytywała o osobiste sprawy. Taki cichy kompromis mi odpowiadał.

4.

O ósmej Kocioł buchał pełną mocą. Mój debiut w Gimnazjum Zespołu Szkół w Sławinie przypadł na klasę pierwszą A. Trema na twarzach uczniów była zauważalna. Znam nauczycieli, którzy w takich sytuacjach lubują się w epatowaniu atmosferą szkolnej grozy. Uważają, że jeśli zrobią na pierwszorocznikach wrażenie surowych i bezkompromisowych, to później w zastraszonych dzieciakach będą mieli uległą publikę. Ja działałem inaczej. Chciałem rozluźnić atmosferę, dowiedzieć się o nich czegoś. Przedstawiłem się i poprosiłem o to samo. Po kolei wypowiadali swoje imiona i nazwiska, podawali nazwy miejscowości, z których pochodzą. Porozmawialiśmy trochę o podstawówce, chciałem wysondować, jaki materiał przerobili i generalnie jak są przygotowani. Uczniowie głównie dojeżdżali z kilku wiosek wokół Sławina. W związku z tym obawiałem się zróżnicowanego

poziomu. Potwierdziły to pierwsze wypowiedzi. Namierzyłem co najmniej dziesięciu delikwentów, którym skonstruowanie paru logicznie brzmiących zdań sprawiało widoczne problemy. Zwiastowało to spore kłopoty. Zapowiedziałem przeprowadzenie testu wstępnego w połowie września i w tym momencie rozległ się dzwonek. Kolejne godziny minęły według tego samego szablonu. Druga z pierwszych klas potwierdziła moje obawy. Zatrudniając się w Sławinie, nie wziąłem pod uwagę problemów wynikających z naleciałości językowych. Brały się one z totalnego pomieszania w języku, jakim operowali niektórzy uczniowie, słów polskich i kaszubskich. Czekало mnie spore wyzwanie.

Ostatnią poniedziałkową lekcją były zajęcia z trzecią B. Fakt, iż pozostałe godziny minęły spokojnie i bez zakłóceń, uspił nieco moją czujność. Gdy weszliśmy do klasy, na tablicy widniała już namalowana kredą szubienica.

Zignorowałem rysunek.

– Dzień dobry – przywitałem się.

W odpowiedzi usłyszałem niemrawe:

– Dzień-do-bry.

– Nazywam się Sylwester Cichy i jak zapewne wiecie, będę prowadził z wami lekcje języka polskiego.

Z ostatniej ławki dobiegł przeciągły rechot.

– Łał, to co dzień będzie balanga, a myślałem, że sylwestra mamy tylko raz w roku – usłyszałem.

Dwóch długowłosych chłopaków bez żadnego skrępowania zanosilo się śmiechem. Część z pozostałych uczniów przyłączyła się do nich.

– Następnym razem przyniosę petardy – dodał ten siedzący bliżej ściany, rozpierając się w ławce. Tym razem cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Brak reakcji byłby zabójczy. Miałem mało czasu, by opracować dobrą strategię. W karierze zdarzali mi się trudni uczniowie. Z niektórymi spięcia były naprawdę ostre. Nigdy jednak nie przydarzyło mi się to na pierwszej lekcji. Co do jednego nie miałem wątpliwości: jeśli odpuszczę, zobaczą we mnie jelenia. Wtedy

będę skończony.

– Widzę, że atmosfera w waszej klasie jest dość swobodna – rzekłem, siłąc się na luz. – To dobrze, stres nie wpływa pozytywnie na przyswajanie wiedzy. Nie pozwolę jednak na przesadę. – Zmieniłem intonację głosu na ostrzejszą. Zeszłoroczny kurs nie poszedł na marne. – Panowie z tyłu są jej bliscy, a to w moich klasach zawsze się źle kończy – kontynuowałem. – Wobec nikogo nie stosuję taryfy ulgowej, zapewniam was. Dla mnie najważniejsze jest przygotowanie do egzaminu. Jeśli uznam, że ktoś sobie nie radzi, nie otrzyma na koniec pozytywnej oceny. Odnosi się to również do zachowania i bezczelnych odzywek.

Cisza, jaka w tym momencie zapadła, dobrze zwiastowała. Zaskoczyłem ich. Najwidoczniej spodziewali się dobrej zabawy. Nowy, młody nauczyciel bywa łatwym celem. Podszedłem do ostatniego rzędu.

– Czy to jasne? – Stałem nad nieostrzyżonymi komediantami. – Bo jeśli nie, to panowie klauni mają szansę błaznować w tej klasie jeszcze wiele lat. Może opublikujecie swój program? Z takimi fryzurami zrobicie furorę.

To wywołało śmiech klasy. Brunet siedzący bliżej ściany poczerwieniał, z trudem powstrzymywał wściekłość.

– Przepraszamy – powiedział jego kompan, spuszczać nisko głowę. Odetchnąłem z ulgą.

– Źle zaczęliśmy – rzekłem już nieco łagodniejszym tonem. – Chcę, abyśmy się dogadali. Ponieważ to nasze pierwsze spotkanie, mam dla was propozycję. Zapomnę o ostatnich minutach, zaczniemy od nowa. Co wy na to?

Szmer, jaki rozszedł się po sali, uznałem za aprobatę. Długowłose pod ścianą nie odpowiedział. Wyszczał tylko coś do kolegi.

– Nazywam się Sylwester Cichy, jestem nowym nauczycielem języka polskiego. Przedstawcie się proszę po kolei.

Powtórzyliśmy rytuał z poprzednich godzin. Kolejka ominęła ostatnią ławkę, której okupanci nie mieli najwyraźniej ochoty zdradzać swoich imion. Pozostałem to bez reakcji; jak na pierwszy dzień miałem dosyć starć.

Lekcja potoczyła się dalej. Przedstawiłem listę lektur, zapowiedziałem test sprawdzający i omówiłem swoje wymagania. Uczniowie musieli liczyć się z co najmniej dwoma pracami pisemnymi i klasowymi w semestrze. Zakładałem również dwie, trzy oceny za odpowiedź ustną w czasie lekcji i dwie oceny za zadanie domowe. To zwykle dawało klarowny obraz umiejętności. Zapowiedziałem również okresową kontrolę zeszytów, zwłaszcza zawartych w nim wypracowań. Przyznaję, mam na tym punkcie hopla. W Gdańsku dzieciaki mnie za to przeklinały do czasu, aż przekonały się, z jaką łatwością przychodzi im później spłodzenie kilkudziesięciozdaniowego dziełka, za które na teście otrzymuje się najwięcej punktów. Każdy w miarę rozgarnięty piętnastolatek, kończąc gimnazjum, musi umieć sklecić poprawną językowo i logiczną w treści pracę pisemną. Tak brzmi moje motto i założenia podstawy programowej. Moje słowa nie wzbudziły zachwytu. Warmińska prawdopodobnie była wobec nich mniej wymagająca.

– Uważajcie, jest szansa na pierwszy dobry stopień – zapowiedziałem. – Opiszcie, proszę, na czwartek swoje zainteresowania i to, jak chcielibyście je wykorzystać w przyszłości. Wystarczy półtorej, dwie strony zeszytowe. W tym przypadku, na zachętę, wpiszę do dziennika tylko pozytywne oceny.

Propozycja wzbudziła westchnienia rozpacz. Po dzwonku trzecia B w mgnieniu oka opuściła klasę.

– Się kurwa doczekasz – doszło do mnie zza przymkniętych drzwi. Chwilę później usłyszałem stukot butów uciekającego dzieciaka. Otworzyłem dziennik. Gdy uczniowie się przedstawiali, odruchowo szukałem ich nazwisk na liście. Dwoje ominąłem.

– Adam Wilczyński i Bartłomiej Zwara – odczytałem. Nazwisko pierwszego wydało mi się znajome, nie potrafiłem jednak z niczym konkretnym go skojarzyć. Drugi był całkowicie anonimowy. Pakując tego popołudnia rzeczy do torby, zacząłem powoli odkrywać, w co wdepnąłem, rzucając się na etat w Sławinie.

To nie była typowa biblioteka. Choć zawierała elementy klasyczne, takie jak regały z książkami oraz katalog zbiorów, reszta pomieszczenia przypominała bardziej pracownię komputerową, a właściwie kafejkę internetową. W centralnej części znajdował się szeroki stół; miał dobrych pięć metrów. Po jego obu stronach ustawiono płaskie monitory, poniżej zaś wieżyczki z komputerami. W sumie było

osiem stanowisk; przy każdym znajdował się wygodny fotel. Zofia siedziała na swoim miejscu, wpatrzona w monitor. Minęła czternasta, uczniowie poszli do domów albo mieli jeszcze lekcje; w bibliotece oprócz nas przebywały zaledwie dwie osoby.

– Witam w moim królestwie – powiedziała, gdy tylko mnie dostrzegła.

– No, no, aż ocieka tu nowinkami technicznymi. Nie spodziewałem się.

– Bez przesady – skomentowała. – To zaledwie kilka średniej klasy komputerów. Dyrektor dwa lata temu załatwił w gminie pieniądze, dzięki czemu mogliśmy zrobić kącik internetowy. To chyba jedyne miejsce w Sławinie, gdzie można swobodnie posurfować. Mamy łącze szerokopasmowe, śmiga jak szalone.

Rzeczywiście. Zasięg sieci komórkowej był tak słaby, że mój laptop z mobilnym internetem godzinami ładował każdą stronę. Robert i Andrzej mówili, że ostatnia firma, która oferowała łącze radiowe, zwinęła manatki rok temu. Podobno zakłócenia sygnału były zbyt duże. Sieci telefoniczne też nie zarzucały gminy ofertami. Nikt nie zdecyduje się pociągnąć setek metrów kabla dla kilku niepewnych klientów.

– Jeśli chcesz skorzystać z sieci, zapraszam na zaplecze. Mamy tam dwa komputery dla nauczycieli. W tych jest blokada niektórych treści. Ale, ale, jak tam pierwszy dzień? Dali ci w kość?

– Troszeczkę – odparłem. – Da się przeżyć. A co u ciebie? Też klikasz?

– Przerzucam katalog na dysk. – Wskazała na obudowę komputera. – Jeszcze trochę mi zostało. Jak wprowadzę wszystkie zbiory, umieścimy je z Karolem, naszym informatykiem, na serwerze, tak by każdy miał do nich dostęp przez internet. Wtedy wystarczy, że wejdiesz na stronę, i zobaczysz, czy książka, na którą polujesz, jest dostępna, czy wypożyczona, a jeśli tak, to do kiedy. Karol opracowuje system rezerwacji.

Paliała się do tego projektu, to było widać. Nie co dzień spotyka się sześćdziesięciolatkę, z którą człowiek w moim wieku swobodnie rozmawia o nowych technologiach. Przypuszczałem nawet, że w tym temacie jej wiedza znacząco przerastała moją.

– Prawdziwy z ciebie demon sieci, *chapeau bas!*

– Jestem zaledwie początkującym karzełkiem – sprostowała, ale komplement wyraźnie jej się spodobał. – Demon to siedzi na tamtym fotelu.

Krótko przystrzyżona dziewczyna o czarnych jak smoła włosach wbijała wzrok w ekran monitora, pozostawiając zewnętrzny świat gdzieś daleko na peryferiach percepcji. Prawą ręką sprawnymi ruchami operowała myszą. Rozpoznałem ją. Chodziła do trzeciej B.

– Ewa przygotowuje nową stronę internetową szkoły – wytłumaczyła Zofia. – Już za poprzednią otrzymaliśmy nagrodę pomorskiego kuratora. Teraz podobno mamy startować w konkursie ogólnopolskim.

Obok siedziała inna dziewczyna. Wyższa, długowłosa i zdecydowanie mniej zainteresowana komputerem. Ją też rozpoznałem, choć nazwiska nie potrafiłem sobie przypomnieć. Skrobała coś w zeszycie i wydawała się równie nieobecna jak jej koleżanka. Pomyślałem nawet, że może pisze zadaną przeze mnie pracę. Od czasu do czasu lubiłem dowartościować się myślą, iż ktoś, choćby w niewielkim stopniu, bierze sobie do serca mój trud.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. – Głos dotarł zza moich pleców. Odwróciłem się. Przedemną stał ksiądz i uśmiechał się życzliwie. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Adam – rzekł.

– Sylwester – odparłem nieco speszony. – Witam księdza.

– Adam – powtórzył. – Tyle wystarczy.

Biła od niego pogoda ducha. Miał posturę rubasznego mnicha z historii o Robin Hoodzie. Był ode mnie o głowę niższy, łysy i na oko o jakieś dziesięć lat starszy. Ciepły głos pasował do pyzatej twarzy. Zwykle czułem się nieswojo w towarzystwie osób duchownych. W jego przypadku niepewność prysła.

– Świeża krew bardzo się nam przyda – kontynuował Adam. – To fajne miejsce, szybko się zdomowisz. No i mieszkasz u Zosi, będzie ci matkować.

– Adaś, nie przesadzaj. – Zofia wyglądała na speszoną. – Tylko mi lokatora wystraszysz.

Przez długą chwilę rozmawialiśmy o błahostkach, zwykłych rzeczach. Jak to w pracy. Takiej, o której marzyłem.

5.

Powoli wpasowywałem się w rytm szkoły. Emocje pierwszego tygodnia opadły. Zaczynałem to ogarniać.

W weekend, zamiast pojechać do Gdańska, umówiłem się z Andrzejem i Robertem. Piliśmy miejscowe piwo w lokalu o wdzięcznej nazwie Muchomor. Ku mojemu zdziwieniu około dziesiątej dołączył do nas Adam po cywilnemu i opróżnił dwa kufle. Dobrze mi się z nimi rozmawiało. Byli tacy swojscy, niewymagający i na luzie. Brakowało mi podobnego wieczoru. Odpuszczenie wyjazdu do mamy okazało się dobrą decyzją, nawet jeśli konsekwencją będzie kolejna bura od siostry.

Zdarzył się tylko jeden zgrzyt. Dość mocno wstawiony Andrzej oparł się na moim ramieniu i zaczął nieco niezrozumiale bełkotać:

– Sylwek, powiedz, ale tak szczerze, co do cholery sprawiło, że przeprowadziłeś się na tę wiochę? Na twoim miejscu raczej bym stąd spieprzał.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem ochoty. Odburknąłem coś na odczepnego.

– Baba – skwitował Andrzej, po czym kiwając się, pociągnął kolejny łyk. – Znam tę minę. Tylko baba może tak załatwić faceta. Gadasz z fachowcem, chłopcze. Dwa rozwody w ciągu piętnastu lat. Baba cię zniszczy i...

– Dość tego biadolenia – wtrącił Adam i puścił do mnie oko. – Za nasze kariery w superszkole. – Podniósł swój kufel.

– Na pohybel tej piz... – Robert urwał i zakaszłał nerwowo. – Sorry, Adaś. No to co by się nas Laurodont nie czepiał.

Za to mogliśmy wypić. Wszyscy.

6.

Dzień rozpoczął się od przywitania w pokoju nauczycielskim, kanapki

z kiełbasą, mocnej kawy i kilku średnich dowcipów Andrzeja. Cztery godziny później stałem na środku sali lekcyjnej, z ludzką czaszką w ręku i zerowym pojęciem, co począć dalej. To było jak cios w mózg czymś cienkim, zimnym i przenikliwym.

Właściwie dziś pamiętam z tej chwili głównie ryk śmiechu Wilczyńskiego i idący w ślad za nim głośny rechot całej klasy trzeciej B. Pokładali się ze śmiechu. A ja byłem przerażony. Najwyraźniej wyglądałem komicznie.

Co tam się, do diabła, stało? Nic nie wskazywało na taki rozwój sytuacji. Lekcja przebiegała tradycyjnie. Uczniowie wydawali się znudzeni, senni i zniesmaczeni. Część wykonywała moje polecenia, inny markowali aktywność. Dwójka w ostatniej ławce ostentacyjnie mnie ignorowała. Nie przejmowałem się, dopóki siedzieli cicho. Mój plan przewidywał dotrwanie w takim stanie do końca tygodnia, a następnie atak w postaci sprawdzania prac domowych. Liczyłem na to, że jeśli odczują zagrożenie pozostania na kolejny rok w gimnazjum, coś w nich pęknie. Zawsze mogłem wezwać rodziców.

Jednak byłem naiwny. Zaczęło się od krzyku dziewczyny. Uczennica siedząca przed Wilczyńskim i Zwarą odskoczyła wyraźnie przestraszona. Chłopaki zanosili się od śmiechu.

– Co się dzieje ? – spytałem wybity z lekcyjnego rytmu.

Dziewczyna nie wróciła na krzesło. Stała pod oknem i wskazywała na Wilczyńskiego.

– Co jej zrobiłeś? – zapytałem ostro. – Wstań.

Nie ruszył się. Rozparty w ławce odwrócił ode mnie wzrok.

– Wstań powiedziałem!

Chłopak sięgnął do plecaka, wyjął coś z niego i rzucił w moim kierunku. Bezwiednie wyciągnąłem ręce. Myślałem, że to jakiś wazon albo piłka, ale to była czaszka. Ludzka czaszka. Trzymałem ją w dłoniach

– Łuuuu – usłyszałem i rozległ się ogólny śmiech.

Puste oczodoły wpatrywały się we mnie zimno. Zupełnie jakby czaszka była

równie przerażona jak ja. Przez beznadzieję całej sytuacji próbował przedzierać się głos rozsądku. Nakazywał działanie. Jakiegokolwiek.

– Skąd to masz ? – Staralem się, by ton głosu nie zdradzał zdenerwowania.

– Przybiegła do mnie w nocy z kosą i powiedziała, że teraz chce ciebie. I co? Zesrany?

Znów śmiech. Zachowaj spokój, nakazywałem sobie w myślach.

– Jest prawdziwa? – zapytałem.

– Jasne. – Szczerzył zęby. – Zaraz cię pożre.

Klasa wciąż rechotała. Rozległ się dzwonek, uczniowie zaczęli zbierać rzeczy.

– Zostać na miejscach! – ryknąłem. Zastygli. – Nikt stąd nie wyjdzie bez mojego pozwolenia.

Wilczyński też zaczynał tracić pewność siebie.

– Oddaj. – Wyciągnął ku mnie rękę. – Jest moja. Oddawaj.

Nie zwracałem już uwagi na jego bezczelność. Staralem się znaleźć wyjście z sytuacji. Zignorowałem Wilczyńskiego, podszedłem do biurka, wyjąłem z szuflady foliową torebkę i włożyłem w nią czaszkę. Była prawdziwa. Nie miałem co do tego wątpliwości.

– Zostańcie – nakazałem i opuściłem salę.

– Kurwa, oddawaj! – usłyszałem już w holu.

Obawiałem się, że wybiegnie i się na mnie rzuci. Dzieciaki z innych klas zdążyły już wypełnić korytarz. Nie zwalniałem. Szedłem szybkim, jednostajnym tempem. Od czasu do czasu kogoś potrąciłem, ktoś się nawet przewrócił. Walące serce rozdzierało mi klatkę piersiową.

Gdy dotarłem do sekretariatu, były w nim trzy osoby: sekretarka oraz dwie nauczycielki – jedna coś kserowała, druga rozmawiała przez telefon.

– Muszę się widzieć z dyrektorem – wypaliłem. – Natychmiast.

Sekretarka wlepiła we mnie zdziwione spojrzenie.

– Dyrektor pojechał na spotkanie do Urzędu Gminy – odparła.

– A pani dyrektor?

– Też.

Do głowy przyszła mi tylko jedna myśl. Nie miałem innego wyjścia.

– Proszę wezwać policję – rzekłem.

Kobieta zastygła.

– Policję? – nie dowierzała. – Ale dlaczego? Coś się stało?

– To – odparłem i położyłem na blacie czaszkę. – Uczniowie biegają po szkole z ludzkimi szczątkami. Trzeba natychmiast wezwać policję.

– Ale ja nie mogę. – Sekretarka zaczęła się jąkać. – Nie mogę bez zgody pani dyrektor. To niedopuszczalne. Muszę się z nią skontaktować.

Kobieta chwyciła za telefon i trzęsącą się ręką wybrała numer. Stała bez słowa przez długą chwilę.

– Poczta głosowa – odparła. – Ma wyłączoną komórkę.

– Proszę wezwać policję. – Traciłem cierpliwość. – To pani obowiązek.

– Ale tylko pani dyrektor...

Nie słuchałem jej. Wyjąłem z kieszeni swój telefon i wystukałem numer alarmowy. Gdy opowiadałem dyspozytorowi o całej sytuacji, widziałem, jak z twarzy sekretarki odpływają wszelkie kolory.

7.

Młody funkcjonariusz spisał moje zeznanie. Drugi poszedł przepytac Wilczyńskiego. Bezowocnie. Chłopak ulotnił się ze szkoły.

Informacja o awanturze rozeszła się lotem błyskawicy. Uczniowie szeptali i plotkowali.

Po godzinie policjanci zabrali czaszkę, która nadal znajdowała się w foliowym worku i, jak przypuszczałem, pojechali namierzac Wilczyńskiego w jego domu. Wróciłem do zajęć. Tego dnia miałem jeszcze ostatnią lekcję.

– Pani dyrektor prosi. – Sekretarka uchylila drzwi i wkroczyła do sali. – Prosi natychmiast.

Zadałem uczniom ćwiczenie i poszedłem do gabinetu. Gdy tylko przestąpiłem jego próg, zaatakował mnie miazdzący wzrok Laury.

– Czy pan zwariował, do cholery? – wystrzeliła w moim kierunku. Siedziała za biurkiem, ja stałem jak uczeń. – Pracuje pan tu dwa tygodnie i już próbuje przejac moje kompetencje? Nie miał pan prawa wzywac policji bez mojej wiedzy!

– Nie bylo z panią kontaktu – odparłem.

– Trzeba bylo poczekać! – krzyknęła, zrywając się na równe nogi. – Tylko ja, rozumie pan, ja mogę załatwic podobne sprawy. Rozumie pan!!!

Przytaknałem. Nie chciałem eskalowac konfliktu.

– Przez lata pracuje na reputacje tej placówki, jej nauczycieli i swoja. Nie pozwolę, żeby bylo kto ją niszczył.

Wróciła za biurko i zaczęła przerzucać jakieś papiery. Uznałem to za koniec rozmowy. Byłem cały mokry, pot ściekał mi po skroni i karku. Cofnałem się do drzwi.

– Jeśli media się tym zainteresują, pożałuje pan – usłyszałem na odchodne.

Pokój nauczycielski huczał. Przystąpiłem próg i natychmiast zwróciłem uwagę wszystkich.

– Ale afera. – Andrzej natychmiast rzucił się w moim kierunku. – Naprawdę miał czachę?

Przytaknąłem.

– Laura wpadła w furję – rzekłem.

– No jasne, to wariatka – podsumował Robert.

– Co z tym Wilczyńskim? – Głos mi drżał ze zdenerwowania. – U was to też taka zakąła?

Robert wzruszył tylko ramionami.

– Widzę, że nasza nowalijka poznała pulsujący wrzód na dupie całej szkoły – powiedział. – Oj, przepraszam, Adaś, ale tego inaczej nazwać się nie da. Musisz go przetrwać i tyle. Tak jak wszyscy.

– Przetrwać? – Nie mogłem uwierzyć. – Mam to chamstwo tolerować? Dlaczego?

– Bo nasz ulubieniec Artur Wilczyński to syn starosty powiatu Krzysztofa Wilczyńskiego – oświecił mnie Andrzej. – Myślałem, że wiesz. To stary kumpel Mecha i Laury. Nasz dyrektor swoimi wpływami załatwia mu poparcie przed wyborami, a w zamian szkoła otrzymuje większą kasę. W dodatku Mech zapragnął sprawdzić się w polityce i, jak wieść gminna niesie, w przyszłym roku z ramienia Stowarzyszenie dla Kaszub ma zamiar startować do Sejmiku Wojewódzkiego. Stary Wilczyński natomiast szykuje się na posła. Teraz każdy popisuje się swoją zaradnością i kółko się kręci. A fakt, iż trafia do nas synalek wykołajeniec, trzeba jakoś przetrwać. Wilczyński szkołę skończyć musi. Kropka.

– A co na to jego wychowawca?

– Basia? A co ona może zrobić, skoro Laura trzyma wszystko za twarz? Stary Wilczyński regularnie wpada do dyrektorskiego gabinetu na herbatki. W dodatku mąż Basi pracuje w wydziale komunikacji w Starostwie Powiatowym i jest podwładnym Wilczyńskiego. Jak widzisz, dziewczyna ma związane ręce.

– To chore.

– Panowie, nie demonizujmy – odezwał się ksiądz. – Artur to trudne dziecko, ale takie też się zdarzają, to wyzwanie dla pedagogów. Wicie doskonale, że młodzież jest różna. Do nas należy wyprowadzenie takich uczniów na ludzi.

– Łatwo ci mówić, bo Wilczyński nie chodzi na religię – skwitował Robert. – Masz z nim święty spokój.

– A wy jak reagujecie? – spytałem. – Tak po prostu dostaje promocję do następnej klasy?

– Pomimo wszystko nie jest idiotą – ciągnął Andrzej. – Stary wie, że synalek musi mieć podkładkę, dlatego raz po raz obryje się z jakiegoś tematu i dostaje dobrą ocenę. Czasem ktoś odrobi za niego zadanie domowe i gotowe.

– Nie mogę uwierzyć, że mówicie to z taką bez troską. Przecież to ewidentny przekręt, w którym bierze udział cała szkoła. A co z pozostałymi uczniami, tymi, którzy muszą się naprawdę naharować na dobre stopnie?

– Zrozum, chodzi o to, aby się go jak najszybciej pozbyć. Resztę i tak zweryfikuje egzamin. Stary już pewnie załatwił mu prywatną szkołę średnią. Prawdę powiedziawszy, mam to gdzieś. Zajmij się swoją robotą i zostaw gnojka w spokoju. Nie warto komplikować sobie życia.

8.

„Zostaw gnojka w spokoju” – słowa Andrzeja kołatały mi w głowie. Wtórował im stukot kół autosana. Byłem wkurzony. Głównie swoją bezsilnością. Całą noc o tym myślałem. Różne rzeczy w szkole widziałem – rozwyrzeni rodzice, uczniowie, babcie i dziadkowie to codzienność – ale o czymś takim jak w Sławinie jeszcze nie słyszałem. Nawet nie wiedziałem, jak to nazwać. Korupcja? Układ? Może. W każdym razie Laura Mech grała tu przewodnią rolę i nie miałem wątpliwości, że zechce zniszczyć każdego, kto stanie jej na drodze. Ja już byłem na cenzurowanym.

W piątek zebrałem od chętnych prace domowe. Miałem nadzieję przejrzeć je w weekend. Ostatnią lekcję skończyłem o trzynastej i od razu ze szkoły udałem się na przystanek PKS. Autobus przyjechał kwadrans później i tłukł się po wioskach przeszło trzy godziny. Do Gdańska dojechałem po szesnastej, a do mieszkania mamy na Morenie o szóstej.

– No jak ci tam jest? – zapytała, nim zdążyłem zdjąć buty. – Warto było tak zmieniać swoje życie?

– Warto, warto – zapewniłem. – Wszystko jest w porządku. Fajni ludzie, miła atmosfera. Tam naprawdę można odetchnąć.

– No nie wiem... wyjeżdżając, odciąłeś się od wielu możliwości. – Słyszałem to po raz setny i za każdym razem krew we mnie wrzała. Pohamowałem się jednak i nie skomentowałem. Skoro miałem wpadać do matki sporadycznie, postanowiłem, iż będą to wizyty pozbawione konfliktów.

– Dlaczego tylko ty masz cierpieć? – mama kontynuowała swoją tyradę, wielokrotnie pewnie przemyślaną podczas samotnie spędzanych wieczorów. – Ona robi karierę w tych bankach, a ty się cofasz. Nie rozumiem tego. Co z twoim awansem? Chcesz całkowicie osiąść na laurach? Są przecież inne dziewczyny. Proszę cię, zrób coś ze sobą.

– Dobrze, mamo. Wszystko będzie w porządku. Daj mi tylko trochę czasu. Poukładałam to, zobaczysz.

– Oby, oby.

Im dłużej z nią rozmawiałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu o trafności decyzji związanej z wyjazdem. Nasilenia takich tyrad po prostu bym nie wytrzymał. Mogłoby dojść do nieprzyjemnych spięć, co dodatkowo popsułoby rodzinną atmosferę. Chciała dobrze, martwiła się, ale musiała w końcu przyjąć do wiadomości, że potrafię podejmować racjonalne decyzje.

Zjadłem kilka obowiązkowych dań, pogadałem z mamą do dziewiątej i wymawiając się zmęczeniem, położyłem się spać.

Mieszkanie na Morenie to typowe M4 w bloku z wielkiej płyty. Trzy niewielkie pokoje, kuchnia i łazienka. Dwa najmniejsze pomieszczenia zajmowaliśmy niegdyś z Anią, w dużym pokoju mieszkała mama z tatą, a później sama mama. Minęło osiem lat, odkąd się stamtąd wyprowadziłem, a jednak mój pokój nadal trwał w nienaruszonym stanie i czekał na lokatora. Oficjalnie był to pokój gościnny. Czasem na noc zostawała Ania z dziećmi. Przyjemnie było po tylu latach przyłożyć znowu głowę do poduszki, w której towarzystwie spędziło się połowę dzieciństwa.

Choć czułem się zmęczony, sen nie nadchodził. W głowie kotłowały się myśli o niedoszłym ślubie, Laurze Mech, mamie i pretensjach Ani. Próba skatalogowania problemów pod względem ważności spelzła na niczym. Każdy z nich stanowił osobną igielkę wbijającą się powoli w moje ciało. W końcu każdemu będę musiał stawić czoło. Zapaliłem lampkę i wyjąłem z teczki zeszyty trzecioklasistów. Te prace były dla mnie ważne, dawały bowiem pojęcie, na jakim poziomie umiejętności pisania są uczniowie w Sławinie. Z doświadczenia wiem, że dzieciaki mają ogromne trudności z przelewaniem myśli na papier, a lektura pierwszych tekstów utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Początkowy mnie rozbawił. Niejaki Leszek Luft bez zbędnej skromności określił siebie jako świetnego piłkarza na pozycji napastnika i najbliższe lata kariery wiązał z krótkim epizodem w Lechii Gdańsk, a następnie sławą w Barcelonie, Realu Madryt i Interze Mediolan. Miałem nadzieję, że osiągnie zapowiadany poziom Ligi Mistrzów, bowiem w posługiwaniu się mową polską tkwił na etapie krajowej okręgówki. Praca zajmowała jedną stronę zeszytu i zawierała osiemnaście błędów ortograficznych. O gramatycznych i interpunkcyjnych nawet nie wspominam. Potem było trochę lepiej. W wypracowaniu o pracy programisty komputerowego odnalazłem pasję dziewczyny z biblioteki. Kolejny chłopak chciał otworzyć firmę specjalizującą się w projektowaniu i zakładaniu instalacji elektrycznych. Miałem też lekkoatletę z aspiracjami olimpijskimi. Dalej poziom spadał. Zdania wydawały się coraz bardziej pokracczne i nielogiczne. Nagminne powtórzenia sprawiały wrażenie bezsensownej pisaniny na kolanie, byle tylko zapełnić puste kartki. Gdy nastąpiła północ, byłem już potężnie zmęczony. Kwadrans później trafiłem na diament i poczułem natychmiastowy przyływ sił.

Sam wygląd zeszytu Alicji Maj, z niemal wykaligrafowanymi tematami zajęć, świadczył o nadzwyczajnej skrupulatności. Gdy zagłębiłem się w tekst, nie mogłem uwierzyć, że wyszedł spod pióra szesnastolatki. Dojrzałe, pełne pasji zdania przyciągały uwagę. Chciała zostać dziennikarką albo pisarką. Co więcej, czytając to, co stworzyła, byłem przekonany, iż osiągnie swój cel. Popelniła co prawda kilka nieznaczących błędów, styl wymagał szlifowania, ale na Boga, ona miała szesnaście lat. Ja w jej wieku stawiałem w zeszycie niezgrabne kulfony.

Od najmłodszych lat kochałam przyrodę i chciałam o niej pisać. Opowieści taty i jego albumy o zwierzętach natchnęły mnie do stworzenia pierwszych historii. Tak powstał zajac Felek i wiewiórka Wesółka. Tworząc ich przygody, czuję się, jakbym była w innym świecie. Jest radosny i przyjazny. Dla mnie to bardzo ważne, aby taki pozostał...

Przeczytałem trzystronicowy tekst dwa razy, a chwilę później jeszcze raz. Jeśli Alicja rzeczywiście samodzielnie to napisała, miała w sobie ogromny potencjał. Musiałem ją bliżej poznać. Gdyby posiadała jakieś teksty, to warto nad nimi popracować i być może przesłać do jednego z pism literackich. W końcu miałem jakiś cel, misję, której musiałem się podjąć. Nie mogłem dopuścić, by taki talent zmarnował się pod moimi skrzydłami.

W sobotę przyjechała Ania z Kamilą. Dla niemal pełnoletniej Kasi, drugiej z moich siostrzenic, pobyt u babci nie stanowił wystarczającej atrakcji. Młodsza o osiem lat Kamila znajdowała jeszcze w tego typu wizytach radość. Mama widocznie ożywała przy dziewczynkach. Żałowałem, że od dłuższego czasu regularnie pojawia się tylko jedna.

– Cześć, brat – rzuciła Ania od drzwi. – W końcu wpadłeś. Lepiej później niż wcale. Opowiadaj, jak tam w nowym życiu?

Powtórzyłem jej właściwie to samo co mamie. Pominąłem oczywiście fragmenty o czaszce, wrednej dyrektorce i spięciu z uczniami już pierwszego dnia. Skupiłem się na kreśleniu obrazu sielskiej prowincji i wspianącego lokum u Zofii. Zjedliśmy obiad, po czym mama zasiadła przed telewizorem. Dwa następujące po sobie seriale stanowiły niezmienny element każdego dnia. Kamila zajęła się klikaniem w rozłożonego na stole laptopa. Pod pretekstem zmywania Ania wyciągnęła mnie do kuchni.

– Myślimy o sprzedaży tego mieszkania – rzuciła bez ogródek, gdy tylko zamknęła drzwi. – Chcę sprzedać swoje i kupilibyśmy wspólnie coś większego, tak żeby mama mogła mieszkać z nami.

Zatkało mnie. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałem.

– Nasze mieszkanie? – Stałem oniemiały, próbując wyczytać z jej oczu jakiś sens tego pomysłu.

– Mieszkanie naszej mamy – odparła szybko. – Nie damę rady dbać o nią na odległość. Mam dom, pracę, obowiązki, a do tego jeszcze ty wyjechałeś. Tak będzie najlepiej.

– I powiedz jeszcze, że twój Stasiu przy tym nie majstrował.

Zapłonęła wściekłością.

– Wiesz co? Odwal się! Pieprzony braciszek. Właściwie nie muszę ci się tłumaczyć. To decyzja mamy.

– Decyzja mamy – fuknąłem ironicznie. – Obydwoje wiemy, że zrobi wszystko, co jej zasugerujesz. Jest od ciebie totalnie uzależniona.

– Tak? To może ty się nią zajmiesz? Będziesz robił zakupy, woził do lekarza, pilnował, by przyjmowała leki, sprzątał. Wyjechałeś, nie pytając nikogo o zdanie. Nie masz prawa podważać naszych decyzji.

– Połowę z tych rzeczy mogłaby robić sama – odparowałem. – Nie jest przecież obłożnie chora, to ty robisz z niej inwalidkę. Owszem, przeszła zawał, ale wyleczyła się i jest zdrowa. – Nie mogłem uwierzyć, że chciały sprzedać nasz rodzinny dom. Wychowałem się tu, kochałem to mieszkanie. – Spędziła w nim trzydzieści lat życia – powiedziałem, nieco ochłonawszy. – Mieszkaliśmy tu z tatą. Niemożliwe, żeby chciała się wyprowadzić. Nie zgadzam się.

Ania zaniósła się śmiechem.

– Doprawdy? Tak się składa, że masz w tym temacie najmniej do gadania.

– Zobaczymy – rzuciłem i opuściłem kuchnię.

Do końca dnia nie odezwaliśmy się do siebie. Przed siódmą siostra wyszła. Cały wieczór siedziałem zasępiony, wpatrując się tępo w telewizor. To był mój azyl. Mały pokoik, w którym spędziłem ostatnią noc, stanowił przystań, w której mogłem się schronić w razie życiowych niepowodzeń. Nie miałem własnego kąta. Od czasu gdy się wyprowadziłem, przez trzy lata wynajmowałem mieszkanie, później zacumowałem u Eweliny. Tam miał być mój dom. Gdy po zerwaniu pakowałem manatki, choć przybity i załamany, wiedziałem, gdzie zawsze znajdę dach nad głową. Teraz chcieli mnie go pozbawić. Jakkolwiek wyglądałoby nowe mieszkanie Ani, nie będzie tam dla mnie miejsca. Nie wyobrażałem sobie, by jej Stasiu przyjął szwagra. Skurwysyn mieszał w naszej rodzinie, od kiedy się pojawił. Zdecydowanie wołałem Piotra, pierwszego męża Ani. Był ojcem moich siostrzenic i porządnym facetem. Nawet się zaprzyjaźniliśmy, ale w stosunku do siostry był zbyt uległy, a ona potrafiła to wykorzystać. Zdominowała go. Piotr w pewnym momencie nie wytrzymał presji i trzasnął drzwiami. Rozwiedli się dziesięć lat

temu. Z tego, co wiem, znalazł ukojenie w ramionach koleżanki z pracy, podobno mają dziecko. Przed trzema laty Ania, pracując w biurze rachunkowym, poznała Stasia. Miał sklep z armaturą sanitarną i dokonywał u niej rozliczeń. Po roku znajomości pobrali się. Od początku mi się nie spodobał. Ania jako księgowa nieźle zarabiała, od dłuższego czasu jednak wciąż narzekali na brak pieniędzy. Wiecznie słyszałem o kredytach, pożyczkach i ratach. Ze strzępków rozmów z Anią i mamą wynikało, że interes szedł źle, a w dodatku super biznesmen Stasiu przeinwestował, otwierając nowy sklep dokładnie w momencie, gdy kryzys przystopował całą branżę. Musieli ratować się kredytami, by pospłacać wierzycieli i pracowników. Raz poprosił mnie o podzirowanie kolejnego, a kiedy odmówiłem, urządził awanturę. Prawie się wtedy pobiliśmy. Byłem pewien, że z tym mieszkaniem to jego pomysł. Nie o mamę tu chodziło, a o kasę. Przez tego bałwana wszyscy mogliśmy zostać z niczym. Nigdy do tego nie dopuszczę.

Mama usiadła obok, stawiając przede mną herbatę.

– Rozmawialiście – bardziej stwierdziła, niż spytała. – Słyszałam. Uważasz, że to zły pomysł.

– To twoje mieszkanie – odparłem naburmuszony. – Zrobisz, co chcesz, ale jeśli pytasz mnie o zdanie, to tak, pomysł jest fatalny.

– Nie byłabym sama. Tam są dziewczynki i Ania.

– I Stasiu – dodałem. – Wyobrażasz sobie mieszkanie z nim pod jednym dachem?

– Ania mówi, że się zmienił. To jej mąż. Miałabym zresztą swój pokój, to ważne, mam dosyć samotności.

– Jak się wyprowadzisz, to... – Nie potrafiłem skończyć. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów łzy napłynęły mi do oczu. – To będzie koniec. A jeśli...?

– Synku. – Mama objęła mnie ramieniem. – On już nie wróci. Pogodziłam się z tą myślą. Minęło prawie trzydzieści lat, nie chcę dłużej czekać.

Część druga

Alicja

9.

Widok radiowozu pod szkołą wzbudza niepokój; gdy pojawiają się dwa, można oczekiwać prawdziwych kłopotów. Przekraczając w poniedziałkowy poranek próg Kotła, byłem w wisielczym humorze. Sprawa mieszkania mamy wytrąciła mnie z równowagi, a musiałem się skupić na zajęciach, by nie podpaść dyrektorce. W każdej chwili obawiałem się niezapowiedzianej hospicacji.

W pokoju nauczycielskim panowało spore poruszenie. Wypatrzyłem pod oknem popijającego kawę Andrzeja i ruszyłem w jego kierunku.

– Cześć – przywitałem się. – Co się dzieje? Widziałem policję.

– Nie wiesz? – Odstawił filiżankę. Mówił z wyraźnym przejęciem. – W piątek zaginęła uczennica. Przepadła jak kamień w wodę. Cały weekend jej szukali, bez rezultatu. Policja chce dokładnie odtworzyć, co robiła w ten dzień. Pewnie będą przepytывать dzieciaki

Serce podeszło mi do gardła. Zaginęła? Tak po prostu? Niepokój nieprzyjemnie drażnił żołądek.

– Nie wiedziałem. – Próbowałem zebrać myśli. – W piątek zaraz po lekcjach pojechałem do Gdańska. Wróciłem wczoraj wieczorem.

Do Sławina dotarłem po dziewiętnastej. Byłem przekonany, że Zofia już się położyła, dlatego udałem się bezpośrednio na górę. Gdy zszedłem rano na dół, już jej nie było.

– O kogo chodzi? – zadałem oczywiste pytanie.

– Alicja Maj – odparł. – Z trzeciej B.

Słowa Andrzeja uderzyły we mnie z mocą kowalskiego młota. Miałem nadzieję, że trwam w obłąkańczym śnie. Chciałem się z niego wyrwać, ale silna łapa rzeczywistości trzymała mnie w klaustrofobicznej przestrzeni pokoju. Alicja Maj? Dziewczyna której przyszłej karierze chciałem patronować? Nie mogłem

uwierzyć. Kilkadziesiąt godzin temu czytałem jej pełną pasji pracę.

Przynosisz pecha. Cholernego, zabójczego pecha.

Do pokoju wszedł Mech, za nim Laura i dwóch znajomych policjantów. Zapewne stanowili pełną obsadę tutejszego posterunku.

– Jak zapewne państwo wiecie, mamy do czynienia z niepokojącym zdarzeniem. – Zwykle łagodny głos dyrektora zdradzał zdenerwowanie. – Jedna z naszych uczennic, Alicja Maj, zaginęła w piątek i do dziś nie dała znaku życia. Panowie z policji chcieliby przeprowadzić w szkole rekonesans, dlatego będę potrzebował państwa pomocy. Proszę o pozostanie w pokoju wszystkich, którzy tego dnia mieli lekcje z trzecią B. Chciałbym, abyście odpowiedzieli na kilka pytań. Każda informacja może okazać się pomocna.

– Tak, rozpatrujemy różne scenariusze – wtrącił policjant, który niedawno sporządzał protokół z mojego zeznania. – Może opowiadała państwu o jakichś swoich planach? Może kogoś poznała? Wiem, że uczennice w tym wieku rzadko zwierają się nauczycielom, ale może usłyszeli państwo coś przypadkiem, w klasie albo podczas dyżuru na przerwie. Liczy się każdy szczegół. Dotyczy to zresztą wszystkich nauczycieli.

– A poszukiwania? – spytała Basia Karpińska. – Nic nie dały?

Policjant otarł ręką spocone czoło. Po raz pierwszy, od kiedy pracowałem w tej szkole, w pokoju zapanowała absolutna cisza.

– Przez dwa dni szukało jej blisko dwieście osób. – Rezygnacja w jego głosie nie nastrojała optymistycznie. – Policja z psami, straż gminna, straż pożarna, ochotnicy. Do tej pory bez rezultatu, ale nie tracimy nadziei. Dziś jeszcze wokół jeziora i nad lasami przeleci śmigłowiec z kamerą termowizyjną.

– Boże, to straszne. – Matematyczka była autentycznie załamana. – Znam jej matkę. Jeśli coś się stało Alicji, ona tego nie przeżyje. Tym razem nie da już rady.

– Proszę państwa, musimy być dobrej myśli – zadudnił stanowczy głos Laury Mech. – Tych z was, którzy w piątek mieli lekcje z Alicją, proszę o pozostanie, reszta niech się uda na zajęcia.

Było kwadrans po ósmej. Jako że w piątek nie widziałem się z trzecią B,

ruszyłem do wyjścia. Andrzej został.

- O której kończysz? – spytałem, nim opuściłem pokój.
- O wpół do drugiej, ale posiedzę do drugiej, muszę uzupełnić dziennik.
- Poczekaj kwadrans, chciałbym pogadać.
- Jasne. Będę tutaj.

Za cholerę nie mogłem skupić się na prowadzeniu lekcji. Gubiłem wątek, kilkakrotnie pomyliłem się przy dyktowaniu tematu i notatek. Cały czas myślałem o Alicji. Jak to możliwe, by szesnastolatka nagle zniknęła bez śladu? Ktoś ją porwał? Miała wypadek? Setki możliwości kłębiły się w mojej głowie. Najgorsze, że nie potrafiłem skojarzyć jej nazwiska z konkretną twarzą. Tych kilka dni pracy to zbyt krótki okres, by ogarnąć taką masę uczniów.

Trzecią B miałem tego dnia na czwartej godzinie. Atmosfera w klasie była duszna, nie chciałem ich męczyć. Oddałem zeszyty ze sprawdzonymi pracami i wpisałem te oceny, które uznali za pozytywne. Trójka uczniów na widok dostatecznego ucieszyła się, jakby dostała dyplom wyższej uczelni. W paru przypadkach naciągnąłem stopień do dobrego, by zachęcić ich do dalszej pracy. W końcu na biurku pozostał tylko jeden zeszyt. Zawierał pracę na piątkę i należał do Alicji Maj. Nikt nawet nie zbliżył się do jej poziomu. W myślach prosiłem Boga, by pozwolił tej zdolnej dziewczynie odebrać swój zeszyt.

Wilczyński i Zwara siedzieli cicho z tyłu, szepcząc coś do siebie. Do tej pory ich ignorowałem, wkrótce jednak musiało się to zmienić. Brak rozróby i ochrona dykcji nie oznaczały łatwego ślizgania się przez cały rok. Wbrew temu, co o swoim zachowaniu myślałem, po akcji z czaszką nabrali chyba do mnie trochę respektu.

Tak jak przypuszczałem, cała afera skończyła się dla nich bez żadnych konsekwencji. Wilczyński tłumaczył, że znalazł czaszkę w szlamie nad jeziorem, a policja przyjęła wstępnie, iż ludzkie szczątki mogły pochodzić z zalanego podczas powodzi cmentarza, skąd spłynęły wraz z falą powodziową do znajdującego się w dolinie zbiornika wodnego. Kilkanaście grobów mocno ucierpiało, gdy osunęła się ziemia. Takie przynajmniej krążyły plotki. W sumie brzmiały całkiem wiarygodnie. Gówniarze byli rozwydrzeni, nie podejrzewałem ich jednak o celowe rozkopywanie grobów.

Tak jak się umówiliśmy, Andrzej czekał na mnie po lekcjach. Gdy wszedłem do pokoju, siedział na swoim miejscu, pochłonięty wpisywaniem tematów do dziennika. Byliśmy sami.

– I co? – spytałem, siadając obok. – Doszli do czegoś?

Andrzej westchnął tylko i rozparł się na krześle.

– Te dwie niemoty nie odnalazłyby zagubionego psa, a co dopiero mówić o dziewczynie. Nie mają pojęcia, co mogło się stać. Ich dzień powszedni to sprzeczki sąsiadów i stłuczki samochodowe. W sezonie jakaś bijatyka. Przy grubszych sprawach wzywają wsparcie z powiatu. W piątek jacyś tu się pojawili i zarządzili poszukiwania. Ale nikt nie ma pojęcia, w jakim kierunku pójść. Wszędzie wokół tysiące hektarów lasu i jeziora. Nie sposób przetrząsnąć całego terenu.

– Ktoś musiał coś widzieć – nie dawałem za wygraną. – Przecież nie rozplynęła się w powietrzu.

– Podobno wyszła ze szkoły i ślad po niej zaginął. Matka zaczęła się ostro martwić, gdy do piątej nie wróciła do domu. Później zadzwoniła na policję. Zanim odnaleźli i przepytali znajomych, nastąpiła noc. W sobotę rano zaczęły się poszukiwania.

– Nie miała koleżanek, przyjaciółek? Z nikim nie rozmawiała?

– Trzymała się z Ewą Narloch, właściwie zawsze widywałem je razem. Ta podobno nic nie wie. Alicja wyszła ze szkoły, zanim skończyły się lekcje.

– Uciekła z zajęć?

– Chyba ma zwolnienie z WF-u. Szpak z ostatnich lekcji puszcza je do domu. Cholera, nie wiem, co się mogło stać. To spokojne miejsce. Czasem ktoś da sobie po twarzy, głównie w sezonie, ale to wszystko. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek jakiś dzieciak przepadł bez wieści.

Do teraz, pomyślałem. Do mojego przyjazdu.

– Mogła mieć wrogów? – kontynuowałem wywiad. – Zadarła z kimś?

Andrzej obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

– A ty co? Trzeci brat naszej policyjnej załogi? Przecież ledwo ją znałeś.

Może to właśnie ja tak naprawdę ją poznałem. Chodziła do tej szkoły trzeci rok. Czy ktoś wiedział, że chce zostać pisarką, próbował rozwinąć jej pasję? Wątpiłem w to. Tu życie szło utartym szlakiem. Trzymaj się drogi i z niej nie zbaczaj, tak zapewne brzmiała dewiza większości tutejszych nauczycieli.

– Napisała świetną pracę – odpowiedziałem. – Ma ogromny potencjał. Chciałem z nią o tym porozmawiać, no ale teraz...

Andrzej pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, u mnie też miała same piątki – przyznał. – Namawiałem kiedyś jej matkę, by posłała córkę do dobrego liceum, najlepiej w Trójmieście. Potem studia i świat stanie przed nią otworem. Ale tam problemem są pieniądze, ledwo wiążą koniec z końcem. Matka sama ich wychowuje. Alicja ma jeszcze młodszego o sześć lat brata. Cholera, jeśli coś jej się stało...

Cisza, jaka zapadła po ostatnim zdaniu Andrzeja, była gorsza od najgłośniejszego krzyku. Od zniknięcia minęły zaledwie dwa dni, a on już zaczął oswajać się z najgorszym scenariuszem. Chciałem nim wstrząsnąć, dzielić po twarzy, wrzasnąć, by nie tracił nadziei. To najgorsze, co w tej chwili można było zrobić.

Minęło prawie trzydzieści lat, nie chcę dłużej czekać.

Pożegnałem się i wyszedłem. Szkoła była niemal pusta. Woźna obleczoną wokół miotły szmatą przecierała na zabłoconym holu mokry szlak. Ci, dla których Alicja była tylko sensacją dnia lub nazwiskiem z dziennika, wrócili do domów. Zastanawiałem się, ile osób tak naprawdę przejęło się jej zniknięciem.

10.

Zofia siedziała samotnie w wiekowym szaro-brązowym fotelu. Przechodząc korytarzem, dostrzegłem ją przez lekko uchylone drzwi pokoju. Delikatnie zapukałem.

– Proszę, proszę. – Ożywiła się. – Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Wszystko w porządku? – spytałem. – Siedzisz tak w ciszy...

– Nie mogę dojść do siebie – odparła. – Cała ta sprawa z Alicją strasznie mnie sponiewierała. To taka porządna dziewczyna. Wejdz, proszę, zrobię kawy.

– To może ja zrobię – zaproponowałem. – Skoro ty użyczasz lokalu. Sypana z mlekiem?

Potwierdziła, a ja udałem się do kuchni. Po paru minutach wróciłem z dwoma parującymi kubkami. Pierwszy raz byłem w tym pokoju. Dotąd spotykaliśmy się w kuchni. Pokryte beżową tapetą pomieszczenie zdecydowanie wymagało odświeżenia, i nie chodzi o to, że było brudne. Wręcz przeciwnie, dostrzeżenie choćby odrobiny kurzu wymagało niesamowitej spostrzegawczości. Po prostu czas odcisnął na nim swoje piętno. Popękany, zszarzały sufit, pożółkłe tapety i wypłowiały dywan na podłodze dowodziły, że samotnej kobiecie brak sił, by utrzymać dawną świetność domu.

Położyłem tacę z kawą na okrągłym drewnianym stole. Szczególnie uważałem, aby nie poplamzić haftowanej serwety w kaszubskie wzory. Zofia przesiadła się z fotela na jedno z krzeseł stanowiących komplet ze stołem. Za jej plecami stała długa komoda, a na niej lampka. Obok w srebrnej ramce dostrzegłem zdjęcie brodatego mężczyzny w średnim wieku. Uśmiechał się szeroko, pozując na tle jakiegoś domu. Rozpoznałem anglosaską architekturę.

– To mój syn Karol. – Zofia dostrzegła moje zainteresowanie. – Od lat mieszka w Stanach, w Chicago. Rzadko się widzujemy. Raz na jakiś czas odwiedzam go tam, ale to kawał drogi.

– Pewnie tęsknisz?

– Jasne, tylko on mi został. Mąż zmarł przeszło dwadzieścia lat temu, a rodzeństwa nie mam. Karol nieźle się tam urządził, ma warsztat samochodowy, żonę, dzieci. Zobacz.

Zofia podniosła się i podeszła do meblościanki. Na półce nad telewizorem stały dwie kolejne ramki. Zgarnęła obie i wróciła do stołu.

– Michał i Celinka. – Wskazała na dwójkę dzieci. Na zdjęciu hasały po

ogrodzie pochłonięte zabawą z piłką. Miały około pięciu, może sześciu lat. Druga ramka zawierała fotografię całej rodziny. Byli na plaży, najwyraźniej na wakacjach. Syn Zofii na tle oceanu albo morza, trudno określić, obejmował wysoką rudowłosą kobietę. Za nimi dzieciaki stawiały babki z piasku.

– Wyglądają fantastycznie – skomentowałem. – Bywają tu?

Zofia szybko przetarła dłonią lśniące w kącikach oczu łzy, po czym odniosła zdjęcia na miejsce.

– Cały czas obiecują, ale zawsze są ważniejsze sprawy. Oboje zajmują się prowadzeniem interesu i nie mogą go tak po prostu zamknąć i wyjechać. Straciliby klientów. Spędziłam u nich wakacje dwa lata temu, może w przyszłym roku znów pojedę. Mam nadzieję. Taki przelot to ogromny wydatek. Karol oczywiście wszystko finansuje, ale i u nich sytuacja nie jest różowa. Mają przecież na głowie ten cały kryzys, a klientów nie przybywa.

Przez moment popijaliśmy kawę w milczeniu. Najwyraźniej nie chciała dalej ciągnąć tego tematu. Właściwie to zamierzałem wypytać ją o Alicję. Skoro tak mocno przejęła się jej zaginięciem, musiała ją bliżej znać. Ta dziewczyna z każdą chwilą silniej wbijała się w moje życie.

– Nie wiesz, czy policja coś ustaliła? – przerwałem ciszę. – Byli w szkole przed lekcjami. Podobno poszukiwania nic nie dały.

Zofia pociągnęła łyk kawy. Ręce jej się trzęsły.

– Nic – powiedziała. – Żadnych dobrych wiadomości. Minęło już tyle czasu. Jezu, boję się. Skoro nie ma jej w żadnym szpitalu, nikt jej nie widział, poszukiwania nic nie dały, to co się mogło stać? Mówi się o porwaniu. Ale dlaczego ona?

– Dobrze ją znałaś?

– Najlepiej spośród wszystkich uczniów. Przesiadywała w bibliotece bezustannie. Alicja pracowała nad kroniką szkoły. MEN ogłosił w zeszłym roku szkolnym taki konkurs, zdaje się o Pióro Galla Anonima czy coś podobnego. Wytypowani uczniowie mieli napisać szkolną kronikę, od powstania placówki po czasy współczesne. Wiesz, zarówno ważne historyczne fakty, jak i ciekawostki, anegdoty, a nawet legendy dotyczące szkoły. Z całego Zespołu do programu

zgłosiło się troje chętnych. Całość nadzoruje Laura Mech i na liderkę wybrała Alicję. Reszta miała jej pomagać, ale szybko wycofali się rakiem. Dziewczyna została sama i wyraźnie jej to odpowiadało. Kronika powinna być gotowa do maja i z tego, co wiem, termin nie był zagrożony. Ala pracowała głównie po lekcjach, w bibliotece. W domu nie ma sprawnego komputera. Dużo rozmawialiśmy, podrzucałam jej na bieżąco książki o regionie. Była niezwykle skrupulatna. Rozmawiała z nauczycielami, spotykała się nawet z tymi emerytowanymi. To mogło być naprawdę coś, a teraz...

– Czytałaś tę kronikę?

– Nie w całości, przejrzałam kilka fragmentów. Są bardzo dobre. Podejdź jutro do biblioteki, pokażę ci.

A więc jednak pielęgnowała swój talent, pomyślałem. I to z inspiracji Laury. Być może źle oceniałem naszą wicedyrektorkę. Czyżby pod grubym pancerzem obojętności krył się jednak pedagog z krwi i kości?

Kronika mogła być dla Alicji biletem do lepszego świata. Zwycięstwo w tak prestiżowym konkursie otwierało drzwi do dobrych szkół. Może nawet dostałaby stypendium? Zastanawiałem się, czy właśnie to ją motywowało do pracy. Chciała się wyrwać ze Sławina?

Przypomniałem sobie, co o jej rodzinie mówił Andrzej.

– Podobno w domu Alicji się nie przelewa?

Zofia wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz słońce oblewało Kaszuby przyjemnym ciepłem.

– Wiesia Maj to złota kobieta – powiedziała. – Już sama nie wiem, ile lat się znamy. Kiedyś spotykałyśmy się często w kościele. Mamy przy parafii taki amatorski chór; póki jej mąż nie zachorował, śpiewała razem z nami. Później zamknęła się w sobie. To była dla nich ogromna tragedia. Widujemy się w niedziele po mszy, czasem dłużej pogadamy po drodze do domu, ale to wszystko.

– Ojciec Ali nie żyje?

– Czasem myślę, że dla nich byłoby lepiej, gdyby umarł. Zaraz po

narodzinach Mateusza Zygmunt zachorował. To przyszło tak nagle, wszyscy byli zszokowani. Pewnego dnia odłączył się od tego świata, przestał kontaktować, nie poznawał rodziny. Okazało się, że ma schizofrenię, i to w bardzo ostrej postaci. Od sześciu lat jest w zakładzie psychiatrycznym w Starogardzie. Wiesia odchorowuje każde odwiedziny. Nie skarży się, ale to widać. Raz na dwa tygodnie, po każdej takiej wizycie, coś w niej powoli obumiera. Żyją bardzo skromnie z renty Zygmunta i tego, co uda się jej zarobić z robótek ręcznych. Jest w tym naprawdę świetna, kiedyś dostałam od niej tę serwetę. Wystawia się w kilku sklepach z pamiątkami, ktoś zamawia u niej towar, który później sprzedaje na straganach. Dla turystów to gratka, ale wielkich pieniędzy z tego nie ma. Przy takich dochodach trudno utrzymać siebie i dwójkę dorastających dzieciaków, ale jakoś dawała radę. Jeśli Ali coś się stało, nie przetrwa tego. Nawet jej odporność ma swoje granice. Powinnam ją odwiedzić, ale się boję. Co powiedzieć w takiej sytuacji? Jak pocieszyć? Nie wiem, po prostu nie mam zielonego pojęcia.

Nie potrafiłem jej pomóc. Gdybym znalazł się w podobnym położeniu, byłbym równie zagubiony. Alicja była ważna dla wielu osób. Kilka minut rozmowy z Andrzejem i Zofią przekonało mnie, jaki potencjał drzemał w tej dziewczynie.

– Szkoda, że jej nie poznałem – wyszeptalem do siebie, jednak na tyle głośno, by słowa dotarły do Zofii. – Nawet nie wiem, jak wygląda.

– Przecież ją widziałeś – zareagowała natychmiast. – Tamtego dnia w bibliotece siedziały razem z Ewą Narloch przy komputerach. Mówiłam ci.

W tym momencie przywróciłem w pamięci obraz zapracowanej długowłosej dziewczyny. Wymarzyłem sobie nawet, iż to zadane przeze mnie wypracowanie tak ją pochłonęło. Biorąc pod uwagę owoc pracy, trudno było to teraz wykluczyć. Mając przed oczami jej twarz, odtworzyłem lekcje z trzecią B. Alicja siedziała w trzecim rzędzie pod oknem. Jako jedna z nielicznych wydawała się słuchać, o czym mówię. To było tak niedawno. Tych kilka dni otwierało jednak nową epokę, czas, w którym spokojne kaszubskie miasteczko nieoczekiwanie ukazało swoje mroczne oblicze.

11.

Kolejne dni nie przyniosły przełomu w sprawie Alicji. Policja wraz z ochotnikami dalej przeszukiwała lasy, w prasie zamieszczono zdjęcie dziewczyny, lokalna telewizja informowała o tym wydarzeniu.

Mijające godziny oddalały szczęśliwe zakończenie. Zdawałem sobie z tego sprawę i nie dawało mi to spokoju.

Była środa. Wracałem po lekcjach do domu. Moją uwagę zwróciły kruczoczarne włosy kontrastujące mocno z jasną elewacją budynku naprzeciwko. Ewa Narloch nie dostrzegła mnie, pochłonięta odrywaniem zębami kawałków taśmy klejącej. Przeszedłem na drugą stronę. To, czym oklejała słup, było plakatem, a właściwie komputerowym wydrukiem ze zdjęciem Alicji, informacją o jej zaginięciu i prośbą o kontakt pod wskazanym numerem.

Dziewczyna, gdy tylko przykleiła równo kartkę, odwróciła się i podskoczyła przestraszona.

– Oj! To pan! Dzień dobry! – wyrzuciła z siebie, zupełnie jakbyśmy nie widzieli się na lekcji dwie godziny temu.

– Witaj, widzę, że pomagasz. To bardzo ładnie z twojej strony.

Ewa podniosła z ziemi brązową teczkę.

– Ala jest moją przyjaciółką. Zrobiłam na szybko taki plakat, może to coś da. Oblepiłam już kilka słupów i drzwi w sklepach.

– Może ci pomóc? – zaproponowałem.

– Przecież pan...

– Wiem, jestem nowy i jej praktycznie nie znałem, ale zainteresowała mnie swoim talentem. Napisała świetną pracę. Wiedziałaś, że chciała zostać pisarką?

Ewa uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, pokazywała mi te opowieści o zwierzakach. Zabawne. Ostatnio dużo pracowała nad kroniką. Pani dyrektor była z niej naprawdę zadowolona. Czasem coś wykreśliła i poprawiła, ale ogólnie bardzo ją chwaliła. Pomagałam jej z szatą graficzną, bo Ala to prawdziwa komputerowa łamaga. Do zeszłego miesiąca nie miała nawet skrzynki mailowej.

Szliśmy powoli, mijając kolejne słupy. Dziewczyna wieszała plakat na co

czwartym. Przyciskała zdjęcie do metalowej powierzchni, a ja przylepiałem paski taśmy na rogach.

– Miała chłopaka? Spotykała się z kimś? – Bałem się, że spłoszę ją tym pytaniem. W końcu to dość intymna sprawa, a ja byłem obcy.

Odpowiedziała dopiero po chwili. Wyraźnie był to dla niej trudny temat.

– Wciąż opowiadała o tym Tomku. Tomek to, Tomek tamto. Poznała go latem na obozie w Zakopanem. Ciągle do siebie dzwonili, ale potem mama Alicji się zdenerwowała i zabrała jej komórkę. Pierwszy raz widziałam, żeby tak się ze sobą pokłóciły.

Wyczułem w jej głosie ton pretensji. Tak zapewne działo się zawsze, gdy w wieloletnie przyjacielskie relacje pomiędzy dziewczynami wpychał się nagle obcy chłopak i bezlitośnie zagrabiał świętą niegdyś przestrzeń.

– Ten chłopak jest stąd? Gdzieś z okolicy?

– Nie, mieszka we Wrocławiu. Alicja marzyła, by go odwiedzić, ale mama nie pozwalała. Bała się, że zaniedba szkołę, a to przecież ostatnia klasa. Kiedy Ala zaginęła, to myśleliśmy, że się zbuntowała i pojechała do niego. Okazało się, że jej tam nie było. Policja od razu to sprawdziła. Ten Tomek był podobno w tym czasie gdzieś na zawodach. Gra w koszykówkę. Zresztą Ala nigdy nie zrobiłaby tego mamie, wie, jak by się denerwowała.

– A on wcześniej nie chciał do niej przyjechać?

– Nie wiem, ostatnio nie mieli ze sobą takiego kontaktu. Ala była bez telefonu, założyłam jej skrzynkę mailową i coś tam skrobała, jednak po rozpoczęciu roku szkolnego coraz rzadziej odpisywał. Podobno rodzice dali mu szlaban. Musiał się uczyć, żeby dostać się do jakiejś dobrej szkoły.

Alicja była zakochana, smutna i zdezorientowana. Chłopak siedział na drugim końcu Polski i kontakt z nim miała utrudniony. Co sobie myślała?

Słupy się skończyły. Podobnie chodnik. Dalej biegła samotna szosa w kierunku Chojnic.

– Myśli pan, że to coś da? Te plakaty, pomogą?

– Mam nadzieję. Tutejsi i tak znali Alicję, ale może trafi się ktoś spoza Sławina. Pewnie nad jeziorem zostali jeszcze jacyś turyści.

Ewa przetarła rękawem twarz. Płakała. Zaczerwienione oczy uwypuklały bladość cery. Pękała jak delikatna, porcelanowa figurka.

– Musiało stać się coś złego – powiedziała drżącym głosem. – Zawsze razem wracałyśmy ze szkoły do domu. W piątki ostatni mamy WF, Ala zawsze czekała na mnie przed szatnią. Jak jej wtedy nie było, wiedziałam, że coś jest nie tak. Nie wyszłaby sama.

– Dlaczego nie ćwiczyła?

– Ma zwolnienie, jakiś problem z przepukliną. Od początku gimnazjum nie zdarzyło się, żeby po prostu opuściła szkołę beze mnie. Kiedy szłam tego dnia na salę gimnastyczną, siedziała na ławce pod szatnią i czytała książkę. Godzinę później wyparowała.

Rozerwałem opakowanie chusteczek i podałem jej jedną. Wytarła twarz. Spoglądała na mnie przekrwionymi, zapuchniętymi oczami.

– Nie wolno tracić nadziei – próbowałem ją pocieszyć. – Cokolwiek by się nie działo, musimy wierzyć, że Ala wróci cała i zdrowa. Tak bywa. Ludzie giną z różnych powodów, a później wracają.

Odprowadziłem ją do rynku. Później się rozdzieliliśmy; Ewa ruszyła samotnie do domu.

Niebo zamruczało nieprzyjaźnie, zbliżała się burza.

12.

Dyżury w czasie przerwy to coś, czego z całego serca nienawidzę. Bezproduktywne próby uchronienia dzieciaków przed rozwalaniem sobie głów podczas kretyńskich wygłupów z góry wprawiają mnie w fatalny nastrój. Napominani, straszeni, ochrzaniani, po dziesięciu sekundach uczniowie wymazują z pamięci ich zdaniem bezsensowne słowa nauczyciela i szaleją dalej, ku uciesze pozostałych.

Czy będąc w ich wieku, też tak się zachowywałem? Pewnie podobnie. Pamiętam, jak pewnego razu wylądowałem z kumplami u dyrektora za zbitcie szyby w gablocie z dyplomami. Był to finał cieszącej się w tamtym czasie dużą popularnością konkurencji w rzucie tęczką na odległość. Czasem trajektoria lotu została zachwiana i teczka lądowała w nieprzewidzianym miejscu. Wściekła biologiczka zwinęła wtedy do gabinetu dyrektora całą naszą piątkę. To było w podstawówce, jeszcze wtedy ośmioklasowej. Jakub, pomysłodawca całej akcji, jest teraz szefem potężnej spółki paliwowej. Lubilem tę szkołę, wiąże się z nią wiele fajnych wspomnień.

– Nie odpływaj, bo cię zadepczą. – Andżelika wyrosła nagle zza filaru, przy którym stałem. Odziana w konserwatywny strój „usłużnej pani pedagog” jadła czekoladowego wafelka. – Gryza?

Podziękowałem, nie miałem ochoty na słodycze.

– I jak tam na etacie polonisty? Nie dobiła cię jeszcze wioskowa młodzież?

– Trzymam się – odpowiedziałem. – A ty?

– OK. W zasadzie to muszę przyznać, że poziom jest dość wyrównany. Ci w pierwszych klasach umieją tyle samo, co ci w trzecich. Niesamowite.

– Specjalnie się tym nie przejmujesz.

– Żartujesz? Jeszcze nie upadłam na głowę, żeby zamartwiać się losem leserów. Nie za te pieniądze. Jest kilka osób, które dobrze rokują, i na nich się skupiam. Reszta niech robi, co chce.

Przepchnąć i wypchnąć, tak brzmiało motto tej szkoły. Andżelika szybko się do niego dopasowała.

– Szkoda tylko tej dziewczyny – dodała. – Była jedną z tych, której się naprawdę chciało. Teraz już nawet niespecjalnie jej szukają.

– Jak to?

– Czytałam dziś w gazecie w pokoju nauczycielskim. Policja podobno postawiła na ucieczkę z domu po konflikcie z matką. Głupawka w tym wieku to nic nadzwyczajnego.

– To niemożliwe! – Zagotowałem się. – Ci idioci nic o niej nie wiedzą. Nie mogła uciec, to stek bzdur!

– Spokojnie, nie wiedziałam, że cię tak wzięło. Znałeś ją w ogóle?

– A co to ma, do cholery, za znaczenie? Zależało jej, sama mówiłaś. To niewystarczający powód, by się przejmować?

– Może – odparła beznamiętnie. – Ja w każdym razie się nie wychyłam. Tobie też radzę, szczególnie że nasza pani dyrektor ma cię na oku.

W tym momencie hol zalał intensywny dźwięk dzwonka. Andżelika powiedziała coś jeszcze, ale jej słowa odbiły się od narastającej fali hałasu. Ruszyłem szybkim krokiem do pokoju nauczycielskiego. Większość belfrów, z dziennikiem pod pachą, szykowała się do wyjścia na lekcje. Sam powinienem ruszać na zajęcia z pierwszoklasistami. Na stole przy czajniku dostrzegłem gazetę. Przewertowałem dwie pierwsze strony Dziennika Kaszubskiego, by informację o Alicji znaleźć na trzeciej. Szybko spadła z czołówki nawet lokalnej prasy. Redakcję bardziej interesowały nowe stawki za przepływ gazu. „Idzie podwyżka” – krzyczało z pierwszej strony. Właściwy tekst ilustrowało zdjęcie Alicji.

Nowy wątek w sprawie zaginionej uczennicy.

Nadal nieznanne są losy szesnastoletniej Alicji Maj, uczennicy Zespołu Szkół w Sławinie, która zniknęła bez śladu w ubiegły piątek. Policja bada wiele wątków tego zdarzenia. Ostatnie godziny rzuciły na sprawę nowe światło.

Pomimo poszukiwań z wykorzystaniem śmigłowca i psów policyjnych dziewczyny nie udało się odnaleźć. Ostatnio najwnikliwiej badaną przez policję hipotezą był nieszczęśliwy wypadek.

– Alicja, idąc do domu, pokonywała co dzień prawie kilometrowy odcinek drogi krajowej S2. Istniało podejrzenie, że mogła stać się ofiarą wypadku, potrącenia przez samochód, którego właściciel uciekł z miejsca zdarzenia – tłumaczy Andrzej Kałużny, rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Kościerzynie. – Po sprawdzeniu drogi nie znaleźliśmy jednak żadnych śladów nagłego hamowania, ewentualnie elementów z uszkodzonego pojazdu. Brak również świadków takiego zdarzenia, a to uczęszczana trasa.

Alicja opuściła szkołę w piątek po godzinie trzynastej. Nie wiadomo, gdzie poszła i czy się z kimś spotkała. W szkole miała opinię sumiennej i wzorowej uczennicy, w domu jednak zaczęły pojawiać się konflikty. Być może to one sprawiły, że dziewczyna zniknęła. Alicję wychowywała samotnie mama. Z informacji pozyskanych z otoczenia dziewczyny wynika, iż źródłem sprzeczek rodzinnych był chłopak, którego Alicja poznała w czasie wakacji. Jej matka nie akceptowała tej znajomości.

– Rodzinne konflikty to najczęstsze przyczyny zaginięć nastolatków. Konsekwencją domowych awantur są ucieczki z domu – mówi Andrzej Kałużny. – Wiele wskazuje na to, iż w przypadku Alicji tak właśnie mogło być. Sprawdziliśmy dworce kolejowe i PKS. Świadkowie potwierdzają, że na dworcu w Kościerzynie dziewczyna podobna do Alicji kupowała tego dnia bilet na pociąg do Gdańska. Sprawdzamy ten wątek.

Dane dotyczące Alicji trafiły do Centralnego Rejestru Zaginionych. Teraz szukają jej policjanci w całej Polsce.

Adrianna Mieszko

Rzuciłem gazetę na stół. Co za bzdura, pomyślałem. Byłem wściekły. Nie potrafili jej odnaleźć, więc forsowali wersję o ucieczce z domu. Mieli ją tym samym z głowy. Można zawiesić poszukiwania i ograniczyć się do czekania na informacje z kraju. To przecież bez sensu. Dziewczyna idzie do szkoły, bierze udział w lekcjach, potem jak gdyby nic czeka pod szatnią na najlepszą koleżankę. I nagle – bach – wpada na pomysł ucieczki z domu? Trzeba być idiotą, by pomyśleć coś takiego. Ktoś do niej podobny kupował bilet kolejowy – to ma być argument? Ile jest w tym regionie długowłosych szesnastolatek? Poza tym gdyby chciała spotkać się z chłopakiem, dawno dotarłaby już do Wrocławia. Minął w końcu tydzień. Przecież nie zadekowała się w pijackiej melinie. Może podejrzewali porwanie?

To nadal nie tłumaczy nagłego zniknięcia spod sali gimnastycznej.

Oni jej nie znajdują, byłem tego pewien. Jeśli ktoś nie narobi porządnego szumu, sprawa przyschnie. Im gęstsza zrobi się skorupa, tym trudniej będzie rozgrzebać ją na nowo.

Poszedłem na lekcje. Odbębniłem dwie godziny, później miałem okienko. Po

nim jeszcze dwie lekcje, z czego ostatnią z trzecią B. Pamiętałem o obietnicy złożonej Wilczyńskiemu i Zwarze. Jeśli nie dostarczą mi wypełnionych ćwiczeń, dostaną kolejne pały. Lekcja ze mną to tego dnia ich ostatnie zajęcia, istniało więc zagrożenie, że panowie asekuracyjnie postanowią urwać się szybciej do domu. Sprawdziłem na planie, gdzie aktualnie mają zajęcia, i ruszyłem do klasy. Paweł Kalicki wyglądał na zdziwionego, gdy uchyliłem drzwi gabinetu fizycznego. Zapewniłem, że zajmę tylko sekundę. Dostrzegłem Wilczyńskiego rozwalonego nonszalancko w ostatniej ławce. Jego kolega ze słuchawkami w uszach zdawał się znajdować na innej planecie. Podszedłem do nich.

– Zgodnie z zapowiedzią chciałbym zobaczyć wasze ćwiczenia z języka polskiego – powiedziałem. – Sprawdzę je na następną lekcję. No szybko, nie chcę zajmować panu Kalickiemu czasu.

Wilczyński się roześmiał i pokiwał tylko głową. Zupełnie jakbym był namolnym akwizytorem. Zwara zdjął słuchawki i jak zwykle spuścił wzrok. Nie on decydował o rozwoju wypadków.

– Dostanę te ćwiczenia?

Wilczyński obdarzył mnie pogardliwym spojrzeniem.

– Mówiłem ci ostatnio, gdzie mam twoje ćwiczenia. To nadal obowiązuje.

– Świetnie, powiększyliście swoje konto o kolejne pały. Brawo, chłopaki. Grzejecie sobie tu miejsca na następny rok. Do poniedziałku oczekuję waszych rodziców. Jeśli się nie pojawią, załatwię sprawę przez dyrekcję.

Obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem. Prawdopodobnie zaogniłem konflikt. Do dzwonka zostało pół godziny, ruszyłem do biblioteki. Złość wywołana artykułem nadal we mnie buzowała. Gdy przekroczyłem próg zarządzanego przez Zofię królestwa literatury, jego władczyni krzątała się pomiędzy półkami, rozkładając na nich obleczone w szary papier książki. Zauważyła mnie po chwili.

– Ach, witam, tak szybko wybiegłeś rano z domu, że nie zdążyłam powiedzieć ci dzień dobry.

– Musiałem uzupełnić dziennik. Spokojnie masz tu dzisiaj.

– Jest lekcja, na przerwie dzieciaki rzucą się do internetu. Może chciałbyś coś wypożyczyć? Ostatnio zrobiłam małe zakupy.

– Na razie się wstrzymam, nie przebrnąłem jeszcze przez swoje zakupy. Chciałbym skorzystać z komputera i internetu.

– Nie ma problemu, za regałami są stanowiska dla pracowników.

Przepchałem się między przeciążonymi regałami i zająłem miejsce na obrotowym krześle. Włączyłem komputer. Gdy system odpalał, zastanawiałem się, co zrobić najpierw. Postanowiłem zacząć od największych stacji i redakcji. Odszukałem strony TVN24, Polsat News i TVP Info. Po kliknięciu na zakładkę kontaktu z widzami poprzez specjalny formularz opisałem sprawę Alicji. Tajemnicze zniknięcie szesnastolatki powinno zainteresować dziennikarzy. Zdawałem sobie sprawę, że redakcje dostają dziennie setki takich zgłoszeń, to jednak mnie nie zraziło. Podałem adres szkoły i numer telefonu do sekretariatu. Jeśli ktoś będzie miał wątpliwości, może zweryfikować moją informację. Później poprzez strony internetowe wyszperałem maile do redakcji Gazety Wyborczej, Rzeczpospolitej, Dziennika i Dziennika Bałtyckiego. Zalogowałem się na swojej skrzynce i wysłałem do każdej z gazet list opisujący sytuację w Sławinie i zaginięcie uczennicy. Gdy skończyłem, wyszukałem strony tabloidów. Początkowo chciałem je zignorować, ale skoro są codziennie czytane przez taką masę ludzi, postanowiłem zaryzykować. Informację do Faktu, Super Expressu i Donosiciela zabarwiłem bardziej sensacyjnie. Tajemnicze zniknięcie ze szkoły w środku dnia – miałem nadzieję, że to kupią. Wylogowałem się z poczty i wyłączyłem komputer. Dzwonek obwieścił koniec kolejnej lekcji.

– Wspominałaś coś o kronice, którą pisała Alicja. Mogę na nią zerknąć?

Zofia rozłożyła bezradnie ręce.

– Przykro mi, ale Laura Mech skopiowała ją wczoraj i wykasowała z naszego komputera. Nie chciała, żeby ktoś niepowołany grzebał w pracy Ali. To dla szkoły ważny projekt. Być może będzie zmuszona powierzyć pisanie komuś innemu. – Bibliotekarka westchnęła i opadła na krzesło. – Boże, to już niemal tydzień. Czy oni ją w ogóle odnajdą?

Przy nastawieniu tutejszej policji to wątpliwe, pomyślałem.

– Wierzysz w wersję o ucieczce z domu? – spytałem.

– Nie wiem, jestem całkowicie skołowana. Alicja była ostatnio przygaszona, mówią, że się zakochała. Pierwsza miłość w tym wieku potrafi zaćmić umysł.

Denerwowało mnie takie stawianie sprawy. Zasiane w artykule ziarenko zaczęło kiełkować w umysłach osób znających Alicję. Dlaczego tak szybko? Było wygodnym wytłumaczeniem?

W tym momencie bibliotekę zalała fala młodzieży. Stanowiska komputerowe natychmiast zaroily się od internautów. Do biurka Zofii ustawiła się długa kolejka chętnych na wypożyczenie książki. Zastanawiałem się, ilu spośród nich to prawdziwi czytelnicy, a ilu po prostu pozoruje zainteresowanie lekturą.

Tak jak przypuszczałem, gwiazdy trzeciej B nie pojawiły się na języku polskim. Spełniłem obietnicę i przy ich nazwiskach dopisałem po kolejnej jedynce. Co dalej? Ile jeszcze pał mogę wstawić za to samo zadanie? Przemyślę to później.

Wieczorem zadzwoniłem do mamy. Przez zamieszanie z Alicją odsunąłem od siebie sprawę sprzedaży mieszkania. Wyrzuty sumienia kazały mi wysondować sytuację. Okazało się, że siostrzyczka nie marnowała czasu. Oferta pojawiła się już w internecie, podpisali również umowy z biurami nieruchomości. Mama wydawała się przekonana. Może to ja niepotrzebnie wariuję? Skoro miało jej być lepiej... I wtedy przed oczami stanęła mi się twarz Stasia naskakującego na mnie po odmowie podżyrowania kredytu. Nie potrafiłem się przekonać do tego pomysłu. Moja rodzina nie może się wyprzedawać tylko dlatego, że mąż mojej siostry jest nieudacznikiem.

Spodziewałem się hospitacji, jednak widok Laury Mech pod drzwiami klasy mocno mnie zaskoczył. Był piątek, druga godzina lekcyjna. Przywitałem się i próbując maksymalnie opanować nerwy, otworzyłem drzwi, po czym wpuściłem uczniów do środka. Dyrektorka weszła po nich, by zająć ostatnią ławkę.

– Proszę poprowadzić zwyczajową lekcję – rzuciła, mijając mnie.

Trafiła akurat na trzecią A. Klasa średniaków. Miała kilka dobrych punktów i zdecydowanie więcej słabych. Jej największą zaletą był brak osobowości pokroju Wilczyńskiego. To samo w sobie ułatwiało pracę. Po sprawdzeniu obecności rozpocząłem zajęcia. Przerabialiśmy akurat poezję Zbigniewa Herberta.

– Czy ktoś chciałby na ochotnika przeczytać swoją pracę?

W górę uniosła się ręka jednej z uczennic. Wstała i przeczytała zadanie domowe. Było nie najgorsze. Brakowało mi kilku mniej znaczących elementów, ale nie miałem zamiaru się czepiać.

– Co o tym powiecie? Macie jakieś uwagi?

Cisza. Szybciej wyciągnąłbym żółwia na biegi przełajowe, niż namówił ich do swobodnej dyskusji.

– Dobrze, według mnie zabrakło szerszego rozwinięcia motywu rajy, ale to niezła praca. Cztery plus. Są jeszcze jacyś ochotnicy?

Znów cisza. Laura ze spuszczonym wzrokiem notowała coś w zeszyście.

– Zatem ja kogoś poproszę. – Przejechałem palcem po numerach w dzienniku. – Może dziesięć, Adrian Kotowski.

Chłopak zastygł w szoku z miną zająca pochwyconego w lisie objęcia. Po pięciu sekundach wstał i trzęsącym głosem wydukał kilkanaście kiepskiej jakości zdań. Część była w ogóle nie na temat. Oczywiście próba rozwinięcia dyskusji spełzła na niczym. Żółw nie tylko nie wystartował do biegu, ale nawet nie wyściubił nosa spod skorupy. Sam więc omówiłem wady zadania domowego Adriana, które oceniłem na dostateczny minus. Zainteresowany wydawał się zadowolony. Na tym zakończyłem część związaną z pracami domowymi i przystąpiłem do nowej lekcji. Podyktowałem temat i zaczęliśmy omawianie wiersza Herberta.

Tak było aż do dzwonka. Po nim uczniowie ewakuowali się w tempie godnym alarmu nuklearnego; błyskawicznie spakowali torby i opuścili klasę. Zostałem sam z Laurą.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazała krzesło naprzeciwko siebie. Kiedy zająłem miejsce, przystąpiła do ataku. – Nie podoba mi się, że przeszło jedną trzecią lekcji zajęło panu sprawdzanie pracy domowej. Przez to miał pan mniej czasu na bieżące zagadnienia. Są w trzeciej klasie, te tematy mogą pojawić się na egzaminie. Trzeba się do nich lepiej przyłożyć. Zadania domowe może pan zebrać i sprawdzić po lekcjach.

– Próbuję ich oswoić z publicznymi wystąpieniami, chociażby na forum klasy – starałem się wytłumaczyć. – Są strasznie zamknięci, mają problemy z otwartym wyrażaniem własnych myśli.

– To nie warsztaty oratorskie, tylko lekcja języka polskiego – fuknęła z irytacją. – Są założenia programowe, które trzeba zrealizować, a lekcja trwa czterdzieści pięć minut. Pana poprzedniczka znakomicie zdawała sobie z tego sprawę.

Omam nie wybuchnąłem śmiechem. Warmińska być może była zadaną kobietą, ale do nauczania na pewno się nie przykładała. Prowadzone przez nią klasy wykazywały się wyjątkowo niskim poziomem. Dyrektorka najwyraźniej tego nie dostrzegala. Obdarzyła mnie morderczym spojrzeniem i przystąpiła do ostatecznego szturmu.

– Nie podobają mi się również pana prywatne wojny wydawane uczniom. Być może w Gdańsku akceptuje się takie metody, u nas to niedopuszczalne. Pojawiły się na pana skargi.

– Skargi? Kto się skarży?

– Rodzice uczniów. Podobno wziął się pan na dwójkę trzecioklasistów i prześladowuje ich nawet nie na swoich lekcjach.

To już przestało być zabawne.

– Ma pani na myśli Wilczyńskiego i Zwarę?

– A jednak kojarzy pan.

– Pani dyrektor, ta dwójka już pierwszego dnia wykazała się w stosunku do mnie wyjątkowym chamstwem i lekceważeniem. Później było tylko gorzej, o czym pani doskonale wie. Nie pozwolę, by weszli mi na głowę. Jedyńki dostali za nieodrobione zadania domowe. Wszedłem na lekcję fizyki, bo bałem się, że zamierzają uciec z języka polskiego. Nie pomyliłem się zresztą.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Miałem nadzieję sam to załatwić.

– Proszę pana, ta szkoła to nie pański poligon doświadczalny. Jak mam panu to tłumaczyć? Jeśli nie jest pan w stanie zainteresować uczniów swoimi lekcjami, to wyłącznie pańska porażka. Nie życzę sobie, aby wzywał pan czyichkolwiek rodziców do szkoły poza moimi plecami. Czy to jasne?

W tym momencie powinienem dokonać samokrytyki i oddać hołd zwierzchnikowi. Takiego wasalnego poddania zapewne spodziewała się od samego początku. Pomimo pozornie spokojnego usposobienia posiadam znaczącą wadę. Jeśli ktoś mnie naprawdę wkurzy, nie potrafię powstrzymać się przed rzuceniem mu swych pretensji w twarz.

– Czy taryfa ulgowa dla Wilczyńskiego wynika ze stanowiska jego ojca? – wypaliłem.

Laura była wyraźnie zaskoczona.

– Co pan sugeruje?

– Wszyscy wiedzą, kim jest ojciec Artura. Zastanawiam się, czy gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego ucznia, szkoła byłaby równie pobłażliwa? Wątpię. Szczeniak robi, co chce. Pozostali uczniowie to widzą i stajemy się w ich oczach pośmiewiskiem. Nie mam pojęcia, dlaczego dyrekcja to toleruje.

– Pan jest bezczelny! – Laura zerwała się na równe nogi, a krzesło runęło z hałasem na posadzkę. – Oskarża nas pan o kumoterstwo? Tak nie może być. Pan się nie nadaje do pracy w tej szkole!

– Więc proszę mnie zwolnić – powiedziałem, siłąc się na spokojny ton. – Zapewniam, że nie położę uszu po sobie. Są jeszcze związki zawodowe, kuratorium, media. Demaskowanie lokalnych układów jest ostatnio w modzie.

Laura chwyciła swój notatnik, wrzuciła go do torby i bez słowa wyszła z klasy. Huk zatrzasniętych drzwi miał być zapewne miarą jej wściekłości.

Mijał drugi tydzień roku szkolnego. Przynajmniej dwa kielkujące konflikty zdołałem przeistoczyć w prawdziwe wojny. Jeden z wrogów był szczególnie niebezpieczny, co do drugiego nie miałem pewności. Co gorsza, zdawałem sobie sprawę, że w tych konfrontacjach dysponuję bardzo ograniczonym, słabej jakości arsenałem.

13.

W piątkowe popołudnie planowałem wyjazd do Gdańska, ostatecznie jednak zrezygnowałem. Miałem dość kłótni. Ostatnie dni były nimi wypełnione. Zadzwoiłem do domu i wymówiłem się natłokiem pracy. Mama chyba nie uwierzyła, ale przynajmniej nie naciskała.

Zofia poszła do kościoła, rozkoszowałem się więc błogim spokojem. Lubiłem ją, ale nie zawsze pałałem ochotą na długą pogawędkę. Gospodyni je uwielbiała. Po tylu latach samotności w końcu doczekała się oddanego słuchacza.

Tego dnia nie nadawałem się na partnera do konwersacji. Na szczęście Zofia aktywnie udzielała się w tutejszej parafii i miała w związku z tym sporo innych zajęć. Nie dość, że śpiewała w chórze, to jeszcze pomagała przy utrzymaniu porządku w kościele i na cmentarzu. Wraz z kilkoma koleżankami ogrodniczkami przyozdabiała co niedzielę ołtarz świeżymi kwiatami. Miałem wrażenie, iż ich zaangażowanie to w równej mierze chrześcijańska bezinteresowność, co fascynacja osobowością księdza Adama. Ten potrafił rozmawiać z ludźmi bez względu na ich wiek i przekonania. Zazdrościłem mu.

W nocy nie mogłem zasnąć. Gdy trochę ochłonałem, zdałem sobie sprawę, w jakie szambo wpadłem. Skarga miejscowego notabla, nienawiść dyrekcji i pogarda ze strony uczniów. W co ja się wpakowałem? Nie miałem nawet pewności, czy nadal pracuję w tej szkole. Laurze Mech nadzwyczaj zależało na wizerunku. Pełen przepychu gabinet dyrektora był zapewne jej dziełem. Podobnie jak wypromowanie męża i wepchnięcie go na eksponowane stanowisko. W większym mieście Mech zginąłby w morzu przeciętnych urzędników; w miejscowości takiej jak Sławino, z pielęgnowanymi przez lata koneksjami, stał się kimś. Konflikty z dobrze ustawionymi rodzicami z pewnością nie były im na rękę. Dlatego Laura tak się wściekła. Jeśli nie wylecę w najbliższym czasie, to mogę być pewien, że moje najmniejsze potknięcie zostanie natychmiast wykorzystane jako mordercza gilotyna.

A sprawa Alicji? Tak jak przypuszczałem, przyschła. Szkoła nie miała zamiaru się angażować, policja trwała przy teorii o ucieczce. Rozmowy w pokoju nauczycielskim dawno zeszyły na inne tematy. Moje maile najwyraźniej nic nie dały. Może ktoś zadzwonił, ale jeśli trafił na Mecha lub Laurę, został najprawdopodobniej skutecznie zniechęcony. Nie można pozwolić, by szkoła kojarzyła się z negatywnymi uczuciami. Uczennica uciekająca z domu? Nie mamy

z tym nic wspólnego.

Otworzyłem torbę i wyjąłem z niej zeszyt Alicji. Jeszcze raz przeczytałem pełną pasji pracę. Zeszyt miał zapisanych dopiero sześć stron, jeszcze pachniał świeżością. Zamykając go, wiedziałem, co powinienem zrobić.

Dom Majów mieści się na samym skraju Sławina. By do niego dotrzeć ze szkoły, trzeba pokonać rynek, trzystumetrową uliczkę prowadzącą do głównej trasy Trójmiasto-Chojnice i przejść poboczem około kilometrowy odcinek. Przed tablicą informującą o granicy miejscowości znajdują się dwa budynki ogrodzone płotami ze stalowej siatki. Jednym z nich jest dom Alicji.

Pokonanie tej trasy zajęło mi w sobotę przeszło pół godziny. Idąc zabłoconym poboczem, układałem sobie w głowie słowa, których powinienem użyć w rozmowie z Wiesławą Maj. O ile w ogóle będzie chciała ze mną rozmawiać. Stojąc przed pordzewiałą furtką, przyglądałem się wiekowemu, poszarzałemu, jednopiętrowemu budynkowi z wykuszającą się elewacją i zaciekami na północnej ścianie. Z dachu wystawała antena telewizyjna, a pomiędzy budynkiem a płotem rozwieszono linkę, zapewne przeznaczoną do suszenia prania. Popchnąłem furtkę, która uchyliła się z przeciągłym zgrzytem, i wszedłem na ułożoną z chodnikowych płyt dróżkę prowadzącą ku drzwiom. Kolorytu całemu obejściu dodawały rozkwitające po prawej stronie krzewy róż. Intensywny zapach unosił się w powietrzu.

Podszedłem do drzwi i zapukałem delikatnie. Po kilkunastu sekundach ponowiłem czynność. W końcu z wnętrza zaczęły dobiegać jakieś dźwięki. Ktoś zbliżał się powolnym krokiem, drzwi się uchyliły i zobaczyłem niską, lekko przygarbioną postać kobiety. Rozwiane siwiejące kosmyki włosów i podkrążone, sine oczy zdradzały wyczerpanie. Spoglądała na mnie obojętnym wzrokiem.

– Dzień dobry – powiedziałem, próbując przybrać pogodną minę. – Nazywam się Sylwester Cichy, jestem nauczycielem ze szkoły w Sławinie.

Kobieta kiwnęła głową na przywitanie, ale nie wypowiedziała ani słowa.

– Przyszedłem, ponieważ posiadam coś, co należy do Alicji, i chciałbym to pani oddać.

Sięgnąłem do torby i wyjąłem zeszyt. Na jego widok kobiecie napłynęły do oczu łzy. Poczułem się nieswojo, miałem nadzieję, że się nie rozklei. Nie byłem najlepszym pocieszycielem.

– Oddała mi go wraz z pracą domową – kontynuowałem. – Pani córka jest bardzo utalentowana. Ma szansę wiele osiągnąć.

Wiesława Maj wzięła ode mnie zeszyt i przyłożyła go do piersi. Nie płakała. Wpatrywała się tylko w przestrzeń poza mną, zupełnie jakby nawiązywała nic porozumienia z duchami przyrody hasającymi po świecie pomiędzy niczego niepodważającymi ludźmi.

– Dziękuję – rzekła cichym, zachrypłym głosem. – Proszę, niech pan wejdzie.

– Nie chciałbym zakłócać pani spokoju.

– Odkąd Ala zaginęła, nie zaznałam spokoju.

Wszedłem. Pokonaliśmy ciemny przedpokój, po czym mama Alicji zaprosiła mnie do salonu. Był stosunkowo obszerny i jasny. Światło wpadało przez dwa duże okna. Usiadłem za prostokątnym drewnianym stołem. Wokół znajdowała się cała masa rękodzieła. Od serwetek o różnych wzorach i rozmiarach po obrusy i naścienne wyszywanki. Wiesława Maj była jednoosobowym zakładem produkcyjnym. Część jej wyrobów zdobiła ściany. Naprzeciwko mnie wisiała szydełkowana wersja *Ostatniej Wieczery*, niezwykle misterna i zapewne czasochłonna robota.

– Napije się pan kawy ? – zapytała.

– Poproszę – odparłem, a gospodyni wyszła do kuchni. Wróciła po kilku minutach z wypełnionymi aromatycznym płynem filiżankami. Chwyciłem jedną i ze stojącego obok dzbanuszka dolałem nieco mleka. Pociągnąłem łyk. Kawa była niezwykle mocna. Mama Alicji usiadła naprzeciwko.

– Nie przypominam sobie pana – rzekła. – Nie bywałam co prawda ostatnio w szkole, ale zdawało mi się, że znam wszystkich nauczycieli.

– Jestem nowy, rozpocząłem pracę od tego roku szkolnego.

– Aaa, teraz pamiętam. Alicja wspominała o nowym nauczycielu języka polskiego. Cieszyła się z tej zmiany. Nie przepadała za lekcjami z panią Warmińską.

Te słowa przyjemnie polechtały moje ego. Ktoś docenił próbę zmiany skostniałego i nudnego systemu prowadzenia zajęć.

– Alicja napisała w swojej pracy, że chciałyby zostać pisarką. Moim zdaniem ma na to duże szanse. Mogłyby wysyłać opowiadania do wydawnictw lub czasopism literackich. Ktoś w końcu się na niej pozna.

Kobieta wydawała się całkowicie pochłonięta mieszaniem łyżeczką w kawie. W końcu podniosła na mnie wzrok.

– Mówi pan tak, jakby ona siedziała obok. Nie wiem, gdzie jest teraz moje dziecko. Być może nie żyje. Chcę ją odzyskać, chcę, by wróciła do domu i byśmy mogły porozmawiać. Myśli pan, że nie znam marzeń własnej córki? Znam je znakomicie, ale co mogę zrobić? Jej nie ma. Nie wiem, co dalej będzie, jestem zagubiona.

Ukryła twarz w dłoniach. Szlochała.

– Jestem pewien, że się odnajdzie – próbowałem pocieszać kobietę. – W końcu policja nadal jej szuka.

– Policja twierdzi, że uciekła z domu – odparła, przykładając chusteczkę do oczu. – Nie wierzę w to. Nie zrobiłaby mi tego, nigdy. Wszystko przez ten przeklęty obóz. Tak się cieszyłam na jej wyjazd. Gdybym podejrzewała, jak to się skończy, nigdzie by nie pojechała.

– Była niezadowolona? – spytałem. Nie zdradzałem się z wiedzą o poznanym chłopaku, pozyskaną od Ewy Narloch. Nie chciałem, by mama Alicji uznała mnie za wścibskiego.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziała. – Obóz został ufundowany przez gminę dla najlepszych uczniów. Ala ze swoimi wynikami bez problemu się zakwalifikowała. Nigdy nie była w górach. Pobyt ponoć udał się wspaniale. Gdy wróciła, była w siódmym niebie, poznała tam chłopaka i się zakochała. Początkowo wzięłam to za zauroczenie, ale gdy wspomniała o wyjeździe do Wrocławia, naprawdę się zaniepokoiłam. Ma dopiero szesnaście lat, a ten chłopak

jest prawie pełnoletni. Nic o nim nie wiem. Nie mogłam pozwolić na taką wyprawę. Pokłóciłyśmy się o to. Ostatnie dwa dni przed zniknięciem wcale się do mnie nie odzywała. Pomimo tego wiem, że nie uciekła z domu. Znam swoją córkę.

Siedzieliśmy w ciszy, popijając kawę. Wiesława Maj po raz kolejny oddała się niemej konwersacji z niewidzialnymi duchami.

– Chce pan zobaczyć te opowiadania? – zapytała znienacka, zupełnie mnie zaskakując. – Mam je w specjalnym segregatorze.

Nie czekając na odpowiedź, wstała i podeszła do wąskiej witryny ustawionej w kącie pokoju. Otworzyła drzwiczki i z najwyższej półki wyjęła brązowy segregator. Położyła go na stole, po czym wyciągnęła z przezroczystych koszulek zapísane odręcznie kartki formatu A4.

– To historyjki o zającu Felku. Spisywała je przez ostatnie dwa lata. Tak właściwie to Felka wymyślił Zygmunt, mój mąż. Opowiadał zawsze wieczorem Ali jakąś przygodę o zającu. A to Felek chował się przed lisem, a to przed kłusownikami. Zygmunt był leśnikiem, tematów mu nie brakowało. Córka to uwielbiała.

Zagłębiając się w opowieści, Wiesława Maj po raz pierwszy się uśmiechnęła. Przyjemne wspomnienia na chwilę znieczuliły ból; ten jednak szybko znowu dał znać o sobie, rozdrapując niezagojone rany.

– Mąż niestety poważnie zachorował. Alicja mocno to przeżyła. Kochała te ich wspólne leśne eskapady. Zygmunt był prawdziwą kopalnią wiedzy o drzewach, roślinach i zwierzętach. Córka zaczęła spisywać opowiedziane historie. To była jej terapia. Z czasem dodawała własne wątki, wymyślała nowych bohaterów. O, proszę. – Wyjęła kartki z kolejnej koszulki. – Historie o wiewiórce Wesołce to już pomysł Alicji. W wolnych chwilach o niej głównie pisała.

– Mógłbym wypożyczyć kilka tekstów? – spytałem. – Obiecuję, że oddam w przyszłym tygodniu. Na pewno krzywdą im się nie stanie.

Mama Alicji zastanawiała się chwilę.

– Proszę – zdecydowała. – W sumie lepiej, żeby je ktoś przeczytał i ocenił, niż gdyby miały leżeć zamknięte w segregatorze. Alicja się ich nie wstydziła.

Podziękowałem i schowałem z namaszczeniem podane kartki do teczki.

– Słyszałem, że pracowała też nad kroniką szkoły.

– Tak, to ją ostatnio pochłaniało bez reszty, nie tylko ze względu na dodatkowe punkty na egzaminie gimnazjalnym. Uparła się opisać każdy, najmniejszy szczegół dotyczący szkoły. Ala jest niezwykle skrupulatna. Nie chciała stworzyć laurki na szkolną akademię, a wiarygodną i obiektywną pracę. Tak przynajmniej mówiła. Ja tam się nie znam, ale jak rozmawialiśmy na ten temat, czasem dziwiłam się, że ma zaledwie szesnaście lat. Wydawała się taka dojrzała.

– Pani Mech jest podobno z niej bardzo zadowolona.

Kobieta znów się lekko uśmiechnęła.

– Nie zawsze było różowo. Pewnego dnia Alicja wróciła do domu wściekła, właśnie po spięciu z dyrektorką. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, o co poszło, pani Mech kazała chyba Ali usunąć jakiś tekst z kroniki. To musiało być dla córki coś bardzo ważnego, bo była potężnie zdenerwowana. W końcu ustąpiła.

– Kiedy to było? – zainteresowałem się. Im dłużej drażyłem sprawę kroniki, tym robiła się ciekawsza. Najpierw Laura usuwa ślady pracy Alicji ze szkolnego komputera, a teraz dowiaduję się, że wcześniej próbowała cenzurować treść. To mogło oczywiście nic nie znaczyć, niemniej dawało do myślenia.

– Oj, nie pamiętam dokładnie. Konkurs ogłosili tak gdzieś w okolicach Świąt Wielkanocnych. To musiało być przed wakacjami.

– Ma pani przypadkiem tę kronikę? Zacząłem pracę dopiero przed dwoma tygodniami i nie miałem możliwości zapoznania się z nią, a słyszałem na jej temat wiele dobrego.

– Ala pracowała głównie w szkole, pewnie tam ją pan znajdzie. Nasz komputer zepsuł się dobre dwa lata temu, a nie stać nas na nowy. W domu robiła tylko notatki. Przeglądała książki, ksera artykułów prasowych. Zosia ma w bibliotece prawdziwe archiwum, dużo jej pomagała.

– Czy wypożyczyłaby mi pani te notatki? Przejąłem po pani dyrektor nadzór nad kroniką i może udałoby mi się przywrócić ją do stanu, jaki forsowała Alicja.

Byłem zdumiony łatwością, z jaką perfidne kłamstwo przeszło mi przez usta. Wykorzystałem zrozpaczoną, zagubioną kobietę, by realizować misję, co do której prowadzenia nikt nie dał mi żadnego upoważnienia. Kim jestem, żeby pchać się w życie nieznanym sobie ludzi?

Mama Alicji przyjęła moje słowa bez najmniejszego zastrzeżenia. W konserwatywnym kaszubskim miasteczku nauczyciel nadal budził respekt i zaufanie, przynajmniej wśród przedstawicieli starszego pokolenia.

– Przyniosę je. – Kobieta wstała i wyszła z pomieszczenia. Słyszałem, jak pokonuje trzeszczące schody. Jej kroki na piętrze odbijały się głuchym echem. Doszły do mnie głosy i przypomniałem sobie, iż Alicja ma młodszego brata. Zapewne na górze znajdował się jego pokój. Gdy Wiesława Maj wróciła, w rękach trzymała gruby zeszyt akademicki. Podała mi go. Był pełen odręcznych zapisków. Dziewczyna czyniła je najwyraźniej w dużym pośpiechu, poszczególne linijki stanowiły szlaczki pełne gęstego, trudnego do rozszyfrowania tekstu.

– Będę ich strzegł jak oka w głowie – zapewniłem.

– Dziękuję za zainteresowanie moją córką. Jest pan pierwszym nauczycielem, który odwiedza nasz dom.

Oczywiście, pomyślałem. Przecież szkoła nie jest od tego, żeby się angażować w trudne sprawy.

– Wszystko dobrze się skończy, jestem tego pewien – powiedziałem, wstając. Nie chciałem zabierać jej więcej czasu, choć nie miałem pomysłu, co mogłaby innego robić. Chyba po prostu uciekałem. Bo co powiedzieć, by pocieszyć matkę w takiej sytuacji? Moje słowa były marną próbą zachowania twarzy. – Ala wróci do pani cała i zdrowa. To zaginięcie ma na pewno jakieś błahe wyjaśnienie.

Wiesława Maj pokiwała tylko głową. Nie wiem, czy z wdzięczności za słowa otuchy, czy też negując ich sens.

– Odprowadzę pana.

Gdy zamknęła za mną drzwi, jeszcze raz obrzuciłem wzrokiem dom. Budynek błagał o remont. Nie znałem się na budowlance, ale trudno było przypuszczać, by mógł długo zachować się w takim stanie. Niemniej trwali w nim

latami. Dotąd trzymała ich przy życiu mieszanina rodzicielskiej miłości i młodości pasji. Jeśli Ala nie wróci, rodzina nie przetrwa. W tej chwili była równie słaba jak te mury.

Po powrocie do domu usłyszałem znajome głosy dobiegające z pokoju Zofii. Dostrzegłszy mnie przez uchylone drzwi, zaprosiła do środka. Tam zastałem Andrzeja i Adama. Popijali herbatę, zajądając smakowicie wyglądającą babkę.

– No, w końcu – rzucił Andrzej, gdy pojawiłem się w drzwiach. – Ile można cię wypatrywać? Gdzie ty się, człowieku, wałęsasz?

– Na mnie czekacie?

– A na kogo? Mamy do ciebie z Adasiem sprawę.

Ksiądz uśmiechał się szeroko. Jego twarz przypominała księżyc w pełni. Zdjąłem buty i dołączyłem do nich. Zofia nalała mi herbaty.

– Kucha? – spytała. – Świeży, prosto z pieca.

Podziękowałem. Ciasto wyglądało fantastycznie.

– Sylwek, trzeba nam szóstego do drużyny – zaczął Andrzej. – Patrykowi wczoraj strzelił Achilles i nie mamy kompletu. Jutro mecz z Chojniczanką.

– Mecz? – zdziwiłem się. – A w co wy gracie?

Andrzej z Adamem popatrzyli na siebie, jakby zagadał do nich wioskowy idiota.

– No jak to, w halówkę. To nasz trzeci sezon. W zeszłym mieliśmy szóste miejsce.

Propozycja grania w piłkę była ostatnią rzeczą, jakiej mógłbym się po nich spodziewać. Łysiejący czterdziestokilkulatek z brzuszkiem i niemniej okrągły ksiądz stanowili w moim wyobrażeniu zaprzeczenie piłkarzy. Najwidoczniej się myliłem.

– Zaskoczyliście mnie, dawno nie grałem.

– Poradzisz sobie – wtrącił Adam. – Przecież to nie Mistrzostwa Świata. Kilkunastu facetów spotyka się raz w tygodniu, by pokopać na sali w piłkę. Myślisz, że ze mnie jakiś Deyna? Stoję na bramce, ale sadelko spada. To najważniejsze.

– Adaś broni jak natchniony. – Andrzej niemalże podskakiwał na krześle, podniecony perspektywą wspólnej gry. – W drużynie, oprócz nas, są jeszcze Robert, Wojtek Szpak, nie wiem, czy go kojarzysz, to nasz wuefista, Patryk Małecki, konserwator, i Wojtek Szymańczyk, drugi wuefista z technikum. Patryk odpadł, a musimy mieć przynajmniej jednego na rezerwie. Wymieniamy się co kilka minut. To jak?

W sumie brakowało mi piłki. W Trójmieście graliśmy w II Lidze Halowej. Ostatni mecz rozegrałem jednak gdzieś w maju. Od tego czasu nie trenowałem. Po rozpadzie mojego związku zaniedbałem formę. Oponka na brzuchu dosadnie o tym świadczyła.

– OK – zdecydowałem. – Niech będzie.

– Super. – Andrzej wyskoczył zza stołu i uścisnął mi dłoń. – To zabieraj się, idziemy.

– Teraz?!

– No co, musimy potrenować ustawienie. Jutro meczyk. Grubasy z Chojniczanki są bez szans.

– Nie mam butów, stroju, nic. – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Znajdziemy. – Adam wydawał się nie mniej zadowolony. – Witaj w drużynie.

Zofia przypatrywała się nam rozanielona.

– Muszę to zobaczyć – zapowiedziała. – Takiego widoku nie przepuszczę za żadne skarby. Stawię się jutro na trybunie.

Poszliśmy z Adamem na salę gimnastyczną, a Andrzej skoczył do domu po

jakieś buty dla mnie. Zapewnili, że zapasowe koszulki i spodenki znajdują się w szkole. Aby dotrzeć na salę, nie trzeba przechodzić przez główne wejście do budynku. Z boku, od strony boiska są osobne drzwi. Przekroczywszy je, znaleźliśmy się w przedsionku, w którym usytuowano szatnie, męską i damską, oraz toaletę. Przed samym wejściem na parkiet stała podłużna ławka. Przystanąłem.

Czy to na niej po raz ostatni widziano Alicję? Najpewniej tak, bo w pobliżu nie było innej. Wyobraziłem sobie Ewę Narloch opuszczającą osiem dni temu szatnię. Pomachała pewnie przyjaciółce przed wejściem na salę. Kilkanaście minut później musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że Alicja zniknęła. Tylko stara, wysłużona ławka знаła tę tajemnicę.

– Proszę. – Głos Adama wyrwał mnie z zamyślenia. – Koszulka i szorty. Zaraz powinien być Andrzej z butami.

Rzeczywiście pojawił się po chwili. Trampki były nieco ciasnawe, ale dało się w nich grać. Pozostała część drużyny, która – jak się dowiedziałem – nosiła dumną nazwę Grom Sławina znajdowała się już na sali. Przywitałem się. Oprócz Adama, Andrzeja i Roberta tylko wuefistę Szpaka znałem wcześniej z widzenia. Po krótkiej rozgrzewce podzieliliśmy się na dwa zespoły i zagraliśmy mecz. Andrzej okazał się wyjątkową łamagą, skupiał się głównie na wybijaniu piłki spod nóg przeciwnika. Szpak i Szymczyk, jak na absolwentów AWF przystało, radzili sobie bardzo dobrze. Adam na bramce okazał się wyjątkowo sprawny, dopiero bardzo mocne strzały wybijały go z rytmu. Na ich tle nieźle sobie radziłem. Oczywiście brak kondycji po kilku minutach objawił się sapaniem i kolką, ale w sumie udało mi się oddać kilka strzałów, przedryblować na wszystkie strony Andrzeja i strzelić dwie bramki. Graliśmy tak około godziny.

– No to mamy kolejnego cennego zawodnika. – Szpak pochwalił mnie w szatni. – Kto by się spodziewał, że polonista tak wymiata.

– A co? Myśleliście, że w każdej wolnej chwili ślęczę nad sonetami Mickiewicza? W Trójmieście też graliśmy.

Andrzej spojrział na mnie z wyrzutem.

– No masz, dopiero teraz mówi. Mogliśmy zgrać się dużo wcześniej.

– Może podszlifujesz trochę technikę Andrzeja? – zadrwił Szpak. – Wytlumacz mu, że niekoniecznie najlepszą formą obrony jest kopanie

przeciwnika po kostkach.

– Wiesz co, Wojtek, nie zapominaj może, kto załatwił sponsora na stroje. Skup się na swojej technice.

– Dobra, dobra, tak tylko gadam. Idziemy?

Na drugi dzień o siedemnastej, w obecności kilkuset osób na trybunie, Chojniczanka rozjechała nas jak walec drogowy. Zapowiadane grubasy okazały się nie tak opasłą, za to sprawną i zgraną drużyną. Adam na bramce nie miał szans w spotkaniach sam na sam z ciemnowłosym, wąsatym strażakiem. Andrzej nie zdążył nawet nikogo porządnie skopać, bowiem piłka jak po sznurku wędrowała od jednego przeciwnika do drugiego. Przy wyniku 6:0 rywale nieco spuścili z tonu i po jednym z moich podań Szpakowi udało się zdobyć honorową bramkę. Trybuna zaryczała z takim impetem, jakby co najmniej zdobył gola decydującego o triumfie na Mundialu. Gwizdek kończący tę katorgę przyjąłem z ogromną ulgą. Czuję się jak sponiewierany życiem stuletni staruszek.

– Nie było źle. – Robert próbował nas pocieszyć. – To dopiero początek sezonu. Jeszcze się odegramy, zobaczycie.

W sumie miał rację, to była udana niedziela. Przynajmniej nie myślałem o Laurze, a to już coś. Zostałem na hali jeszcze dwie godziny, by poobserwować mecze innych drużyn z naszej grupy. Później poczłapałem do domu. Byłem wykończony. Usłyszałem od Zofii kolejne zapewnienie o rozwojowości naszej drużyny i wszedłem na piętro, by zwalić się na łóżko. Wewnętrzny akumulator błagał o dawkę energii. Gdybym tylko przypuszczał, co przyniesie poniedziałek, nie dopuściłbym do tak znacznego rozładowania.

14.

Gdy tylko przekroczyłem próg szkoły, wiedziałem, że coś jest nie tak. Sekretarka z rozwianym włosom wypadła z sekretariatu, omal mnie nie przewracając, i ruszyła bez zastanowienia pospiesznym krokiem w głąb korytarza. Dostrzegłem, jak dopada przemierzającego hol dyrektora i wspólnie gnają do gabinetu. Chwilę później tę samą trasę pokonała rozpędzona Laura. Tłumy uczniów rozpierzchały się przed nią niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Na końcu holu miało miejsce jakieś zamieszanie; kilkunastu gimnazjalistów kotłowało się przy oknie, wypatrując czegoś na zewnątrz. Podszedłem do nich

i również wyjrzałem. Na parkingu stał wóz transmisyjny Telewizji Polskiej. Dwóch facetów wypakowywało z wnętrza trzy srebrne walizy, zapewne z jakimś sprzętem. Obok rozstawiony był już stojak pod kamerę. Czyżby moje maile trafiły jednak na podatny grunt? Nie miałem pewności, czy ich wizyta to moja zasługa, niemniej pojawiła się szansa na rozdmuchanie sprawy. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jaki popłoch w uporządkowanej i stabilnej szkolnej codzienności według Laury Mech wprowadziła niezapowiedziana wizyta telewizji.

W pokoju nauczycielskim, jak w każdy poniedziałkowy poranek, było dość gwarno. Do dzwonka zostało jeszcze parę minut. Rozmowy dotyczyły głównie wizyty ekipy TVP i większość grona była zgodna, że wiąże się ona ze zniknięciem Alicji. Odziany w ciemny sweter z koloratką u szyi Adam przywitał się ze mną serdecznie.

– Jak tam samopoczucie? Odpocząłeś?

– Mam zakwasy, jak jasna... – Opamiętałem się. – Jestem cały połamany. Zaaplikowana dawka sportu była zdecydowanie za duża. Widziałeś telewizję?

– Tak – odparł ksiądz. – Przyjechali z samego rana. Podobno chcą robić reportaż o zniknięciu Alicji. Pani dyrektor nie była zadowolona. – Mogłem się domyślić. – Właściwie to chyba dobrze, że media interesują się tą sprawą – ciągnął Adam. – Im więcej osób mówi o Alicji, tym większe szanse na jej odnalezienie. Boję się tylko o Wiesię. Pewnie będą chcieli z nią porozmawiać. Byłem u niej wczoraj po mszy, chciałem pocieszyć, ale to daremny trud. Jest załamana. Mówiła, że ją odwiedziłeś i oddałeś zeszyt Alicji. To ładnie z twojej strony. Niestety inni szybko zapominają o najbliższych sąsiadach i przyjaciółach...

Adam nie zdążył dokończyć myśli, bowiem do pokoju nauczycielskiego z impetem szturmowego oddziału antyterrorystycznego wparowała Laura. Rozmowy ucichły. Surowa mina zapowiadała równie surowy komunikat.

– Drodzy państwo, jak wiecie, odwiedziła nas ekipa telewizyjna, która będzie nagrywać materiał o Alicji Maj. Chcę państwu przypomnieć, iż jakiegokolwiek rozmowy z dziennikarzami mogą się odbyć wyłącznie po uzyskaniu zgody dyrekcji. Czy to jasne? Wobec osób, które się temu nie podporządkują, zostaną wyciągane surowe konsekwencje. – Jej wzrok padł w tym momencie na mnie i osiadł na kilka długich sekund. – Najlepiej będzie, jeśli skupicie się państwo na prowadzeniu zajęć.

Po tych słowach opuściła pokój nauczycielski. Pięć sekund później dzwonek przypomniał o konieczności ruszenia się do pracy. Pokonując schody na piętro, dostrzegłem dziennikarza stojącego pod gabinetem dyrektora z przygotowanym do pracy mikrofonem. I rozmawiał z promieniejącą anielskim uśmiechem Laurą. Ten widok wprowadził mnie w głębokie osłupienie. Nie słyszałem ich rozmowy, ale nasza pani dyrektor, która chwilę wcześniej wygłosiła pełną grozy przemowę, teraz swawolnie sobie żartowała. Zaczynałem się tej kobiety naprawdę obawiać.

Wizyta TVP była jedynie prologiem medialnego zainteresowania. Wkrótce rozdzwoniły się telefony od dziennikarzy z innych redakcji. Początkowa irytacja dykcji przerodziła się w prawdziwą panikę. Opowieści o biegającej w nerwach po szkole Laurze Mech rozeszły się w ekspresowym tempie wśród wszystkich nauczycieli. Okazało się, że przy braku afer oraz katastrof w kraju i za granicą wakacyjny sezon ogórkowy przesunął się na połowę września. Wobec takiej posuchy informacja o zaginionej gimnazjalistce stała się ciekawym newsem. Trzeba było tylko sprawę odpowiednio nagłośnić. Nie liczyłem na emisję w głównym wydaniu serwisów, ale temat zapewne znajdzie miejsce w telewizjach informacyjnych, programach interwencyjnych i na stronach internetowych. To już dużo. Do tego dojdą artykuły w gazetach. Ktoś odwiedzi policjantów zajmujących się sprawą Alicji, podraży temat, zapyta o brak postępów. To może posunąć wszystko do przodu. Byłem z siebie zadowolony. Uruchomiłem jeden z kanałów poszukiwań. Sam zająłem się kolejnym.

Po drugiej lekcji zacząłem się przy pracowni biologicznej. Trzecia B właśnie kończyła tam zajęcia. Ewa Narloch wyszła na samym końcu w towarzystwie kilku koleżanek.

– Ewa, chciałbym chwilę z tobą porozmawiać – powiedziałem oficjalnym tonem. Miałem nadzieję, że odstraszy on koleżanki.

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na mnie niemniej zdziwiona niż podczas naszego spotkania na ulicy. Jej szczebioczące towarzyszki poszły dalej. Ustawiłem się w rogu korytarza, tak by jak najmniej rzucać się w oczy.

– Pamiętasz, gdy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłaś o zaangażowaniu Alicji w pisanie kroniki. Czy przypominasz sobie, aby pomiędzy nią a panią dyrektor dochodziło na tym tle do jakichś konfliktów?

Ewa wzruszyła ramionami. Chwilę się zastanawiała, ze wzrokiem wpatrzonym w jakiś punkt poza mną.

– Ala strasznie się przejmowała tą kroniką – odpowiedziała. – Czasem pani dyrektor kazała jej pomijać niektóre tematy, bo mówiła, że są mało ciekawe albo się nie nadają. Według Ali wszystko się nadawało, ale nigdy nie słyszałam, żeby się kłóciły.

– A pamiętasz, co kazała usuwać? – nie dawałem za wygraną.

Dziewczyna pokręciła z rezygnacją głową.

– Nie bardzo. Pani dyrektor mówiła Ali, by skupiała się bardziej na ostatnich latach historii szkoły. Tyle wiem, bo rozmawialiśmy na ten temat. To, co było dawniej, miała streścić w takich ogólnych dwóch lub trzech rozdziałach. Alicji się to nie podobało, ale co mogła zrobić? Miała zresztą swoje plany.

– Tak? – Moje zainteresowanie mogło wydać się podejrzane. Dziewczyna jednak niczego nie dostrzegła. – Jakie? – dopytałem już nieco spokojniej.

Ewa zawahała się. Być może dopiero teraz zdała sobie sprawę, że rozmowa z nauczycielem na temat prób buntu wobec dyrekcji jest zbyt ryzykowna.

– To zostanie między nami – zapewniłem. – Masz moje słowo.

– Ala chciała po skończeniu szkoły puścić pełną wersję kroniki w internecie – powiedziała przyciszonym głosem. – Podobno jakaś znana amerykańska dziennikarka tak zrobiła, gdy redakcja nie zgodziła się na druk jej artykułu w całości. Alicja spytała, czy bym jej nie pomogła. Zgodziłam się oczywiście. Opracowanie takiej strony to żaden kłopot. Zarezerwowałam nawet domenę kronikaszkolywslawinie.pl. Słabo chwytliwa, ale jej się spodobała. Strona miała wystartować zaraz po skończeniu szkoły.

Bo wtedy Mechowa nic by już wam nie mogła zrobić.

– Dziękuję – rzekłem, nie chcąc zatrzymywać dłużej uczennicy. – Przy okazji, czy masz może kopię tej kroniki? Komputer w bibliotece wariuje, a chciałbym przejrzeć to, co napisała.

– Tak, składałam jej strony, powinnam mieć tekst u siebie w laptopie. Zgram

go na płytę i jutro panu przyniosę.

– Świetnie. Leć teraz, nie chcę ci zajmować całej przerwy.

Ta kronika nie dawała mi spokoju. Pozornie błaha praca na konkurs wydawała się być czymś więcej. Ambicje Alicji kazały jej sięgać do najdrobniejszych elementów historii szkoły, czemu wyraźnie sprzeciwiała się Laura. Chciała coś ukryć? Może Alicja natrafiła na jakieś kompromitujące zdarzenie z przeszłości? A może niepotrzebnie się nakręcam i zachowanie dyrektorki ma na celu jedynie wypromowanie okresu, w którym placówką rządził jej mąż? No i w końcu, czy to wszystko ma coś wspólnego z tajemniczym zaginięciem? Jednego byłem pewien: powinienem przeczytać zarówno kronikę, jak i zapiski Alicji. Na razie miałem tylko notatki i postanowiłem przejrzeć je wieczorem. Zmierzałem właśnie w kierunku klasy, gdy dopadła mnie Andżelika.

– Wszędzie cię szukam, telefon do ciebie – wydyszała.

– Do mnie? – zdziwiłem się. – A kto, u licha, może chcieć ze mną rozmawiać?

– A skąd ja mam wiedzieć? Sekretarka przełączyła do pokoju.

– OK, dzięki.

Zacząłem panikować. Coś z mamą? Trudno mi było znaleźć inny powód.

W słuchawce na moje „halo” usłyszałem niski i rżący głos, zupełnie jakby rozmówca chorował na grypę albo zapalenie gardła.

– Dzień dobry, nazywam się Karol Zawada, jestem dziennikarzem tygodnika Donosiciel. Dzwonię w związku z pańskim listem wysłanym do naszej redakcji. Zainteresowała nas ta sprawa.

Zmroziło mnie. Jak, do cholery, doszedł do tego, że to ja wysłałem maile? Przecież się nie podpisywałem. Skąd on...? I w tym momencie zdałem sobie sprawę, jakim ciężkim idiotą jestem. Zaaferowany treścią wiadomości musiałem puścić je ze swojej głównej, prywatnej skrzynki, a nie anonimowej. W ten sposób zdekonspirowałem się na całej linii. Jeśli wyjdzie na jaw, że maczałem palce w tej medialnej ofensywie, Laura mnie zlinczuje. Próbowałem odtworzyć w myślach tamten dzień. Informacje do telewizji i części gazet poszły przez formularze

zgłoszeniowe znajdujące się na ich stronach, więc mojego nazwiska nie mieli. Maile wysłałem tylko do tabloidów. Na razie zgłosił się jeden. Liczyłem na to, iż reszta zignoruje mój news albo chociaż nie będzie się sugerować nazwiskiem.

– Trudno mi się czegoś dowiedzieć telefonicznie – kontynuował nieznajomy. – Rozmawiałem z dyrektorem, ale nie jest chętny do zwierzeń. Moglibyśmy zamienić kilka słów? Ma pan zapewne więcej informacji.

W pokoju nauczycielskim siedziały trzy osoby. Wydawały się pochłonięte swoimi zajęciami, ale nigdy nic nie wiadomo. Różne wnioski mogli wyciągnąć z tej rozmowy, a jak zdążyłem się przekonać, plotki rozchodzą się po tej szkole lotem błyskawicy.

– Teraz jestem w pracy, więc nie bardzo mam czas... – Starłem się, by ton mojego głosu był jak najbardziej obojętny, choć serce waliło mi jak młotem.

Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Mógłbym do pana podjechać, z Gdańska to półtorej godziny drogi.

Jeszcze gorzej. Jeśli ktoś dostrzeże mnie w towarzystwie węszącego dziennikarza, będę spalony.

– W weekend przyjeżdżam do Trójmiasta, może wtedy się spotkamy?

W słuchawce zapadała cisza. Rozmówca najwyraźniej się zastanawiał.

– To trochę późno – oznajmił. – Ale w porządku. Właściwie chodzi mi o coś więcej niż jednorazowy artykuł. Porozmawiamy zatem w sobotę. O której?

– Może o siedemnastej?

– Na Długiej za Neptunem w piwniczce jest przyzwoita meksykańska knajpka. Zapraszam.

– Dobrze, będę.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Miałem nadzieję, że Karol Zawada, dzwoniąc do szkoły i pytając o mnie, nie przedstawił się jako dziennikarz jednej z najbardziej skandalizujących gazet w naszym kraju.

Na szczęście uniknąłem wpadki. Medialna wrzawa przycichła. TVP przesiedziała w szkole do południa, po czym ruszyła w teren, zapewne szukając osób, które znały Alicję i miały na jej temat coś ciekawego do powiedzenia. Następnego dnia kupiłem w kiosku parę gazet i odnalazłem większe lub mniejsze wzmianki o zaginięciu. Wyborcza zawarła to w swoim regionalnym dodatku, Dziennik Bałtycki dał na drugiej stronie. Kupiłem też Donosiciela. Na okładce znajdowała się kolorowa mozaika zdjęć. Największe przedstawiało podpita gwiazdkę pop i wielki tytuł „Gwiazda po libacji”, poniżej starsza kobieta załamywała ręce nad wysokością swojej emerytury, a na samym dole znajdowało się niewyraźne zdjęcie jakiegoś zwierzaka okrzykniętego „Tajemniczym mordercą owiec z Podhala”. W środku znalazłem rozwinięcie hitów z okładki oraz rewelacje o brutalnych grupach przestępczych, zwierzenia kierowcy alkoholika, relację z zakupów obuwia pewnej aktorki serialowej, o której nigdy w życiu nie słyszałem, i całą masę konkursów, zdrapek i krzyżówek. Słowem, idealna lektura do poduszki. Miałem ogromne wątpliwości, co do tego, czy chciałbym widzieć tekst o Alicji wśród rewelacji o seks wybrykach celebrytów i makabrycznych streszczeń policyjnych kronik. Wydawało się jednak, że nie ma już od tego odwrotu.

Przed lekcjami zaszedłem do biblioteki, by przejrzeć internetowe serwisy informacyjne. Notka o Alicji znalazła się na portalach tvn24 i tvpinfo. To wszystko. Niby wiele, lecz zdawałem sobie sprawę, że to informacja o co najwyżej jednodniowym oddziaływaniu. Dziennikarze niestety przyjmowali argumentację o ucieczce z domu. W dwóch tekstach przytaczano statystyki dotyczące tego zjawiska; wypowiadał się psycholog, który tłumaczył, dlaczego młodzież w wieku gimnazjalnym decyduje się na podobne rozwiązania.

Nie wątpiłem, że nikt nie będzie ciągnął dłużej tematu zwykłej zbuntowanej uciekinierki. Tym bardziej zaciekawił mnie wczorajszy telefon. Skoro facet zgodził się na spotkanie za kilka dni, to znaczy, że nie zależało mu na ekspresowym tempie publikacji tekstu. Podobno chodziło o coś więcej. Zaintrygował mnie.

Wieczorem zabrałem się za lekturę Kroniki Szkoły w Sławinie. Ewa Narloch, tak jak obiecała, przyniosła płytę ze zgranym tekstem. Włożyłem ją do laptopa i otworzyłem plik. Zawierał pięćdziesiąt siedem stron. Każda z nich była już obrobiona graficznie. Większość opatrywały zdjęcia z podpisami i ozdobne obramowania. Całość wystylizowana została na średniowieczną kronikę. Tło, na którym znajdował się tekst i zdjęcia, nawiązywało do starego, pożółkłego

pergaminy. Ewa wykonała kawał porządnej roboty. Ciekawiło mnie, czy kronika miała zostać wydrukowana, czy też Ministerstwo preferowało formę elektroniczną?

Sam pomysł prezentowania historii szkoły w formie kroniki pisanej z perspektywy uczestnika tamtych wydarzeń był dość karkołomny i wymagał od autorki sporej dozy umiejętności oraz wyobraźni. Alicja musiała wczuć się w sytuację sprzed kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat i opisywać poszczególne wątki, jakby wydarzyły się teraz, a nie w czasach, gdy nie było jej jeszcze na świecie.

Pierwszy wpis nosił datę 21 maja 1973 roku. Tego dnia I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Albin Chyra wmurował kamień węgielny pod budowę Technikum Mechanicznego w Sławinie. Obok znajdowało się czarno-białe zdjęcie odzianego w garnitur mężczyzny wbijającego w ziemię szpadel. Za nim piął się ku niebu ceglany komin. Dalej tekst informował o pochwalnej mowie wygłoszonej po uroczystości. Gość honorowy zaznaczył, że jest podwójnie dumny, ponieważ pochodzi z okolic Sławina. Zwrócił również uwagę na dążenie Partii do poszerzania horyzontów oraz możliwości edukacji młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej. Umiejscowiona wśród kaszubskiej przyrody, na urokliwym Kominowym Wzgórzu, szkoła miała być wzorem nowoczesności i rozwoju kraju. Na uroczystości obecni byli miejscowi oficjele oraz mieszkańcy Sławina.

Ówczesna propaganda przysłoniła jakiegokolwiek praktyczne udogodnienia. W erze gigantomanii górująca nad gminą szkoła miała być pomnikiem partyjnej troskliwości i dbałości o edukację. Któż przejmowałby się uczniami zmuszonymi do codziennej wspinaczki?

Alicja świetnie to rozpisała. Czytając jej relację, odnosiłem wrażenie, jakby dotyczyła świeżego wydarzenia. Kolejny wpis był z 19 sierpnia 1975 i dotyczył otwarcia pierwszej części budynku. Budowa zajęła przeszło dwa lata, co jak na PRL-owskie standardy było tempem ekspresowym. Tenże sam sekretarz po raz wtóry pękał z dumy, powtarzając podobne frazesy. Szkoła otrzymała wdzięczną nazwę XXX-lecia PRL. Jedną z głównych informacji tekstu było przedstawienie osoby dyrektora Krzysztofa Kondzieli, z wykształcenia historyka, jednocześnie nauczyciela tego przedmiotu. Z boku widniało jego zdjęcie. Szczupły, szpakowaty pan uśmiechał się w obecności kilkunastu osób, zapewne pierwszego grona pedagogicznego. Nad tekstem umieszczono zdjęcie szkoły. Nie rozpoznałem na nim dzisiejszego budynku. Późniejsza rozbudowa zmieniła jego obraz.

Postanowiłem skonfrontować strony kroniki z zapiskami Alicji. Nie było to

łatwe, bowiem dziewczyna notowała dość chaotycznie. W końcu odnalazłem kartkę z wypisanymi maczkiem informacjami o budowie i otwarciu szkoły. Większość z nich znalazła się w tekście. Poniżej widniał fragment mówiący o źródłach. Alicja korzystała z artykułów prasowych z tamtego okresu, które ukazały się w Wieczorze Wybrzeża i Dzienniku Bałtyckim. Zdołałem odszyfrować, że wyszperała je w archiwum Urzędu Gminy.

Kolejny tekst w kronice to przeskok o sześć lat i informacja o wycieczce uczniów ze Sławina do Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie. Tu za źródło posłużyła również notka prasowa z Wieczoru Wybrzeża oraz zdjęcia i relacja nauczyciela, która trafiła do archiwum szkoły. Dyrektor technikum w wypowiedzi przejawiał nadzieję, iż któryś z jego uczniów zostanie w przyszłości konstruktorem nowego polskiego samochodu. Obok zdjęcie młodzieży przy linii montażowej fiata 125p na Żeraniu. W marcu 1978 roku oddano do użytku dalszą część kompleksu szkolnego; w sumie sześć nowych sal i duży gabinet do zajęć praktycznych. Sekretarz Chyra nie uświetnił tego wydarzenia swoją obecnością, za to stawili się wszyscy nauczyciele z dyrekcją na czele, a gościem honorowym był Komendant Powiatowy Milicji Obywatelskiej kapitan Lesław Szumaga. Oczywiście przyjął rozbudowę inwestycji z ogromnym zadowoleniem i wyraził nadzieję, że absolwenci technikum przyczynią się do rozwoju kraju. Czy oni nie mieli innych tekstów? – pomyślałem. Mijały lata, organizowano kolejne akademie i uroczystości, a przemowy bez względu na to, kto je wygłaszał, brzmiały zawsze niemal identycznie. Podobnie jak na poprzednich, na tej stronie również widniały dwie czarno-białe fotografie. Na mniejszej znajdowali się ludzie zebrani pod drzwiami wejściowymi i komendant MO przecinający wstęgę; duża natomiast została zrobiona z dołu i przedstawiała panoramę Kominowego Wzgórza, wraz z nowym, imponującym jak na owe czasy budynkiem. Nie było jeszcze schodów, które pokonywałem co dzień, i ślimakowego podjazdu. Uczniowie prawdopodobnie dostawali się do szkoły po schodach od strony północnej.

Kolejna informacja pochodziła z 1982 roku. Uczennica czwartej klasy technikum Maryla Szczerbiec wygrywa ogólnopolski konkurs matematyczny. Na zdjęciu – dziewczyna z warkoczem i w okularach trzymająca dyplom oraz dyrektor Kondziela. Siedem lat, jakie dzieliło pierwsze zdjęcie dyrektora z oddania budynku od fotografii ze zdolną uczennicą, dobitnie pokazywało, jak mocno czas odcisnął na nim swoje piętno. Wydawał się przygarbiony, włosy mu się znacznie przerzedziły, natomiast broda z ciemnej zmieniła barwę na całkiem jasną. To zdjęcie było już kolorowe, dlatego uwagę zwracała blada cera mężczyzny. Według notatek również tę wiadomość Alicja zaczerpnęła ze szkolnego archiwum.

Następna informacja także dotyczyła laureata konkursu, tyle że poetycko-recytatorskiego. W 1985 roku czwartoklasista Piotr Stasiński zdobył główną nagrodę w wojewódzkim konkursie „Złote strofy Pana Tadeusza”. Na stronie umieszczono zdjęcie chłopaka z niewielkim pucharem.

Następny wpis zajmował aż trzy strony i zawierał kwintesencję lat 1983–1989. Było to właściwie kilkanaście krótkich notek z małymi zdjęciami. Marzec 1983: wizyta uczniów z bratniej Czechosłowacji; styczeń 1984: uczniowie technikum konstruują silnik czterosuwowy; sierpień 1984: wyselekcjonowana grupa uczniów udaje się z rewizytą do czeskich kolegów; wrzesień 1985: oddanie nowej sali gimnastycznej; październik 1985: spotkanie z poetą i dramaturgiem Andrzejem Maślińskim; i tak aż do 1989 roku. Te trzy strony stanowiły zapewne narzucone przez Laurę streszczenie, o którym mówiła Ewa.

Wróciłem do zeszytu Alicji. Zawarte w rozdziale informacje wypunktowała w swoich notatkach myślnikami. Pod nimi znalazłem coś interesującego. Nabazgrana data 1985 i widniejące przy niej przekreślone imię oraz nazwisko ze znakiem zapytania.

1985 – ~~Magda~~ Kraśnik?

Może to uczennica, o której Alicja chciała napisać, a później zrezygnowała. Nie było przy niej żadnego źródła, odnośnika, nic. Dalsze rozdziały kroniki nie wyjaśniały, skąd w notatkach Alicji pojawiło się to nazwisko.

W grudniu 1989 nauczyciele i uczniowie organizują kiermasz świąteczny, który licznie odwiedzają mieszkańcy Sławina. W październiku 1990 szkoła zmienia nazwę, a właściwie zyskuje patrona. Na miejsce XXX-lecia PRL pojawia się kardynał 1000-lecia Stefan Wyszyński. Lata 1990–1995 znowu ujęte są w trzystronicowe streszczenie w formie notek.

W końcu nadchodzi rok 1995, wrzesień, kiedy to prowadzenie szkoły zostało powierzone dyrektorowi Stanisławowi Mechowi. W tym miejscu widnieje duże zdjęcie mężczyzny o nieco wyraźniejszych rysach i szczuplejszej niż obecnie twarzy. Mech zostaje przedstawiony jako absolwent Uniwersytetu Gdańskiego, magister filologii klasycznej i pedagog z dwudziestoletnim stażem. Z placówką w Sławinie związany był od 1983 roku. Pracował jako nauczyciel historii oraz przysposobienia obronnego. Od 1993 roku był wicedyrektorem.

Przerzuciłem następne kartki i – tak jak podejrzewałem – zawierały one już

teraz bardzo szczegółowe relacje z sukcesów odnoszonych przez placówkę na różnych polach. Ostatnia informacja dotyczyła przekształcenia Technikum w Zespół Szkół w Sławinie. Po wprowadzeniu reformy szkolnictwa w 1998 roku w części budynku zorganizowano gimnazjum. Wtedy szkoła przeszła kapitalny remont, a dyrektor tłumaczył, że musiał jechać do samej Warszawy, by zdobyć na to odpowiednie fundusze. W notatkach Alicji przy tekstach dotyczących Mecha często pojawiał się przypis „rozmowa z dyrektorem”.

– Najlepsze, obiektywne źródło – rzekłem sam do siebie

W tym miejscu kończyła się praca Alicji. Pozostało jej około dziesięciu lat historii szkoły. Laura zapewne zadbała, by dziewczyna nie miała problemów ze znalezieniem odpowiednich tematów. Ciekawe, czy powierzyła już komuś kontynuowanie pracy? Otworzyłem ponownie zeszyt i wróciłem do kartki z nazwiskiem Kraśnik. O co mogło chodzić? Powoli przerzucałem kolejne strony, aż niemal na samym końcu dostrzegłem po raz wtóry to nazwisko.

Magda Kraśnik – zniknięcie na balu maturalnym – z archiwum UG Głos Wybrzeża 8 czerwiec 1985 roku. Będzie potem na stronie.

Zimny dreszcz przeszył mnie do szpiku kości. Zaginięcie na balu maturalnym? W Sławinie? Co do tego nie było pewności. Z notatek Ali nie wynikało, gdzie do owego zaginięcia doszło i jakie były jego dalsze losy? Z drugiej strony jeśli sprawa nie dotyczyła Technikum w Sławinie, to po co dziewczyna by to napisała? Może coś źle odczytałem? Przybliżyłem kartkę tak mocno, że niemal dotykała mojego nosa. Powoli, literka po literce, odtwarzałem treść zapisu. Po kilku minutach doszedłem do wniosku, iż nie ma mowy o pomyłce. Według Alicji jakaś Magda Kraśnik zaginęła w okolicy ćwierć wieku temu. Czy się odnalazła? Tego nie wiedziałem. Coś tu cholernie mocno nie grało. I o jakiej stronie wspomniała Alicja?

Zamknąłem komputer, a zeszyt odłożyłem na półkę. Oczy piekły mnie niemiłosiernie. Zegar na szafce pokazywał już pierwszą w nocy. Spędziłem nad kroniką przeszło trzy godziny i im mocniej się w nią zagłębiałem, tym większy czułem niepokój. Musiałem to jeszcze wszystko dokładnie sprawdzić, ale... dwa zaginięcia uczennicy w tej samej szkole to o jedno za dużo. Oczywiście to mógł być przypadek, lecz nie potrafiłem wyzbyć się myśli, że w murach tej szkoły na przestrzeni lat działo się coś dziwnego.

Tydzień wypełniały mi czasochłonne czynności związane z pracą, jednak wspomnienie kroniki pisanej przez Alicję krążyło gdzieś na peryferiach umysłu i nie pozwalało o sobie zapomnieć. Każda wolna chwila upływała mi na rozważaniu, czy istnieje wspólny mianownik pomiędzy faktem zaginięcia Alicji, osobą nieznaną dziewczyny z notatnika i zapędami Laury Mech do utajniania kroniki. Moja wiedza była zbyt uboga, by dopasować do siebie odpowiednie elementy.

Spełniłem obietnicę daną uczniom na początku września i po trzech tygodniach przeprowadziłem we wszystkich klasach test sprawdzający, stworzony na wzór testu na egzaminie gimnazjalnym. Frekwencja okazała się nad wyraz dobra – zapewne z powodu moich zapowiedzi, że na ewentualnym drugim terminie pytania będą trudniejsze. Stawił się nawet Wilczyński z Zwarą, co było o tyle ciekawe, że przez ostatni tydzień unikali moich lekcji. Niesamowitym zrzędzeniem losu nieobecności te w dzienniku klasowym zostały usprawiedliwione. Pomyślałem, że może rzeczywiście nie warto się przejmować i lepiej przymknąć na to oko, ku zadowoleniu wszystkich?

Po pracy i kolejnym kawalerskim obiedzie postanowiłem porozmawiać z Zofią i wypytać ją o parę faktów. Powinienem poznać historię tej miejsciny na wylot. Weszła akurat do kuchni, gdy zdejmowałem garnek z maszynki gazowej.

– A ty dalej te słoikowe przysmaki? – skomentowała, przyglądając się z niechęcią mojemu obiadowi. – Dziewczynę byś sobie znalazł, najlepiej stąd, to od razu poczujesz, czym jest prawdziwy posiłek.

– Daję radę, to wcale nie jest takie złe. Chcesz spróbować?

– Broń cię Panie Boże – odzęgnęła się. – Nawet mój Leopold by tego nie ruszył.

Kot jak na zawołanie pojawił się przy nodze kobiety i miauknął głośno.

– Nie, Leoś, pani by ci czegoś takiego nie zaserwowała. – Uspokojony zwierzak ruszył do ustawionej koło lodówki miseczki, którą Zofia napełniła tajemniczą mieszanką przesypaną z większej misy, wyjętej z lodówki.

Jedliśmy przez chwilę w ciszy.

– Udało mi się zdobyć kronikę Alicji. Czytałem ją wczoraj – powiedziałem, kończąc pulpety w sosie pomidorowym. – To naprawdę kawał dobrej roboty. Musiała przesiedzieć sporo czasu w archiwum. Swoją drogą dziwię się, że Urząd Gminy tak łatwo dopuścił ją do materiałów.

Zofia rozwiązała moje wątpliwości.

– To zasługa Laury. Szkoła archiwizuje czasopisma i gazety z regionu dopiero od dziesięciu lat, a i tak mam wieczne przepawy z dyrektorem na temat marnowania miejsca w bibliotece. Wcześniejsze prasowe wzmianki o Sławinie i okolicach znajdują się w gminnym archiwum. Dla naszej dyrektor udostępnienie go dziewczynie to kwestia jednego telefonu. Jej naprawdę zależało na tej kronice. Ewentualne zwycięstwo byłoby dla szkoły ogromnym wyróżnieniem.

Dla szkoły czy dla dyrektora? – pomyślałem.

– Mówi ci coś nazwisko Magda Kraśnik? – zadałem pytanie, dopiwszy sok pomarańczowy. Zebrane naczynia włożyłem do zlewu i rozpocząłem zmywanie. Zanim z kranu popłynęła woda, kuchnię wypełniło głośne dudnienie dochodzące z rur. Zofia zdawała się tego nie słyszeć.

– Kraśnik, Kraśnik... – powtarzała cicho, jakby dźwięk nazwiska stanowił wytrych do przepastnych zasobów jej pamięci. – Nic nie przychodzi mi do głowy. To ktoś znajomy?

– Wedle notatek Alicji tak nazywała się uczennica, która w 1985 roku zaginęła na balu maturalnym?

– Tutaj? – Głos Zofii zdradzał niedowierzanie.

– No właśnie nie wiem. Napisała tylko, że zaginęła. Podejrzewam, że Alicja chciała zawrzeć tę informację w kronice, ale dyrektorka się sprzeciwiła.

– Myślisz? To trochę dziwne... Jak można zaginąć na balu maturalnym?

Ciekawe pytanie. Aż dziw bierze, że wcześniej go sobie nie zadałem. Zanim wróciłem do domu, przesiedziałem w szkole godzinę przez komputerem, próbując natrafić na jakiś ślad. Wpisana w Google fraza „Magda Kraśnik” nie dała jednoznacznych wyników. Kilka trafień dotyczyło profili na Facebooku, ale na pewno nie odnosiły się do tej samej osoby. Nie zgadzał się przede wszystkim wiek.

Połączenie nazwiska z frazą „bal maturalny” lub „bal maturalny i Sławino” też nie przyniosło odpowiednich trafień. Cokolwiek się w tamtych latach stało, nie wywołało szerszego oddźwięku.

– Ala wygrzebała to w archiwum? – dopytywała Zofia.

– Tak, artykuł pochodził z Głosu Wybrzeża. Może uda mi się do niego dotrzeć, chociaż na wstawiennictwo Laury w gminie nie mam co liczyć. Spróbuję. Taka sprawa powinna być tu raczej głośna. Nic nie kojarzysz?

– Do Sławina przeprowadziliśmy się w 1986 roku. Mąż zbudował ten dom na działce po dziadkach. Wcześniej mieszkaliśmy w Dębogrodzie, to taka wioska piętnaście kilometrów stąd. Prawdę powiedziawszy, po osiedleniu się tutaj nie spotkałam się z żadnymi opowieściami o zaginionych dziewczynach. Nawet po rozpoczęciu pracy w szkole w 1991 roku.

Skończyłem zmywać. Naczynia umieściłem na stojącej pod szafką suszarce.

– Nie mam pojęcia, co o tym myśleć – powiedziałem, wycierając ręce w kuchenny ręcznik. – Od czasu zaginięcia Alicji pojawia się coraz więcej pytań, na które nikt nie jest w stanie odpowiedzieć.

– To mała miejscina, ludzie są niechętni do zwierzeń – skwitowała gospodyni. – Wypierają z pamięci złe wspomnienia. To pomaga.

Komuś na pewno, pomyślałem.

Treningi piłkarskie były tym, czego mi dotąd w Sławinie brakowało. Po ciężkich zakwasach wynikających z początkowego przeforsowania później szło już całkiem nieźle. Mecze odbywały się zawsze w niedzielne popołudnie. Nasza szkolna sala gimnastyczna była największym i najlepiej przygotowanym obiektem tego typu w okolicy, dlatego w niej organizowano wszystkie spotkania.

Umówiliśmy się z chłopakami na dwa treningi tygodniowo, w środę i piątek. Na drugim z nich dało się już zauważyć załężki zgrania i ograniczenie wszechobecnego na ostatnim meczu chaosu. Uznaliśmy, że najlepszym rozwiązaniem będzie powierzenie prowadzenia drużyny jednej osobie. Miało to wprowadzić więcej uporządkowania i jakąś konkretną wizję. Naturalnym

kandydatem był Wiesio Szpak, który na AWF-ie ukończył profil trenerski. Co prawda posiadał specjalizację z siatkówki, liczyła się jednak ogólna wiedza i umiejętności. Po batach, jakie otrzymaliśmy od Chojniczanki, wszyscy liczyli na rehabilitację z Gryfem Brusy. Podobno w zeszłym roku udało się ich ograć dwa razy. Piątek upłynął więc na ćwiczeniu niezbyt skomplikowanej taktyki szybkiego podania do przodu i strzałów z pierwszej piłki. Ponoć bramkarz był najsłabszym ogniwem drużyny przeciwników. Trening przedłużył się do dziewiętnastej. Początkowo planowałem na piątek wyjazd do Gdańska, ale ponieważ ostatni PKS odjeżdżał o 18.15, przełożyłem to na sobotę rano. Obiecałem chłopakom, że zdążę wrócić w niedzielę na mecz.

Przydałby mi się samochód. Uniezależniłbym się od gminnej komunikacji i mógłbym wyskoczyć do domu nawet w środku tygodnia. Taki zakup był jednak poza moim zasięgiem. Przy niecałych dwóch tysiącach pensji nie miałem szans na auto. Zresztą samochody nie kojarzyły mi się najlepiej.

Ostatni raz siedziałem za kierownicą w dniu zerwania z Ewelina, w jej własnym aucie. To było tak niedawno, a zarazem jakby w innej epoce. Wcześniej zrobiliśmy zakupy, zjedliśmy na mieście obiad i mieliśmy podjechać na Żabiankę do jej rodziców. Ślub zbliżał się wielkimi krokami i roboty z nim związanej przybywało. Był to okres wypisywania zaproszeń, zakupu garnituru, ostatnich decyzji w sprawie sukni ślubnej oraz finałowych ustaleń w weselnym menu. Chodziliśmy na nauki przedmałżeńskie do jej rodzinnej parafii, wybieraliśmy kwiaty mające zdobić ołtarz. Czułem się szczęśliwym człowiekiem.

W połowie drogi do domu rodziców bez żadnej przyczyny kazała mi zjechać na parking centrum handlowego. Najpierw pomyślałem, że zapomniała czegoś kupić, ale jedno spojrzenie na jej twarz przekonało mnie, iż chodzi o coś znacznie poważniejszego. Gdy zaparkowałem, rozplakała się. Przytuliłem ją wtedy, przekonany, że to spóźniona reakcja na stres, jaki od tygodni przeżywała w pracy. Oddział banku, w którym pracowała, przechodził audyt, ona zaś jako zastępca kierownika miała w związku z tym ogrom dodatkowych zajęć. Gdy się uspokoiła, spojrzała mi w oczy i jak gdyby nigdy nic zakomunikowała o zerwaniu. Nie pamiętam, po jakim czasie słowa te dotarły do mojej świadomości. Siedząc w dusznym wnętrzu volkswagena polo, wpatrywałem się w nią, łudząc się, że to jakiś chory żart. Wtedy zdjęła z palca pierścioneł i oddała mi go. Zanim zdążyłem wyjąkać cokolwiek, opowiedziała historię swojej nowej miłości. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że przeciągane do wieczora narady w banku i niekończące się przygotowania do audytu były jedynie przykrywką dla potajemnych schadzek z pięćdziesięciokilkuletnim szefem. Znałem go z widzenia. Czasem zdarzało mi się

czekać na Ewelinę pod pracą. Dziesięć minut przed zamknięciem oddziału zawsze wychodził jej dyrektor i wsiadał do swojego sportowego BMW. Kilka razy podśmiewaliśmy się nawet z tego, że swój wiek musi przykrywać takim wózkiem. Niestety nie tylko BMW stanowiło jego eliksir młodości. Świetnym uzupełnieniem była dwudziestodwuletnia w łóżku. Moja narzeczona.

– Krzywdzę cię, wiem, ale wierz mi, o wiele większą krzywdę bym ci zrobiła, gdybym wyszła za ciebie, kochając innego. Nie zdajesz sobie sprawy, jak mi przykro. Pewnie mnie zniechęcisz, ale zakończenie tego teraz to najlepsze rozwiązanie.

Sentencja wypisz wymaluj z podrzędnego romansidła. Zapewne podsłuchiwała ją w jakimś filmie i zaadaptowała do naszej sytuacji. Ileż to razy, analizując tamte chwile, żałowałem swojego biernego zachowania. Dlaczego nie wyzywałem jej od dziwek? Czemu nie powiedziałem, jak podłą i prymitywną jest osobą? Zamiast tego wysiadłem z samochodu i odszedłem. Chyba za mną wołała, ale nie chciałem już niczego słuchać. Tułałem się po mieście godzinami, aż pod sam wieczór podjąłem decyzję o wyjeździe. Wszystko jedno gdzie. Dwa tygodnie później usłyszałem o posadzie w Sławinie. Moja rodzina ostro się sprzeciwiała temu pomysłowi, ale byłem nieugięty. Cekał mnie jeszcze nieprzyjemny obowiązek wyprowadzki z mieszkania Eweliny. Cały ten proces uzmysłowił mi przykrą prawdę, jak niewiele rzeczy posiadam. Samochód, mieszkanie, nawet praca Eweliny w banku były wynikiem działalności jej wpływowych rodziców. Choć nie odczuwałem z ich strony niechęci, to jednak podświadomie wiedziałem, że nauczyciel na dorobku nie jest wymarzoną partią dla ich jedynej córki. Nie wiem, jak zareagowali na nasze zerwanie. Nigdy ich potem nie widziałem. Ostatnią torbę spakowałem w absolutnej ciszy. Klucze położyłem na komodzie. Gdy zamykała drzwi, rzuciła w moją stronę zdawkowe:

– Trzymaj się.

Cudowne podsumowanie czteroletniego związku.

Od tamtego popołudnia minęły cztery miesiące, rana nieco się zabiłiżniła, nie na tyle jednak, by od czasu do czasu nie krwawić. Leżąc wieczorami w łóżku, myślałem często, co się u niej dzieje. Są dalej razem? Może się rozstali? Jej nowy wybranek miał żonę i niemal dorosłe dzieci. Rzuci dla niej wszystko? Wielce prawdopodobne, iż uciechy u boku młodej kochanki były jedynie przyjemną odskocznią od codzienności. Może Ewelina w końcu przejrzy na oczy i zrozumie swój błąd?

Zastanawiałem się czasem, co by było, gdybym przed czterema laty nie wybrał się z kumplem Wiktoorem na spływ kajakowy Czarną Hańczą i nie zaproponował pomocy przy rozkładaniu namiotu filigranowej blondynce, świeżo upieczonej absolwentce ekonomii. Czy byłbym teraz szczęśliwszy? Może gdybym powstrzymał swój rycerski odruch, poznałbym inną kobietę i miał teraz rodzinę, żonę, dzieci? A tak zostałem na lodzie.

Nieustające pytania kłębiły się w czaszce, nie pozwalając zasnąć. Z całych sił próbowałem się ich pozbyć. Minęło już wystarczająco dużo czasu. Pojawiło się nowe życie i nowe obowiązki. W końcu tego chciałem. Miałem szkołę, Laurę, Mecha, uczniów i Alicję. Ta ostatnia była teraz najważniejsza. Nie powinna, ale jednak była.

15.

W sobotę wyjechałem ze Sławina pierwszym autobusem. Dochodziła dziesiąta, gdy dotarłem na Morenę. Mama dopiero wstała i nastawiła wodę na kawę. Zabrała się równie ochoczo za robienie śniadania. Na myśl o domowej jajecznicy i kanapkach z twarogiem ze szczypiorkiem i rzodkiewką ślina napłynęła mi do ust. Gdy dowiedziałem się o pieczeniu szykowanej na obiad, byłem już blisko raj. Jednak kupne jedzenie to nie to samo co znane z dzieciństwa smaki. Najlepsze na świecie.

– Jak tam sprzedaż mieszkania ? – spytałem. Chciałem szerzej omówić z mamą ten temat. Tym razem na chłodno, bez zbędnych emocji. Skoro już się na to zdecydowała, należało zadbać, by nie została na lodzie.

– Na razie podpisaliśmy kilka umów z pośrednikami, Ania dała ogłoszenia do gazet i internetu. Czekamy. Podobno teraz sprzedaż mieszkania to nie taka łatwa sprawa. Zwłaszcza w bloku. Ludzie raczej uciekają od wielkiej płyty.

I dobrze, pomyślałem. Nie miałbym nic przeciwko temu, by do transakcji w ogóle nie doszło.

– Myślałaś, jak się zabezpieczyć?

Mama spojrzała na mnie zdziwiona.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że skoro już się zdecydowałam oddać im wszystkie pieniądze ze sprzedaży swojego mieszkania, to powinnaś się odpowiednio zabezpieczyć. Według mnie najlepiej byłoby, gdybyś figurowała w akcie notarialnym jako współwłaściciel nowego mieszkania czy domu.

– Sylwek, po co te komplikacje? Przecież Ania mnie nie oszuka. A poza tym kto powiedział, że chcę im oddać wszystkie pieniądze?

– A nie?

– Kochanie, mam dwoje dzieci. To jest nasz wspólny dom. Kwotę ze sprzedaży podzielę pomiędzy was równo. No, może zostawię sobie kapkę na czarną godzinę. Przecież ty też musisz gdzieś się podziać. Na nowe mieszkanie nie starczy, ale będziesz miał coś na początek. Na resztę możesz wziąć kredyt. Kupisz coś małego.

Poczułem się naprawdę głupio.

– Mamo, nie mówiłem tego, żeby wyciągnąć od ciebie kasę.

– Przecież wiem. Myślałam o tym bardzo długo. To nie było w porządku podejmować taką decyzję bez pytania cię o zdanie. Wychowałeś się tu.

– Ania wie?

– O czym?

– Mamo, o tym, że oddasz jej tylko część pieniędzy.

– Nie dyskutowałam z nią na ten temat, ale to chyba oczywiste. To mądra dziewczyna.

Dziewczyna może mądra, ale ma męża imbecyla. Pomimo zapewnień mamy obawiałem się, że moja siostra oraz jej Stasiu nie brali pod uwagę dzielenia się z kimkolwiek pieniędzmi. Mogłem sobie wyobrazić awanturę, jaka się rozpęta.

Lokal, o którym mówił Karol Zawada, był przyjemną, zaciszną

restauracyjką. Idealne miejsce na romantyczne schadzki lub dyskretne lunche biznesowe. Zapewne jako dziennikarz szukający dyskretnego, pozaredakcyjnego punktu spotkań z bohaterami swoich artykułów lub informatorami Zawada często bywał w Acapulco.

Przyszedłem parę minut przed siedemnastą. Zająłem stolik na skraju sali pod gigantycznych rozmiarów sombrero. Zamówiłem colę z lodem. Dziesięć minut później do lokalu wszedł wysoki, długowłosy mężczyzna. Wyglądał na podstarzałego hipisa, ewentualnie ortodoksyjnego fana ZZ Top. Niezbyt zadbanym włosom towarzyszyła równie obfita broda. Na nosie miał okulary lenonki, poprzez które lustrował salę. Gdy dostrzegł mnie wciśniętego w róg pomieszczenia, zamachał trzymaną w rękę gazetą. W drugiej niósł brązową teczkę. Kiwnąłem na znak, że zrozumiałem, wtedy ruszył w moją stronę, utykając wyraźnie na jedną nogę. Po drodze zdjął mocno znoszoną dżinsową kurtkę. Rzuciłem okiem na jego obuwie, bowiem jak Boga kocham spodziewałem się wysokich kowbojek z wężowej skóry. Widok pospolitych adidasów mocno mnie rozczarował.

– Zawada – powiedział, wyciągając ku mnie rękę przyozdobioną sygnetem w kształcie czworoboku.

– Sylwester Cichy – przedstawiłem się.

– Wielkie dzięki, że przyszedłeś – rzekł, jakbyśmy byli starymi kumplami. Klapnął ciężko na krzesło naprzeciwko mnie. – Tu będziemy mogli w spokoju pogadać o twoim mailu. W redakcji panuje taki harmider, że trudno się skupić.

Zaskoczył mnie. Choć gazeta nie była najwyższych lotów, spodziewałem się jednak typu przypominającego dziennikarza. Myślałem o jakimś redaktorze z notatnikiem albo dyktafonem. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwałem, był zaawansowany wiekowo rockers. Jeśli on uczestniczył w jakimś spotkaniu, to nie mogło być ono anonimowe.

– Nie martw się, to minie. – Przyglądał mi się wyraźnie rozbawiony. – Trzeba się do mnie przyzwyczać. Wierz mi, zyskuję przy bliższym poznaniu.

Musiałem wyglądać idiotycznie, wybałuszając na niego oczy. Gdy podeszła kelnerka, zamówił duże piwo.

– Pogadamy, a później coś zjemy – zdecydował. – Niezłego tu mają

kurczaka na ostro. Napijesz się czegoś?

Wskazałem pełną szklankę coli.

– Na sucho, co? Myślałem, że na Kaszubach lubią sobie golnąć.

– Pochodzę z Gdańska. W Sławinie mieszkam niespełna miesiąc.

– Gdańsk to takie same Kaszuby jak Kartuzy. Można powiedzieć wszyscy jesteśmy Kaszubami. – Zaśmiał się, przeczesując palcami brodę. Robił to z takim namaszczeniem, jakby stanowiła chlubę jego życia. Gdy tylko kelnerka postawiła przed nim oszroniony pokal piwa, rozejrzał się wokół i przysunął krzesło bliżej stolika.

– Pogadajmy o tej dziewczynie – rzekł, pociągnąwszy łyk. – Napisałeś, że zaginęła i nikt nie jest specjalnie zainteresowany jej odnalezieniem.

Przytaknąłem.

– Dobrze ją znałeś?

– Praktycznie w ogóle.

Zrobił zdziwioną minę. Spodziewałem się tego. Właściwie sam się sobie dziwiłem. Nie znałem jej, a jednak konsekwentnie odkrywałem kolejne fakty z jej życia. Opowiedziałem mu o wypracowaniu Alicji, moim zachwycie nad tym, co napisała, jej talencie, opowiadaniach, które tworzyła i kronice szkolnej. Mówiłem o poszukiwaniach i teorii o ucieczce z domu. Nie przerywał mi. Gdy skończyłem, pokiwał tylko głową.

– A ty nie wierzysz, że uciekła? Nie znałeś jej, a jednak uważasz to za niemożliwe?

– Nazwij to, jak chcesz. – Bezwiednie przeszedłem na „ty”. Było w nim coś bezpośredniego. Ten wygląd i styl bycia. Do kogoś takiego trudno mówić per „pan”. – Może to przecucie albo intuicja. Nie pracuję w zawodzie od dziś. Dzieciaki są różne i różnie się zachowują, zwłaszcza w gimnazjum. Alicja nie była zwykłą uczennicą. Wyprzedzała pozostałych o kilka długości. Ktoś taki nie porzuca wszystkiego i nie ucieka bez słowa, zostawiając rodzinę, nawet jeśli jest nieszczęśliwie zakochany.

– Zatem co się twoim zdaniem stało?

– Nie wiem. Może ktoś ją porwał albo... – Urwałem, nie chcąc wymówić tego, co i tak od samego początku wydawało się bardzo prawdopodobne.

– Albo zamordował – uzupełnił Zawada.

Tak. Mogła już nie żyć, coraz częściej brałem pod uwagę tę możliwość. Ale kto byłby zdolny do zabicia bezbronnej, niezamożnej dziewczyny?

Zawada pociągnął kolejny łyk.

– Powiem tak – rzekł, gdy tylko otarł pianę z wąsów. – Jeśli nie odnaleziono jej w ciągu pierwszych trzech dni, to rokowania są raczej marne. Mówię to z doświadczenia, zajmowałem się kilkoma podobnymi zaginięciami. Część to rzeczywiście ucieczki z domu; był też wypadek samochodowy; zdarzały się porwania dla okupu, ale wtedy kidnaperyzy szybko kontaktują się z rodziną. W tym przypadku to raczej wykluczone. Sytuacja zawsze klarowała się w pierwszych dniach. Czasem zaginiona osoba odnajduje się po dłuższym okresie, bo na przykład stuknęła ją samochód i straciła pamięć na dziesięć lat. To jednak rzadko dotyczy małoletnich. Tu sytuacja jest z reguły dynamiczna. Jeśli jakiś małolat przepada bez śladu i nie udaje się go szybko odnaleźć, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie żyje. Ładna była ta Alicja?

Spróbowałem naprędce ocenić stopień jej atrakcyjności. Smukła, wysoka i długowłosa szatynka mogła się podobać. Nie epatowała jednak seksem, jak to potrafią robić dziewczyny w jej wieku. Może gdyby było ją stać na modniejsze ciuchy i kosmetyki, mocniej podkreślałaby swą kobiecość.

– Ładna, ale niewyzywająca – odparłem. – Dlaczego pytasz?

– Motyw seksualny jest bardzo częstą przyczyną napaści i zabójstw. Mogła komuś wpaść w oko.

– Myślisz, że w Sławinie grasuje zabójca seksualny?

– Nie wiem, ale nie możemy przecież tego wykluczyć. – Mówił to tak spokojnie, bez żadnych emocji. – Posiadała profil na Facebooku, Naszej Klasie, Twitterze albo podobnym ustrojstwie?

Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia. U Zofii ze względu na słaby zasięg nie mogłem surfować po internecie, a w szkole zawsze byłem w niedoczasie i siadając do komputera, zadowalałem się załatwieniem najważniejszych spraw. Niesprawdzenie jej ewentualnych profili w sieci to duża wpadka. Przecież Alicja mogła tam zamieścić wiele cennych informacji. Jeśli miała dodanych znajomych, można się było z nimi skontaktować i wypytać. Z drugiej strony Ewa nazwała Alicję komputerowym analfabetą; nie posiadała nawet własnego sprzętu. Niemniej należało to sprawdzić.

– Trzeba to zrobić jak najszybciej – zawyrokował Zawada. – Dzieciaki często wrzucają do sieci co się da. Zdjęcia, adresy, numery telefonów. Obłąd. Rodzice nie mają o tym pojęcia. Tymczasem nawet w Polsce są grupy, które monitorując portale społecznościowe, wyszukują sobie ofiary, na których można niezłe zarobić. Wiesz, ile zapłaci Turek za ładną szesnastolatkę? Do dziesięciu tysięcy euro, plus procent z tego, co dziewczyna zarobi jako prostytutka. Jeśli taka pochodzi z małego miasteczka albo wsi, to namierzenie jej jest banalnie proste. Później podjeżdża samochód, uśmiechnięta starsza pani pyta o drogę albo proponuje podwiezienie. Resztą zajmują się goście obstawiający akcję. W zeszłym roku CBS zwinęło taką grupę na Śląsku. Podobno wywieźli za granicę przeszło dwadzieścia dziewczyn.

Czułem, jak lodowate zimno oblewa mnie od stóp po czubek głowy. To, co mówił, wydawało się nieprawdopodobne, choć wiedziałem, że jest prawdą. Żyjemy w środku cywilizowanej Europy, na początku dwudziestego pierwszego wieku, a i tak są wśród nas wykolejeńcy, którzy wzorem hiszpańskich konkwistadorów w biały dzień urządzają polowania na ludzi, sprzedawanych później z ogromnym zyskiem jako niewolnicy. Minęły setki lat, a jakbyśmy stali w miejscu. Zmieniły się jedynie narzędzia; podłość i zaślepienie zyskiem pozostały te same.

– OK – powiedziałem, próbując pozbyć się obrazu porwanych i męczonych dzieci. – Uważasz zatem, że w najlepszym razie trafiła do burdelu, gdzieś, gdzie odnalezienie jej nie będzie możliwe?

– Analizuję tylko sytuację. Nie jestem jasnowidzem.

– Opiszysz sprawy takich porwań? Po to się ze mną spotkałeś?

– Nie. To nie ma nic wspólnego z pracą w Donosicielu. Chcę się zająć tym tematem incognito.

Trochę mi ulżyło. Nie chciałem oglądać twarzy Alicji wśród tabloidowych sensacji.

– Prawdę powiedziawszy, nie bardzo rozumiem. Jeśli nie w Donosicielu, to gdzie chcesz o tym napisać?

– Jeszcze nie wiem. – Rozparł się na krześle, dopijając piwo. – To zależy, co z tego wszystkiego wyniknie. W twoim mailu uderzył mnie nie tyle sam temat, co miejscowość.

– Sławino?

Przytaknął i na kilka chwil jakby odleciał. Z przymrużonymi oczami wnikliwie coś analizował, choć wydawało się, jakby na mnie patrzył. Małe okulary nienaturalnie powiększały jego oczy. W końcu powrócił do rzeczywistości i nachylił się nad stolikiem, tak jakby obawiał się, że wokół czyhają podstępni nieznajomi chcący nas podsłuchać.

– Mogło jej się przytrafić wiele rzeczy, wszystko to, co ci przed chwilą powiedziałem, jest możliwe. Trzeba dla świętego spokoju sprawdzić Facebooka, ale wątpię, czy coś tam znajdziemy. Myślę, jestem o tym niemal przekonany, że ona nie żyje. Nie mam na to żadnych dowodów, ale tak jak ty posiadam swoją intuicję. Ta zaś mówi mi, że Alicja Maj została zamordowana. Co więcej, osoba, która to zrobiła, to nie żaden handlarz czy krążący po Polsce zboczeniec, ale ktoś z tej miejscowości, pewnie nawet ze szkoły.

Słuchałem go w osłupieniu. Zwariował. Każda płynąca z jego ust rewelacja była bardziej szokująca od poprzedniej. Kim był ten facet? Czego tak naprawdę chciał? Nim powiedziałem cokolwiek, wychyliłem jednym haustem szklankę napoju. To zniwelowało nieco suchość w ustach.

– Twoim zdaniem mamy w szkole mordercę? Skąd możesz to, do cholery, wiedzieć? To jakiś obłąd. Przyznam się szczerze, że po dzisiejszym spotkaniu spodziewałem się czegoś więcej. Najlepiej będzie, jeśli się pożegnamy.

Próbowałem wstać, ale chwycił mnie za rękę.

– Poczekaj chwilę, daj skończyć. Jeśli uznasz mnie potem za wariata, to droga wolna. – Usiadłem. – Nie wysłałem tej teorii z palca, nie jestem idiotą. Mam

podstawy, by tak sądzić.

– Jakie?

Kelnerka przyniosła mu drugie piwo. Zamówiłem też dla siebie. Liczyłem, że odrobina alkoholu stłumi emocje i pozwoli mi się uspokoić. Gdy odeszła, mówił dalej:

– Jeden z pierwszych poważnych tekstów, jakie napisałem w swojej karierze, dotyczył właśnie Sławina. Ta nazwa wbiła mi się w pamięć na całe życie. Kiedy do redakcji wpłynął twój mail, prawdę powiedziawszy, nikt się nim specjalnie nie zainteresował. Młodociana uciekinierka z domu to żaden news, nawet jeśli sprawa jest niejasna. Dopiero kiedy kumpel oznajmił, że informacja dotyczy Sławina, natychmiast zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. Pamiętam tę miejscowość doskonale. Miałem niespełna trzydziestkę, kiedy naczelny wysłał mnie tam na reportaż. Była połowa lat osiemdziesiątych, pracowałem wtedy w Głosie Wybrzeża. Miałem zrobić materiał o uczennicy, która w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęła z balu maturalnego w tamtejszym technikum. Byłem cholernie dumny, że to właśnie mnie wybrał. Sam temat też wydawał się atrakcyjny. Dziewczyna przepada bez wieści na balu maturalnym. Nie przeczytałbyś czegoś takiego?

Zmrożony szpikulec wbił się w sam środek mojego mózgu. Kilka spośród tysięcy rozrzuconych elementów puzzli złączyło się ze sobą, dając załączek niewyraźnego obrazu.

– Magda Kraśnik – wyjąkałem.

Tym razem on spojrzał na mnie zaskoczony.

– Wiesz o niej?

Wiedziałem, że istniała.

– Alicja napisała o tym wydarzeniu w swoim notatniku – powiedziałem. – Wyszperała artykuł w archiwum Urzędu Gminy, ale dyrektorka szkoły z jakichś powodów zabroniła jej opisać to w kronice. Pewnie bała się negatywnego oddźwięku.

Zawada skubał brodę zamyślony.

– Zaraz! – skojarzyłem nagle oczywisty fakt. – Skoro ty przed laty opisałeś zaginięcie Kraśnik, pewnie tam w gminie to był twój artykuł.

Dziennikarz przytaknął.

– Zapewne – odpowiedział. – Nie przypominam sobie, żeby ktoś inny o tym pisał. Zresztą wtedy praktycznie nie było konkurencji.

Zawada znów się zawiesił. Mrucząc pod nosem, przeczesywał energicznie włosy. To jego dziwaczne zachowanie zaczynało mnie drażnić.

– Możesz mi wreszcie wyjaśnić, o co chodzi? – Nieco zbyt głośno zamanifestowałem swą irytację. Kilka osób obejrzało się na nas.

Dziennikarz powrócił do świata żywych.

– No więc pojechałem tam, zrobiłem rozeznanie, ale niczego konkretnego się nie dowiedziałem. Dziewczyna pokłóciła się z chłopakiem i poszła na bal maturalny sama. Podobno kilka godzin wcześniej zerwali. W którymś momencie zabawy wyszła ze szkoły i słuch po niej zaginął. Dotarłem do jej rodziców, nauczycieli, ale nie byli zbyt wylewni. Napisałem tekst, którego większą część w redakcji pocięli, i zająłem się kolejnymi tematami. Kilka tygodni później postanowiłem sprawdzić, czy coś się w sprawie ruszyło, i okazało się, że tak. Milicjanci zaczęli podejrzewać chłopaka Magdy o zabójstwo. Podobno ktoś na niego doniósł. Mieszkał z rodzicami w gospodarstwie rolnym w Sławinie. Gdy zrobiono w nim przeszukanie, odnaleziono w stodole metalowy pręt ze śladami krwi. Wszystko wskazywało na to, że krew należy do tej dziewczyny. W osiemdziesiątym piątym nie robiono jeszcze testów DNA, ale grupa się zgadzała. Sprawa byłaby jasna: zabójstwo z zazdrości albo z zemsty za zerwanie, gdyby nie jeden szkopał. Chłopak do niczego się nie przyznawał i przez cały wieczór był na zabawie. Potwierdziło to kilkadziesiąt osób, w tym nauczyciele. Co więcej, odciski palców zabezpieczone na pręcie nie należały do niego. Pomimo starań milicji nie można było go o nic oskarżyć. Ktoś prawdopodobnie podrzucił tam narzędzie zbrodni w nadziei, że łatwo chłopaka pogrąży. Ciała dziewczyny nie odnaleziono, a sprawę zamknięto. Napisałem o tym, ale tekst nigdy się nie ukazał. Zawsze było coś pilniejszego, ważniejszego, mówili „poczekaj, może wyjdzie z tego coś mocniejszego”, aż w końcu tekst został zapomniany. Do dziś sprawa jest niewyjaśniona.

– Dobra, ale jaki to ma związek z Alicją? – spytałem, choć podejrzewałem, co odpowie. Sam o tym myślałem, odkąd przeczytałem o Magdzie Kraśnik.

– Nie wierzę w takie przypadki – odpowiedział zdecydowanie. – W małej, cichej miejscowości przepadają bez wieści dwie młode dziewczyny, uczennice tej samej szkoły. Zgoda, wydarzenia dzieli dwadzieścia pięć lat, ale moim zdaniem punktów wspólnych jest zbyt dużo. Tu musi być jakiś związek. Kiedy przeczytałem twój maila, natychmiast powróciłem do tamtej sprawy. Odkopałem wszystkie materiały, uruchomiłem kontakty, posprawdzałem, co się dało. Jestem pewien, że Magda Kraśnik została zamordowana, i sądzę, iż z jakichś powodów ta sama osoba zabiła Alicję Maj. W tej miejscinie mieszka ktoś o bardzo zwichrowanej psychice.

Mnogość faktów, jaką mnie zalał, sprawiła, że miałem mętlik w głowie. Badając sprawę Alicji, brałem oczywiście pod uwagę najgorsze scenariusze mówiące o porwaniu, wypadku czy zabójstwie, ale przez myśl mi nie przeszło, żeby rozważać istnienie w okolicy mordercy.

– Ale to tylko twoje przypuszczenie?

– Tak.

– Właściwie to nie masz nawet pewności, że Magda Kraśnik została zamordowana. Podobnie Alicja.

– Co do Kraśnik, to teraz jest już stuprocentowa pewność, że dziewczyna nie żyje.

– Niby skąd?

– Odnaleziono w końcu jej szczątki.

– Naprawdę? Kto? Kiedy?

– Ty, mój drogi. A właściwie Artur Wilczyński. Dwudziestego piątego sierpnia tego roku.

15.

Puste oczodoły wpatrywały się we mnie martwo. Choć łypały ze zdjęcia, były równie przerażające jak wtedy w klasie. Karol Zawada rozłożył przede mną

trzy duże fotografie. Przedstawiały czaszkę w różnych ujęciach. Tylne ukazywało kilkucentymetrowe pęknięcie.

– Te zdjęcia zrobione w Zakładzie Medycyny Sądowej w Gdańsku – mówił. – Mam tam niezłe kontakty, dlatego udało się załatwić kopie. Czaszkę przesłano do analizy ze Sławina. Podobno sporo o tym wiesz?

– Skąd wiadomo, że to czaszka Magdy? – spytałem.

– W połowie lat osiemdziesiątych nie robiono badań DNA, ale dzisiaj owszem. Ślady z narzędzia znalezione w stodole chłopaka Magdy zostały zabezpieczone i można powiedzieć, że czekały na lepsze czasy. Teraz do nich powrócono i porównano ich DNA z tym pobranym z czaszki, a właściwie z resztek włosów. I bingo, pasuje. To szczątki Magdy.

– I tak od razu na to wpadli? Żeby połączyć przypadkowe znalezisko ze sprawą sprzed ćwierć wieku?

– Przyznaję, miałem w tym swój udział. Jak już ci mówiłem, posiadam swoje kontakty i regularnie je wykorzystuję. Dla mnie skojarzenie tych dwóch faktów było oczywiste, musiałem tylko przekonać kogo trzeba, by policja odkurzyła starą sprawę.

– Na pewno jesteś tylko dziennikarzem?

– Możesz zaniedbywać żonę i dzieci, wtedy co najwyżej przekichasz sobie życie prywatne, ale jeśli chcesz złapać dobry temat, musisz dbać o kontakty i informatorów jak o rozkapryszoną kochankę. Kiedyś ci o tym opowiem. – Zawada skończył kolejne piwo. Wlewał je w siebie jak oranżadę. Ja cały czas męczyłem pierwszą szklankę. – Najważniejsze, że sprawa nabrała rozpędu. Zajmuje się nią teraz specjalna grupa działająca w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym przy Komendzie Wojewódzkiej. Pismaki ochrzcili ją „Archiwum X”, ale to po prostu kilku zmyślnych facetów, którzy rozgrzebują ponownie nierozwiązane sprawy. Współczesna technika potrafi zdziałać cuda. Zabezpieczone przed laty ślady biologiczne, niegdyś mało przydatne lub wręcz bezużyteczne, teraz mogą być kluczowym dowodem w postępowaniu. Nie masz pojęcia, ilu sprawców udało się w ten sposób złapać. Trzon to analizy porównawcze DNA, ale nie tylko, również profile psychologiczne przestępców i nowoczesne urządzenia.

– I ujawniają informacje na prawo i lewo? – zakpiłem.

– Mówiłem ci, kontakty trzeba sobie wypracować – odpowiedział niezrażony. – Ja o nie zadbałem. Kilka miesięcy temu policja poprosiła mnie o przysługę. Chodziło o zabójstwo kobiety w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku. Przeprowadzone po dwudziestu latach badanie DNA dało czyste trafienie. Ślady zabezpieczone pod paznokciami zamordowanej należały do jej sąsiada. Facet w osiemdziesiątym ósmym znajdował się w kręgu podejrzanych, ale brakowało twardych dowodów. Gdy go już wytypowano, okazało się, że zniknął. Prawdopodobnie zmienił tożsamość albo wyjechał za granicę. Udało się namierzyć jego rodzinę. Żonę, dzieci, brata i ojca. Z wywiadu wynikało, że był z nimi dość mocno zżyty. Policja wpadła na pomysł kontrolowanej publikacji o zidentyfikowaniu sprawcy zabójstwa sprzed lat. Liczyli na to, że po przeczytaniu artykułu ktoś z rodziny się z nim skontaktuje, wiedząc, że był wtedy zamieszany w sprawę. Naczelną się zgodził, ja napisałem tekst, taki jak chciała policja. Sąd wyraził zgodę na założenie podsłuchów na telefonach najbliższych poszukiwanego faceta i po trzech dniach brat się z nim skontaktował. Po tygodniu zwinęli gościa w Dublinie. Po ekstradycji dostał dwadzieścia pięć lat, a ja wyrobiłem sobie kontakty w wydziale, nie tylko na stopie zawodowej, ale również towarzyskiej. Mam w Letnicy ogródek działkowy po dziadkach, a kilka wspólnych zakrapianych grilli potrafi zdziałać cuda. To aresztowanie było dużym sukcesem policji. Gdy wyszła sprawa z czaszką Magdy, wykorzystałem znajomości. Chłopaki przyspieszyli analizę, bo w takich mało priorytetowych sprawach na wyniki można czekać miesiącami. No i udało się. Jest szansa, że odnalezienie szczątków Magdy doprowadzi policję do zabójcy.

– Dobrze, przyjmuję, że jesteś ustosunkowanym facetem. Ale jak doszedłeś do tego, że to ja zgłosiłem sprawę z czaszką? W gazetach o tym nie pisali.

– To akurat najmniejszy problem. Udało mi się dotrzeć do raportu policji ze Sławina.

– Jasna cholera – zakląłem na myśl, iż byle gość z kontaktami w policji może bez problemu wyciągnąć z akt nazwisko świadka. Poziom mojego poczucia bezpieczeństwa gwałtownie spadł.

– Właściwie z tą czaszką to był przypadek – mówił dalej Zawada. – Kiedy przysłałeś do redakcji maila, przetrzepałem sieć w poszukiwaniu informacji dotyczących zaginięcia Alicji. Na jednym z portali natrafiłem na krótką notkę o aferze w szkole. Mówiłem ci już, na dźwięk nazwy Sławino zapala mi się

lampka. Gdy Sławino pojawia się dwa razy, w dwóch różnych kontekstach o sporym kalibrze gatunkowym, to przed oczami rozbłyskuje mi już dyskoteka. Sam nie wierzyłem, że to mogą być szczątki Magdy Kraśnik. Szanse były minimalne, ale musiałem spróbować. Wiedziałem, że czaszka trafi do Zakładu Medycyny Sądowej, nie było innej możliwości. Według policji najprawdopodobniejszym wytłumaczeniem jej pochodzenia był jeden ze starych grobów na cmentarzu w Sławinie, który pod koniec sierpnia zalała fala powodziowa. Kiedy się okazało, że to czaszka Magdy, musiałem się z tobą spotkać. Ta sprawa może być prawdziwą bombą. Chcę, żebyś mi pomógł ją rozwiązać.

Zawada mierzył mnie wzrokiem z kamienną twarzą. Jego podniecenie uwidocznione podczas naszej rozmowy – a właściwie jego monologu – przerodziło się w nieskrywaną determinację. Człowiek, którego początkowo wziąłem za niepoważnego dziwoląga, okazał się wnikliwym analitykiem. Pytanie brzmiało, czy jego analiza nie wynika ze z góry obranej tezy o istnieniu tajemniczego mordercy młodych dziewczyn? Zaintrygował mnie, ale nie przekonał. W dodatku chciał, abym mu pomagał.

– Jestem nauczycielem, nie detektywem – odparłem. – Mieszkam w Sławinie dopiero od kilku tygodni. Nawet nie poznałem dobrze wszystkich ze szkoły. Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc.

– Najważniejsze, że jesteś w środku. Moim zdaniem szkoła jest w tym wszystkim kluczowym elementem. Z jej terenu zniknęły obie dziewczyny. Do diabła, to nie może być przypadek. Prawdę powiedziawszy, sam dokładnie nie wiem, jak to ugryźć. Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Może zanim cokolwiek wyśledzimy, policja rozwiąże sprawę. W każdym razie chciałbym wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć.

Przyszedłem tutaj, szukając pomocy, tymczasem to ode mnie jej oczekiwano. W sumie i tak tkwiłem w tym po uszy. Dążenie do nagłośnienia sprawy zaginięcia Alicji było jednak zupełnie czymś innym niż rozgrzebywanie sprawy morderstwa. Jeśli dyrekcja dowie się, że maczam palce w czymś podobnym, wylecę ze szkoły z wilczym biletem. Już Laura Mech o to zadba.

– Widzę, że się łamiesz – zauważył i uśmiechnął się delikatnie. – Rozumiem cię, to wszystko brzmi niewiarygodnie, a ty nie dość, że jesteś jedyną osobą, która może przybliżyć nas do prawdy, to jednocześnie jesteś najlepszą, jaka mogła się trafić.

– Co masz na myśli?

– Nie znałeś Alicji, a jednak się nią zainteresowałeś. Kiedy wszyscy olali tę sprawę, ty drażyłeś temat tak długo, aż natrafiłeś na mnie. Nie uważasz, że to zrządzenie losu? Obydwoje mamy dość determinacji, by odkryć, co spotkało tę dziewczynę.

Wychyliłem reszkę piwa.

– Nie masz pojęcia, czym jest moja determinacja – rzekłem.

– Czyżby?

Zawada sięgnął do teczki i wyjął z niej kilka luźnych kartek. Podał mi je. Przeczytałem parę pierwszych zdań i zdębiałem. Spojrzałem na długowłosego, brodatego faceta, próbując odgadnąć, kim, do diabła, tak naprawdę jest.

– Poznałem cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zostawisz tak tej sprawy – mówił spokojnie. – Pewnie się teraz wkurzasz, ale musiałem cię przeświecić. Nie wyjawiam swych planów byle komu, a wierz mi, ta sprawa jest dla mnie bardzo ważna. Wiem, gdzie studiowałeś, pracowałeś, mieszkałeś, wiem, jakie odprowadzasz podatki. Jesteś zwyczajnym facetem po trzydziestce, który nie dorobił się niczego i prawdopodobnie nie przelewa z tego powodu łez. Jednak najważniejsza rzecz, która mnie do ciebie przekonała, znajduje się tutaj. – Z rozłożonych na stole kartek wybrał jedną i położył na wierzchu. Powoli odczytywał zapisane na niej zdania: – Kazimierz Cichy, wiek czterdzieści jeden lat, zaginiony dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku w Gdańsku. Spawacz konstrukcji stalowych, pracownik Stoczni Gdańskiej imienia Lenina. Zaginął po wyjściu z domu. – Zawada odłożył kartkę, ta zaś niesiona przeciągiem spłynęła na podłogę. Zignorowałem to. – Jak widzisz, wiem też o twoim ojcu. Masz do tego typu spraw specjalny stosunek, traktujesz je osobiście i jestem pewien, że nie odpuścisz. Wiesz, co przeżywa jej rodzina. Musisz im pomóc.

Z trudem opanowywałem wściekłość, jaka się wtedy we mnie rozpałała. Miałem ochotę rzucić się na niego z pięściami i obić mu gębę. Zamiast tego zerwałem się z krzesła, chwyciłem kurtkę i ruszyłem do wyjścia.

– Sylwester! – usłyszałem wołanie, ale nie miałem najmniejszej ochoty na

nie reagować. – Zadzwoń, jak ochłoniesz!

Dźwięk jego głosu urwało trzaśnięcie drzwi.

Było dobrze po dziewiętnastej, gdy mijałem fontannę Neptuna. Przyspieszyłem kroku. Zmarnowałem z Zawadą dwie godziny, czas, który mogłem spędzić z rodziną. Zapiąłem kurtkę, bowiem chłodny wiatr silnymi porywami przypominał o panowaniu jesieni. Na szczęście gdy pokonałem Długą, na przystanek podjeżdżał autobus. Siadając na samym końcu, próbowałem nie myśleć o ojcu, który w najgorszym czasie stanu wojennego zignorował godzinę milicyjną, by odebrać od kolegi czerwony wóz strażacki, świąteczny prezent dla swojego trzyletniego syna.

– Śpij, Boberku – usłyszałem, gdy całował mnie tamtego wieczoru na dobranoc.

Gdy się obudziłem, świat wyglądał inaczej.

16.

Grom Sławino pokonał Gryf Brusy trzema golami i awansował tym samym na piąte miejsce w tabeli. Strzeliłem w tym meczu dwie bramki, czym wywołałem aplauz publiczności i nadzieję na wymazanie blamażu sprzed tygodnia. Moja wściekłość, wywołana spotkaniem z Zawadą i wciąż żywa, przełożyła się na agresję na boisku. Facet podszedł mnie jak uczniaka i potraktował tanią psychologią, by wymusić uległość. Cała ta rozmowa była od samego początku wyreżyserowana. Specjalnie odkrywał poszczególne karty w odpowiedniej kolejności, by w konsekwencji zbić mnie asem w postaci informacji o zaginionym ojcu. Do cholery, jak można tak traktować ludzi? Czy na tym świecie zachowanie prywatności jest w ogóle możliwe?

Nie biłem się z przeciwnikami i nie faulowałem ich bez opamiętania, po prostu wkładałem w każdą akcję maksimum sił i umiejętności, by przeczyć niczym czołg na bramkę przeciwnika oraz ich nieco wystraszonego goalkeepera.

– No to mamy gwiazdę – obwieścił w szatni po meczu Adam. – Brawo, Sylwek.

– Dzięki – powiedziałem, próbując uspokoić oddech. – Andrzej dziś świetnie podawał. Bramki to była formalność.

– Wszyscy zagraliśmy dobry mecz – pochwalił nas Szpak. – Zbieramy się, chłopaki. Żona znów mi zmyje głowę za kopanie piłki przez pół niedzieli.

– Leć, leć, słyszę, jak ci dźwięczy łańcuszek – podśmiewał się Andrzej. – My, wolni ludzie, możemy pójść na piwo.

– Powodzenia, wolny człowieku.

Drużyna powoli opuszczała szatnię. Andrzej kiwnął na pożegnanie; wbrew zapowiedziom o chęci gremialnego spożycia browaru spieszył się do domu na jakiś program w telewizji. Zostaliśmy sami z Adamem.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział ksiądz, zawiązując sznurowadło. – Organizuję przy parafii coś na kształt świetlicy. Wiesz, takie miejsce, gdzie dzieci i młodzież mogliby po południu spędzać wolny czas, odrobić lekcje, może coś poczytać. Chodzi głównie o to, żeby pomóc tym, którzy sobie nie radzą w szkole. Wymyśliłem takie dyżury lekcyjne. Codziennie nauczyciel jakiegoś przedmiotu mógłby poświęcić dwie, może trzy godzinki na pozaszkolną pomoc w lekcjach. Coś jakby korepetycje. Pomyślałem o tobie w kontekście języka polskiego.

Fakt, iż ktoś jednak próbuje zrobić coś dla wyrównania szans, był budujący. Niemniej to nie parafia, a szkoła powinna wychodzić z takimi inicjatywami.

– Jasne, możesz na mnie liczyć. Kiedy planujesz ruszyć z tym projektem?

– Do połowy października powinienem zdążyć przystosować salę za zakrystią. Mam duże wsparcie ze strony rodziców, więc robota idzie dość sprawnie. Andrzej zgodził się poprowadzić historię, Basia matematykę. Jeśli ty pociągniesz polski, to może być dla wielu duże ułatwienie.

Spakowałem rzeczy do torby i opuściliśmy szatnię. Zmęczeni człapaliśmy powoli w kierunku wyjścia. Szliśmy przez szkołę; boczne wyjście z sali zostało już zamknięte. Byliśmy prawie przy drzwiach, gdy kątem oka dostrzegłem umieszczony pod sufitem kształt. Stałem jak wryty.

– To kamera? – Podeszedłem bliżej, zadzierając wysoko głowę. Adam podążył moim tropem.

– Monitoring – powiedział. – Jest w całej szkole.

– Jasny gwint. Kto to obsługuje?

– Nie jestem pewien, chyba woźny albo konserwator. Co w tym dziwnego? Z tego, co wiem, wiele szkół posiada coś takiego.

Nie słuchałem go. Pognałem z powrotem na dół. Tak jak myślałem, kolejna kamera wycelowana została na drzwi wejściowe do szatni damskiej i męskiej. Łapała pewnie również pozostałą część przedsionka sali gimnastycznej, z ławką włącznie. Zainstalowana na ciemnym tle znajdujących się przy suficie mocowań, nie rzucała się w oczy. Do cholery, przez przeszło dwa tygodnie kręciłem się w miejscu, próbując nadać sprawie Alicji tempa, podczas gdy wszystko mogło zostać nagrane przez kamery monitoringu. Jak na śledczego wykazałem się wprost genialną intuicją.

Gdy powróciłem do wyjścia, Adam jeszcze na mnie czekał. Wtedy też zdałem sobie sprawę, dlaczego akurat tego dnia dostrzegłem kamerę. Ktoś zdjął grubą zasłonę zdobiącą sąsiadujące z wyjściem okno, co spowodowało, że popołudniowe słońce intensywniej niż zwykle oświetliło górny róg holu.

– Co jest, Sylwek? – Na twarzy Adama ciekawość mieszała się z niepokojem. – Stało się coś?

– Te kamery mogły nagrać Alicję w dniu jej zaginięcia – mówiłem podniecony. – Ktoś powinien to obejrzeć.

– Policja na pewno to zrobiła.

Miał rację. Szkolny monitoring musieli sprawdzić na samym początku. Nie wszyscy byli takimi gamoniami jak ja.

– Zapewne – przyznałem. – Chciałbym jednak się temu przyjrzeć. Myślisz, że da radę wyciągnąć zapis z tamtego dnia?

Adam pogłótkował chwilę, po czym klepnął mnie lekko w ramię.

– Chyba wiem, jak to załatwić – powiedział. – Ufam, że wykorzystasz to w słusznej sprawie.

- Na tyle dobrze chyba mnie już poznałeś.
- Zatem spróbuję, jeśli to pomoże w odnalezieniu Alicji.

Uściskałem w podziękowaniu dłoń Adama, zachodząc w głowę, w jaki sposób ma zamiar zdobyć nagranie monitoringu. W sumie nieważne, liczyło się, bym mógł je przejrzeć i zobaczyć ostatnie chwile, kiedy widziano Alicję żywą.

Wyszliśmy ze szkoły. Zaskoczył nas przybierający na sile wiatr i siąpiący deszcz.

Gdy sprawdziłem ostatni test gimnazjalny, padłem na łóżko z przekrwionymi, szczypiącymi oczami, załamany uzyskanym wynikiem. Katastrofa to delikatne określenie. Jeśli porównać ilość zdobytych przez moich uczniów punktów ze średnią województwa z ostatniego testu, to znajdowaliśmy się poniżej najniższych wartości. Nie wiem, czy młodzież zlekceważyła test, nie uznając próby za prawdziwy egzamin, czy też miała aż takie braki – wiedziałem jednak, że muszę coś z tym zrobić. Powinienem uzgodnić plan z Laurą Mech, ale przy naszych stosunkach postanowiłem się chwilowo powstrzymać. W każdym razie gruntowna powtórka była nieodzowna.

Następnego dnia zadałem wszystkim klasom pracę pisemną w formie rozprawki. Choć na samą myśl o sprawdzaniu tego włosy stawały mi dęba, zdawałem sobie sprawę, że muszą ćwiczyć. W nagrodę usłyszałem jęki niezadowolenia i ciche wzmianki o tyranii.

Podminowany udałem się do biblioteki, by przeszukać Facebooka z nadzieją odnalezienia profilu Alicji. Pudło. Tak jak się spodziewałem, dziewczyna nie marnowała czasu na podobne wynalazki współczesnego świata. Jej był nieco staroświecki, wyalienowany i wykreowany w oparciu o inne wartości. Żyła pisaniem i nową miłością. Była szczęśliwa. Przynajmniej przez tych kilkanaście dni po powrocie z wakacji.

Podczas trzeciej przerwy pełniłem dyżur na piętrze. Ustawiłem się przy grubym filarze, gdzie miałem jako taki widok na szalejących małolatów, z drugiej zaś strony odrobinę ochrony przed wszechobecnym hałasem. Naprzeciwko Andżelika dyskutowała o czymś z dyrektorem Mechem, energicznie gestykułując. Ten uśmiechał się, wtrącając co jakiś czas kilka słów. Gdy dostrzegłem pracę w ich

stronę Laurę, cofnąłem się, by być mniej widoczny. Dyrektorka zwinnie wślizgnęła się pomiędzy rozmawiających, zmuszając Andżelikę do zrobienia paru kroków w tył, zamieniła kilka słów z mężem, po czym obydwój z surowymi minami udali się w kierunku schodów.

Wyraźnie wkurzona Andżelika dostrzegła mnie i podeszła, omijając przy okazji tarzających się po podłodze pierwszoklasistów. Nie miałem siły ani chęci, by ich napominać.

– Widziałem, że nasza pani dyrektor zepsuła ci miłą pogawędkę – rzekłem.

– Stara, wydmuchana rura – skwitowała. – Jest równie urocza jak tutejsze kible. Jakim cudem wytrzymał z nią tyle lat?

– Pewnie się kochają – powiedziałem nieco kpiarskim tonem. – Prawdziwa miłość zniesie wszystko.

– Na pewno, widać, jak za nią przepada. Chciałam staremu sprzedać pomysł z wycieczką językową. Gdyby żonusia się nie wcięła, kupiłby to.

– Wycieczka? – zdziwiłem się. – Nie wiedziałem, żeś taka ambitna.

– Żadna tam wycieczka, po prostu dwudniowy wyjazd dla najlepszych, gdzieś w okolicy. Chodzi o to, aby w tym czasie obowiązywał wyłącznie angielski – wyjaśniła. – Organizowali nam takie wypadki na studiach, to daje świetne rezultaty i przełamuje strach przed używaniem obcego języka. Jeśli powiesz coś po polsku, dajesz fant.

– Pomysł dobry na uniwerku, tu niewykonalny. Szybciej rozbiegną ci się po lasach, niż zaczną gadać w obcym języku.

Andżelika fuknęła obrażona.

– Wiesz co? Mam cię gdzieś. Myślałam, że chociaż ty mnie poprzesz. Żałuję, że ci w niedzielę kibicowałam.

– Naprawdę byłaś na sali? – zdziwiłem się. – No i jak oceniasz nową gwiazdę drużyny?

– Tak sobie.

Odeszła zachmurzona w kierunku pokoju nauczycielskiego. Przerwa miała się ku końcowi. Byłem nieco zaskoczony jej słowami. Kibicowała mi? Myślałem raczej, że uważa mnie za ciamajdę. Może zmieniła zdanie? Może jest szansa na coś więcej niż kilkuminutowe konwersacje w holu? Była piękna i inteligentna, trochę chamowata, ale do zniesienia. Nasz ewentualny związek stanowiłby połączenie ognia z wodą. Była absolutnym przeciwieństwem Eweliny, ale... może właśnie tego potrzebowałem? Porządnego kopa mocnej adrenaliny?

Porzuciłem myśli o romansach. Jak zawsze z jednego niewinnego zdania wyciągałem daleko idące wnioski. Chyba zbyt daleko.

Zakręciłem się, by odszukać Adama, ale okazało się, że tego dnia nie miał w szkole zajęć. Liczyłem na nagranie z monitoringu. Od kiedy dostrzegłem kamery, łudziłem się, iż podpowiedzą coś ważnego, co policja uznała za nieistotne lub przegapiła. Musiało być jakieś racjonalne wytłumaczenie tego zniknięcia.

Wieczorem gnany pragnieniem zszedłem do kuchni. Tak naprawdę szukałem sobie zajęcia; nie mogłem spokojnie wysiedzieć w klaustrofobicznej przestrzeni mojego pokoiku. Zofia siedziała przy stole i przy parującej filiżance herbaty przeglądała jakiś kolorowy tygodnik. Leopold chrapał, opierając głowę o jej kapeć. Nalałem sobie soku i zająłem krzesło obok.

– Nie uwierzysz, jak ci coś powiem – rzekłem, wychyliwszy wcześniej pół szklanki. – Mam z tym ogromny kłopot i chciałbym się w końcu przed kimś wygadać.

Zofia zdjęła okulary. Trwała w oczekiwaniu. Zacząłem od spotkania z Zawadą i jego teorii na temat mordercy ze Sławina i związku Magdy z Alicją. Na końcu powiedziałem o pochodzeniu czaszki. Wywalałem to z siebie jak najgorszy brud, ciążyła mi ta wiedza.

Zrobiło to na niej wrażenie. Co jakiś czas kręciła z niedowierzaniem głową. Gdy skończyłem, zapytała:

– Ten człowiek na pewno jest godny zaufania?

– Nie wiem, praktycznie go nie znam – odparłem. – Ale był przekonujący.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

– Jeśli to wszystko jest prawdą, to zaczyna się robić niebezpiecznie – powiedziała.

– Jeśli jest prawdą.

– Co masz zamiar zrobić? Powinieneś pójść na policję.

– I opowiem im o teorii zwariowanego dziennikarza? Zresztą jego zdaniem policja już się tym zajmuje.

– W takim razie zostaw to im. Tu ludzie niechętnie sięgają do przeszłości, zwłaszcza jeśli jest ona mroczna i niewygodna. Jak zaczniesz rozsiewać opowieści o grasującym psychopacie mordercy, narobisz sobie wrogów.

Miała rację. Opierając się jedynie na przypuszczeniach, sam siebie zaganiałem w kozi róg. Aby działać, powinienem mieć jakiś konkret, punkt zaczepienia, który pozwoliłby na stworzenie planu. Zofia była moją ostatnią deską ratunku.

– Pracujesz w szkole od lat. Może znasz jakieś opowieści, plotki, coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się szalone, a w tych okolicznościach może zyskać nowe znaczenie.

Kobieta pociągnęła łyk herbaty.

– Opowieści narosły tu setki, a plotek tysiące na wszystkie możliwe tematy. Większości nie pamiętam, tak były idiotyczne.

– Chodzi o szkołę. – Nie dawałem za wygraną. – Jeśli przyjmiemy, że śmierć Magdy Kraśnik i zaginięcie Alicji mają jakiś związek, to może zamieszany jest w to ktoś ze szkoły. Ktoś związany z nią przez te wszystkie lata, kto znał obie dziewczyny. Wiele jest takich osób?

Zofia zagłębiła się w kalkulacjach.

– Zdaje się, że Paweł Kalicki pracuje tu od początku. To będzie blisko trzydzieści lat. No i Joasia Struzik – mówiła powoli. – Dyrektor Mech oczywiście. Jest kilka takich osób. Związanemu z regionem nauczycielowi trudno znaleźć gdzie indziej pracę. Uczy dzieci, potem ich dzieci, aż do emerytury. Nie wierzę, by ktoś

taki mógł być mordercą.

– Przez te wszystkie lata żaden nauczyciel nigdy niczym nie podpadł? – Wydawało mi się to nieprawdopodobne.

– Wiesz, plotki były, jak to wśród ludzi. Szkoła to idealna wylęgarnia nieprawdopodobnych opowieści. W takiej małej miejscowości każda głupota pęcznieje w ekspresowym tempie.

– Pomyśl, proszę.

– No cóż, była kiedyś taka jedna sprawa, ale niczego nikomu nie udowodniono ani nawet nikogo nie oskarżono, więc raczej nie ma o czym mówić...

– Zofia, proszę, tu chodzi o życie niewinnych osób.

Wyraźnie biła się z myślami.

– No dobrze, ale pod żadnym pozorem nie wygadaj się, że wiesz o tym ode mnie.

– Słowo.

– To było wtedy, gdy Stasiu Mech ubiegał się o stanowisko dyrektora. Nie pamiętam dokładnie, ale minęło już chyba piętnaście lat. Wtedy ni stąd, ni zowąd gruchnęła wieść o jego rzekomym romansie z uczennicą. Takie właśnie ploty krążą wśród ludzi. Dziewczyna chodziła do maturalnej klasy, a Mech poza szkołą dawał jej prywatnie korepetycje. Podobno te lekcje przeistoczyły się w coś poważniejszego. Wtedy do akcji wkroczyła Laura i sprawa przycichła. Ta dziewczyna, nie znam jej imienia, po maturze wyjechała ze Sławina. No i na tym koniec sensacji.

Słowa Zofii zmieniały obraz Mecha. Stateczny i kulturalny pan dyrektor nie był jednak takim ideałem.

– Cholera. – Próbowałem zebrać myśli. – Twoim zdaniem Mech ma słabość do młodych dziewczyn?

– Sylwester, proszę cię, chciałeś plotek, to ci jedną opowiedziałam, ale nie wysnuwaj na jej podstawie daleko idących wniosków. Nie ma pewności, czy to

wszystko nie jest wymysłem. Nie pamiętam już nawet, kto mi o tym mówił. Zresztą gdyby ta plotka była prawdą, to zapewne przekreśliłaby szanse Mecha na zostanie dyrektorem.

Niekoniecznie, pomyślałem. Jeśli Laura zakręciła się wokół tej sprawy, to mogła w porę opanować zagrożenie. W tamtych czasach ustawienie matury nie stanowiło problemu, wszystko odbywało się w szkole. Dziewczyna w zamian za dobre stopnie mogła obiecać, że będzie trzymać buzię na kłódkę. Skok w bok z pewnością zostałyby mężowi szybko wybaczone. W końcu miał piastować odpowiedzialne stanowisko.

– Jak to dziś między nimi wygląda? – spytałem.

– Między Mechami?

– No.

– Cóż, nie wiem. Chyba dobrze. Prawdę powiedziawszy, nie interesuję się zbyt ich małżeństwem. Mają dom w Sławinie, ale z tego, co wiem, Laura większą część czasu spędza w Lipuszu z chorą matką.

– Mają dzieci?

– Nie i sędzę, że z tego wynika cięty charakter Laury. Jakby niepowodzenie w macierzyństwie odreagowywała gniewem.

– Czyli dyrektor Mech mieszka sam?

– Zdaje się, że tak właśnie jest.

Zofia bagatelizowała sprawę plotki sprzed lat, ale moim zdaniem coś w tym było. Mech nie tylko znał obie dziewczyny, ale jeszcze mógł przejawiać pociąg seksualny do takich młódek. Byłby zdolny do morderstwa? Dyrektor z mocnymi lokalnymi układami mógł czuć się bezkarny. A jeśli Laura mu pomagała? Może znała mroczną tajemnicę i kryła męża, by za wszelką cenę utrzymać go na stanowisku? Dlatego tak się zdenerwowała, gdy przyjechała telewizja. Z tego powodu wykasowała kronikę Alicji z komputera. Chciała zatrzeć wszelkie możliwe ślady. Niepokojąco wiele faktów zaczęło się nagle układać w całość. Może jednak Zawada miał rację.

Nie ciągnąłem dalej Zofii za język, nie chciałem, by wzięła mnie za nawiedzonego łowcę sensacji. Cieszyłem się, że wydusiłem z niej wspomnienie o wysoku Mecha. Mógł to być punkt zaczepienia, którego poszukiwałem.

Pogadaliśmy jeszcze parę minut o fatalnych wynikach trzecioklasistów i moich planach w stosunku do nich, po czym udałem się do pokoju. Nie mogłem zasnąć. Próbowałem sobie wyobrazić, co też gnieździ się w głowie naszego dyrektora.

17.

Nazajutrz w każdej z klas trzecich wytypowałem po dwie osoby do odczytania zadanej rozprawki. W dwóch przypadkach celowo ustrzełem tych samych uczniów, których prace już wcześniej sprawdzałem; chciałem się przekonać, czy wyciągają wnioski z niepowodzeń. Byłem mile zaskoczony tym, co usłyszałem. Robili postępy, choć do stwierdzenia, że jest dobrze albo chociaż przyzwoicie, nadal było daleko. Niemniej odbijaliśmy się od dna. Przynajmniej koncepcyjnie prace lepiej dopracowali. Szkoda, że zostali wzięci w obroty dopiero w ostatniej klasie.

Gdy trzecia B zajęła miejsca, po przywitaniu i sprawdzeniu obecności poprosiłem o przygotowanie zeszytów. Przeszedłem się po klasie, aby zobaczyć, czy wszyscy mają odrobioną pracę domową. Gdy podszedłem do Wilczyńskiego, jego zeszyt był zamknięty.

– Twoja praca domowa – powiedziałem szorstko. – Odrobiłeś?

Chłopak nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

– Znowu się czepiasz? – rzucił opryskliwie. – Kiedy się w końcu odpieprzysz?

– Wstań! – nakazałem.

Wilczyński zbył mnie pogardliwym uśmiechem. Nie ruszył się z krzesła.

– Mówiłem ci już, że gówno mi możesz zrobić.

– Zostawię cię na następny rok – odparłem, próbując zachować spokój.

– Założysz się, cieniasie?

Nie wytrzymałem. Choć podświadomie wiedziałem, że to najgorsze z rozwiązań, chwyciłem chłopaka za kołnierz i siłą wywlokłem z ławki. Krzyczał, jakby obdzierano go ze skóry. Nie mogłem na niego patrzeć. Chciałem wywalić go z klasy i pozbyć się kłopotu. Robiłem dokładnie to, czego zabrania się na wszelkiego rodzaju szkoleniach psychologicznych. Podejście, rozmowa, ukierunkowywanie gniewu – to wszystko bierze w łeb, gdy ma się przed sobą zdemoralizowanego gnojka.

W tym momencie huknęły drzwi i do klasy wparowała Laura Mech. Stała tam dokładnie w chwili, gdy Wilczyński wierzgnął mocno, przez co jego koszula spruła się od kołnierza do połowy klatki piersiowej. Z czerwoną z wściekłości twarzą i ściekającą z kącika ust śliną przypominał postać z taniego horroru.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnęła Laura i rzuciła się w moim kierunku. – Proszę natychmiast zostawić to dziecko! Zwariował pan?!

Sparalizowany puściłem Wilczyńskiego, który runął na posadzkę. Zalał się przy tym krokodylimi łzami; łkał jak mała dziewczynka. Wtedy doszło do mnie, że to teatr. Cholerne wyćwiczone przedstawienie.

Dyrektorka objęła go czule i wyprowadziła do holu.

– Chcę po lekcji widzieć pana w swoim gabinecie! – wypluła z siebie, nim zamknęła drzwi.

W klasie zapadła grobowa cisza. Było mi wstyd, przed samym sobą i przed uczniami. Dałem się sprowokować jak niedoświadczony stażysta. Wiedziałem, że przyjdzie mi za to słono zapłacić.

Gdy wszedłem do gabinetu, Laura Mech nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Grzebała w papierach, jakby konieczność postawienia kilku parafek w rozłożonym na biurku skoroszycie była czynnością niecierpiącą zwłoki. Miałem pewność, że mnie zwolni. Nadarzyła się idealna okazja na pozbycie się niepokornego podwładnego. Wszystko, co mógłbym potem opowiadać na temat państwa Mech, zostanie podciągnięte pod wytworzone z zemsty historyjki sfrustrowanego nauczyciela. Będę kozłem ofiarnym. Moja zniszczona kariera

nikogo tu nie obejdzie, liczy się tylko to, by Wilczyński skończył szkołę.

– Przekroczył pan wszelkie granice – mówiła powoli, jakby delektując się każdą sekundą zwycięstwa. Mierzyła mnie wzrokiem z nieukrywaną pogardą. – Rozmawiałam z rodzicami Artura i powiadomili mnie, że bardzo poważnie rozważają zawiadomienie policji. Czekaloby pana wtedy postępowanie prokuratorskie. Zdaje pan sobie sprawę, na jakie nieprzyjemności narażona jest teraz szkoła?

Szkoła jest bezpieczna. Już ty o to zadbasz.

– Doskonale pani wie, że zostałem sprowokowany – próbowałem się bronić, choć i tak mój los był przesądzony. – Bezczelne zachowanie Wilczyńskiego od samego początku ku temu zmierzało.

– Od tego jest pan nauczycielem, żeby odpowiednio reagować w takich sytuacjach. Bicie uczniów to karygodne rozwiązanie. Generalnie całą naszą współpracę, zaczynając od pierwszego spotkania, oceniam jednoznacznie negatywnie. Liczyłam na podniesienie poziomu nauczania, a nie cyrkowe wybryki.

Nie miałem nic do stracenia. Postanowiłem bronić się możliwie jak najdłużej.

- Czy naprawdę jest pani gotowa poświęcić własną godność i etykę zawodową, by przypodobać się ojcu Wilczyńskiego ? - zacząłem – Liczy się tylko stół dla pani męża?

Twarz Laury przybrała kolor buraka.

– Ta rozmowa utwierdza mnie w przekonaniu, że musimy się rozstać. Jest pan nieodpowiedzialny ponad wszelką miarę.

– Bo mówię prawdę? – ciągnąłem dalej – Przecież wszyscy wiedzą, że dyrektor ma zamiar w przyszłym roku kandydować na stanowisko wójta gminy i przepchnięcie synalka starosty jest ceną za poparcie.

Laura fuknęła jakby od niechcienia, ale w jej oczach widziałem z trudem hamowaną agresję.

– Jesteś żaloszny w tych swoich teoriach spiskowych, chłopcze. Gdybym

wiedziała, jaki z ciebie nieudacznik, na pewno inaczej bym to wszystko poukładała. No cóż, trzeba uczyć się na błędach, a moja nauka jest taka, by trzymać się z daleka od napuszonych, wszystkowiedzących miastowych gnojków, którzy tak naprawdę nie mają za grosz wiedzy i rozsądku.

Postąpiłem do przodu, czym ją wyraźnie zaskoczyłem. Pochyliłem się, opierając dłonie o brzeg biurka. Chyba się przestraszyła. Może myślała, że chcę się na nią rzucić?

– Tylko kariera się dla pani liczy? – spytałem, starając się wydobyć z siebie maksymalnie stanowczy ton. – Wszystko jest temu podporządkowane? Ile rzeczy można dla niej wybaczyć? To dlatego tak skrupulatnie zaciera pani ślady z przeszłości? Ukrywa dawne wysoki męża? Boi się pani, że o kompromitujących faktach mogą się dowiedzieć przeciwnicy polityczni?

Tym razem twarz Laury stała się blada jak papier. To, co usłyszała, było zapewne ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała. Widziałem, jak próbuje coś powiedzieć, ale słowa grzęzną jej w gardle.

– Nie zależy mi na konfliktach i wojenkach kompetencyjnych – zapewniłem. – Chcę w spokoju pracować i dobrze przygotować uczniów do egzaminu. Klasy, które dostałem, prezentują opłakany poziom. Biorę to na siebie, ale mówię po raz kolejny: nie poddam się bez walki. Nie zrobicie ze mnie niezrównoważonego oszołoma. Jeśli przez Wilczyńskiego stracę pracę, wywlekę na światło dzienne wszystko, co wiem o romansach pani męża z uczennicami tej szkoły. A wiem już niemało.

Zagrałem *va banque*. Strzelałem na ślepo, ale mina dyrektorki dowodziła, że celnie.

– To jakieś brednie – powiedziała, ale już bez siły w głosie obecnej jeszcze przed kilkoma minutami.

– Przekonajmy się więc. Proszę mi wierzyć, nie marnowałem czasu przez ostatnie tygodnie. Zaginięcie Alicji Maj pozostawiło sporo znaków zapytania. Dzięki niej poznałem wiele faktów z historii tej szkoły. Kilka kompromitujących ścieżek prowadzi wprost do pani męża.

– To szantaż – oznajmiła, wciąż wyraźnie oszołomiona.

– Ja bym to uznał za samoobronę – odparłem. – Nie jestem z tego dumny, ale nie mam innego wyjścia.

Trwała kilkanaście sekund w milczeniu. Zapewne inaczej wyobrażała sobie tę rozmowę. Liczyła na szybką egzekucję, nie spodziewała się zmasowanego oporu. Wypowiedzenie następnego zdania przyszło jej z wyraźnym trudem.

– Co musi zrobić, żeby zaliczyć semestr?

Oczywiście pytała o Wilczyńskiego. Nie mogłem uwierzyć. Ustąpiła? Tak po prostu? Oczekiwałem kontrataku, tymczasem zamiast ciosu zobaczyłem przeciwnika kryjącego się za gardą. Musiałem trafić w czuły punkt. Sporządzony naprędce bilans zysków i strat nakazał jej ostrożność. Pragmatyzm po raz kolejny wziął górę nad emocjami.

– Zaliczenie sześciu pierwszych tematów – odparłem. – Uzupełnienie zaległych prac domowych i napisanie jednej pracy klasowej. Oczywiście musi przychodzić na lekcje i na bieżąco odrabiać wszystkie zadania.

– A jeśli rodzice wniosą oskarżenie?

– To chyba dla pani nie jest żaden problem?

Po kilkunastu sekundach wydała polecenie:

– Proszę przyjść do mnie na następnej przerwie.

To oznaczało koniec rozmowy. Przynajmniej na tę chwilę. Wychodząc z gabinetu, dostrzegłem siedzącego na ławce Artura Wilczyńskiego, a przy nim odzianego w granatowy garnitur wysokiego, szpakowatego mężczyznę po sześćdziesiątce, zapewne starostę powiatu chojnickiego. Nadzwyczaj szybko się uwinęli. Od zdarzenia w klasie minęło niecała godzina. Mężczyzna stał tyłem i nie dostrzegł mnie, chłopak natomiast nie krył zadowolenia. Na mój widok na jego ustach zagościł ten sam chytry uśmieszek, przez który wpakowałem się w tę całą kabałę.

Wszedłem do toalety i obmyłem twarz zimną wodą. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Próbowałem jakoś to sobie ułożyć, ale nie potrafiłem się porządnie skupić. Jedno było pewne: jeśli tak dalej pójdzie, ta szkoła mnie wykończy, głównie psychicznie. Przyglądając się odbiciu swej twarzy w lustrze nad

umywalką, nabrałem pewności, iż Laura coś ukrywała. Było to na tyle poważne, że ugięła się przed szantażem. Musiała wiedzieć o romansach męża, inaczej nie byłaby tak przerażona. Nie miała pojęcia, ile wiem ani skąd. Pewnie podejrzewa bluff, ale nie zaryzykuje. W tym momencie zasadniczą postacią był Mech. Facet o posturze niedźwiedzia mający słabość do młodych dziewczyn stawał się w tej sytuacji głównym podejrzanym. Musiałem wymyślić sposób na rozgryzienie go. Potrzebowałem wiedzy o wiele rozleglejszej i wiarygodniejszej niż niepotwierdzone plotki.

Gdy po niespełna godzinie zbliżałem się do gabinetu dyrektorki, kolejny raz minąłem Wilczyńskich. Na mój widok przystanęli. Ojciec postąpił naprzód przygotowany do ataku.

– Proszę mi wierzyć, tylko dzięki gorącemu wstawiennictwu dyrekcji nie zawiadomiłem o pana czynie policji – wypalił z wściekłością. – Będę miał pana na oku i jeżeli coś podobnego się powtórzy, wyląduje pan w więzieniu. Obiecuję.

Zdecydowałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie ograniczenie się do zdawkowego skinienia głową. Niech ma satysfakcję z nastraszenia mnie.

Mina młodego Wilczyńskiego nie była już tak harda jak przed godziną. Właściwie biła od niego wściekłość nie mniejsza niż od ojca. Odeszli, zostawiając mnie pośrodku holu. Przechodzący obok uczniowie wbijali we mnie wzrok z zaciekawieniem. Pewnie fama o incydencie w klasie rozeszła się już po szkole i zaczęła żyć swoim życiem.

W gabinecie Laura podała mi kartkę z komputerowym wydrukiem jakiegoś tekstu.

– To pana oświadczenie, iż z końcem obecnego roku szkolnego odchodzi pan z naszej szkoły z przyczyn osobistych – powiedziała. – Pod takim warunkiem udało mi się odwieść pana Wilczyńskiego od mieszkania policji w pracę naszej placówki.

Sprytnie. Chciała zagwarantować sobie spokój i jednocześnie pozbyć się mnie za kilka miesięcy.

– A co z Arturem ? – spytałem.

– W ciągu dwóch tygodni uzupełni braki i zaliczy zaległe klasówki.

Zobowiązał się również do uczęszczania na zajęcia. Mam nadzieję, że to pana uspokoi i zniechęci do popełniania głupstw.

– Naprawdę uważa pani skłonności męża za głupstwa?

Laura rozparła się w fotelu. Niepewność zniknęła z jej twarzy. W głosie dyrektorki pojawiła się utracona na chwilę buta i pogarda.

– Proszę mnie nie rozśmieszać. Nie robię tego z uwagi na pana chore domysły, ale w trosce o dobre imię szkoły. Mój mąż to społecznik z ogromnym bagażem doświadczeń i osiągnięć. Niestety żyjemy w czasach, kiedy najbardziej nawet kłamliwe pomówienie może zepsuć człowiekowi nieposzlakowaną opinię i karierę. Nie pozwolę panu na to.

– A jeśli Wilczyński nie dotrzyma obietnic?

– Wtedy nie zaliczy roku. Proszę to podpisać.

Przeczytałem kilkudzaniową, prostą formułkę. Wiedziałem, że mój okres ochronny skończy się z dniem głosowania. Jeśli Mech wygra wybory, a Laura zostanie dyrektorem, i tak nie będę miał życia w tej szkole.

Podpisałem. Obydwoje wiedzieliśmy, że takie pismo nie ma wielkiej mocy prawnej. W każdej chwili mogłem złożyć następne, zmieniające wcześniejszą decyzję. Niemniej czułem się przegrany. Dzięki wysiłkom Artura Wilczyńskiego moje dni w Sławinie były policzone.

Ten dzień dał mi dostatecznie mocno w kość i najchętniej wykręciłbym się od dwugodzinnego treningu. Niemniej głupio mi było tak po prostu nie przyjść, wiedząc, że chłopaki na mnie liczą. W niedzielę mieliśmy zmierzyć się z aktualnym liderem rozgrywek i z tego, co wiedziałem, Szpak przygotował na tę okazję specjalną strategię.

– Ty chyba, człowieku, na głowę upadłeś. – Andrzej przywitał mnie w szatni, pukając się palcem w czoło. – Chcesz sobie zabagnić karierę przez takiego bałwana? Po cholere dajesz się prowokować? Wiesz, że Laurodont ma cię na oku.

Informacja o moim popisie najwyraźniej obiegła już wszystkich. Nie miałem ochoty na usprawiedliwienia. Machnąłem tylko ręką, zbywając słowa Andrzeja.

– Nie przejmuj się – pocieszał Adam. – Teraz jest nerwowo, ale za chwilę sprawa przycichnie. Będzie dobrze. – Przynajmniej on wykazał się taktem. – Chwila – powiedział, gdy reszta wyszła już na parkiet. – Mam coś dla ciebie. – Podał mi przezroczyste opakowanie z czterema płytami DVD. – Zapis z tamtego dnia, tak jak chciałeś. Widok z kamery przed szatniami oraz z holu, ale proszę cię, Sylwek, nie szarżuj z tym. Wiesz, jaka tu panuje atmosfera. Stefan Białas, który obsługuje monitoring, po godzinach remontuje mi zakrystię. Tylko dlatego, że ma do mnie zaufanie, no i z wdzięczności za robotę, zgodził się zgrać te płyty. Na szczęście nie zadawał zbyt wielu pytań, ale i tak mi głupio. Gdyby dyrekcja się dowiedziała, wyleciałby z pracy. Nie chcę mieć człowieka i jego rodziny na sumieniu.

– Spokojnie, będę bardzo dyskretny – zapewniłem. – Pewnie i tak nie ma tam nic ciekawego. Po prostu muszę to przejrzeć dla świętego spokoju.

– Dobra – rzekł i ruszyliśmy na salę.

Po przeszło półtorej godziny wzmożonego wysiłku byłem całkowicie wypompowany. Szpak zaaplikował nam taktykę totalnej destrukcji, czyli ni mniej, ni więcej przeszkadzanie przeciwnikowi w każdy możliwy sposób, a gdy nadarzy się okazja – atak. Wątpiłem, czy przy takim nastawieniu uda nam się strzelić chociażby jedną bramkę, ale nie miałem siły na dyskusje.

Gdy wyszedłem ze szkoły, zbliżała się dwudziesta. Było już prawie ciemno. Zszedłem schodami i powolnym krokiem skierowałem się znaną już drogą ku domowi Zofii. Zastanawiałem się, które miejsce w hierarchii najgorszych dni mego życia zajmie dzisiejszy? Z pewnością plasował się w pierwszej dziesiątce, a po głębszym namyśle byłem skłonny awansować go nawet do pierwszej piątki.

Zagubiony w rozmyślaniach, nie zwracałem uwagi na to, co się wokół mnie działo. Byłem pewien, że ulica jest pusta. Kilka razy minął mnie samochód, poza tym nie słyszałem żadnych niepokojących dźwięków. W tej części drogi panował mrok; z nieznanых powodów latarnie świeciły dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, przy wylocie ze Sławina. Jedyne nikłe światło padało z okolicznych okien.

Gdy zbliżałem się do budynku, za którym powinienem skręcić w lewo w ulicę Ogrodową, powietrze przeciął delikatny świst. Obróciłem się. Nawet

gdybym dostrzegł lecący w moją stronę kamień, nie byłbym w stanie uskoczyć. Wyłonił się z mroku i gruchnął w ścianę domu, jakieś dwadzieścia centymetrów nad moją głową, po czym upadł z łoskotem na chodnikową płytę, a wraz z nim rozłupane resztki tynku. Zamiast się ukryć przed ewentualnym drugim kamieniem, stałem jak sparaliżowany, próbując dostrzec cokolwiek w mroku. Wydawało mi się, że z drugiej strony ulicy dochodzą odgłosy pospiesznych kroków, ale równie dobrze mógł to być łomot mojego serca. Nogi miałem jak z waty. Przy nich leżał potężny kamlot, który gdyby trafił celu, z pewnością roztrzaskałby mi głowę.

Nie chciałem się odwracać, bo napastnik mógł znów zaatakować; stałem więc pod ścianą w oczekiwaniu na cud. W tym momencie usłyszałem dźwięk silnika. Po chwili obok przejechał samochód dostawczy. Rzucony przez niego snop mocnego światła zalał całą okolicę. Wytężyłem wzrok, ale nie dostrzegłem wokół żywej duszy. W jednej chwili zerwałem się i sprintem pognałem do domu.

Gdy dopadłem furtki, byłem już mocno zziębnięty. Trzęsącą się dłonią, po kilku nieudanych próbach, wcelowałem kluczem w zamek u drzwi i przekręciwszy go, wszedłem do środka. Oparłem się o ścianę i próbowałem uspokoić oddech.

Co to było, do cholery?!

Z pokoju Zofii dobiegał dźwięk grającego telewizora. Obawiałem się, że gospodyni może wyjść, by pogadać, a nie miałem na to najmniejszej ochoty. Wszedłem najciszej, jak umiałem, na górę i dopiero po kilkunastu minutach zacząłem odzyskiwać spokój.

W jakimś punkcie przekroczyłem granicę. To nie był przypadek. Mogłem się wycofać i spokojnie albo brnąć w to dalej i ryzykować życiem. Siedząc wtedy na łóżku, zrozumiałem, że nie dam rady sam tego ciągnąć. Byłem nauczycielem polskiego, a nie śledczym tajniakiem. Miałem na głowie uczniów, egzaminy, program do przerobienia i swoje prywatne życie. Moje zaangażowanie w szukanie Alicji stawało się coraz bardziej zauważalne. Wkrótce mogą pojawić się pytania o motywy, podejrzenia, a nawet próby skompromitowania mnie. Nie byłem przygotowany do walki na wielu frontach. Ten wyjazd miał mi pomóc w powrocie do równowagi. Nie spodziewałem się wielopoziomowych komplikacji.

Podszedłem do okna. Na zewnątrz mrok zawłaszczył całą okolicę. O ile na głównej trasie pojawiały się jeszcze jakieś światła, w tym zaułku najwidoczniej nigdy nie były potrzebne. Ciemność i cisza przykryły ulicę Ogrodową płaszczem izolacji. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było płynące z oddali szczekanie psa.

Może nadal czai się w ukryciu?

Ułożywszy w myślach kilka prostych zdań, chwyciłem komórkę i wystukałem numer. Jedna kreseczka zasięgu dawała nadzieję na połączenie. Zawada odebrał po drugim sygnale.

Część trzecia

Magda

18.

W tym budynku było coś odpychającego i nieprzyjaznego. Pamiętam dziwny dreszcz, jaki mnie przeszedł, gdy po raz pierwszy wspiałem się po stromych schodach na górę. Brakowało tam ducha i specyficznego ciepła związanego z większością placówek oświatowych, które znałem. Duża część z nich z zewnątrz przedstawiała opłakany widok, co wynikało głównie z niedoinwestowania, ale przy bliższym poznaniu zyskiwały i to właśnie atmosfera sprawiała, że chciało się je odwiedzać.

Z Zespołem Szkół w Sławinie było inaczej. Choć pod względem organizacyjnym i reprezentacyjnym trudno było mu cokolwiek zarzucić, to jednak biło od niego chłodem i surowym klimatem. Gdy tylko wchodziłem do środka, myślałem o możliwie jak najszybszym wyjściu. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje? Może to ja byłem od samego początku uprzedzony? Moim zdaniem przyczyna tkwiła w samej idei wybudowania szkoły. Nie dzieci czy edukacja, a prywatne ambicje partyjnego aparaczyka sprawiły, że postawiono ją w najbardziej niedostępnym miejscu w Sławinie. To nie miała być szkoła w ogólnym tego słowa znaczeniu, a kolejny PRL-owski pomnik, podobnie jak większość wytworów tamtej epoki niedopracowany i niepraktyczny. Tej szkoły po prostu nie dało się lubić.

A samo wzgórze? Cóż, czytałem trochę o nim. Zofia pożyczyła mi przewodnik po tej części Kaszub. Dowiedziałem się, że komin, który nadal wystaje spoza drzew obrastających wzgórze od strony południowej, to pozostałość starej, przedwojennej cegielni rodziny Narloch. Znacjonalizowana po wojnie, działała jeszcze przez kilka lat, po czym odcięta od dostaw materiałów, została zamknięta i rozebrana po kawałku przez okolicznych mieszkańców. W latach głębokiej komuny każdy skrawek cegły przydawał się do budowy własnych domów. Widocznie komin był trwalszy od reszty, skoro ostał się do dzisiejszych czasów.

Jedyne, co na czubku Kominowego Wzgórza sprawiało mi przyjemność, to podziwianie widoku rozlewającego się dziesiątkami hektarów Pojezierza Kaszubskiego. Szczególnie pięknie prezentowało się Jezioro Sławińskie z obrosniętymi sitowiem brzegami, ośrodkami wypoczynkowymi zachęcającymi rozsianymi w zieleni domkami i drewnianymi pomostami, wyznaczającymi

jednocześnie w sezonie strzeżone kąpieliska. Na środku dumnie prezentowały się dwie wysepki. Mniejszą nazywano Ptasią i stanowiła niezagospodarowany teren Parku Krajobrazowego, większa natomiast, zwana Brzozowym Rajem, była miejscem częstych biwaków i punktem odpoczynku głównie dla kajakarzy. Postanowiłem, że jeśli dotrzmam w Sławinie do lata, to wypożyczę kajak i wybiorę się na samotną wycieczkę. W jednym z kiosków widziałem nawet mapkę z trasami turystycznymi i zaznaczonymi przesmykami łączącymi poszczególne jeziora. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. W moim przypadku przewidzenie przyszłości, nawet nie tak odległej, było niezwykle trudne. Wstąpiłem na drogę bez powrotu, a każdy kolejny dzień wydawał się większym wyzwaniem od poprzedniego.

Karol Zawada przyjechał do Sławina dzień po moim telefonie. Wiedział, że zadzwonię, co do tego nie miałem wątpliwości. Kwestią było, ile czasu mi zajmie przełamanie się. Umówiliśmy się w Muchomorze. Nie chciałem wplątywać Zofii w moje sprawy, mogłaby mieć z tego powodu nieprzyjemności.

Siedziałem wieczorem przy stoliku, popijając piwo i oczekując nadejścia długowłosego brodacza. Może dlatego zignorowałem zbliżającego się do mnie lekko kuśtykającego, krótko przystrzyżonego, wysokiego mężczyznę w czarnej sztruksowej marynarce. Dopiero gdy powiedział: „cześć”, dokładniej mu się przyjrzałem.

– To ty? – Nie mogłem uwierzyć. Metamorfoza była szokująca.

– Spodziewałeś się smoka wawelskiego? – zażartował, siadając obok. – Czy facet w moim wieku nie ma prawa porządnie wyglądać?

Ogolony, z doprasowaną jasnoniebieską koszulą, w niczym nie przypominał rockersa z gdańskiej knajpy. Okrągłe lenonki zostały zastąpione przez okulary w eleganckich, prostokątnych oprawkach.

– Myślałem, że włosy i broda to twój znak rozpoznawczy.

Tylko się uśmiechnął, choć ręka odruchowo powędrowała w stronę podbródka, najwyraźniej w poszukiwaniu obfitego zarostu.

– W takim razie być może nie chcę zostać rozpoznany – odpowiedział. – Co tam u ciebie? Ochłonałeś trochę?

Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, pytanie było co najmniej nie na miejscu.

– Jeśli masz na myśli mojego ojca, to nie bardzo – odparłem. – Ale jak ci wczoraj mówiłem, sprawy zaszły za daleko. Do cholery, ktoś próbował rozwalić mi łeb kamlotem.

Podeszła kelnerka. Karol zamówił sok porzeczkowy i chipsy. Kolejne zaskoczenie. A co z przechylanymi hurtowo szklankami piwa?

– Może to ten gnojek? – spytał, gdy dziewczyna odeszła. – Pewnie byłby do tego zdolny.

– Też o nim myślałem. Kilka godzin wcześniej dobiłem w jego sprawie targu z dyrektorką, co go wyraźnie rozjuszyło. Gdybym się usunął, miałby święty spokój.

– Ale?

– Ale coś mi mówi, że to zbyt proste wytłumaczenie. Wilczyński wbrew pozorom nie jest skończonym idiotą, dobitnie się o tym przekonałem. Cała szkoła wie o ostrym konflikcie pomiędzy nami. Gdyby w dzień awantury ktoś rozwalił mi głowę, stałby się głównym podejrzanym i policja na pewno wzięłaby go w obroty. Z takiego szamba nawet tatuś by go nie wyciągnął.

– Czyli ktoś chciał wykorzystać okazję, by za jednym zamachem pozbyć się ciebie i zrzucić winę na chłopaka?

– To wydaje się najlogiczniejszym wyjaśnieniem.

Zawada przetrwał w ciszy otrzymane informacje. Kelnerka postawiła przed nim sok i chipsy. Zignorował je. Knajpa była wypełniona w połowie. Unoszący się we wnętrzu gwar skutecznie zagłuszał dochodzące z głośników dźwięki najnowszego hitu nieznanej mi gwiazdy pop. Jedyne, co mnie denerwowało, to wszechobecny smród dymu papierosowego.

– Mielibyśmy kolejną prawidłowość – odezwał się w końcu

– Co masz na myśli?

– Nasz sprawca próbuje się maskować, kierując podejrzenie na inne osoby.

Tak zrobił z zakrwawionym prętem, który podrzucił w szopie chłopaka Magdy Kraśnik.

– To było ćwierć wieku temu. Nie za szybko wyciągasz wnioski? – Miałem wrażenie, iż Zawada próbuje pospiesznie łączyć poszczególne elementy układanki w taki sposób, by tworzyły z góry oczekiwany obrazek. – To jednak trochę różne sprawy.

– Niekoniecznie – odparł. – Sprawdzone rozwiązania są najlepsze. Myślisz, że tutejsza policja bawiłaby się w skrupulatne dochodzenie? To nie serial CSI. Podejrzenie syna starosty o próbę zabicia nauczyciela wywołałoby wystarczająco wiele zamieszania, by rozmydlić inne wątki.

Może miał rację. Co by nie mówić, patrzył na to okiem obserwatora z zewnątrz. Na chłodno analizował fakty, mógł dostrzegać więcej oczywistych rzeczy. Poza tym miał doświadczenie, w końcu był dziennikarzem śledczym.

– Czyli co? Drugi trop to państwo Mech – powiedziałem, wyraźnie ścisząc głos. Nie chciałem, by ktokolwiek usłyszał, że dyskutuję o dyrektorze i jego żonie z nieznanym. – To im najbardziej zależało za skórę. Zobaczyłbyś minę Laury, gdy wyciągnąłem sprawę romansów jej męża. Zdębiała, chociaż trudno mi ją sobie wyobrazić, jak czai się w mroku z kamieniem w ręce.

– Zdesperowani ludzie są zdolni do wszystkiego. To na razie nasz jedyny punkt zaczepienia – potwierdził. – Świetnie to rozegrałeś, sam bym lepiej tego nie wymyślił. Mechowa swoją reakcją potwierdziła prawdziwość plotek. Podejrzenie dyrektora o zabawianie się z małolatami to jednak jeszcze zbyt mało. Nie mam pewności, ile tych dziewczyn było, no i czy były niepełnoletnie. Klasa maturalna to jednak już dziewiętnastolatki.

– Alicja miała niespełna szesnaście – wtrąciłem.

– Może rajcują go coraz młodsze? Trzeba się temu bliżej przyjrzeć. Nie mamy pojęcia o skali jego zainteresowań.

– Naprawdę uważasz, że Mech zrobił coś tym dziewczynom? – Nie mieściło mi się to w głowie. Teoria wydawała się absurdalna. A już całkiem karkołomnie przedstawiała się wizja Laury Mech przemycającej się wieczorami zaciemnionymi zakamarkami, w nadziei na ustrzelenie niepokornego podwładnego. – Ta, o której mówiła Zofia, podobno wyjechała. Nic jej nie zrobił. Trochę to się nie trzyma

kupy.

– Masz lepszy pomysł? Na razie to jedyny trop.

Racja. Jak dotąd wszystko, co ujrzało światło dzienne, wskazywało na Mechów.

– Co zatem robimy? – spytałem zniecierpliwiony.

Zawada spokojnie przedstawił swój plan.

– Wynająłem pokój w pensjonacie dwa kilometry od Sławina. Wziąłem urlop w redakcji i zostanę tu dwa tygodnie. Przez ten czas przyjrzymy się bliżej Mechowi. Warto sprawdzić, co porabia poza szkołą. Spróbujemy zidentyfikować dziewczynę, z którą rzekomo miał romans. Może uda się do niej dotrzeć. Musimy też rozszerzyć bazę danych o Magdzie Kraśnik. Trzeba odnaleźć jej znajomych sprzed lat, rodzinę. Może ktoś widział, jak Mech się do niej dobierał?

Wszystko dokładnie przemyślał. Tych kilka dni od naszego ostatniego spotkania musiał spędzić na analizowaniu sprawy. Zmiana wyglądu i przyjazd do Sławina dowodziły, że wiąże z naszym dochodzeniem duże nadzieje. To, co do mnie jeszcze nie docierało, on uznawał za pewnik. Był przekonany o istnieniu w okolicy aktywnego mordercy, który w dodatku zdaje sobie sprawę, że może zostać zdemaskowany.

– Świetnie. – Poczulem przypływ entuzjazmu. W końcu nie byłem zdany wyłącznie na siebie. Zawada dawał silne oparcie i wyraźnie przejmował inicjatywę. To dobrze, bo kończyły mi się już pomysły na skuteczne rozgrzebywanie sławińskich tajemnic.

Następnego dnia umówiliśmy się przy głównej drodze wylotowej na Chojnice. Lekcje skończyłem o wpół do drugiej i postanowiłam zaaplikować sobie półgodzinny spacer. Choć słońce ukryło się za chmurami, było dość ciepło. Szedłem niespiesznie poboczem, tylko pozornie spokojny, bowiem skrywany głęboko lęk kazał mi co jakiś czas oglądać się za siebie, by sprawdzić, czy nie podąża za mną napastnik z kamieniem w ręku. Droga przechodziła w sąsiedztwie domu Alicji. Powoli się do niego zbliżałem. Zastanawiałem się, czy w sercu Wiesławy Maj pozostała jeszcze jakaś nadzieja. Minął miesiąc od zniknięcia

dziewczyny i doprawdy trudno było zdobyć się choć na iskierkę optymizmu.

Po mojej wizycie sprzed trzech tygodni widziałem ją jeszcze tylko raz. Kilka dni temu była w szkole, by porozmawiać z księdzem Adamem. Wiedziałem, że robi wszystko, by podtrzymać kobietę na duchu. Skorzystałem z okazji i oddałem jej zapiski Alicji oraz opowiadania. Wcześniej wszystko skopiowałem. Moje słowa pocieszenia odbiły się od niej jak oceaniczne fale od skał wulkanicznych wysp. Zapewne uodporniła się już na zapewnienia o szczęśliwym zakończeniu. Zofia mówiła, że w przygarbionej, wychudzonej kobiecie o szarawej twarzy i nieobecnym spojrzeniu nie poznaje dawnej przyjaciółki.

Gdy zbliżyłem się do tablicy z nazwą miejscowości, zza pleców dobiegł mnie nagły pisk opon. Oskoczyłem przestraszony, niemalże wpadając w zarośla zarastające pobocze. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem ciemnozielonego suzuki grand vitara. Za kierownicą terenówki siedział Karol Zawada. Machnął do mnie ręką, zapraszając do środka. Auto wyglądało na wysłużone. Musiało mieć około dziesięciu lat. Nie wykluczone, że startował nim w jakichś amatorskich rajdach terenowych, bowiem na drzwiach widniała naklejka automobilklubu 4x4, a w tylnej części znajdowało się kilka solidnych wgnieceń karoserii i cała kolekcja rys.

Z obawą okrążyłem pojazd i otworzyłem drzwi od strony pasażera.

– Cześć pracy. – Karol zsalutował, będąc wyraźnie w dobrym humorze.

– Cześć – odparłem. – Zawsze tak ostro jeździsz?

– Zawsze, zawsze – powiedział prześmiewczo.

Wsiadłem. Jechaliśmy kilka minut, rozmawiając o zaletach tutejszego klimatu. Zawada aż piał z zachwytem nad tym, jak dobrze spał tej nocy. Musiałem przyznać, że od kiedy przeprowadziłem się do Sławina, pomimo licznych problemów, jakie mnie tu spotkały, również dobrze sypiałem. Budziłem się o wpół do szóstej rano, rześki i wypoczęty jak nigdy.

Gdy zjechaliśmy z głównej drogi, naszym oczom ukazał się dwupiętrowy budynek opatrzony rzeźbionym w drewnie szyldem Pensjonat u Bobrów. Podjazd wyłożony był kostką brukową, co kompletnie nie pasowało do sielskiego, wiejskiego wizerunku pensjonatu. Karol zaparkował obok wysokich donic z różnokolorowymi kwiatami. Po prawej stronie straszyla rozpadająca się stodoła,

pozostawiona być może w ramach atrakcji dla gości z miasta.

– Witaj w centrum dowodzenia – rzucił Zawada, wychodząc z auta.

– Ładnie tu – przyznałem. – I cicho. Jak to znalazłeś?

– W internecie. Nie masz pojęcia, ile jest wolnych kwater w tym rejonie.

Ich właściciele obniżali zapewne ceny pod koniec sezonu w nadziei na jakikolwiek zarobek przed czekającymi ich miesiącami jesienno-zimowej posuchy.

Zawada wyjętym ze spodni kluczem otworzył drzwi wejściowe. Ruszyliśmy na piętro. Karol zajmował pokój numer pięć.

– Ktoś jeszcze tu mieszka? – spytałem.

– Chyba jakieś starsze małżeństwo pod trójką – odparł. – Ale mogli już dziś wyjechać, nie widziałem samochodu.

Pokój był niewielki i przytulny. Można powiedzieć pensjonatowy standard za pięćdziesiąt złotych za dobę. Przy oknie stało podwójne łóżko, pod ścianą drewniana szafa, w rogu komoda, a na niej czternastocalowy telewizor z pokojową anteną. Była też łazienka z prysznicem i toaletą. Czego więcej może chcieć niewybredny wczasowicz?

Elementem, którego się nie spodziewałem, był stojak z tablicą. Właściwie jej namiastką, którą można nabyć w marketach i większych sklepach papierniczych.

– Będziesz prowadził wykład? – zażartowałem. – Wierz mi, mam dość tego rekwizytu na co dzień.

– Bez obaw, to mój pomysł na uporządkowanie posiadanych informacji.

– Aha.

Zdjąłem buty i rozłożyłem się wygodnie na przykrytym kocem łóżku. Z łazienki dobiegł mnie przytłumiony głos.

– Próbowałem dziś sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem na jakichś wczasach. – Zawada starał się przekrzyczeć szum wody wlewanej do

czajnika. – I wiesz co? Chyba piętnaście lat temu. Uwierzysz? Pojechałem z żoną do Zakopanego. Piętnaście lat? – dziwił się. – Jak ten czas zapiernicza.

Żona? Nie dopytywałem, choć po tym, jak mnie prześwietlił, miałem prawo domagać się rewanzu. Opuściłem, licząc, że sam się otworzy.

Zawada zalał wodą dwa kubki z kawą, nie pytając nawet, czy mam na nią ochotę. Przyjąłem czarną niczym z diabelskiego kotła ciecz i po jednym łyku byłem w stu procentach przekonany, iż nie mam najmniejszej ochoty na następny. Dziennikarz postawił swoje naczynie na stoliku, po czym podszedł do tablicy i grubym mazakiem wyrysował na niej poziomą linię zakończoną strzałką, a następnie kilkunastoma pionowymi kreskami podzielił ją na krótkie odcinki.

– Oś czasu ? – zgadywałem.

– Bingo!

To nie było trudne. W większości podręczników, głównie historii, ale również języka polskiego, autorzy za pomocą osi czasu próbowali w przystępny sposób tłumaczyć uczniom chronologię poszczególnych zdarzeń. Przy pierwszej kresce Karol wpisał „rok 1985”.

– Wtedy zginęła Magda – wytłumaczył, po czym odliczył dwadzieścia cztery kreski, przy ostatniej wpisując „rok 2009 – Alicja”.

Zastanawiałem się, co więcej ma zamiar odnotować, właściwie na tych dwóch datach kończyła się nasza wiedza. Trochę chyba przedobrzył z tą osią.

– Kiedy Mech został dyrektorem? – spytał.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku.

Karol zaznaczył tę datę pomiędzy już istniejącymi.

– Mówiłeś, że afera z romansiem Mecha wybuchła przed jego wyborem na dyrektora.

– Tak twierdzi Zofia.

– Dobra. – Od kreski poprzedzającej „rok 1995” pociągnął strzałkę w dół.

Przy grocie napisał „dziewczyna-kochanka?”. – Potrzebna nam lista nauczycieli pracujących w szkole dłużej niż dwadzieścia pięć lat – zawyrokował. – Mogą być ważnymi świadkami.

– Skombinuję – zapewniłem. – Ale daj mi dzień, dwa. Na dyrekcję nie mam co liczyć, muszę jakoś dyskretnie wypytać kolegów.

– Spróbuj też zasięgnąć języka o upodobaniach Mecha i o tej dziewczynie. Jeśli kiedyś wybuchła jakaś afera, to tak szybko nie ucichła. W małych miejscowościach nie krzyczy się o tym na ulicach, ale komentuje przy kawce wśród sąsiadów. Niektórzy zapewne do dziś o tym od czasu do czasu wspominają.

– Trochę przeceniasz moje możliwości. – Musiałem uspokoić szarżę Karola. – Jestem tu nowy, nikt nie otworzy się przede mną na tyle, by wypaplać tutejsze tajemnice. Poza tym jak mam to zrobić? Myślisz, że ludzie tak ni stąd, ni zowąd będą chcieli ze mną gadać o przewinieniach jednej z najbardziej wpływowych osób w okolicy? Chyba zwariowałeś.

– A ci twoi koledzy od piłki?

– To tylko znajomi. Lepiej znam Andrzeja, bo razem pracujemy, resztę widuję tylko na treningach i meczach. Zresztą wątpię, by cokolwiek wiedzieli. W większości pracują w szkole od kilku lat.

– Musi być jakiś sposób, by wyciągnąć te informacje.

W pokoju zapadła cisza. Obydwoje gorączkowo szukaliśmy rozwiązania. W pewnym momencie przyszedł mi do głowy pomysł.

– Moglibyśmy spróbować obejść temat...

– Co masz na myśli? – Zawada wyraźnie się zainteresował.

– Zofia twierdzi, że wyskok Mecha miał miejsce przed objęciem przez niego funkcji dyrektora, czyli w roku szkolnym dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć. Gdybyśmy dotarli do list uczniów klas czwartych tamtego rocznika, mielibyśmy już pewną bazę. Klas pewnie było ze cztery, czyli około stu dwudziestu uczniów, w tym przypuścimy dziewczyn jedną trzecia, lub nawet mniej. Wtedy były wyłącznie kierunki techniczne. To daje trzydzieści osób. Jeśli mielibyśmy dodatkowo arkusze ocen tamtych klas, to moglibyśmy wyeliminować

dziewczyny, które dobrze się uczyły i nie potrzebowały korepetycji Mecha ani pomocy na maturze. Myślę, że dalibyśmy wtedy radę ograniczyć krąg poszukiwań do kilku osób.

Zawada klapnął na łóżko.

– Jesteś geniuszem – sapnął, będąc wyraźnie pod wrażeniem. – Marnujesz się na tej wsi.

– Przesada. – Zbyłem jego reakcję machnięciem ręką, choć czułem dumę ze swego pomysłu.

– Skoro już wpakowałeś się w tę kabałę, na twoich barkach zostawiam załatwienie list uczniów i arkuszy ocen.

Przystałem na to. Arkusze znajdowały się w ogólnodostępnym archiwum. Część powinna być zdigitalizowana. W razie czego zapytam Andrzeja.

– Przyjrzyjmy się teraz twojej najnowszej zdobyczy.

Karol wyjął spod łóżka torbę i wyciągnął z niej laptopa, którego ustawił na stoliku. Podąłem mu otrzymane od Adama płyty i przeniosłem się z łóżka na krzesło obok, skąd dobrze widziałem siedemnastocalowy ekran marki Toshiba. Zawada włożył pierwszą płytę do stacji dysków i odpalił odtwarzanie. Na ekranie pojawił się obraz holu głównego z godziny siódmej jedenastego września. Szkoła była wtedy jeszcze pusta. Karol przewinał klatki. Kwadrans przed ósmą szkołę zaczęli zalewać uczniowie. Nagranie kończyło się o jedenastej. Dalsza część znajdowała się na następnej płycie. Kolejna kamera rejestrowała widok na szatnie przed salą sportową. Na płycie zawierającej przedział czasowy pomiędzy siódmą a jedenastą nie dostrzeżliśmy niczego interesującego. Gdy Karol włożył do komputera trzecią płytę i ustawił projekcję na godzinie trzynastej, naszym oczom ukazała się sylwetka Alicji Maj.

19.

Gdy oglądałem siedzącą na ławce dziewczynę, przeszedł mnie dreszcz. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na zaginioną w zaświatach duszę, która co jakiś czas nawiedza świat żywych, by przypomnieć o swym nieszczęściu. Działo się tak, choć widziałem już nagranie z monitoringu dzień wcześniej. Niestety było marnej jakości. Sprzęt, jakim dysponowała szkoła, to technologiczny dinozaur. Został

zamontowany przed siedmioma laty, ale już wtedy musiał być odchodzącą generacją. W świecie procesorów, chipów i obwodów drukowanych kilka lat to epoka.

Karol wpatrywał się w ekran jak zahipnotyzowany, choć praktycznie nic się na nim nie działo. Alicja siedziała na ławce przed salą gimnastyczną, podczas gdy pozostałe dziewczyny udały się już na zajęcia sportowe. Poszperała w plecaku, po czym wyjęła książkę i pogrążyła się w lekturze. Była godzina trzynasta dziesięć. Po pięciu minutach zamknęła książkę, chwyciła plecak i szybkim krokiem opuściła teren szatni. Karol wymienił płyty w odtwarzaczu. Kolejne nagranie zawierało zapis z kamery na głównym holu. Alicja zmierzała w kierunku wyjścia. O trzynastej opuściła szkołę.

– Rozumiesz coś z tego? – spytałem.

– Za diabła – odparł. – Co jej nagle strzeliło do głowy? Przypomniała sobie o czymś?

– Możliwe.

Karol odtworzył nagranie jeszcze raz.

– A może to, co czytała, na coś ją naprowadziło? Nagłe złe wspomnienie? Co to za książka? – Karol próbował powiększyć obraz książki, którą Alicja trzymała w ręce, ale wyszła z tego ciemna plama. – Na tym sprzęcie nie damy rady więcej zobaczyć – oznajmił.

Prawdę powiedziawszy, od początku byłem sceptyczny co do przydatności nagrania. Inaczej już dawno skorzystałaby z niego policja. Oglądając je, zapewne doszli do podobnych wniosków.

Karol wstał i uchylił w pokoju okno. Zalało nas przyjemne, rześkie powietrze.

– Prześlę płytę kumplowi, zna się na tym lepiej ode mnie. Może uda mu się wyczyścić obraz.

Miałem wrażenie, że i on nie bardzo wierzył w przydatność tych nagrań. Poznałem go jednak na tyle, by wiedzieć, że nie zaznałby spokoju, gdyby nie wykorzystał wszystkich możliwych narzędzi.

Po szesnastej opuściliśmy pokój w Pensjonacie u Bobrów. Zawada najwyraźniej nie miał zamiaru marnować ani chwili z poświęconego śledztwu urlopu. Jechaliśmy samochodem kilka minut w milczeniu, by ponownie przekroczyć granicę Sławina. Nie skręciliśmy do centrum, o ile można nim nazwać kilkanaście sklepów i rynek, ale trzymaliśmy się głównej trasy, aż dotarliśmy do wylotówki na Gdańsk. Odbijała od niej w lewo słabo utwardzona, wyboista droga. Suzuki wjechało w nią z impetem i tylko dzięki zapiętym pasom nie wyrznięłam głową w dach.

– Nie możesz zwolnić? – Zirykowałam się. – Mózg obija mi się o czaszkę.

– Spokojnie.

Auto zwolniło. Po prawej stronie ukazał się las, który dalej przeobrażał się w całkiem spory las. Po lewej pojawiły się pierwsze zabudowania. Domy wydawały się nowe, najwyżej kilkuletnie. Parterowe bungalowy ogrodzono zwykłą stalową siatką. Od frontu rosły kilkudziesięciocentymetrowe tuje, które misję odseparowania mieszkańców od drogi spełnią dopiero za parę lat. Następnie minęliśmy dwa gospodarstwa z rozpadającymi się zabudowaniami, by po chwili dotrzeć do wolnej polaci zarośniętej wysoką trawą i chwastami. Las po prawej zagęścił się.

– To powinno być gdzieś tutaj... – Zawada wydawał się zdezorientowany. Stanęliśmy. Wyjął mapę i zaczął ją studiować.

– Chyba tam. – Wskazał przed siebie i ponownie ruszył.

Puste przestrzenie szybko się skończyły. Tym razem drzewa szczelnie wypełniały oba pobocza zwężającej się drogi, tworząc zielony korytarz. Ten prowadził nas przez kilkaset metrów, po czym wypłuł na asfaltową szosę prowadzącą do okazałego dwupiętrowego domu. Z naszej pozycji widzieliśmy tylko jego górną część, bowiem do wysokości około dwóch metrów zasłaniał go gęsty żywopłot.

– Dom Mechów? – powiedziałem z mimowolnym zachwytem, bowiem budynek przypominał raczej rezydencję, a właściwie stylowy dworek. Żywopłot przycięty był równiutko do poziomu bramy, która teraz zatrzaśnięta przypominała most zwodzony strzegący bezpieczeństwa zamku.

Zawada minął ją powoli i trzymając się drogi, jechał dalej. Po dwudziestu, może trzydziestu metrach wyłonił się kolejny budynek, o wiele mniejszy i wyraźnie zaniedbany. Oplatała go porzewiała siatka obrośnięta wszelkim możliwym zielskiem. Dalej był jeszcze jeden dom, z pewnością niezamieszkały, bowiem duża część dachu została rozebrana, przez co w miejscu, gdzie powinny znajdować się dachówki, straszył ogromną dziurą. Tam asfaltówka się urywała i zastępowało ją prowadząca poza drzewa leśna droga. Zawada zawrócił samochód.

– Przecież to całkowite odludzie – zauważyłem. – Kto chciałby mieszkać w środku lasu?

– Może ktoś, kto ma coś do ukrycia.

Kilka metrów przed bramą domu Mechów Karol zjechał z asfaltowej szosy w ciągnącą się w przeciwną stronę, ledwo widoczną, leśną ścieżkę, co w kabinie pojazdu wywołało kolejną falę wstrząsów i niekontrolowanych podskoków. Ominęliśmy kilka drzew, falując na korzeniach, po czym naszym oczom ukazało się dość strome wzniesienie.

– Z prawej powinniśmy dać radę – zdecydował Karol, gmerając przy sąsiadującej z drążkiem zmiany biegów wajsze.

Ktoś mi później wytłumaczył, że vitara podobnie jak inne samochody terenowe posiada blokadę mechanizmu różnicowego, co dla laika brzmi jak punkt dekalogu operatora koparki, w konsekwencji jednak pozwala pojazdowi na sprawne pokonywanie stromych podjazdów. Niemniej wtedy poważnie się zaniepokoiłem. Prawą ręką uwiesiłem się na uchwycie pod sufitem, co nie wiedzieć czemu miało zapewnić mi bezpieczeństwo. Auto pokonywało przeszkodę powoli; w pewnej chwili przechyliło się niebezpiecznie, co sprawiło, że serce podskoczyło mi do gardła. Nie chciałem wyjść na panikarza, ale wydawało mi się, że zaraz runiemy na bok i zsuniemy się na drzewo. Tymczasem samochód nad wyraz dobrze poradził sobie z przeszkodą. Wprawa Karola w pokonywaniu podobnych trudności była widoczna. Po zakończonym sukcesem podjeździe suzuki okrążyło sosnę i stanęło frontem do domu Mecha. Znajdowaliśmy się około dwudziestu metrów od bramy i dwa metry nad poziomem żywopłotu.

Z tej perspektywy budynek był o wiele lepiej widoczny, choć częściowo zasłaniały go drzewa. Naszym oczom ukazał się wyłożony ozdobną kostką podjazd i stylowy ogród, którego zwieńczenie stanowiła drewniana altanka okolona krzewami róż. Jasna elewacja budynku kontrastowała z zielenią lasu.

– Skąd wiedziałeś, że to tutaj? – zdziwiłem się, choć sam dałem mu adres Mechów, który dostałem od Zofii. W końcu to nie była żadna tajemnica. Niemniej nie miałem pojęcia, że Brzozowa 3 to miejsce w samym środku lasu.

Zawada odpiął pas i odsunął fotel, przez co mógł przybrać wygodniejszą pozycję. To zapowiadało dłuższy postój.

– Byłem dziś w gminie – wyjaśnił. – Powiedziałem, że interesują mnie działki budowlane w tej okolicy i plany zagospodarowania terenu, a przy okazji podpytałem trochę o tutejsze klimaty. Niektóre z pań są nad wyraz gadatliwe. Dowiedziałem się, że te budynki wraz z całym terenem należały kiedyś do Lasów Państwowych. W latach siedemdziesiątych postawiono je z myślą o najwyższych władzach partyjnych, które w zaciszu przyrody kaszubskiej miały latem odpoczywać, a czasem w tajemnicy przyjmować zagranicznych gości z zaprzyjaźnionych krajów. Taki rządowy ośrodek wczasowy. Po osiemdziesiątym dziewiątym roku podupadły, nikt nie miał głowy ani pieniędzy, by się nimi zajmować, tym bardziej że sprawa własności nie była całkowicie jasna i rozstrzygała się w sądzie. W końcu Lasy Państwowe w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku wystawiły budynki w przetargu na sprzedaż. Wtedy dom kupili Mechowie. Dwa pozostałe trafiły w ręce jakiejś firmy z Warszawy, która chciała otworzyć tu ośrodek wypoczynkowy, ale od razu spotkała się ze sprzeciwem nowych sąsiadów. Pomysł został skutecznie storpedowany i ugrzązł w urzędniczej poczekalni. Dla Mechów, a zwłaszcza Laury, takie załatwienie sprawy to zapewne żaden problem. Firma w międzyczasie splajtowała, a właściciele i wierzyciele zdążyli powytaczać sobie taką ilość procesów sądowych, że te działki gnić tu będą jeszcze przez długie lata.

– I tego wszystkiego dowiedziałeś się w urzędzie? Jakim cudem?

– Sposobem. Później ci wytłumaczę. Teraz chodź, musimy się zamaskować.

Zanim zdążyłem zadać jakiegokolwiek pytanie, Karol wysiadł z samochodu i otworzywszy tylną klapę, zaczął szukać czegoś w bagażniku. Gdy do niego dołączyłem, wręczył mi toporek. Sam trzymał okazałą lornetkę.

– Potrzebujemy dużych gałęzi z jak największą ilością liści – powiedział. – Samochód zbyt rzuca się w oczy. Zajmij się tym, ja zlustрую budynek, może ma jakieś kamery na zewnątrz.

Zebranie odpowiedniej ilości materiału maskującego zajęło mi dwadzieścia minut. Ułożyłem stos gałęzi i usiadłem, by poczekać na Zawadę. Pojawił się po kwadransie.

– Ani śladu kamer – oznajmił. – Nasz dyrektor najwyraźniej nie obawia się intruzów.

Karol włożył lornetkę do samochodu, po czym zabrał się za maskowanie. Obłożył gałęziami dach oraz maskę pojazdu i zbiegł na dół, by skontrolować swe dzieło. Wrócił wyraźnie zadowolony.

– Nie ma szans, by ktoś nas zauważył.

Było wpół do szóstej.

– Skąd wiesz, że Mecha nie ma w domu?

– Ma o siedemnastej spotkanie z wójtem w sprawie budżetu. Nie pojawi się przed siódmą.

– A Laura?

– Mieszka u matki w Lipuszu. Podobno pojawia się tu tylko w weekendy.

– Jest coś, o czym nie wiesz? – Byłem zaskoczony tym, jak sprawnie pozyskiwał informacje, i jednocześnie zazdrościłem mu tego. Nie umiałem rozmawiać z ludźmi w ten sposób. Obawiałem się zadawać bezpośrednie pytania, bo wiedziałem, że miejscowi nie lubią wścibskich nieznajomych. Karolowi jednak jakoś udawało się ich obłaskawić.

– Nie dziw się, ludzie lubią plotkować o błahostkach, zwłaszcza kiedy nie wywołuje to żadnych konsekwencji. Gorzej, jeśli chodzi o aktualne problemy, wtedy się asekurują.

Zapewne miał rację. Lata spędzone w szkole powinny nauczyć mnie radzenia sobie z różnymi typami osobowościowymi. Na ogół nie miałem problemów, ale przekonałem się, że młodzież i dorośli to dwa różne światy. Niby banał, ale nabiera formy dogmatu, gdy samemu się do tego dojdzie. Dotąd uważałem, że zdecydowanie lepiej radzę sobie z pierwszym ze światów. Praca w Sławinie i w tym przypadku ujawniła u mnie spore braki.

– Jaki masz plan? – spytałem.

– Chcę trochę poobserwować Mecha, poznać jego tryb życia. Przy domu i w okolicy powinien czuć się swobodnie, nie spodziewa się żadnych obserwatorów. Może popełni jakiś błąd, zrobi coś, co naprowadzi nas na trop.

Na czym jednak ów trop miał polegać? Czego oczekiwaliśmy? To wszystko było tak ulotne, mgliste i trudne do wytłumaczenia, że czasem wydawało mi się, iż trzeba upaść na głowę, by dojść do wniosków, jakie nam się nasunęły przy rozpracowywaniu sprawy zaginięć obu dziewczyn. Przypominało to poszukiwanie ułudy igły w imaginacji stogu siana.

Czekaliśmy. Karol włączył radio. Z głośników popłynęła ballada Stinga. Jakaś mroczna siła zsyłała ją na mnie co jakiś czas, by sycić się odebranych na długie godziny spokojem. To była ulubiona piosenka Eweliny. Wozila w samochodzie płytę, którą włączała zawsze, gdy gdzieś razem jechaliśmy. Choć wcześniej nie należałem do wielkich fanów Stinga, to z czasem polubiłem leniwe, wpadające w ucho rytmy. Chyba do końca życia będę kojarzył je z byłą dziewczyną.

Przymknąłem powieki. Minęło pięć miesięcy. Zaledwie tyle, a może aż tyle? Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie z ramion ukochanej, z którą planowałem spędzić resztę życia, trafiłem do zamaskowanego, stojącego w środku kaszubskiego lasu samochodu nawiedzonego dziennikarza? Widziałem jej twarz. Była ładna, krucha i taka bezbronna. Była moja.

Wspomnienie wspólnie spędzonych chwil zbyt często nawiedzało mnie we snach i na jawie. Nie przypuszczałem, że wyparcie ich będzie tak trudne. Myśli o mnie czasem? Może nie wszystko było tak beznadziejne? W jakimś momencie kreator linii mojego losu wpadł na szatański, prześmiewczy pomysł i wprowadził go w życie, by dać mi po głowie. Ale dlaczego? Lubilem zwałać winę na los. To chroniło przed koniecznością szukania w sobie winy za niepowodzenia.

Minęła dziewiętnasta. Mrok powoli przykrywał okolicę.

– Teraz twoja kolej – rzekłem, wyrывая Karola z pólśnu. – Chcę poznać wszystkie szczegóły. Jesteś mi to winien.

Drgnął i przetarł oczy.

– Moja, powiadasz? – wychrypiał.

– Wiesz o mnie wszystko, ja o tobie nic. Teraz, kiedy razem w tym siedzimy, należy mi się w końcu odrobina prawdy.

Zawada wyjął ze schowka paczkę cukierków. Poczęstował mnie jednym, sam pochłonął od razu trzy.

– Co chciałbyś wiedzieć, młody przyjacielu?

– Dlaczego tak ci zależy na tej sprawie? Widzę, jak się angażujesz. Nie mów mi, że chodzi tu tylko o zwykły artykuł. Nie jestem aż tak naiwny.

Zawada rozłożył fotel do pozycji półleżącej. Wzrok wbił w przestrzeń przed sobą, ale widać było, iż przenika nim drzewa, żywopłot, dom Mechów i podąża dalej ku światom, o których istnieniu nie miałem pojęcia. W końcu się odezwał.

– Wierz mi, artykuł w tej układance jest elementem kluczowym. Jeśli uda nam się dowieść, że dziewczyny zginęły z rąk człowieka, który żyje sobie w okolicy Sławina od lat i z jakichś przyczyn powoli namierza cele, to będzie mocna rzecz. Każdy to kupi. Gdyby dodatkowo wyszło na jaw, iż w morderstwach maczał palce wpływowy dyrektor, mielibyśmy prawdziwą sensację. Taki tekst pozwoliłby mi w końcu wypłynąć na powierzchnię, przypomnieć o sobie, na stałe zaistnieć. Zajmowałem się sprawą Kraśnik jeszcze jako reporter Głosu Wybrzeża, to dodatkowy smaczek. Media to uwielbiają. Pomyśl, dziennikarz śledczy tropi mordercę przez blisko ćwierć wieku, aż w końcu dochodzi prawdy. To ruszyłoby wreszcie moją karierę do przodu. Napisałbym książkę. Jakie wydawnictwo nie chciałoby opublikować takiej historii? Może zrobilibyśmy to wspólnie? Mamy w rękach wystarczająco wiele atutów do stworzenia bestsellera. Ta sprawa niesie w sobie ogromny potencjał.

– Zatem chodzi wyłącznie o karierę?

– Spędziłem w Donosicielu pięć lat i wierz mi, mam dosyć tego szmatławca. Bez mocnego tematu nie uda mi się wyrwać, wypłynąć na powierzchnię. Wysokonakładowe ogólnopolskie tygodniki i dzienniki wymagają od człowieka z zewnątrz nośnego materiału, inaczej nie ma mowy o współpracy. Przeskoczyłbym i to, ale w moim przypadku potrzeba większych atutów, inaczej nikt ze mną nie będzie gadał.

– Ale...

– Uwaga. Jedzie.

Zawada wyprostował się jak struna. Smuga jasnego światła wyłoniła się z leśnego korytarza. Samochód jechał powoli. Bez wątplenia był to passat dyrektora szkoły. Karol przyłożył lornetkę do oczu. Pojazd stanął przed bramą. Po chwili elektryczny mechanizm rozchylił ją, pozwalając wjechać na teren posesji. Gdy to uczynił, wrota ponownie się zamknęły. Trwaliśmy w ciszy. Dobiegło nas głucho trzaśnięcie, co zinterpretowałem jako zamknięcie drzwi garażu. Najwidoczniej w odróżnieniu od bramy wymagały użycia siły ludzkich rąk. Minęły dwie, może trzy minuty i na parterze rozbłysło światło. Najpierw w pierwszym, później w drugim pomieszczeniu.

– Cholera, przez te firany niewiele widać. – Zawada regulował ostrość lornetki, co najwidoczniej przynosiło marne rezultaty. W końcu zrezygnował. Ze schowka na drzwiach wyciągnął notatnik i zapisał godzinę przyjazdu dyrektora.

– Długa noc przed nami. – Odłożył notes i ponownie przybrał wygodniejszą pozycję.

– Będziemy tu siedzieć całą noc? Jutro idę do pracy.

Po namyśle zdecydował, że pierwszy dzień obserwacji zakończymy o północy.

– Potem nie będę cię już fatygował, musisz być przytomny w szkole. Utrzymamy kontakt telefoniczny.

To mi pasowało. Próbowałem sobie wyobrazić, co w tej chwili robi Mech. Je kolację? Ogląda telewizję? Może czyta albo zajmuje się papierami szkolnymi? A może rozmyśla nad kolejnym brutalnym mordem na nieletniej dziewczynie?

– Wracając do naszej rozmowy – starałem się odegnąć od siebie czarne myśli – jeśli dobrze zrozumiałem, istnieje jakiś problem z twoją karierą dziennikarską. O co chodzi?

Odpowiedź nie nadeszła od razu. Zdążyłem się już przyzwyczaić do rytuału ciszy przed objawieniem prawdy. Właściwie Zawada nie był tak skomplikowanym

facetem, na jakiego się kreował. Grał przed światem, przede mną i zapewne przed sobą. Ukrywał kompleks i to go najwyraźniej mocno deprymowało.

– Braterstwo broni obliguje, co? – mruknął z dziwną nutą w głosie. – Masz rację, zasługujesz na prawdę. Gdyby nie twój mail, pewnie prędzej czy później palnąłbym sobie w łeb. Świadomość marnowania każdej chwili życia bywa nie do zniesienia. Jak sobie pomyślę o tym całym syfie, w który wdepnąłem, to chce mi się wyc.

W tym momencie zrobił coś, czego się nie spodziewałem. Z górnej kieszeni dzinsowej kurtki wyjął wymiętą paczkę LM-ów, wyciągnął z niej pokrzywionego papierosa i włożył go do ust.

– Od trzech miesięcy nie palę – powiedział, odpalając zapalniczkę. Jasna poświata zalała samochód, a płomień objął końcówkę papierosa. Karol szybko skierował go ku dołowi. Wcześniej zaciągnął się głęboko. – Lekarz zakazał mi z uwagi na nadciśnienie i serce. Wiesz co? Mam to w dupie.

20.

Kolejne machy następowały w kilkunastosekundowych odstępach. Popiół spadał na fotel, jednak Zawada nie zwracał na to uwagi. Dym wydmuchiwał przez opuszczone okno.

– Naczelny w Głosie Wybrzeża powiedział mi kiedyś, że się u niego marnuję, że powinienem rozwinąć skrzydła poza regionalne media, bo mam talent i instynkt dziennikarski. – Palenie papierosa wyraźnie uspokoiło Zawadę. – Nie wiem, czy bredził, bo chciał się mnie pozbyć, czy też mówił prawdę, w każdym razie dostałem od niego namiar na zastępcę naczelnego Rzeczpospolitej i świetną opinię. Wtedy Rzepa się reorganizowała; przestała być państwową gazetą, otwierała się więc furka, przez którą mogłem przejść do kolejnego etapu kariery. Prawdę powiedziawszy, miałem już dosyć pisania o dziurach w ulicach, pękających rurach i imprezach na plażach. Komuna dopiero upadała, dziennikarstwo śledcze z prawdziwego zdarzenia praktycznie nie istniało, a mnie właśnie przekręty i afery rajcowały najbardziej. W okresie transformacji tematy leżały na ulicy, należało tylko umiejętnie wygrzebać je z błota. Przyjęli mnie początkowo na zasadach stałego współpracownika. Wierszówka plus parę groszy na utrzymanie. Ponoć byłem na tyle młody, by nie zostać zwichrowany PRL-owskimi nawykami, a zarazem miałem już odpowiednie doświadczenie. Warszawa to był wtedy zupełnie inny świat. Życie toczyło się w przyspieszonym

tempie. Stać mnie było tylko na wynajęcie pokoju na Ursynowie i najtańsze żarcie, ale to się nie liczyło, bo zapieprzałem po kilkanaście godzin na dobę i na spanie oraz jedzenie nie miałem zbyt wiele czasu. Krążyłem po mieście, robiłem wywiady, odpytywałem ludzi, niekiedy nawet ich śledziłem, włąziłem po dziesięć razy do miejsc, skąd mnie wykopywano i gdzie mi grożono, raz nawet dostałem porządnie w pysk. W tym czasie powstało kilka fajnych tekstów, opisujących głównie niemoc lub celową nieudolność władz, korupcję i nadużycia wynikające przeważnie ze złego prawa. Po pół roku dostałem etat. W równym stopniu co duma rozpiekała mnie wtedy energia i pomysły na kolejne artykuły. Lokalni przekręciarze przestali mnie już interesować. Chciałem łowić coraz głębiej. Jak zawsze w przypadku dużych spraw problemem są źródła informacji. Wtedy ludzie nie chcieli mówić zbyt dużo, bo po prostu się bali. Mogli stracić pracę, zdrowie albo życie, a zarazem nie mieli oparcia w policji, która na początku lat dziewięćdziesiątych była dramatycznie słaba. Niemniej poszukiwałem swoich źródeł, chciałem mieć stałych, sprawdzonych informatorów. Wierz mi, nie było to łatwe zadanie. Dotąd pracowałem na zasadzie wyciągania od ludzi informacji, dążyłem jednak do tego, by te same do mnie spływały. Po kilku miesiącach dochrapałem się trzech osób zatrudnionych prosto po studiach w Ratuszu Miejskim, którym w zamian za podrzucanie mi ciekawostek i kontrowersji obiecałem świetlaną przyszłość w świecie mediów. Świństwo, wiem o tym, ale wtedy chwytalem się wszystkiego. Produkowałem dalej niezłe teksty, redakcja była ze mnie zadowolona, marzyła mi się jednak czołówka, a najlepiej kilka. Do tego potrzebowałem bombowego tematu.

– A oni się nie bali?

– Młodzi? Mówię ci, to były świeżynki. Nie mieli rodzin, dzieci na utrzymaniu, obowiązków. Marzyła im się wielka kariera w nowej rzeczywistości, nie chcieli ugrzęznąć na lata w wydziale geodezji lub zarządzania zasobami komunalnymi. Pojawienie się dziennikarza z ogólnopolskiej gazety potraktowali jak zrzącenie losu. Nie musiałem nad nimi specjalnie pracować. Niemniej nie spodziewałem się rewelacji. Zajmowali stanowiska urzędnicze najniższego szczebla. Robiłem, co mogłem, i czekałem na fart.

Papieros prawie się wypalił. Zawada pociągnął ostatni raz i zagasiwszy niedopałek, wcisnął go do samochodowej popielniczki. Dom Mecha trwał spokojnie, niczym wielowiekowy zamek na wzgórzu. Światło rozjaśniało tylko jeden pokój na piętrze. Powiew wiatru wywołał ruch drzew, który na kilkanaście sekund przykrył okolicę jednostajnym szumem.

– Doczekałeś się? – Historia Karola coraz bardziej mnie interesowała. Dostrzegałem drżące w nim emocje, tak jakby przeżywał tamte dni na nowo.

– Po kilku miesiącach na coś trafiłem, a właściwie chłopak pracujący w wydziale nieruchomości. Skorzystał z okazji, że naczelniczka i część pracowników urwali się na ferie zimowe, i przeanalizował aktualnie prowadzone sprawy. Jego uwagę zwróciły trzy postępowania o zwrot mienia zagrabionego obywatelom pochodzenia żydowskiego po trzydziestym dziewiątym roku, a znacjonalizowanego po wojnie dekretem Bieruta. Niby nic nadzwyczajnego. Znaleźli się spadkobiercy dawnych właścicieli, którzy chcieli odzyskać dwie kamienice i jedną działkę blisko centrum Warszawy. Zdziwiła szybka ścieżka, jaką wędrowały dokumenty. Wydawałoby się, że postępowanie sądowe, sprawdzanie wpisów, mnóstwo papierkowej roboty zabierze długie miesiące, jeśli nie lata. Tak się jednak nie działo. To mógł być oczywiście przypadek i fałszywy alarm, ale instynkt mówił mi, że warto się tym zająć. Kazałem chłopakowi trzymać rękę na pulsie, kopiować dokumenty i zachować dyskrecję. Sam też się w redakcji nie chwaliłem, było za wcześnie. Sprawdziłem sytuację w innych miastach. W Łodzi, Poznaniu i Gdańsku odnalazłem kilka podobnych spraw. We wszystkich stroną reprezentującą spadkobierców była kancelaria prawnicza niejakiego mecenasa Grabińskiego. Właściwie i w tym nie byłoby nic nadzwyczajnego; można sobie wyobrazić, że prawnik wyspecjalizował się w tego typu sprawach i dlatego łatwo zdobywał klientów. Dziwiło natomiast tempo, jakiego nabierały postępowania zarówno w sądach, jak i urzędach. Oprócz tych trzech przypadków z Warszawy udało mi się bliżej przyjrzeć jeszcze jednemu w Gdańsku, w dużej mierze dzięki dawnym kontaktom z pracy w Głosie. Wszystkie sprawy były bliźniaczo podobne, można powiedzieć, że wyglądały jak odrysowane z jednego szablonu. Odzywa się obywatel Izraela, potomek nieżyjącego dawnego posiadacza, który widnieje w księdze wieczystej jako właściciel. Sprawa trafia do sądu, a ten wobec przedstawionych informacji, zaświadczeń i wpisów z dużym prawdopodobieństwem zasądza zwrot wartęj miliony nieruchomości. Wtedy jeszcze żadna z tych spraw nie zakończyła się wyrokiem, ale była to tylko kwestia czasu. Zdobyłem nazwiska i dane spadkobierców. Musiałem je zweryfikować, co nastroczało sporo trudności. Teraz możesz wygooglać dowolną firmę lub osobę, by trafić na jej ślad na drugim końcu świata. Piętnaście lat temu należało wykazać się większym sprytem. Nie miałem wyjścia, na kolegium redakcyjnym ujawniłem temat. Początkowo nie wzbudził większego zainteresowania. Kwestie spraw majątkowych wychodziły coraz częściej. Pojawiały się protesty mieszkańców, strach przed wyrzuceniem na bruk i tym podobne. Dostałem jednak namiar na korespondenta Polskiego Radia w Izraelu. Ułożyłem sobie w głowie całą rozmowę i zadzwoniłem. Facet okazał się sympatyczny i obiecał sprawdzić prawdziwość

danych ludzi, których nazwiska mu podałem. Tam na miejscu to nie stanowiło dla niego problemu. Zadzwoił do redakcji po dwóch tygodniach, gdy traciłem już nadzieję. Jak się pewnie domyślasz, wszystkie dane we wnioskach, imiona, nazwiska oraz adresy, nie zgadzały się z rzeczywistością. Ci spadkobiercy byli podstawionymi osobami. Wtedy okazało się, że mam w ręku naprawdę mocny temat. Naczelny chciał mi go nawet odebrać i dać komuś bardziej doświadczonemu, ale gdy zagroziłem odejściem wraz z dokumentami i informacjami do konkurencji, dał spokój. Poważnie wtedy podpadłem, ale dla mnie liczyło się tylko opisanie tej historii. Byłem pewien, że w Polsce działa grupa, która na podstawie sfalszowanych dokumentów próbuje wyłudzać nieruchomości w atrakcyjnych lokalizacjach. Musieli mieć mocne wtyki w urzędach, a może nawet w sądach. Zaczęła się żmudna robota. Zacząłem od kancelarii Grabińskiego. Ktoś z redakcji kojarzył to nazwisko z dawniejszych spraw; przetrzepałem więc archiwum i natknąłem się na artykuł o procesie gangu fałszerzy dokumentów z dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Trójkę członków grupy, w tym jej szefa Kamionkę, czyli Andrzeja Kamińskiego, reprezentował właśnie Grabiński. Co ciekawe, wybronił ich na tyle, że otrzymali niskie wyroki w zawieszeniu. Dotarłem też do notatki, którą opublikowano rok później. Opisywała ona próbę odzyskania kamienicy w Łodzi przez spadkobierców dawnych właścicieli. Sam tekst przy okazji poruszał ogólnie problem zwrotu tego typu majątków i obaw osób, które je zamieszkiwały. Na końcu znajdowała się uspokajająca wypowiedź Grabińskiego, którego przedstawiono jako reprezentanta spadkobiercy. Dotarłem do tej sprawy. Okazało się, że w księdze wieczystej łódzkiej kamienicy miasto widniało jako właściciel nieruchomości, co nie zdarzało się często, bowiem za komuny urzędnicy nie zawracali sobie tym głowy, bo nadrzędna była ustawa z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku. Kwestia zwrotu mocno się więc skomplikowała i w rezultacie ugrzęzła w sądach różnych instancji. To nasunęło mi jednak pewną teorię. Być może Kamionka, wykorzystując znajomość z Grabińskim i jego wiedzę na temat odzyskiwania majątków, stworzył system, który pozwolił im wyłudzać atrakcyjne nieruchomości w dużych miastach. Dysponowali przy tym doskonałym zapleczem związanym z produkcją dokumentów i posiadali wystarczającą ilość kasy, by przekupić odpowiednich urzędników. Tak na chłopski rozum to nie musiało być nawet bardzo skomplikowane. Osoba w sądzie w Wydziale Ksiąg Wieczystych wyszukuje atrakcyjne nieruchomości z przedwojennym właścicielem. Ktoś w Ratuszu sprawdza, że nikt się daną nieruchomością wcześniej nie interesował oraz że miasto nie ma wobec niej żadnych zamiarów. Kamionka produkuje dokumenty spadkobiercy i wspólnie z Grabińskim ustalają historię. Później adwokat nadzoruje całą procedurę urzędniczo-sądową, wykorzystując swoje koneksje i układy, aż dochodzi do wyroku i zwrotu majątku. Potem podstawiony spadkobierca sprzedaje wyłudzony majątek na przykład należącej do

Kamionki firmie, a ta robi porządek z mieszkańcami – i albo spienięża nieruchomość, albo na niej zarabia. Czysty zysk.

Zawada przerwał i sięgnął po kolejnego papierosa. Po przypaleniu zapalniczką upajał się wchłanianym do płuc dymem niczym ambrozją. Światło na piętrze domu Mecha zgasło. Było wpół do dziesiątej. Gwiazdy i księżyc przykryła gęsta zasłona chmur, a nas ogarnął absolutny mrok.

– Poszedł spać? – zastanawiałem się. – Trochę wcześniej.

– Może mają sypialnię z drugiej strony. – Karol zaczął lustrować okolicę przez lornetkę, co wobec wszechogarniającej ciemności i tak było skazane na porażkę.

Mieliśmy tam spędzić jeszcze nieco ponad dwie godziny. Bezproduktywne oczekiwanie przestało mi przeszkadzać.

– Zdobyłeś dowody na tego prawnika? – prowokowałem Zawadę do kontynuowania opowieści.

– Nie od razu – powiedział, ciężko wzdychając. – Wiedziałem, że muszę się przyjrzeć przede wszystkim pracownikom Urzędu Miasta i Wydziału Ksiąg Wieczystych w Sądzie Rejonowym. Tu po raz kolejny przydała się wtyczka w Ratuszu. Chłopak był ambitny. Bardziej od papierkowej roboty rajcowało go zbieranie informacji o naczelnicy. Z plotek i pogawędek przy kawie można wiele wywnioskować. W sfeminizowanym środowisku łatwo się wkręcił w codzienne pogaduchy. Okazało się, że jego zwierzchniczka od kilku miesięcy jeździ nowym volkswagenem golfem, a w tamtych czasach w Polsce było to prestiżowe auto. Dowiedział się również, że kobieta planuje rodzinne wczasy w Grecji. Ponoć jej mąż doskonale zarabiał w firmie budowlanej, która dostała jakieś lukratywne zlecenie. Tak brzmiała oficjalna wersja. Sprawdziłem to. Baba opowiadała bajdy. Facet pracował jako mechanik na etacie w ZKM, gdzie z pewnością nie wyciągał nic ponad średnią krajową. Doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi podeptać po piętach pani naczelnik. Redakcja poszła mi na rękę i udostępniła auto. Nie odstępowałem jej na krok. Robiłem notatki i zdjęcia, by w razie czego nie mogła się wykić. Babka wydawała jak szalona. Butiki, drogerie, firmowe salony, latała z siatami bez opamiętania. Zero instynktu samozachowawczego i umiaru. Po kilku dniach namierzyłem ją w jednej z kawiarni. Siedziała przy stoliku z eleganckim facetem w średnim wieku, z którym dyskutowała o czymś przy winie przeszło godzinę. Byłem pewien, że to Grabiński, co zresztą później potwierdziłem.

Znalazłem poszukiwane powiązanie. Na tym jednak się nie skończyło. Podążając jej śladami, dotarłem do kolejnej bohaterki układanki, tym razem z sądu. Kobiety spotykały się kilkakrotnie, nawet prywatnie, odwiedzając się wzajemnie. Dyrektor Wydziału Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego na Mokotowie była jednak bardziej dyskretna i nie kłuała w oczy pieniędzmi. Pozornie przynajmniej, bowiem gdy mocniej się do niej przykleiłem, okazało się, że nader chętnie odwiedza w weekendy pewne gospodarstwo na Mazurach. Nie trzeba było głęboko kopać, by odkryć, że niedawno zakupił je jej ojciec, osiemdziesięcioletni emeryt. Te trzy tysiące metrów kwadratowych z domem kosztowały równowartość jej dziesięcioletnich dochodów. Okazała się sprytniejsza od koleżanki, bo inwestycja w ziemię przynosiła wyraźny zysk, w odróżnieniu od trzymania kasy pod materacem w czasach dwucyfrowej inflacji, ale w ostatecznym bilansie i tak trudno byłoby jej wytłumaczyć, skąd staruszek wytrzasnął taki majątek. Uderzało ich poczucie całkowitej bezkarności. Zapewne Grabiński dawał uludę spokoju i przyrzeczenie ochrony. Widząc ułożonego, dystyngowanego mecenasa, nie podejrzewały mafijnych powiązań. Oślepiła je niewyobrazalna dla przeciętnego zjadacza chleba kasa. Pewnie podobnie było w innych miastach, ale nie miałem ani czasu, ani możliwości, by przebadać wszystkie przypadki. Najgorzej mi szło z samym Grabińskim. O ile w przypadku obu kobiet miałem silną podkładkę pod oskarżenie o korupcję, to z mecenasem był kłopot. Same poszlaki i przypuszczenia. Cała akcja już po ujawnieniu w redakcji tematu trwała dobrze ponad miesiąc, szefostwo zaczęło się niecierpliwic i naciskać. Uznali, że materiał jest wystarczająco udokumentowany, powinniśmy mieć tylko komentarze głównych aktorów. Dzień przed publikacją udałem się do sądu. Ta dyrektor nazywała się Karczewska, nigdy nie zapomnę tego nazwiska. Myślała, że jestem kolejnym upierdliwym petentem chcącym przyspieszyć swoją sprawę. Gdy powiedziałem jej, co wiem, pobladła. Pierwszy raz w życiu widziałem, jak krew odplywa człowiekowi z twarzy. Staliśmy na korytarzu i gdybym jej nie chwycił za ramię, runęłaby na podłogę. Była w totalnym szoku. Gdy wspomniałem o planowanej publikacji, rozkleiła się całkowicie. Zaczęła mnie błagać, bym tego nie robił, próbowała nawet przekupic. W końcu po kilku minutach się uspokoiła. Zaproponowałem z jej punktu widzenia chyba najlepsze wyjście, mianowicie komentarz do artykułu, w którym przedstawi swoją wersję historii, a następnie zgłosi się na policję. Była tak rozbita psychicznie, że zgodziła się na wszystko. Nagrałem wywiad na dyktafon. Potwierdziła moje ustalenia, dodając nowe fakty. Grabiński wręczał jej łapówkę za każdą nadzorowaną księgę wieczystą. Była również pośrednikiem w przekazywaniu pieniędzy sędziom prowadzącym sprawę. Do tej pory rozkręcili trzy postępowania, ale kolejne wnioski były już w przygotowaniu. Gdy się wygadała, odwozłem ją na policję. Materiał z każdą godziną zyskiwał na kalibrze. Liczyłem, że naczelniczka z Urzędu Miasta okaże się

równie pokorna, niestety miała mniej oleju w głowie. Gdy tylko zacząłem opowiadać jej o ustaleniach, zwyzywała mnie od najgorszych. Do samego końca wierzyła w nietykalność gwarantowaną przez Grabińskiego. Z nim nie udało mi się porozmawiać. Gdy dotarłem do kancelarii, najwidoczniej już o wszystkim wiedział i nie wpuszczono mnie do środka. Do redakcji zdołał przesłać pismo straszące procesem w przypadku publikacji materiału. Oczywiście tekst poszedł i tak jak przypuszczałem, stał się tematem dnia. Po nim oczywiście do akcji wkroczyła policja i prokuratura. W magistratach największych miast zawrzało, minister spraw wewnętrznych i administracji zarządził audyt wszystkich postępowań o zwrot majątku. Zainteresował się tym też Urząd Ochrony Państwa. W ciągu jednego dnia awansowałem do pierwszej ligi dziennikarskiej. O tekście grzmiały wszystkie media, choć wtedy nie było ich jeszcze zbyt wiele. Ciągnąłem temat przez kilka tygodni. Co chwila pojawiały się nowe fakty z innych miast, aresztowano kolejne osoby. Prześwietliłem też mocniej Grabińskiego. Okazało się, że myliłem się co do jego relacji z Kamionką. To nie bandzior, a mecenas stał na czele całej operacji. W latach osiemdziesiątych był stałym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, pomagał między innymi rozpracowywać adwokatów broniących osób oskarżonych w procesach politycznych. Po upadku komuny utrzymał siatkę powiązań, którą później rozwinął w interesie wyłudzenia nieruchomości.

– Poszedł siedzieć?

Zawada zaśmiał się cierpko.

– Wyłgał się wyrokiem w zawieszeniu za jakieś proceduralne duperele i niedociągnięcia. Zarówno Karczewska, jak i naczelniczka z Ratusza odwołały obciążające go zeznania i całą winę wzięły na siebie. Wyszło na to, że we dwie rozkręciły nielegalną działalność, wciągając w nią nic niepodejrzewającego mecenasa. Karczewska dostała cztery, a naczelniczka siedem lat. Sędziemu, który brał łapówki, wlepiono sześć lat, ale siedzieć nigdy nie poszedł. Odpowiadał z wolnej stopy i po ogłoszeniu wyroku rozpułnął się we mgle. W innych procesach skazano jeszcze cztery osoby z pozostałych miast. Wszystkie wybielały Grabińskiego. Kamionce też włos z głowy nie spadł. Prokurator albo nie potrafił, albo nie chciał udowodnić, że to jego ludzie fałszowali dokumenty.

– Myślisz, że te kobiety zostały zastraszone?

– Jestem tego pewien. To była niebezpieczna grupa przestępcza, a one miały rodziny, dzieci...

– A Grabiński? Miałeś z nim jakieś przeboje?

– Straszyl mnie sądem za każdym razem, gdy planowałem publikację na jego temat. Nie mam pojęcia, skąd to wiedział, musiał mieć jakieś wtyki w redakcji. Nigdy jednak nie zrealizował swych gróźb. Podejrzewam, że nie chciał zaognić sytuacji i rozpętywać afer ze swoim nazwiskiem w tle. Po wyroku nie mógł wykonywać zawodu. Kancelarię przejął jego zięć, a sam Grabiński zniknął. Nie płakałem za nim. To były dni mojej chwały. Po nich musiałem udowodnić, że „kamienicznicy” to nie jednorazowy fuks.

Gdyby na tym kończyła się cała historia, jej główny bohater nie siedziałby teraz ze mną w głuszy kaszubskiego lasu. Musiało wydarzyć się coś jeszcze. Coś, co strąciło go ze szczytu. Przypuszczałem, iż zbiera się do kontynuowania opowieści, gdy nieoczekiwanie dobiegł nas dźwięk rozchylanej bramy wjazdowej domu Mecha.

– O jasna cholera. – Dopalający się papieros wypadł spomiędzy palców Karola i spadł na gumowy dywanik. Natychmiast chwycił lornetkę.

– Wyjeżdża – stwierdził oczywisty fakt. Lampy nad bramą rozjaśniły passatowi drogę.

– Gdzie go niesie o tej porze? – Elektroniczny zegar na desce rozdzielczej pokazywał dwudziestą trzecią. Wyprostowałem oparcie fotela i zapiąłem pas.

– Czemu nie jedziemy? – niecierpliwiłem się.

– Spokojnie. W tej głuszy mógłby usłyszeć dźwięk odpalanego silnika. Poczekam, aż zniknie za tamtymi drzewami.

Po kilku sekundach passat Mecha zanurzył się w lesie. Zawada odpalił silnik, wycofał powoli samochód i rozpoczął żmudną operację zjazdu ze wzgórza.

– Zwieje nam! – Nie mogłem się opanować. – Przyspiesz.

– Chcesz się rozwalić na tym zboczu? Spokojnie, zaraz będziemy na drodze.

Suzuki pokonało zjazd, po czym wjechało na asfaltówkę. Zawada starał się trzymać dystans. Widok światła samochodu we wstecznym lusterku dałby dyrektorowi do myślenia. Nikt inny oprócz niego nie miał powodów, by kręcić się

nocą w tej okolicy. Dopiero w pobliżu nowszych domów jakiegokolwiek wytłumaczenia zyskałyby sens. Zawada przyspieszył. Zbliżaliśmy się do głównej drogi.

– Gdzie on jest? – Rozglądałem się wokół; nigdzie jednak nie było śladu samochodu dyrektora. – Zwiął?

Passat rozpląnął się. Mógł skręcić w stronę Chojnic lub Gdańska. Karol skierował suzuki na Gdańsk i wcisnął gaz do dechy. Gnaliśmy tak przez kilkanaście kilometrów, w końcu Zawada uznał naszą porażkę i zawrócił.

– Jeden zero dla dyrektora – skomentował. – Sukinkot coś kombinuje, jestem tego pewien.

Staliśmy na poboczu. Oplatały nas czerń nocy i cisza.

21.

Mech podążał szkolnym korytarzem dystyngowanym krokiem, godnym dziedzica cesarskiego tronu. Eleganckim garniturem i wypastowanymi, świecącymi butami podkreślał swoją rangę i wagę piastowanego stanowiska. Ponadprzeciętny wzrost tylko mu to zadanie ułatwiał. Zauważyłem, że dyrektor lubi od czasu do czasu po prostu wyjść z gabinetu, by bez żadnego ważnego powodu przechadzać się w trakcie przerwy głównym holem, niczym dobry gospodarz doglądający swych włości. Mając dyżur po przeciwległej stronie korytarza, starałem się nie gapić na niego zbyt nachalnie. Wydarzenia ostatnich dni nie pozwalały mi jednak postrzegać go w taki sposób jak podczas inauguracyjnej pracę rozmowy w gabinecie.

Kim jesteś i co kombinujesz?

Po fiasku wczorajszej obserwacji pojawiła się masa nowych pytań. Staliśmy poprzedniego wieczoru w pobliżu wjazdu w ulicę Brzozową jeszcze dobre dwie godziny, ale passat dyrektora się nie pojawił. Po pierwszej Zawada odwiózł mnie do Zofii, a sam udał się do pensjonatu.

– Musimy zmienić taktykę – zawyrokowałem, nim opuściłem auto. – Myślałem, że coś się będzie działo w domu, tymczasem wygląda na to, że ciekawsze rzeczy mogą mieć miejsce poza nim. Następnym razem trzeba się ustawić gdzieś w okolicy wjazdu.

Następny raz zaplanowaliśmy na ten wieczór. Zawada wyjechał do Gdańska na jakieś tajemnicze spotkanie i zapowiedział powrót do Sławina po południu. Byłem zbyt zavalony robotą, by mu towarzyszyć. Lektury kończyłem o czternastej piętnaście, a w domu czekała mnie sterta kartkówki do sprawdzenia. W dodatku obiecałem Adamowi odwiedzin w jego odremontowanej zakrystii.

Udając się po dzwonku do pokoju nauczycielskiego, dostrzegłem Wilczyńskiego rechoczącego wraz z kolegami pod drzwiami gabinetu zajęć technicznych. Od sławetnej rozmowy z Laurą Mech minął tydzień. W tym czasie Wilczyński rzeczywiście pojawiał się na moich lekcjach, to jednak – jak mu dosadnie wyjaśniłem – nie wystarczy. Zbliżał się termin zaliczenia zadanego materiału.

– W poniedziałek oczekuję cię w sali dwadzieścia osiem – oznajmiłem, gdy tylko dostatecznie się zbliżyłem. – Zapisz sobie, nie chciałbym, żebyś zapomniał i zaprzepścił szansę ukończenia szkoły.

Prychnął tylko, udając lekceważenie, ale się nie odezwał. Był wściekły. Po zajściu w klasie liczył na unicestwienie zagrożenia z mojej strony. Zdawał sobie sprawę z wartości, jaką dla Mechów stanowi znajomość z jego ojcem, nie wiedział jednak, że chęć pogrzebania niewygodnej przeszłości może być ważniejsza od kariery.

– Pamiętaj, to twoja ostatnia szansa – rzuciłem, odchodząc, na tyle jednak głośno, by usłyszeli mnie jego kumple.

W pokoju wpadłem na Andżelikę. Skłamałbym, gdybym powiedział, że przez ostatnie dni o niej nie rozmyślałem. W końcu to ona pierwsza wykazała zainteresowanie moją osobą. Zastanawiałem się nad jakimś krokiem. Może zaproszenie na kawę albo wyjście na kolację?

– Cześć, jak leci? – spytała, promieniejąc dobrym humorem. Z uśmiechem była jeszcze ładniejsza.

– W porządku – odparłem. – Widzę, że samopoczucie dopisuje.

– Szkoda życia na ponuractwo – rzuciła, chwytając dziennik. – Dlatego *keep smiling, my friend*.

Wyszła, nim zdołałem wydusić z siebie bodaj słowo. Zrezygnowany odszukałem w przegródce na regale dziennik swojej klasy i ruszyłem na zajęcia. Zmęczenie wywołane wczorajszą akcją szybko zaczęło dawać o sobie znać.

Zadzwoił telefon. Spodziewałem się głosu Zawady, toteż bezpardonowy atak siostry całkowicie mnie zaskoczył.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę, co narobiłeś?! – wystrzeżiła, nie dając mi szans na jakiegokolwiek przygotowanie. – Czy naprawdę twoim celem jest maksymalne komplikowanie mi życia? Jakim prawem wpięprzasz się w cudze sprawy?!

Stałem przy oknie w swoim pokoju, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. Przyszło mi nawet do głowy, że się pomyliła i wybrała zły numer.

– O czym ty mówisz? – spytałem spokojnym tonem.

– A czym się zajmuję od kilku tygodni? Wiedziałbyś, gdyby cię to choć trochę interesowało. Ale nie, namieszałeś matce w głowie i zwinąłeś manatki. Sądzisz, że ją przekabacisz i wyciągniesz kasę? Taki z ciebie troskliwy synalek?

Zatem chodziło o mieszkanie. Powinienem od razu się domyślić. Najwidoczniej doszło do rozmowy Ani z mamą na temat podziału pieniędzy ze sprzedaży.

– Poradziłem jej tylko, że powinna prawnie zadbać o swój interes – odrzekłem. – Twój mąż jest ostatnią osobą, do której można mieć zaufanie w sprawie finansów.

Wyobrażałem sobie, jak płonie złością, ściskając telefon w rękę. Pamiętam z dzieciństwa te napady szału, awantury i wyzwiska. Działo się tak zawsze, gdy coś nie szło po jej myśli. Przez długie lata jej ustępowałem. Mama też się nie wtrącała, choć może gdyby ktoś zwrócił Ance uwagę, że źle traktuje swojego pierwszego męża, małżeństwo tak szybko by się nie rozpadło. Teraz, gdy odważyłem się stanąć na drodze jej planów, musiało dojść do wybuchu wściekłości.

– Ty cholerny gnoju!!! – W tym momencie wrzeszczała już na całego. – Nie pozwolę ci rozbić naszej rodziny. Myślisz, że nie widzę, jak knujesz?! Od samego

urodzenia sprowadzasz na nas nieszczęścia. Przez ciebie zginął tata i wszystko się rozpadło. Nienawidzę cię!!!

Połączenie zostało przerwane. Niewykluczone, że powodowana gniewem rzuciła telefonem o ścianę lub podłogę. Nie pierwszy raz odstawiała taką akcję. Usiadłem na łóżku. Wiedziała, jak mi dopiec. Wspomnienie ojca stanowiło zawsze broń ostateczną, nuklearny atak, po którym podniesienie się było niezwykle trudne i bolesne.

Do cholery, miałem tylko pięć lat.

Niemniej wyrzuty sumienia pozostały. W końcu gdyby nie mój kaprys, tata najprawdopodobniej byłby dziś z nami. Nasza rodzina mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Ale czy można winić pięciolatka za to, iż pragnął dostać pod choinkę wymarzony wóz strażacki?

Mama nieraz wspominała rodzinny spacer po parku oliwskim i pożar, jaki wybuchł tego dnia w jednym z budynków naprzeciwko głównej bramy. Zbiegła się tam masa ludzi, a po kilku minutach na sygnale przyjechały dwa wozy strażackie. Nie pamiętam tego, ale podobno wpatrywałem się w nie jak urzeczony, nie pozwalając nikomu ruszyć się z miejsca do czasu zakończenia akcji.

Od tamtej pory moim największym marzeniem było posiadanie zabawkowego wozu strażackiego, którym mógłbym gasić wyimaginowane pożary. U nas podobnego cuda nie można było kupić, co najwyżej plastikowe rozpadające się badziewie. Ojciec wiedział, jak pragnę tego pojazdu, i obiecał mi go pod choinkę. Nasza wycieczka po parku miała miejsce latem, od świąt dzieliło mnie pół roku, jednak skrzętnie odnotowywałem każdy mijający dzień. Podobno tata obszedł wszystkie sklepy, nawet Peweksy, gdzie takie zabawki w przeliczeniu na złotówki kosztowały bająnskie sumy. Jak na złość nigdzie nie znalazł wozu strażackiego godnego swojego syna.

Niespodziewanie pojawiła się nadzieja. Kolega taty ze stoczniowej brygady miał rodzinę w Niemczech. Obiecał załatwić zabawkę za jej pośrednictwem. Sprawa poszła gładko, znajomy potwierdził wysłanie paczki, nikt nie przypuszczał jednak, że przed samymi świątami posępny generał ogłosi stan wojenny. Dwadzieścia stopni mrozu, ZOMO na ulicach, godzina milicyjna, a ojciec martwił się, że paczki z zagranicy mogą zostać wstrzymane i nie wywiąże się z obietnicy danej synowi. Dzień przed Wigilią kumpel ze stoczni szczęśliwie dostał przesyłkę. Umówili się na odbiór wieczorem. Mama prosiła tatę, by nie wychodził w godzinę

milicyjną, ten jednak tłumaczył, że kolega wyjeżdża nazajutrz z samego rana do rodziny na wieś i to ostatnia chwila, kiedy może odebrać prezent przed świętami. Miał wrócić za godzinę. Nigdy więcej już się nie pojawił.

Mijały godziny, niepokój narastał. Nad ranem mama poprosiła o pomoc sąsiada i jego samochodem objechali wszystkie szpitale. Bez rezultatu. Chcieli zgłosić zaginięcie na milicji, ale tępawy mundurowy stwierdził, że musi minąć czterdzieści osiem godzin, by mógł przyjąć zgłoszenie. Nie pomagał fakt, że ojciec wyszedł w czasie godziny milicyjnej. Stoczniowiec przemykający nocą po Gdańsku – to z daleka pachniało konspiracją i nielegalną działalnością. Nie dość, że nie mieli zamiaru go szukać, to jeszcze nastraszyli matkę konsekwencjami działalności na szkodę kraju, aresztem i odebraniem dzieci. Ojciec nie mieszał się do polityki; co prawda po strajkach w osiemdziesiątym roku zapisał się do Solidarności, ale nie angażował się. Konspiracja nie była jego żywiołem. Myślę, że bał się o rodzinę, nie chciał jej narażać.

Gdy mama wróciła do domu, wyglądała jak własny cień. Nie zdawałem sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje. Ania płakała, mama też. Podszedłem do nich przerażony i wtedy stało się to po raz pierwszy.

– To wszystko twoja wina!!! – Siostra wykrzyczała mi to prosto w twarz. – Przez ciebie nie ma taty!!!

Mama przytuliła ją, ale się nie odezwała. Pamiętam dobrze, ta chwila wryła mi się wyjątkowo głęboko w pamięć. Nie odezwała się i nie zaprzeczyła. Później owszem, nieraz to czyniła, ale mam wrażenie, iż wtedy, w tym jedynym momencie, podzielała zdanie mojej siostry.

Nikt nie wie, co się stało z ojcem. Udało się potwierdzić jedynie, że odwiedził kolegę i odebrał paczkę. Coś złego wydarzyło się w drodze powrotnej. Może ktoś go napadł, zamordował, a później ukrył zwłoki? Jeden z sąsiadów widział przez okno, jak tamtego wieczoru, dwie ulice od naszego bloku, milicjanci pakowali do suki jakiegoś faceta. Czy był nim mój ojciec? Może jakiś pijany krawężnik, przekonany o swej wszechwładzy, chciał popisać się brutalnością i przedobrzyć? Takie rzeczy się wtedy zdarzały. Jeśli pobili tatę na śmierć, coś podobnego nie mogło ujrzeć światła dziennego. Władza potrzebowała autorytetu, a nie popisywania się katowaniem obywateli. Gdyby po czymś takim postanowili pozbyć się ciała i zatrzeć wszelkie ślady, mogliby to zrobić bez żadnych problemów. Kto miałby im patrzeć na ręce? Rządowa prasa i telewizja?

To były tragiczne święta. Po nich nasza rodzina się rozpadła. Nie fizycznie, bo jeszcze do ślubu Ani mieszkaliśmy razem, ale mentalnie. Mama osłabła, wycofała się i jak tylko siostra osiągnęła pełnoletniość, poddała się jej wpływowi. Długo nie mogłem znaleźć pomysłu na życie, brakowało mi kogoś, kto dyskretnie, acz skutecznie, by mną pokierował. Tęskniłem za ojcem. Choć przekonanie o jego śmierci docierało do mnie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, to jednak pozostawał ten jeden procent nadziei, że on jednak żyje i gdzieś tam w świecie czeka na odnalezienie. Mieszkanie było przystanią oczekiwania. Pozbycie się go oznaczało ostateczne pożegnanie. Tego obawiałem się najbardziej.

22.

Zawada nie wrócił do Sławina na wieczorną obserwację. Przesłał SMS-a, w którym uprzedził o konieczności pozostania w Gdańsku do rana. Żałowałem, bo nocny wypadek Mecha coraz bardziej mnie interesował. Co prawda wytłumaczenie tego wyjazdu mogło być równie banalne, jak chęć zakupu papierosów na stacji benzynowej, ale dopóki nie mogliśmy potwierdzić tego faktu, głowa puchła od snucia przerażających teorii.

Umówiliśmy się następnego dnia pod pensjonatem. Przyjechał po czwartej. Gdy tylko zamknęliśmy drzwi pokoju, Zawada rozpiął zamek torby i wyciągnął laptopa. Ustawił komputer na stoliku i włączył.

– Odwiedziłem dobrego kumpla – powiedział. – Siedziałem u niego do rana, dlatego nie mogłem wczoraj przyjechać. Gość ma firmę zajmującą się odzyskiwaniem danych z uszkodzonych twardych dysków. Jest też grafikiem komputerowym. Od czasu do czasu oddaję mu do retuszu zdjęcia, które zamierzam wykorzystać w artykule. Nasz redakcyjny fotoedytor to totalna miernota. Zenek siedział nad filmem z monitoringu kilka godzin. Wyczyścił obraz i zmontował jeden film z wszystkich ujęć. Efekt jest super. Zobaczysz.

Strzałka kursora powędrowała ku ikonie odtwarzania. Po kliknięciu na ekranie pojawił się znajomy obraz przedsionka sali gimnastycznej. Na ławce obok drzwi siedziała Alicja. Obraz był wyraźniejszy. To, co wcześniej wypełniały ciemne smugi i cienie, zostało wyostrzone i nabrało realniejszych kształtów.

– Nieźle – pochwaliłem. – Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest możliwe.

– Trzeba mieć odpowiednie programy, filtry i inne tego typu duperele. Przede wszystkim trzeba się na tym znać. Zenek to fachura, jest nawet

powoływany na biegłego sądowego.

Dziewczyna pochylała głowę, ale teraz o wiele lepiej było widać, co trzyma w ręce.

– Na książce coś leży – zauważyłem.

– Czyta jakąś kartkę. – Zawada przyjął rolę referenta. Zdążył już pewnie obejrzeć film kilkakrotnie. – Tu ją lekko podnosi, widzisz?

Rzeczywiście uniosła kartkę. Alicja wydawała się niezwykle zaaferowana; tym razem byłem w stanie dostrzec jej twarz.

– A to zapewne koperta. – Karol użył ołówka jako wskaźnika i zbliżył go do ekranu.

Książka była rozłożona, jednak Alicja nie ją czytała. Z ogromną uwagą pochłaniała słowa zapisane na kartce, która leżała na wierzchu. Obok dostrzegłem kawałek koperty. Na pierwotnym nagraniu nie mieliśmy szans, by dopatrzeć się tych szczegółów.

– To list – rzekłem.

– Na sto procent.

Dziewczyna siedziała w takiej pozycji kilkanaście sekund, po czym odchyliła się, jakby chciała głęboko nabrać powietrza. Na niewyczyszczonym nagraniu nie było widać twarzy, więc zinterpretowaliśmy ten gest jako próbę odgarnięcia włosów. Teraz emocje stały się o wiele lepiej czytelne.

– Ona płacze – zauważyłem.

Alicja wróciła do lektury. Spędziła na niej kolejne dwie minuty, po czym zmięła kartkę i zamknęła książkę. Chwyciła otwarty plecak, zasunęła zamek, wstała i ruszyła ku schodom. Ujęcia innych kamer zarejestrowały ją na piętrze i odprowadziły do wyjścia ze szkoły.

– A więc to list tak ją zdenerwował. – Wstałem, by przejść się po pokoju. Zawsze tak robiłem, gdy byłem podekscytowany. – To musiało być coś mocnego. Gdybyśmy tylko mogli dowiedzieć się co.

– Dostrzegłem pewną szansę, a właściwie Zenek to zauważył. Zobacz.

Zawada cofnął nagranie do momentu zerwania się dziewczyny z ławki.

– Widzisz? Idzie z książką w prawej ręce. Nie wrzuciła jej do plecaka. Dochodzi do korytarza. Co jest dalej?

– Schody na piętro.

– Znika w korytarzu i w tym momencie gubi ją kamera. – Zawada znów użył ołówka w roli wskaźnika. – Następna chwytą ją po ośmiu sekundach, gdy jest już na górze. Idzie głównym holem. Zwróć uwagę, co trzyma w prawej ręce.

Wytężyłem wzrok.

– Nic – odpowiedziałem zdziwiony.

– No właśnie. Książka zniknęła. Co się z nią stało?

Dobre pytanie.

– Może po drodze schowała ją do plecaka? – zasugerowałem.

– Możliwe, ale musiałyby to wykonać niezwykle szybko, bez zatrzymywania się. Pamiętaj, minęło tylko osiem sekund, dziewczyna była bardzo zdenerwowana. Wątpię, by zaczęła się nagle szamotać w pośpiechu z plecakiem.

– Masz inny pomysł?

– Musiała jakoś pozbyć się książki. Jak wyglądają tamten korytarz i schody?

Odtworzyłem w myślach zaciemnioną wąską przestrzeń.

– Kilkanaście metrów kwadratowych korytarza i normalne schody. Nic nadzwyczajnego.

– Są tam jakieś kosze, śmietniki, okna?

– Okien nie ma. Co do śmietnika, to być może, nie pamiętam. Myślisz, że

wyrzuciła książkę?

– Niewykluczone. Mogła zrobić to nieświadomie. To, co przeczytała, mocno na nią podziałało. Musimy rzecz sprawdzić.

– Jeśli nawet wyrzuciła ją do śmietnika, to w ciągu ostatniego miesiąca z pewnością kosze były opróżniane – studziłem zapal Karola. – Zresztą ta książka może nie mieć żadnego znaczenia. Trzymała w niej list, który później otworzyła. To on jest ważny. Co zrobiła ze zmiętą kartką?

Zawada przewinął film raz jeszcze. Znow ujrzelismy Alicję w stanie wzburzenia.

– Cholera, wrzuca ją do plecaka. Szlag by to trafił. Ale zdaje się, że w książce pozostała koperta. – Teraz był jeszcze bardziej podniecony. – Sylwek, musimy przeszukać ten korytarz.

Zastanowiłem się.

– Dziś jest piątek, lekcje szybciej się kończą i o tej porze szkoła jest już zamknięta. Stróż to przydupas Laury i jeśli nawet wpuści mnie pod jakimś pretekstem, dyrektorka na pewno się o tym dowie, i miałbym dochodzenie. Najwcześniej możemy pójść tam w niedzielę, wtedy gramy mecz i sala z zapleczem będzie otwarta, ale korytarz może być wówczas oddzielony kratą. Nie pamiętam. Jeśli tak, to pozostaje poniedziałek.

Karol nie był zachwycony koniecznością dwudniowego czekania, nie mieliśmy jednak innego wyjścia. To wkurzało, zwłaszcza w chwili, gdy trafiliśmy na gorący trop. Odpowiedź na pytanie o zawartość listu i jego nadawcę zdawała się kluczowa.

Karol wyciągnął z torby dwa piwa.

– Należy się nam – powiedział, podając mi puszkę Żywca. – Zaczynamy ruszać z miejsca.

Otworzyłem puszkę i przechyliłem ją, pochłaniając kilka łyków. Jeśli o mnie chodzi, to sprawa zamiast wyjaśniać, zaczęła się komplikować. Przyjeliśmy teorię o uprowadzeniu i zabójstwie Alicji. Głównym podejrzanym stał się Mech, ale wraz z listem i tajemniczym nadawcą pojawiły się wątpliwości. Może te dwie sprawy nie

miały ze sobą związku, a może wręcz przeciwnie.

– To nie koniec ciekawych wiadomości. – Zawada wyrwał mnie z zamyślenia. – Udało mi się wyciągnąć z archiwum akta sprawy Magdy Kraśnik.

Biała teczka pojawiła się na miejscu złożonego komputera.

– Ciąg dalszy magicznych umiejętności w wyczarowywaniu informacji?

Karol opróżnił do końca puszkę.

– Nie kpij, a objawię ci prawdę.

Intrygowało mnie, jak zdobywa te wszystkie dokumenty. Miał wtykę w policji? Efekt jego sławetnych grilli na działce? To jedyne logiczne wytłumaczenie. Otworzył teczkę i wyjął plik papierów. Podał mi część. Były to kserokopie spisanych na maszynie protokołów. Surowy styl pojedynczych zdań uderzał nieporadnością. Gramatycznie wszystko ledwo trzymało się kupy. Czytanie tego było jak wędrówka w czasie. Nagle przeniosłem się dwadzieścia pięć lat wstecz. Inna epoka, inni ludzie i świat. Czołowe akapity pierwszego z dokumentów mówiły o zgłoszeniu przyjętym na posterunku Milicji Obywatelskiej w Kościerzynie 9 czerwca 1985 o godzinie 9.30. Autor notki wpisał dane zgłaszających: Antoni i Maria Kraśnik zamieszkali w Sławinie. Ich córka nie wróciła do domu po balu maturalnym. Dalej znajdował się opis wyglądu Magdy stworzony na podstawie słów matki. Wysoka, około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów, szczupła budowa ciała, długie włosy koloru brąz. Ubrana była w jasnoniebieską suknię bez rękawów. Miała ze sobą szary sweter. Poniżej widniało przyklejone czarno-białe zdjęcie dziewczyny. Była bardzo ładna. Lekko pociągła twarz, szlachetne kości policzkowe i hipnotyzujący uśmiech musiały zwracać uwagę. Zdjęcie pochodziło z jakiejś rodzinnej imprezy. Kolejne dokumenty to zeznania świadków. Koleżanki, nauczyciele, chłopak. Czytałem powoli wszystkie relacje. Przyjaciółka Magdy, Ewa Rohosz, zeznała, że widziała ją po raz ostatni w dniu balu przed jedenastą wieczorem. Magda miała powiedzieć, że chce się przewietrzyć i wyszła ze szkoły na zewnątrz. Chłopak z kolei, Wiktor Labuda, twierdził, iż zerwali ze sobą dwa dni przed balem i na zabawę przyszli osobno. Kopię jego zeznania przeczytałem kilkakrotnie.

Nie wiem, dlaczego Magda to zrobiła. Przyszła do mnie 5 czerwca i powiedziała o zerwaniu. Nie podała przyczyn. Twierdziła, że do siebie nie pasujemy. Byłem zdenerwowany, ale nie namawiałem jej do zmiany decyzji.

Podjeżdżałem, że poznała kogoś innego. Kiedy o to spytałem, zaprzeczyła. Nie przejąłem się bardzo, bo sam miałem zamiar zakończyć nasz związek. Zaprosiłem na bal córkę sąsiadki Lucynę Zawierską. Od czasu wizyty Magdy 5 czerwca więcej z nią nie rozmawiałem. Widziałem, że na zabawę przyszła sama. Nie wiem, co robiła, nie obserwowałem jej. Nie widziałem, jak wychodzi ze szkoły. Zabawa zakończyła się o 1 w nocy. O 1:30 odprowadziłem Lucynę Zawierską do jej domu i poszedłem do domu Tomasza Zycha. Był tam też Adam Zalewa i Karol Piasecki z naszej klasy. Dołączył do nas starszy brat Tomasza Zycha, Artur. Piliśmy wódkę do godziny 4. Potem poszliśmy spać. Wstałem o godzinie 9 i poszedłem do domu.

Tego dnia przepytano jeszcze kilka osób z klasy Magdy, ale w sumie wnieśli niewiele. Spisano ich nazwiska: Adam Zawądz, Martyna Koralkowska, Andrzej Detlaff, Justyna Zwara.

– O jasna cholera! – wyrwało mi się bezwiednie.

– Co? – Zawada oderwał się od czytanych dokumentów.

– Andrzej Detlaff – powiedziałem, wskazując palcem na listę nazwisk w protokole. – Znam go, gramy razem piłkę. Uczy w szkole historii.

– To na pewno ten sam? – Karol wziął ode mnie kartkę. – Może to tylko zbieg okoliczności.

– Może – odparłem bez przekonania. – Trzeba się upewnić.

Jeśli jednak to był Andrzej, dlaczego nigdy nie wspomniał o Magdzie, z którą chodził do klasy? Nieraz rozmawialiśmy na temat zniknięcia Alicji. Mówił nawet, że nie przypomina sobie podobnego przypadku. Zapomniał? Dziwne.

Czytałem dalej milicyjne raporty. Nie przemęczali się szczególnie, szukając dziewczyny. Jej zdjęcie otrzymały okoliczne posterunki, przeszukano teren szkoły oraz okolice i na tym się właściwie skończyło. Jako hipotezę przyjęto ucieczkę z domu. Magda nie zdała najlepiej matury, uczyła się średnio. Studia nie wchodziły w grę. Uznano, że kogoś poznała; dlatego zerwała z Labudą i uciekła z nowym wybrankiem do miasta w poszukiwaniu lepszego życia, nie chcąc pozostać w gospodarstwie rodziców. To się nie trzymało kupy. Zwiąła w balowej sukni? Idiotyzm.

– Zobacz to. – Zawada podał mi kilka luźnych kartek.

Pierwsza to opis anonimu, który przyszedł na komendę trzy dni po zniknięciu Magdy. Był też i sam list.

Magdę zabił młody Labuda. Zatlukł na śmierć stalowym prętem. Schował go w szopie.

Trzy zdania napisane odręcznie drukowanymi literami skierowały milicjantów do gospodarstwa Labudów. W stodole odnaleźli zakrwawiony pręt. Wiktor Labuda został zatrzymany, ale po dwóch tygodniach wyszedł. Rodzice byli dość zamożni, mieli między innymi hodowlę pieczarek (co ciekawe, ta informacja znalazła się w raporcie), a wynajęty przez nich renomowany gdański adwokat bez problemu wykazał brak związku Wiktora z prawdopodobnym narzędziem zbrodni. Świadkowie potwierdzili, że Labuda był na zabawie do pierwszej w nocy i w tym czasie nie wychodził ze szkoły. Matka Lucyny Zawierskiej potwierdziła z kolei fakt odprowadzenia córki do domu o pierwszej trzydzieści, a rodzice i brat Zycha przyznali, że Labuda był u nich od drugiej do dziewiątej rano dziewiątego czerwca. Ponadto odciski palców zabezpieczone na pręcie nie zgadzały się z odciskami Wiktora. Milicja przyznała, że najprawdopodobniej ktoś (czytaj: autor listu) chciał zrobić go w morderstwo. Ciało Magdy nie odnaleziono. Po roku umorzono sprawę wobec nie wykrycia sprawców.

Przeczytanie wszystkiego zajęło nam około godziny.

– Niestety rodzice Magdy nie żyją. – Karol składał dokumenty i wkładał je z powrotem do teczek. – Nie mieli innych dzieci. Pierwszy zmarł ojciec, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Matka sprzedała gospodarstwo i kupiła mieszkanie w Kościerzynie. Zmarła przed sześcioma laty.

Słowa Zawady dopełniły obrazu tragedii rodziny Kraśnik. Rodzice Magdy do ostatniego dnia życia trwali w cierpieniu. Utknęli w próżni, nigdy nie pożegnali się z jedynaczką.

– Zarejestrowałem się na Naszej Klasie i odnalazłem profil klasy Magdy – ciągnął dalej Zawada. – Co ciekawe, parę osób jest na nim aktywnych. Wysłałem kilka maili, podając się za krewnego, który spisuje historię jej rodziny. Nie wiedzieli za dużo o Magdzie, większość rozjechała się po świecie, ale ponoć ta jej przyjaciółka Ewa Rohosz nadal mieszka w okolicy. Pracuje w Lubianie, w fabryce porcelany. Powinniśmy ją odnaleźć. Pewnie wie o dziewczynie o wiele więcej niż to, co tu napisali.

– A chłopak? – spytałem.

– Tego nie wiem. Może dalej tutaj mieszka, musimy to sprawdzić. Z nim też powinniśmy pogadać. Ale to nie jest najważniejsze, mam coś jeszcze. – Zawada wygrzebał z bocznej kieszeni torby notatnik. – Namierzyłem człowieka, który nadzorował postępowanie w sprawie Magdy. – Przewracał kartki, aż natrafił na właściwą. – Kapitan Lesław Szumaga – odczytał. – Jest na emeryturze i mieszka w Brusach. Nie możemy go pominąć.

Nazwisko wydawało mi się znajome. W tamtym momencie nie mogłem sobie przypomnieć, skąd je znam, ale co do tego, że obilo mi się o uszy, nie miałem wątpliwości.

– No to mamy co robić. – Karol przeciągnął się leniwie i spojrzął na zegarek. – Piąta. Zjedz coś, przed nami kolejna nieprzespana noc pod domem Mecha.

23.

Było cholernie parno. Kleiłem się od potu, a roje krążących nad autem komarów uniemożliwiały otwarcie okna. Minęła dziesiąta. Siedzieliśmy w samochodzie już czwartą godzinę. Tym razem zaparkowaliśmy gdzie indziej. Nie zjeżdżaliśmy w drogę prowadzącą do domu Mecha, lecz ustawiliśmy auto przy trasie krajowej, kilkadziesiąt metrów od wyjazdu z ulicy Brzozowej. Miejsce było dobre. Samochód stał za budynkiem gospodarczym pobliskiego rolnika, nie rzucaliśmy się więc w oczy; jednocześnie byliśmy na tyle wysunięci, by móc prowadzić obserwację. Gdyby dyrektor planował jakiś wypad, musiał tamtędy przejeżdżać. Tym razem nie mogliśmy go zgubić.

Okolo dziewiętnastej passat Mecha skręcił z głównej drogi w kierunku trasy prowadzącej do jego domu. Od tego czasu minęły trzy godziny.

Z radia płynęły powolne melodie brytyjskiego popu. Znudzony, po raz kolejny otworzyłem leżącą na kolanach teczkę z dokumentami ze śledztwa w sprawie Kraśnik. Przeglądałem je, przyświecając sobie latarką, w nadziei na odkrycie czegoś nowego.

– Powiesz mi wreszcie, jak zbierasz informacje? Materiały z Zakładu Medycyny Sądowej, archiwalne milicyjne protokoły... Coś takiego nie leży po

prostu na ulicy.

– Dzięki pajęczynie – odparł. – Jest niezawodna.

Znów mówił kodami.

– Możesz jaśniej? – Te półsłówka i niedopowiedzenia zaczęły mnie irytować.

Karol przetarł chustką czoło. Był równie spocony jak ja. Zanim się odezwał, wychylił co najmniej połowę zawartości butelki z wodą mineralną.

– Gdy rozpracowywałem „kamieniczników”, zwerbowałem gówniarzy w Ratuszu Miejskim, mówiłem ci o tym. Nic mnie to nie kosztowało, a praktycznie tylko dzięki temu zyskałem temat. To dawało do myślenia. Przekonałem się, że lepszymi informatorami od osób na szczytach jakichkolwiek hierarchii są ludzie zajmujący niższe, a nawet najniższe stanowiska. Długoterminowo oczywiście. Taki naczelnik, dyrektor czy kierownik ma za dużo do stracenia, a jego motywacje są niejasne. Nie będzie sprzedawał ci rewelacji za darmo. W grę wchodzi albo pieniądze, i to niemałe, albo chęć wystawienia kogoś i dokopania mu. No i jego pozycja jest niepewna. Może w każdej chwili zostać wysadzony z siodła, a wtedy trzeba pracować nad nowym człowiekiem. Pracownicy niższych szczebli, w firmach prywatnych, państwowych i w urzędach, są bardziej odporni na zmiany kadrowe, można więc liczyć na długoletnią współpracę. Co prawda nie mają takich dojsć, by sprzedawać super newsy, niemniej z przewalanych przez nich papierów da się wygrzebać dość tematów na wypełnienie kilku wydań gazety. Zarabiają mało, dlatego dodatkowa stówka czy dwie za cynk są łakomym kąskiem. Wpadają w pajęczynę, z której trudno się wyrwać. Uzależniają się. Liczą na te pieniądze, wiedzą, co mnie interesuje, i sami szukają kwitów.

– Korumpowałeś ich? To twoja metoda? – Prawdę powiedziawszy, wyobrażałem sobie subtelniejsze działania.

– Spodziewałeś się czarodziejskiej różdżki? Zresztą nie zawsze były to pieniądze. Częściej mogłem odwdziaczyć się przysługą, którą realizowała inna pracująca dla mnie osoba. Miałem wtyki w urzędach, szpitalach, prokuraturze, policji, straży miejskiej. Mogłem załatwić dowolne zaświadczenia, urzędowe wypisy, anulowanie mandatów, specjalistyczne badania bez kolejki albo przyjęcia do szpitala, nawet miejsce w przedszkolu. Ludzie mają różne potrzeby, nie zawsze kasa jest najważniejsza. Z czasem stworzyłem sprawnie działającą sieć. Wszystko

w oparciu o szeregowych funkcjonariuszy. Co najważniejsze, pisałem dobrze udokumentowane artykuły i potwierdzałem swoją wartość w redakcji. Nikt nie musiał wiedzieć, jak zdobywam informacje.

– Nie bałeś się, że coś się nagle posypie? Mógłbyś za to pójść siedzieć.

– Nie myśl sobie, że rzucałem się na pierwszego lepszego urzędnika. Pierwsze niepowodzenia przekonały mnie o konieczności zastosowania subtelnej psychologii. Zanim zaoferowałem współpracę, starałem się nawiązać jakieś relacje. Robiłem rozpoznanie. W urzędach, prokuraturach i sądach często siedzą młode kobiety wychowujące dzieci. Są dobrym materiałem na informatora. Rzetelne i dyskretne. Rzykują więcej ode mnie, więc trzymają język za zębami. Jedna osoba na trzy decydowała się na ryzyko.

– A kasa, skąd ją brałeś? To cię musiało dużo kosztować.

– Początkowo tak, szła na to połowa pensji, ale po „kamienicznikach” na pełnym etacie zarabiałem więcej i nie miałem wielkich potrzeb. Potem, tak jak mówiłem, pieniądze zastąpiły małe usługi. W pewnym momencie maszynka sama zaczęła się kręcić.

– Na policji także?

– Oczywiście. Miałem ludzi wśród dzielnicowych, w patrolach, w archiwach, na dyżurkach. W całej Warszawie nie było chyba lepiej poinformowanego człowieka ode mnie.

– W takim razie co się stało? Dlaczego wyjechałeś?

Karol ponownie przyssał się do butelki i opróżnił ją. Znowu dostrzegłem uaktywniające się emocje. Kręcił głową, jakby w myślach rozmawiał sam ze sobą. Nieoczekiwanie parsknął śmiechem.

– Załatwili mnie, kolego – odparł. – Akcja była piękna i modelowa. Wyczekali idealnego momentu. To się aż, kurwa, w głowie nie mieści.

Raz się śmiał, za chwilę chował twarz w rękach. Nie znałem go długo, ale z pewnością nie było to jego normalne zachowanie. Nie odzywałem się, czekałem.

– Zakochałem się – kontynuował po długich sekundach ciszy. – To była

ostatnia rzecz, jakiej się w tamtym okresie spodziewałem. Dziewczyna zatrudniła się w redakcji jako stażystka i od razu wpadła mi w oko. Była dziesięć lat młodsza i zabójczo piękna. Jakiś samczy instynkt wymógł na mnie pragnienie podboju. Podszedłem do tematu spokojnie i ustawiłem się w roli doświadczonego kolegi po fachu. Spędzaliśmy ze sobą sporo czasu, aż zaiskrzyło. Byliśmy w niebie. Wyprowadziłem się ze swojej nory i wynajęliśmy wspólne mieszkanie. Po roku znajomości pobraliśmy się. Wszystko szło świetnie. Moja kariera się rozwijała, Kasia też zaczęła się w gazecie, nieźle zarabialiśmy. Przyszłość malowała się różowo. Latem dwutysięcznego roku wybraliśmy się na wakacje do Chorwacji. Wtedy to dla turystów były jeszcze dziewicze tereny. Przed Krakowem straciłem panowanie nad kierownicą i samochód wyleciał z drogi. Walnęliśmy w drzewo. Kasia zginęła na miejscu. Ja z roztrzaskaną nogą spędziłem miesiąc w szpitalu. To był kurewsko trudny rok.

Zamurowało mnie. Nie wiedziałem, jak zareagować.

– Przykro mi – wychrypiałem.

– Taaa... – Wypuszczał powoli powietrze z płuc. – Samoblokujący się układ kierowniczy to zagadkowa sprawa. Biegli orzekli, iż awaria mogła być samoistna, ale nie wierzę w to. W końcu się dograłem. Dokonując rachunku sumienia, dochodzę do wniosku, że połowa Warszawy z radością zobaczyłaby mój nekrolog. Ale co im, do kurwy nędzy, przeszkadzała niewinna dziewczyna?

– Ktoś celowo uszkodził auto?

– Co do tego nie mam wątpliwości. Nie wiem tylko, czy chodziło o zabicie mnie, czy też czerpanie radości z obserwowania cierpienia spowodowanego stratą żony.

– Wiesz kto?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Po tym zacząłem ostro tankować – kontynuował. – Mijały tygodnie i miesiące, a szefostwo coraz mniej przychylnym okiem patrzyło na moje wysoki. Zawalałem terminy i spotkania. Zaniedbałem pajęczynę, która zaczęła się rozpadać. Ludzie nie mogli się ze mną skontaktować, a jeśli już zdołali nadać jakiś temat, to nie płaciłem im za niego i w końcu się wypięli. Pisałem jakieś głupoty i powoli wypadałem z gry. Naczelnny dał mi ultimatum. Albo wezmę się za siebie

i w ciągu dwóch tygodni dostarczę dobry temat do realizacji, albo mnie zwolnią. Byłem na tyle przytomny, by wiedzieć, że bez tej pracy sięgnę dna. Musiałem ją utrzymać. Niespodziewanie dwa dni po rozmowie z naczelnym odezwał się do mnie informator z warszawskiego Ratusza. Miał super temat i chciał się spotkać. Mój stan spowodował, że wszystkie czerwone lampki, które powinny się rasowemu dziennikarzowi w tym momencie zaświecić, okazały się przepalone. Sprawa dotyczyła jednej z najbardziej prestiżowych działek w Warszawie. Miasto ogłosiło na nią przetarg, który wygrała firma deweloperska Inwestor. Miała tam wybudować luksusowy apartamentowiec. Dokumenty dostarczone przez informatora dowodziły, iż przetarg mógł być ustawiony. Tylko firma Inwestor w stu procentach spełniała wymogi dotyczące zagospodarowania terenu, wykonania drogi dojazdowej wraz z rondem i innych dupereli. Nie zaoferowała za to najlepszej ceny. Ale to jeszcze można było jakoś wytłumaczyć. Gorzej, że prezesem zarządu Inwestora był kuzyn szefa Wydziału Inwestycji Miejskich i bardzo dobry znajomy prezydenta miasta, któremu kończyła się kadencja i zamierzał przebranżowić się na posła z widokami na ministerialną tekę. Taka przysługa z pewnością nie zostałaby zapomniana. To już składało się w pewną całość. Zacząłem czuć krew, tak jak przy „kamienicznikach”. Informator okazał się jednak jeszcze bardziej hojny. Dostarczył kopię oficjalnej korespondencji pomiędzy Inwestorem a Ratuszem. Wynikało z niej, że prezydent miasta wyraził zgodę na rozłożenie płatności na nieoprocentowane raty na okres pięciu lat. Było to wyraźne działanie na niekorzyść miasta. Przedstawiłem temat w redakcji. Mocno ich zainteresował, szczególnie że ówczesny prezydent Warszawy nie był ulubieńcem naczelnego. Zapewniłem oczywiście, iż wszystkie informacje zweryfikowałem i potwierdziłem w niezależnych źródłach.

– Nie zrobiłeś tego?

Kolejne głębokie westchnienie wypełniło wnętrze kabiny samochodu.

– Gdybym zrobił, szybko przekonałbym się, że to lipa szyta bardzo grubymi nićmi. Prezes Inwestora nie był kuzynem kogokolwiek w Ratuszu, w jednym przypadku występowała jedynie zbieżność nazwisk – zaczął wyliczać Zawada, odginając po kolei palce prawej ręki. – Uczestnictwo władz Warszawy w organizowanej przez Inwestora konferencji na jakiś tam temat w Krynicy, nie pamiętam dokładnie tytułu, w każdym razie połączonej z darmowym pobytem w luksusowych apartamentach, też okazało się wymyślone. Informator przedstawił podrobione wnioski o delegacje. Prawdą było jedynie to, że taka konferencja w ogóle miała miejsce. No i oczywiście najważniejsza podpucha: owa korespondencja i zgoda na rozłożenie kwoty zakupu na raty. Trzeba być totalnym

oszołomem, żeby na coś podobnego się złapać. Wtedy jednak miałem wszystkiego dość. Chciałem tylko to spisać i mieć święty spokój.

– I co?

– I rozpętała się afera. Początkowo pod prężaniem mediów stanął Prezydent Miasta Warszawy. Szybko jednak się wybronił i wykazał przekłamania artykułu. Już pod koniec dnia emisji materiału ciężar oskarżeń zaczął przechylać się na moją stronę. Redakcja się za mną ujęła, ale gdy wyszło na jaw, w co wszyscy przeze mnie wdepnęli, stałem się odszczepieńcem. Muszę przyznać, że byłem tym niezłe przerażony. Chłopak, który wcisnął mi cały ten kit, przepadł bez słowa, a za mnie wzięła się prokuratura. Zarówno Inwestor, jak i władze Ratusza zapowiedziały pozwy cywilne. Na szczęście udało mi się z nimi jakoś dogadać. Chyba z dziesięć razy wygłaszałem publiczne przeprosiny w najprzeróżniejszych mediach, w Rzeczpospolitej i Gazecie Wyborczej opublikowałem samobiczujące się teksty. Po tygodniu mi odpuścili. Nie muszę nadmieniać, że straciłem robotę i możliwość jakiegokolwiek pracy w zawodzie, przynajmniej w Warszawie. Byłem spalony. Przez trzy lata pracowałem w drukarni, potem wróciłem na Pomorze i błąkałem się od redakcji do redakcji. W końcu zaczęłem się w Donosicielu.

– I nie masz pojęcia, kto ci podłożył świnię?

– Mogę się tylko domyślać. Może Grabiński i Kamionka? Ten drugi byłby zdolny do fachowego uszkodzenia samochodu, ale tak naprawdę to tylko gdybanie. Skoro ktoś dotarł do informatora i przekonał go do podłożenia fałszywek, musiał znać system pajęczyny. Mógł też orientować się w mojej sytuacji zawodowej i przypuszczać, iż z radością łyknę takiego newsa. Myślałem, że ktoś się odezwie, zadrwi ze mnie, pokaże, jakim stałem się frajerem, ale cisza. A teraz jestem tu.

I chcesz za wszelką cenę dopaść mordercę, dopowiedziałem sobie w myślach. Gdy usłyszałem tę historię, zrozumiałem determinację, jaka nim powodowała. Opowieść o śledztwie w sprawie Kraśnik i Maj miała być powrotem do dawnego życia, na szczyt, z którego został podstępnie strącony. To wzbudzało niepokój. Nie byłem do końca przekonany, z którym Zawadą mam do czynienia. Tym z okresu pisania o „kamienicznikach” czy też oszczercą Prezydenta Miasta Warszawy.

24.

Szturchnięcie wybiło mnie ze snu. W chwili gdy otworzyłem oczy, snop

białego światła wrył się we mnie z pełną mocą, powodując chwilową ślepotę.

– Jedzie! – usłyszałem podniecony głos. – Budź się. Nasz ptaszek wyrusza na polowanie.

Samochód Mecha skręcił w kierunku Chojnic, co uwolniło mnie od świetlnego ataku reflektorów. Zaczynałem odzyskiwać wzrok. Spojrzałem na zegar, pokazywał 23:30. Krople deszczu dudniły o karoserię. Zawada odpalił silnik. Ruszyliśmy powoli tropem passata, trzymając się w bezpiecznej odległości. W pewnym momencie wydawało się nawet, że go zgubiliśmy, bowiem żarzące się w dali czerwone światelka tylnych lamp zaczynały rozmywać się w mroku. Wtedy suzuki przyspieszyło. Minęliśmy centrum Sławina. Mech skręcił w jedną z uliczek, przy których ustawiono obok siebie kilkanaście domów jednorodzinnych. Jechał powoli. Zawada zgasił światła, ale silnik pracował dalej. Na ulicy nie było latarni, wokół panował mrok. Gdy wyjechaliśmy z za zakrętu, Karol nagle przyhamował. Kilkanaście metrów przed nami stał passat. Ukryliśmy się za zaparkowanym przy chodniku kombi.

– Cholera, zobaczy nas. – Wbiłem się spanikowany w fotel.

– Spokojnie, w tych ciemnościach nie dostrzeże końca własnego nosa, a co dopiero nas z tej odległości. Co on kombinuje?

Auto dyrektora stało z zapalonymi światłami około pięciu minut. W pewnym momencie z jednej z furtek wybiegła odziana w płaszcz przeciwdeszczowy kobieta. Zanim dotarła do samochodu, Mech od wewnątrz uchylił jej drzwi.

– Kto to?

– Nie wiem, podaj lornetkę.

Przyłożyłem lornetkę do oczu. Nawet gdybym jakimś cudem zdołał przeniknąć wzrokiem deszcz i mrok, to już płótna rozłożonego parasola z pewnością nie. Kobieta zajęła miejsce pasażera, dopiero wtedy złożyła parasol i zatrzasnęła drzwi. Passat ruszył. Jechaliśmy jego śladem bardzo powoli, bowiem światła suzuki były nadal zgaszone. Mech wydostał się na drogę krajową. Podążaliśmy za nim. W końcu Zawada zmuszony był zapalić reflektory, co wymogło zachowanie większej odległości pomiędzy samochodami.

– Wraca? – spytałem zdziwiony.

– Chyba tak.

Z daleka widzieliśmy, jak passat skręca w ulicę Brzozową. Mech kierował się do domu.

– Nasz pan dyrektor wyskoczył po panienkę? – Zawada był niemniej zdziwiony ode mnie.

– Może to któraś z uczennic?

Alicja? Czy to możliwe?

Zaczekaliśmy, aż samochód Mecha zniknie z pola widzenia. Nie musieliśmy się spieszyć; wiedzieliśmy, dokąd zmierza. Pojazd toczył się powoli. Droga, która dwa dni temu wydawała się twarda i stabilna, pod wpływem deszczu zaczęła zmieniać się w grzęzawisko. Dotarliśmy do leśnego korytarza i zwolniwszy, jechaliśmy w kierunku domu Mecha. Zawada ponownie zgasił reflektory. Gdy dotarliśmy przed bramę, na parterze paliły się światła.

– Nie usłyszy samochodu ? – zaniepokoiłem się.

– Mam nadzieję, że zagłusza nas deszcz. Musimy szybko się gdzieś ukryć.

Nie było mowy, byśmy zdołali wdrapać się na tę samą górkę co ostatnio. Samochód był co prawda terenowy, ale i on nie poradziłby sobie ze zwałami błota, w jakie zamieniło się podłoże. Zaparkowaliśmy w naturalnej zatoczce przed wjazdem do lasu. Częściowo zasłaniały nas konary drzew. Należało mocno wyteńczyć wzrok, by dostrzec stojący pod nimi pojazd. To wystarczało, w końcu Mech nie po to przywiózł w nocy do domu kobietę, by ślęczeć przy oknie.

– Nie możemy tak tu siedzieć – denerwowałem się. – Nie wiadomo, co on tam wyrabia.

– Spokojnie. – Zawada był bardziej opanowany. – Przecież nikogo nie porwał. Ta kobieta sama wsiadła do jego samochodu. Pewnie to jego kochanka.

– A jeśli zwabił ją podstępem? – nie ustępowałem. – Facet dysponuje dużym domem na totalnym odludziu. Może w nim bezkarnie przetrzymywać nie jedną, a kilka dziewczyn. Nikt by się o tym nie dowiedział. Nie słyszałeś o podobnych

przypadkach w Belgii i Austrii? Wszystkich tych ludzi uważano za wzorowych obywateli, a okazali się potworami.

Zawada pokiwał głową.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Wejść tam – zdecydowałem. – Może znajdę jakieś uchylone okno, przez które uda mi się dostać do środka. Jest w końcu cholernie gorąco.

– Chcesz się tam włamać? Zwariowałeś?

– Nie ma na co czekać. Przywiózł tu w środku nocy samotną dziewczynę. Strach pomyśleć, co może teraz z nią wyrabiać.

Zawada zaczął nerwowo pocierać prawe udo.

– Cholera, nie pomogę ci. Nie dam rady.

– Wiem. Czekaj tu, w razie czego dzwoń po policję.

– To raczej niemożliwe. W tym buszu nie ma za diabła zasięgu.

– W takim razie pojedziesz na komisariat. Ale na razie czekaj.

Zacząłem zapinać bluzę. Zawada sięgnął na tylne siedzenie i podał mi kurtkę przeciwdeszczową z kapturem.

– Ubieraj się. Mam pewien pomysł.

Jadąc powoli, ustawił samochód równolegle do żywopłotu.

– Włóż na dach – powiedział. – Inaczej nie dasz rady.

Rzeczywiście, gotując się do wyprawy, zapomniałem o rzeczach podstawowych. Żywopłot miał dobrze ponad dwa metry i bez pomocy nie zdołałbym go pokonać. Zawada deklamował litanie ostrzeżeń.

– Uważaj, pod krzakami może być płot, i to ostry. Sprawdź to najpierw, zanim naprzesz całym ciałem. I zabezpiecz sobie drogę ucieczki. Z drugiej strony

nikt cię nie podsadzi. Z zewnątrz nie wygląda, by mieli alarm lub kamery, ale na wszelki wypadek rozejrzyj się dokładnie. Weź latarkę. Puść sygnał, jak zdołasz wejść.

– Będę uważał, dzięki.

Sprawy działały się tak szybko, że nie zdążyłem przemyśleć, w co się pakuję. W tamtym momencie liczyło się tylko to, by uniemożliwić Mechowi skrzywdzenie kolejnej dziewczyny.

Na dworze lało coraz obficie. Okrążyłem samochód, wdrapałem się na maskę, stanąłem na niej – ostrożnie, by się nie poślizgnąć – i wszedłem na dach. Z tej perspektywy widziałem dokładnie całą ogrodzoną działkę. Światła na parterze budynku zgasty kilka minut temu i zastąpił je przytłumiony blask lampki na drugim piętrze. Zgodnie z ostrzeżeniami Zawady sprawdziłem żywopłot. Tak jak mówił, jego szkielet stanowiła stalowa siatka. To sprawiło, że całość przy niewielkim naporze z góry chybotąła się niebezpiecznie. Nie mogłem się cofnąć. Wcisnąłem lewą nogę w krzaki, do momentu napotkania oporu w postaci siatki, i położyłem się płasko na górnej części żywopłotu, który miał około pół metra szerokości. Prawą ręką sięgnąłem na drugą stronę, chwyciłem zrośnięte pnącza, ścisnąłem je mocno, i odbijając się lewą nogą przerzuciłem resztę ciała na drugą stronę. Wylądowałem z impetem na podwórku Mecha, przewracając się na trawę. Na szczęście uniknąłem kontuzji. Byłem przekonany, że narobiłem przy tym niesamowitego rejwachu, ale lejący z nieba deszcz skutecznie zagłuszał wszelkie niepożądane dźwięki. Pochylony podbiegłem do budynku. Nacisnąłem delikatnie kławkę drzwi wejściowych, te jednak były zamknięte. Obszedłem budynek, starając się zachowywać możliwie jak najciszej. Nie dostrzegłem żadnych kamer ani sygnalizatora alarmu montowanego często na zewnętrznej elewacji. Mech musiał czuć się wyjątkowo komfortowo, skoro nie zadbał o żadne zabezpieczenia; nie miał nawet psa.

Niestety wszystkie okna na parterze okazały się szczelnie zamknięte. Obszedłem dom po raz kolejny, tym razem obserwując pierwsze piętro. Od południowej strony jedno z okien zostało uchylone w pionie. Przez chwilę rozważałem, w jaki sposób się do niego dostać. Jedynym narzucającym się rozwiązaniem było wejście na dach przylegającego do domu garażu i stamtąd, trzymając się rynny, musiałbym przejść po wąskim gzymsie w kierunku okna.

Pompowana do krwiobiegu adrenalina napędzała mnie do działania.

Wdrapanie się na garaż nie było łatwą sprawą; na szczęście dostrzegłem wciśniętą w kąt budynku stalową beczkę, wypełnioną ściętą trawą i gałęziami, którą przetoczyłem do krawędzi garażu. Najwidoczniej osoba kosząca trawnik odpuściła sobie wyrzucenie śmieci. Stanąwszy jedną nogą na krawędzi chyboczącej się beczki, drugą opierając na mocowaniu rynny, podciągnąłem się na tyle, by ułożyć łokcie na płaskiej powierzchni dachu i wwindować resztę ciała. Byłem mokry, pot lał się ze mnie strumieniami, a deszcz atakował nieliczne jeszcze suche części garderoby. Podszedłem do ściany budynku.

Czekała mnie najtrudniejsza część: musiałem jakoś dobrnąć do okna. Znajdowałem się około czterech metrów nad ziemią i aby dotrzeć do celu, musiałem pokonać kolejnych pięć po wąskim gzymsie. Ratował mnie kabel rozciągnięty przez całą szerokość ściany budynku, przymocowany do elewacji metalowymi skoblami. Nie wiem, do czego służył – telewizja satelitarna, internet, telefon – i nie mało to znaczenia. Najważniejsze, że mogłem się czegoś przytrzymać. Pierwsze kroki były bardzo niepewne. Stanąłem na gzymsie niebezpiecznie wychylony. Bałem się poruszyć. Byłem przekonany, że jeśli przesunę nogę, runę w dół. W końcu się opanowałem. Stopy przesunąłem po kilka centymetrów, potem – ręce chwytające się skobli. Robiłem postępy. W takim momencie trudno liczyć czas; od wyjścia z samochodu musiały minąć wieki.

Znajdowałem się w połowie drogi, gdy w zestrojone z ciemnością oczy uderzyła struga światła. Ktoś włączył lampę w pomieszczeniu, wzdłuż którego się właśnie przemieszczałem. Zachwiało mnie. Noga omsknęła się i tylko dzięki mocnemu chwytowi zdołałem utrzymać równowagę. To jednak spowodowało, że przeciążony skobel zaczął się wyginać i puszczać. Rzykując upadek, zrobiłem dwa szybsze kroki i minąłem okno. Dziękowałem Bogu za zaciągnięte żaluzje; zapewne tylko dlatego nie zostałem dostrzeżony. Światło zgasło. Znow zapanowała ciemność. Nie miałem szans, by długo utrzymać się w tej pozycji. Musiałem podkręcić tempo. Nogi przesunąłem szybciej, ręce sprawniej odnajdywały kolejne skoble. W końcu dobrnąłem do celu. Chwyciłem framugę okna i odetchnąłem. Serce waliło mi jak oszalałe. Otarte o skoble i chropowatą elewację palce krwawiły, lecz poza tym nie doznałem żadnego szwanku.

Samo dotarcie do celu nie rozwiązywało problemu. Musiałem jeszcze dostać się do środka. Przez pozostawioną szczelinę włożyłem rękę i zacząłem wpychać ją z całych sił do wnętrza pomieszczenia. Zawias boleśnie wbijał się w pachę. W końcu dotknąłem klamki. Przekręciłem ją. Okno otworzyło się z dużym impetem, niemal zwalając mnie z gzymsu. Ostatkiem sił zdołałem się przytrzymać i z trudem wszedłem do środka.

Musiałem odsapnąć. Z jednej strony czułem fizyczne zmęczenie, z drugiej stres i zalewająca żyły adrenalina sprawiły, że ręce trzęsły mi się jak liście na halnym. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy nie postawiłem przed sobą zbyt ciężkiego zadania. Jednak gdybym się teraz wycofał, a później dowiedział o tragedii, której mogłem zapobiec, nigdy nie odzyskałbym spokoju. Pośrednio robiłem to dla siebie.

Wyciągniętą zza paska latarką błysnąłem w kierunku samochodu Zawady. Nie wiem, czy widział mój akrobatyczny występ, ale z pewnością świetlny znak na chwilę go uspokoił. Choć wołałbym, żeby w okolicy był zasięg. Przynajmniej mielibyśmy jakąś łączność.

Trafiłem do niewielkiego pokoju. W świetle latarki ukazywały się po kolei: płaski, tak na oko trzydziestodwucalowy telewizor, kanapa, szafa i stolik ustawiony pod ścianą. Pomieszczenie sprawiało wrażenie pokoju gościnnego. Zgasilem latarkę i najciszej, jak potrafiłem, podszedłem do drzwi. Nasłuchiwałem, ale nie dochodził zza nich żaden dźwięk. Delikatnie napałem na klamkę. Drzwi uchyliły się i ostrożnie wyjrzałem.

Znajdowałem się w czymś w rodzaju przedsionka rozległego salonu. Wyszedłem dalej, gdy upewniłem się, że nikogo w nim nie ma. Pokonywałem kolejne metry, starając się nie wpaść na żaden mebel i nie narobić hałasu. Na szczęście ciemność rozpraszała poświata wydobywająca się z przestrzeni za salonem. Gdy przyjrzałem się bliżej rozplanowaniu pomieszczeń, doszedłem do wniosku, że to w salonie zapalono światło, gdy przemykałem za oknem. Skoro zgasło tak szybko, widocznie nie było to dla Mecha i tajemniczej kobiety miejsce docelowe. Zastanawiałem się, co znajduje się dalej, gdy usłyszałem głosy. Cicha rozmowa toczyła się gdzieś niedaleko. Niski męski głos i kobiecy szczebiot, albo chichot.

Światło sączyło się z małego korytarza, który mieścił schody prowadzące z dołu na wyższe piętro. Po lewej stronie znajdowało się dwoje drzwi. Zamierzałem ruszyć w ich kierunku, gdy z kondygnacji nade mną popłynęły niewyraźne dźwięki rozmowy.

– A jak... lubisz to... – mówiła nieskładnie kobieta.

– Wiesz przecież... jesteś nieprawdopodobnie piękna – odpowiedział Mech.

Znieruchomiałem. Co powinienem zrobić? Wejść tam? Czego by o tym wszystkim nie myśleć, na przemoc to nie wyglądało. Raczej na potajemną schadzkę kochanków. Zawada miał rację. Zaszedłem jednak zbyt daleko, by zawrócić, nie przekonawszy się, kim jest kobieta. Wszak mogło nam to o Mechu wiele powiedzieć. Jeśli gustował w młodocianych, powinien stanąć pod pręgierzem.

Wstąpiłem na pierwszy schodek i zerknąwszy pod nogi, zauważyłem, ile błotnistych śladów za sobą zostawiałem. Zakląłem w myślach. Zdjąłem buty i odstawiłem je przed schodami. Dalej szedłem w skarpetkach. Postanowiłem zająć się śladami później.

Zastanawiałem się, pod ile paragrafów podpadłem w ciągu kilkunastu ostatnich minut. Na pewno pod wystarczająco wiele, by przekreślić na dobre dalszą karierę nauczyciela.

Przestępowałem ze schodka na schodek niczym czający się złodziej. Głosy stawały się coraz donośniejsze, trudno było jednak wyłuskać konkretny sens zdań. Nie wiedziałem, co mnie czeka na górze, pochyliłem się więc maksymalnie, poruszając się niemal na czworakach. Gdy dotarłem do przedostatniego schodka, wychyliłem głowę ponad podłogę. Ujrzałem korytarzyk i identycznie jak na kondygnacji poniżej dwoje drzwi. Jedne z nich były uchylone i stamtąd dochodziły ciche dźwięki rozmowy. Te jednak chwilowo umilkły. Tym razem przeklinałem Mecha za niezgaszenie światła. To, co ratowało mnie na dole, teraz groziło wpadką. Gdyby w korytarzu panował mrok, byłbym praktycznie niewidoczny.

Wstałem i wykonałem trzy szybkie kroki na palcach, po czym przykleiłem się do ściany. Poruszając się wzdłuż niej, dotarłem do futryny otwartych drzwi. W tym momencie musiałem podjąć szybką decyzję. Zerknięcie do pokoju było niezwykle ryzykowne. Mogłem nadziać się na wzrok Mecha lub jego kochanki, a wtedy... Postanowiłem jednak zaryzykować. Najpierw nasłuchiwałem. Rozmowy zastąpiły głębokie westchnięcia i sapanie. Wykonałem trzy szybkie wdechy, po czym przekręciłem głowę. Szybkim spojrzeniem obrzuciłem pokój.

To była sypialnia. Pośrodku stało ogromne łóżko, a na szafce pomiędzy nim a oknem świeciła się nocna lampka, obok dostrzegłem opróżnioną w trzech czwartych butelkę wina i dwa puste kieliszki. Blask lampki ukazywał leżącego na plecach Mecha. Choć odziany w koszulę, to od pasa w dół był nagi. Na wykładzinie przed łóżkiem leżały rozrzucone spodnie, majtki i skarpety. Dyrektor nie mógł opanować podniecenia i wił się na materacu, wbijając weń rozczapierzone

palce. Prężył się i co chwilę odginał głowę ku tyłowi. Klęcząca obok kobieta trwała nachylona, by z lubością pochłaniać ustami jego nabrzmiąły członek. Trzymała go lewą ręką, wykonując posuwisty ruch, prawą dłoń opierała na podbrzuszu kochanka. Opuszczona do pasa sukienka ukazywała nagie piersi falujące zmysłowo wraz ze stałym rytmem erotycznej zabawy. Opadające włosy wyraźnie jej przeszkadzały, odgarnęła je więc i wtedy dostrzegłem znajomą twarz. Zamarłem. Myślałem, że to jakaś pieprzona fatamorgana.

Andżelika przesunęła ostatni raz językiem po męskości Mecha, po czym się wyprostowała. Na szczęście klęczała tyłem do mnie, więc pozostałem niezauważony. Dziewczyna uznała najwidoczniej, że wystarczająco rozgrzała kochanka, bowiem sprawnym ruchem zsunęła majtki i rzuciwszy je za łóżko, podciągnęła dół sukienki. Dosiadła Mecha, a ten wydał westchnienie rozkoszy. Miałem dość.

Oparty o ścianę nie mogłem opanować dreszczy. Włamałem się do Mecha w nadziei uchronienia niewinnego życia, stałem się natomiast świadkiem erotycznych igraszek z dziewczyną, co do której naiwnie odczuwałem rosnącą sympatię. Co ją w nim pociągało? Potęga i władza? Podziwiała takich ludzi, podniecało ją to?

Zaczynali dogadzać sobie coraz głośniej. Nie chciałem tego słuchać. Z trudem trzymając nerwy na wodzy, zszedłem schodami na dół. Miałem wrażenie, iż nawet gdybym biegał w drewnianych chodakach, nie zwróciliby na mnie uwagi. Zdołałem się nieco opanować. Właściwie powinienem wykorzystać szansę i prysnąć niezauważony, wiedząc jednak, że w ciągu najbliższych minut główny lokator wraz z kochanką będą zajęci na górze, nie potrafiłem oprzeć się pokusie pomyszkowania. Intrygowały mnie drzwi na korytarzu i pomieszczenia znajdujące się za nimi.

Uchyliłem pierwsze. Zapaliłem latarkę. Pokój wypełniały książki; regały sięgały sufitu i ustawione zostały pod trzema ścianami, z przerwą na duże okno. Nie było ich tylko na tej ścianie, gdzie znajdowały się drzwi. Na środku pokoju stał skórzany komplet wypoczynkowy, kanapa i dwa fotele, otaczając rzeźbiony drewniany stół. Nad nimi wisiał rozłożysty szklany żyrandol. To wyglądało na prywatną bibliotekę, czytelnię, miejsce przechowywania kolekcjonowanego latami zbioru. Podeszedłem do pierwszego regału i oświetliłem go latarką. Na wysokości mojego wzroku odkryłem eleganckie wydania dzieł Mickiewicza i Słowackiego. Były albo nowe, albo genialnie zachowane. Dalej – pozostała literatura romantyczna, również zagraniczna, angielska i francuska w oryginale. Zapoznanie

się z całością zajęłoby miesiące, jeśli nie lata. Mój czas był bardziej ograniczony.

Wyszedłem, zamykając za sobą drzwi, i otworzyłem kolejne. Dochodzące z góry jęki Andżeliki informowały o rezerwie czasowej. Tym razem przeżyłem *déjà vu*. Pokój stanowił mniejszą wersję szkolnego gabinetu Mecha – podobne biurko, zegar i gdańska biblioteka – z tym, że dodatkowo posiadał kominek.

Ruszyłem od razu do biurka, licząc na znalezienie w nim czegoś ciekawego. Zasiadłem na drewnianym krześle z rzeźbionym oparciem. Zresztą tam wszystko było rzeźbione, zupełnie jakby płaskie powierzchnie wywoływały we właścicielu wstręt. Wysunąłem szufladę. By dokładnie obejrzeć jej zawartość, musiałem przytrzymać latarkę zębami. Znalazłem papiery dotyczące szkoły, teczki z planami zajęć, wnioski do gminy o dotacje i inną biurokratyczną korespondencję. Poniżej po obu stronach biurka znajdowały się szafki. Tę po lewej otworzyłem bez problemu, druga natomiast była zamknięta. Dostępne wewnątrz spenetrowałem w pośpiechu. Kolejne sterty teczek i kilka skoroszytów. Przejrzałem je, nie znajdując nic ciekawego. Druga szafka mnie intrygowała. Do wszystkiego w domu był łatwy dostęp. Pokoje, biurko, szuflady stały otworem. Dlaczego zamknął tę szafkę? Ukrywał coś?

Rozum nakazywał odwrót. Spojrzałem na zegarek. Minęło trzydzieści minut od momentu opuszczenia samochodu Zawady. Igraszki na górze nie będą się ciągnąć w nieskończoność. A jeśli po seksie zechcą zejść na dół?

Pewnie posłuchałbym zdrowego rozsądku, gdybym wstając, nie skierował światła latarki na umieszczony przy kominku stojak z przyborami do rozpalania ognia. Decyzję podjąłem w ułamku sekundy. Ruszyłem w tamtym kierunku, wyjąłem pogrzebacz i wróciłem do zamkniętej szafki. Wyłamanie prostego zamka nie wydawało się trudnym zadaniem. Wcisnąłem końcówkę pogrzebacza w szczelinę pomiędzy drzwiczkami a ścianką szafki i napałem z całej siły. Zamek puścił z trzaskiem. Snop światła powędrował do wnętrza. Na górze leżał skoroszyt. Jęknąłem w duchu zawiedziony, spodziewając się kolejnych papierów. W koszulkach nie znajdowały się jednak dokumenty, lecz wycinki prasowe. Zacząłem je pochłaniać z fascynacją. Pierwszy pochodził z 1985 roku i dotyczył zaginięcia Magdy Kraśnik. Czuję, jak serce pompuje krew w coraz bardziej wariackim tempie. Pod tekstem podpisał się Karol Zawada. Dalej było coś dziwnego. Kolejne koszulki mieściły artykuły o innych zaginięciach. Nie zagłębiałem się w treść, ale na pierwszy rzut oka nie kojarzyłem żadnej ze spraw. Ułożono je chronologicznie. Ostatnia strona zawierała tekst o Alicji z Przeglądu Kaszubskiego. Szperałem dalej. W głębi szafki znajdował się album ze zdjęciami.

Otworzyłem go. Na każdej ze stron umieszczono po dwa zdjęcia w przezroczystych kopertach. Przeglądałem je, nie rozpoznając nikogo znajomego. Aż do trzeciej strony. Była tam kolorowa fotografia odświętnie ubranych uczniów, ustawionych w trzech rzędach na tle przystrojonej papierowymi ozdobami sceny. Za nimi stali nauczyciele – w większości roześmiani – również na galowo. W postaci trzeciej od lewej rozpoznałem Mecha. Właściwie wyróżniał go jedynie wzrost. Był o wiele młodszy, bez brody i siwych włosów – zamiast nich na głowie piętrzyła się góra loków. Sama postać w brązowej marynarce pod krawatem wydawała się smuklejsza niż dziś, a uśmiech, jaki rozpromieniał twarz, zupełnie zbijał z tropu. Przez blisko dwa miesiące pracy w Sławinie nie widziałem szczerze uśmiechniętego Mecha. Za nimi w kadrze mieścił się napis wymalowany farbą na płótnie lub prześcieradle:

BAL MATURALNY SŁAWINO 1985.

Na zdjęciu było coś jeszcze. Coś znajomego, lechtającego podświadomość, ale trudnego do zweryfikowania. Zacząłem szukać postaci Magdy Kraśnik. Musiała być na zdjęciu, to w końcu jej bal.

Przerwał mi dobiegający z korytarza donośny dźwięk. Damski głos. Andżelika wołała Mecha. Dowiedzieli się o intruzie? W tym momencie przypomniałem sobie o pozostawionych przy schodach butach. Byłem skończonym idiotą. Pewnie dostrzegła też błoto na podłodze. Musiałem się jak najszybciej ewakuować. Zgasilem latarkę, chwyciłem pod pachę segregator, album i ruszyłem do okna. Była to jedyna droga ucieczki. Bez paniki, uspokajałem się w duchu, choć sytuacja wydawała się niebezpieczna. Co powiem, jak mnie nakryją? Cześć, to ja, wasz kolega? Nie mogłem do tego dopuścić. Musiałem działać szybko. Na korytarzu było coraz głośniejsze. Andżelika rozmawiała z Mechem w dużym zdenerwowaniu. Nie rozróżniałem słów, ale słyszałem wyraźne napięcie w jej głosie. Otworzyłem okno gabinetu. Skok stanowił zbyt duże ryzyko. Cztery lub pięć metrów – upadek z takiej wysokości może wyrządzić człowiekowi krzywdę. Leżąc na dole z połamanymi nogami, wiele nie zdziałam. Nie było czasu, musiałem iść na żywioł. Wyrzuciłem na trawę segregator i album, wdrapałem się na wewnętrzny parapet, zrobiłem krok naprzód, przestępując na zewnętrzny, i przesunąłem się delikatnie w prawo.

Stałem na gzymsie przylepiony do ściany, z bladym pojęciem, co dalej począć. Na szczęście deszcz przestał padać. Rozejrzałem się. Kompletna pustka, nie było czego się przytrzymać ani po czym zejść na dół. Ogarnęła mnie desperacja. Jedyne pomysły, jakie w tamtym momencie przyszedł mi do głowy, to

wykorzystanie kurtki jako substytutu liny, po której mógłbym opuścić się choćby o kilkanaście centymetrów. Nie zastanawiając się długo, wróciłem z gzymsu na metalowy zewnętrzny parapet, zdjąłem kurtkę i jeden rękaw zawiązałem na supeł wokół klamki okna. Pociągnąłem z całych sił, chcąc sprawdzić moc węzła. Powinien wytrzymać. W tym momencie ktoś zaczął otwierać drzwi gabinetu. Chwyciłem mocno prowizoryczną linę i opierając się nogami o elewację, zacząłem szybko zjeżdżać w dół. Zyskałem dzięki temu około metra. Gdy kurtka się skończyła, skoczyłem bez zastanowienia.

Walnąłem o ziemię z ogromnym impetem. Miałem wrażenie, jakby wszystkie narządy wewnętrzne wpadły nagle do ogromnej wirówki. Kręciło mi się w głowie. Leżałem na trawie nieco otumaniony – aż dostrzegłem nad sobą wychyloną głowę Mecha. Natychmiast się przeturlałem poza zasięg jego wzroku. Boże, rozpoznał mnie czy nie?

Z trudem, ale wstałem, co oznaczało, iż nie uszkodziłem się zbyt mocno, choć zacząłem odczuwać dość bolesne rwanie w okolicy szyi. Rozejrzałem się za wyrzuconymi wcześniej segregatorem i albumem. Dostrzegłem je w odległości kilku metrów od miejsca upadku. Poczłapałem tam, chwyciłem trofea i rozpocząłem rajd w kierunku ogrodzenia. I wtedy doszło do mnie, jak amatorska była to akcja. Podejmując pośpiesznie decyzję o włamaniu, nie zapewniłem sobie drogi ucieczki. W jaki sposób pokonam płot czy bramę?

– Lina! Tu! – Głos Zawady dochodził z prawej strony. Ledwo go usłyszałem. Gdy przed drzwiami domu rozbłysło światło, dostrzegłem przewieszoną przez krzaki linę. Zanim ją chwyciłem, przerzuciłem przez żywopłot wykradzione skarby.

– Jestem! – starałem się krzyknąć, ale wyszedł z tego jakiś rzęzący kaszel.

Po pierwszym szarpnięciu liny poczułem moc wciągającą mnie na szczyt żywopłotu. Zza pleców dochodził wyraźny odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł w moim kierunku. Projekcja wyobraźni prezentowała ogromną postać Mecha mknącą ku mnie z siekierą w ręku. Musiał być wściekły. Nie wiadomo, do czego mógłby się posunąć. Wewnętrzny głos wył: ruszaj się albo cię zatłucze! Miałem fuksa, bo natrafiłem stopą na grubą gałąź, odbiłem się i lewą ręką złapałem za płataninę gałęzi. Ledwo zdążyłem puścić linę, gdy za drugą rękę chwycił mnie Zawada i zaczął przeciągać na stronę lasu. W tym momencie dopadł mnie Mech. Jego niedźwiedzia łapa objęła moją kostkę. Ogromna siła wsysała mnie z powrotem na teren posesji. Ból wypełnił rozrywane ciało. Próbowałem się

uwolnić, wierzgając i kopiąc. Kilka nieskoordynowanych uderzeń wylądowało na twarzy Mecha i jego uścisk zelżał, dzięki czemu zdołałem się wyrwać. Poleciałem do przodu, lądując plecami na dachu suzuki.

– Szybko! – Karol nie zwalniał uchwytu, holując mnie przez przednią szybę i maskę. Puścił, gdy dotknąłem nogami ziemi.

– Do wozu! – rozkazał.

– Czekaj. – Oprzytomniałem na tyle, by podnieść z ziemi segregator i album. Nie zdążyłem zamknąć drzwi, gdy silnik terenówki zawył i pojazd ruszył przed siebie, tryskając na boki błotem. Gnałszy po omacku z wyłączonymi światłami. Zawada włączył reflektory dopiero wtedy, gdy zagłębiliśmy się w lesie.

– Kurwa, człowieku, o mało nie dostałem przez ciebie zawału! – Jego krzyk z trudem przebijał się przez ryk motoru.

Byłem absolutnie wyczerpany. Zemdliło mnie i zawartość żołądka natychmiast wylądowała na dywaniku pasażera.

– Przepraszam – wysapałem, uzmysławiając sobie, co zrobiłem dzisiejszej nocy.

25.

Pierwszy kieliszek wódki rozlał po ciele przyjemne ciepło. Kolejny dawał nadzieję na chwilowe uspokojenie. Była druga w nocy. Siedziałem na łóżku w pokoju Pensjonatu u Bobrów, próbując opanować drżenie rąk. Kark bolał coraz mocniej, miałem problemy z przekręcaniem głowy.

– Karol, on mnie zobaczył – rzekłem łamiącym się głosem. – Rozpoznał...

Zawada chwycił mnie za rękaw i poprowadził do łazienki. W lustrze zobaczyłem istotę z piekielnych czeluści. Całą moją twarz pokrywały czarne smugi. Jedynym jasnym elementem były gałki oczne.

– Stary, ja nie jestem w stanie cię rozpoznać z tej odległości – przekonywał. – Jeśli o to chodzi, nie masz się co martwić.

Spojrzałem na ręce: były równie czarne jak twarz. Odtwarzając przebieg

wypadków, jako sprawcę zabrudzeń wytypowałem dach garażu. Upał mógł częściowo roztopić smołę, która oblepiła mi dłonie. Tymi zaś nieraz przecierałem spoconą twarz. Jeśli to miało mnie uchronić przed rozpoznaniem, to dzięki ci, Boże.

Zabrałem się za mycie. Wątpliwości jednak szybko powróciły.

– Ma moje buty i kurtkę – odnotowałem rozpaczliwym tonem.

– No i co z tego? – Karol w odróżnieniu ode mnie zachowywał spokój. – Myślisz, że będzie chodził od domu do domu i szukał swojego Kopciuszka? Zastanów się, jest teraz sto razy mocniej spietryany niż ty. Nie dość, że ktoś nakrył go z kochanką, to jeszcze wykradł coś, co skrzętnie ukrywał. Na pewno nie wezwie policji. Zachodzi w głowę, czy przypadkiem nie nagrałeś jego igraszek. Swoją drogą nie spodziewałem się, że będzie posuwał nauczycielkę. Ten gość zadziwia mnie coraz bardziej.

Obraz siedzącej na Mechu Andżeliki powrócił z pełną mocą. Pragnąłem się go pozbyć.

– Skąd wiedziałeś, że potrzebuję pomocy? – Nie mieliśmy jeszcze okazji pogadać o szczegółach akcji.

– Wszedłem po tobie na dach samochodu i widziałem, że nie zabezpieczyłeś sobie odwrotu. Już wtedy przygotowałem linę. Jestem pełen podziwu za operację włamania, masz talent. Potem zniknąłeś mi z oczu, ale gdy dostrzegłem światło latarki w jednym z pomieszczeń, domyśliłem się, że czegoś szukasz. Dalej poszło szybko, w pokojach coraz bliżej ciebie zaczęły rozbłyskiwać kolejne lampy i konieczność szybkiego odwrotu stała się oczywista. Jak na totalnego amatora poradziłeś sobie znakomicie. Urodzony Arsen Lupin.

– Nie żartuj, byłem przerażony.

– Domyślam się. Zarzygałeś mi samochód. Boję się tylko, że mogłeś sobie nadwyrężyć kark. Powinniśmy jechać do szpitala.

– Teraz? Człowieku, nie mam siły, by doczłapać do łóżka, a co dopiero gdzieś jechać.

– Musimy, jutro możesz być w o wiele gorszym stanie. Na razie trzyma cię

adrenalina.

Chcąc nie chcąc załadowaliśmy się z powrotem do samochodu. Karol zawiózł mnie na ostry dyżur do szpitala w Kościerzynie. Ustaliliśmy historię o upadku ze schodów, co lekarz przyjął z obojętnością. Teoria ta pewnie dobrze współgrała z wyziewami alkoholu płynącymi z moich ust. Zrobiono mi prześwietlenie, które nie wykazało uszkodzenia kręgow. Nie miałem też wstrząśnienia mózgu. Upadek spowodował nadwyrężenie mięśnia, stąd ból. Dostałem zastrzyk łagodzący i receptę na dość mocne środki. Gdy wróciliśmy do pensjonatu, świtało. Nie pamiętam, czy zdążyłem położyć głowę na poduszce, zanim zmorzył mnie sen.

W krainie po drugiej stronie natury człowieka spadałem z okna domu Mecha w bezkresną czeluść. Widziałem jego twarz wychylającą się zza parapetu. Wykrzywił ją grymas pogardy, jakby chciał powiedzieć: „dobrze ci tak, głupcze”, i machnął ręką na wieczne pożegnanie. Lecąc w dół ogromnego rowu, słyszałem szyderczy śmiech Laury. Dyrektorka rechotała, stojąc na zalanym czerwonym światłem tarasie. Z radością przyglądała się memu upadkowi. Ten śmiech wwierał się w mózg, wywołując trudny do wytrzymania ból. Pragnąłem upaść, rozchłostać się na twardej powierzchni i już nigdy nie spotkać tych ludzi.

Gdy otworzyłem oczy, z koszmarne snu pozostał tylko ból głowy. Podniosłem się, ale jakikolwiek ruch szyją był niemożliwy. By spojrzeć w bok, musiałem obrócić całe ciało. Zegar zakomunikował nastanie południa.

– Łyknij sobie. – Zawada rzucił w moim kierunku słoiczek z tabletkami. – Wykupiłem twoją receptę.

Połknąłem lek, popijając wodą. Liczyłem, że ból zostanie choć na moment przytłumiony.

Karol siedział przy stoliku, na którym rozłożył kolekcjonowane przez Mecha artykuły i zdjęcia. Musiał je studiować od dłuższego czasu.

– To ciekawe – rzekł zafascynowany. – Zbierał te wycinki przez dwadzieścia pięć lat, od czasu zaginięcia Kraśnik. Nie ograniczał się do terenu Kaszub, są tu artykuły o zaginionych nieletnich z całego Pomorza. W sumie dziewiętnaście przypadków. To możliwe, żeby miał z nimi wszystkimi coś wspólnego?

Nie byłem w stanie zebrać myśli. Gnębiony bólem umysł dodatkowo

otumaniały środki przeciwbólowe. Zawada zdawał się nie zauważać mojej niedyspozycji.

– A te zdjęcia? Jest tu, na tej samej fotografii co Kraśnik, zapewne na kilka godzin przed jej zniknięciem.

Ciągnął swój wywód dalej, ale go nie słuchałem. Ponownie zasnąłem. Gdy się obudziłem, na zegarze widniało sześć po piątej. Pokój był pusty. Zwlokłem się do łazienki za potrzebą, a gdy stanąłem na nogach, stwierdziłem, że dam radę wziąć prysznic. Na szczęście przed wyprawą do domu Mecha uprzedziłem Zofię o wyjeździe do Gdańska, więc moja nieobecność nie wzbudzi niepokoju. Wcześniej już zaplanowaliśmy na ten weekend kilka spraw i Zawada opłacił jedno miejsce ekstra w pokoju.

Po wyjściu spod prysznica zauważyłem lekką poprawę, jeśli chodzi o możliwość ruszania głową. Była to zapewne zasługa leków zwiotczających mięśnie. Obejrzałem ręce: strupy na palcach wyglądały koszmarnie.

Po kwadransie przyszedł Zawada z talerzem pierogów.

– Jedz, pajęczarzu – wysilił się na dowcip, który jednak w ogóle mnie nie rozbawił. Świadomość, że Mechowi zabrakło kilku sekund, by ściągnąć mnie z płotu, wywoływała dreszcz. Co by wtedy zrobił? Wolałem nie zgadywać.

Pochłaniałem pierogi bez apetytu, słuchając Karola.

– Dzięki tym wycinkom wiemy już na pewno, że coś łączy Mecha z zaginięciami. Fakt, iż wczoraj przywiózł do swego zamku dorosłą kobietę, a nie nieletnią dziewczynę, o niczym nie świadczy. Przecież ta Andżelika też nie należy do staruszek, jest młoda i ładna. To go rajcuje.

– Tylko że wśród artykułów są też teksty o zaginionych chłopcach – zauważyłem.

– Może w nich również gustuje? – Zawada drażył jak najgłębiej. – Cholera wie, jak zwichrowaną ma psychikę? Po wczorajszym jest na pewno nieźle wystraszony. Może popełni jakiś błąd? Mamy już sporo, brakuje jednak przesądzającego dowodu. To może być szczegół, najmniejsza drobnostka.

– A co z tą koleżanką Magdy? Mieliśmy z nią porozmawiać? Była na balu,

może jednak coś pamięta?

– Na jutro planowałem wycieczkę do Łubiany. Ewa Rohosz mieszka tam i pracuje. Nie znam niestety adresu, ale to niewielka miejscowość, popytamy. Mam nadzieję, że dasz radę?

Potwierdziłem ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy. Siedziałem w tym bałaganie po same uszy, nie mogłem uronić choćby ułamka sprawy.

Resztę soboty poświęciliśmy na uporządkowanie wszystkich posiadanych materiałów. Jeszcze raz przejrzelśmy artykuły i zdjęcia wykradzione z domu Mecha, film z ostatniego dnia Alicji w szkole i przywiezione przez Zawadę kopie milicyjnych raportów oraz zeznań świadków. Elementy nie pasowały do siebie.

Przyjęta teoria o porwaniu Alicji przybladła wobec nagrania. Dziewczyna w dużym stresie wybiegła ze szkoły po przeczytaniu listu. Była wstrząśnięta. Może rzeczywiście uciekła z domu? Mogła mieć wypadek. Może roztargniona i wytracona z równowagi wyszła na szosę i została potrącona przez samochód, a zszokowany kierowca zabrał lub ukrył zwłoki? Co prawda policja rozważała taką ewentualność i sprawdzała drogę, poszukując śladów wypadku, ale zrobiła to lokalnie, na trasie ze szkoły do domu. Dziewczyna mogła pójść w innym kierunku.

Jeśli tak się stało, to Mech był bez winy, a naszą pierwotną teorię o mordercy należałoby wyrzucić do kosza. Gdyby nie jeden fakt: segregator z wycinkami. Z jakichś powodów dyrektor Zespołu Szkół w Sławinie kolekcjonował informacje o zaginionych uczniach. Zawada ochoczo przyjął, że to jego ofiary, ale od rzucenia oskarżenia do udowodnienia winy prowadziła niezwykle długa droga. Na razie mieliśmy niewiernego faceta w średnim wieku z kilkoma świstkami papieru w segregatorze. Musieliśmy przyznać, że to niewiele.

Noc z soboty na niedzielę była znacznie spokojniejsza od poprzedniej. Zasnąłem, łyknąwszy swoją dawkę leków, i obudziłem się w dużo lepszej formie. Kark dalej mi dokuczał, ale nie na tyle, bym nie mógł wstać i w miarę sprawnie się poruszać.

Zanim wyszliśmy, zadzwoniłem do Andrzeja, uprzedzając, iż nie przyjadę na mecz. Jęk zawodu w słuchawce mówił sam za siebie. Tego dnia graliśmy z kolejarzami z Kościerzyny. Wobec nieobecności Szpaka, który wziął urlop

i wyjechał, oraz mojej absencji drużyna miała iluzoryczne szanse na uniknięcie porażki. Przeprasilem, tłumacząc się nadwyrężeniem kręgosłupa podczas remontowania mieszkania mamy. Kłamstwo gonilo kłamstwo. Zaczynałem nabierać w tym wprawę.

Do Łubiany zajechaliśmy przed południem. Wjeżdżając do miejscowości, minęliśmy fabrykę porcelany – Zofia mówiła, że to największy lokalny pracodawca. W naszym domu w szklanej witrynie do dziś stoi wyprodukowany w niej serwis obiadowy, a kilka lat temu, idąc na ślub kuzynki, kupiliśmy podobny na prezent. Jak dotąd był to mój jedyny kontakt z tutejszą sztuką wypalania porcelany.

Pomimo niedzieli na parkingu przed bramą fabryki znajdowało się sporo samochodów, co oznaczało, że zakład pracuje siedem dni w tygodniu i zapewne na trzy zmiany. Dzieje się tak z uwagi na piece do wypalania, które raz uruchomione muszą chodzić non stop. Wygaszenie, a następnie ponowne rozpalenie pieca generuje ogromne koszty, dlatego robi się to wyłącznie w szczególnych wypadkach. Tak przynajmniej twierdziła moja gospodyni.

Poszukiwanie domu Rohoszków zajęło nam godzinę. Początkowo nikt nie był w stanie nam go wskazać. Nasze przekonanie o zaludnieniu Łubiany głównie mieszkańcami wrosłymi w tę ziemię od pokoleń okazało się błędne. Pierwsze trzy osoby, które pytaliśmy, wzruszyły ramionami, mówiąc, iż osiedlili się w miasteczku niedawno. Dobrym strzałem okazało się wejście do małego sklepiku działającego w przerobionym na ten cel garażu jednego z domów. Starszy pan z wyraźnym kaszubskim akcentem skierował nas na koniec ulicy. Tam mieliśmy znaleźć dwupiętrowy dom z żółtą elewacją, gdzie mieszkała Rohoszowa z wnuczkami, zięciem i córką, która teraz nosiła nazwisko Pelowska.

Podjechaliśmy we wskazanym kierunku około stu metrów. Dom był rzeczywiście żółty. Dwupiętrowy „klocek” stał pośrodku zagraconej działki. Po lewej stronie pod rozwieszonymi linkami na pranie rosło trochę trawy i jakieś kwiaty, na prawo natomiast stała wiata z blaszanym dachem, a pod nią zalegały stosy rdzewiejących metalowych odpadów, beczki i elementy samochodowej karoserii. Wyglądało, jakby ktoś kiedyś prowadził w tym miejscu warsztat i w pewnym momencie porzucił go na pastwę natury.

Zawada uchylił furtkę, która zareagowała przeciągłym zgrzytem. Podeszliśmy do drzwi. Nacisnąłem dzwonek. Nie dotarł do nas żaden dźwięk, więc zapukałem. Po pół minucie otworzyła nam dziewczynka. Na oko miała dziesięć lat,

w rękę trzymała lizaka, którego ślady uwidaczały się czerwoną obwódką wokół ust.

– Dzień dobry – przywitałem się. – Czy zastaliśmy mamę?

Dziecko zlustrowało nas z zainteresowaniem, po czym zaprzeczyło ruchem głowy.

– Mama jest w pracy – powiedziała, zanurzając w ustach lizaka.

– A kiedy wróci ? – włączył się Zawada.

Dziewczynka wzruszyła ramionami, a za jej plecami wyrosła starsza kobieta. Przcisnęła się do przodu, wypychając dziecko w głąb korytarza.

– Czego chcą ? – rzuciła w naszym kierunku.

– Szukamy pani Ewy Rochosz. – Staralem się, by mój głos wzbudzał zaufanie.

– A czego od niej chcą? – Staruszka pozostawała ostrożna.

– Jesteśmy dziennikarzami. – Zawada przejął pałeczkę. – Piszemy artykuł na temat szkoły w Sławinie, do której pani Ewa uczęszczała. Chcieliśmy z nią pomówić...

– O szkole? – Głos kobiety nabierał niebezpiecznie konfrontacyjnego tonu. – Idiotów przyszlście tu z nas robić? W niedzielę o szkole? Dampc was nasłał na przeszpiegi? Wstydu nie macie tak ludzi nachodzić!

Staruszka była coraz bardziej zdenerwowana. Krzyczała na nas, wymachując nieskoordynowane rękami. Chciałem jej przerwać, ale wpadła w szał.

– Tyle szkody i nieszczęścia przez tego dziada! Won mi stąd!! Wynocha, bo pozabijam!! Lechuuu!!!

Ktoś zbiegał po schodach. Zwalisty mężczyzna wypełnił sobą futrynę drzwi.

– Słyszeliście, won, raz, dwa! – Mówiąc to, rozsiewał wokół resztki pokarmu. Najwyraźniej oderwaliśmy go od obiadu.

Odeszliśmy bez słowa. Jakakolwiek dyskusja mogła zakończyć się rękoczynami. Dopiero gdy odjechaliśmy kilkadziesiąt metrów, wyzwiska ustały.

– Przeziła rodzinka – skwitował Zawada. – Wiemy przynajmniej, że ta Rohosz jest w pracy. Może złapiemy ją po drodze.

Zaparkowaliśmy w pobliżu sklepu, w którym kilkanaście minut wcześniej staruszek pokazywał nam drogę. Zawada wszedł do środka. Przez szybę w drzwiach widziałem, jak wręcza dziadkowi banknot.

– Zmiana w fabryce kończy się o piętnastej – powiedział po wyjściu. – Mój starszy przyjaciel pokaże nam Ewę Rohosz, mówi, że co dzień chodzi tędy do pracy.

Po dwóch godzinach oczekiwania ujrzeliśmy zmierzającą w naszym kierunku energicznym krokiem niewysoką szatynkę. W momencie gdy mijala sklep, staruszek zastukał w witrynę. Zawada machnął mu w podzięcie.

– Proszę pani! – zawołał, podbiegając. Ruszyłem za nim.

Kobieta odwróciła się. Na jej twarzy uwidoczniła się znana nam już z niedawnej awantury nieufność. Nie wyglądała na czterdzieści cztery lata, a musiała tyle mieć; nietrudno było to obliczyć. Zachowała jednak sporą dozę dziewczęcej urody, choć nie nazwałbym jej atrakcyjną. Była dość pulchna, co być może opóźniło efekt starzenia. O średnim wieku przekonywały jedynie nieliczne zmarszczki pod oczami i na szyi.

Zastanawiałem się, czy Magda trzymałaby się równie dobrze? Była piękna, o wiele ładniejsza od przyjaciółki. Mogłaby złapać każdego faceta. Uroda stanowiła dar, który pozwoliłby jej wyrwać się na stałe z tutejszej przeciętności.

– Witam, nazywam się Karol Zawada, a to Sylwester Cichy – przedstawił nas mój towarzysz. – Piszemy artykuł o szkole w Sławinie i sprawie zaginięcia Magdy Kraśnik. Pamięta ją pani? Podobno się przyjaźniłyście. Czy moglibyśmy o niej chwilę porozmawiać?

Ewa Rohosz lustrowała nas wnikliwie.

– O Magdzie? – powiedziała to tak, jakbyśmy wywołali ducha i postawili go

przed nią. – To było strasznie dawno, niewiele pamiętam, poza tym jestem zajęta.

Zaczęła odchodzić, ale Zawada nie dawał za wygraną.

– Chodzi o kilkanaście minut rozmowy. Na pewno coś sobie pani przypomni.

– Powiedziałam, że nie mam ochoty. – Przyspieszyła kroku, przez co zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do domu. Zwalisty Lechu mógłby posunąć się do perswazji siłowej, gdyby zobaczył, iż nie daliśmy spokoju jego żonie.

– To nie będzie dla pani stracony czas. – Zawada wprowadził w życie ustalony wcześniej plan B. – Wiemy, że ma pani dużo zajęć, dlatego zapłacimy za poświęconą nam godzinę. Sto złotych starczy?

Ewa stanęła i ponownie obrzuciła nas pogardliwym spojrzeniem.

– Kim wy, do diabła, jesteście? Nachodzicie mnie w niedzielę i próbujecie przekupić jak jakiegoś menela. Odpieprzcie się, bo wezwę policję, albo mój mąż się wami zajmie. Umie przeganiać natrętów.

Spojrzelśmy po sobie z rezygnacją. Wszystko wskazywało na to, że ten świadek był stracony. Czemu, u licha, tak się broniła przed wspomnianiem Magdy?

– Dobrze, nie naciskamy. – Zawada ustąpił. – Być może później zmieni pani zdanie. Proszę zadzwonić.

Podał jej wizytówkę. Kobieta nawet na nią nie spojrzała, wcisnęła tylko do kieszeni spodni i odeszła bez słowa. Zapewne niedługo wręczony przez Karola kartonik wyląduje na śmietniku.

Na niebie znów zaczęły piętrzyć się chmury. Prochy przestawały działać i pojedyncze igielki z coraz większą intensywnością wwierały się w mój otępiały mózg.

26.

Zarezerwowane na rozmowę z Rohosz niedzielne popołudnie zalało nas przegniatającą ilością wolnego czasu. Zawada po raz setny już chyba rozłożył na kolanach skopiowane milicyjne akta. Przeglądał je w ciszy przez kilka minut.

– Powinniśmy dotrzeć do Brus przed piątą – powiedział.

– A co...? – chciałem zapytać, lecz nie dokończyłem, bowiem przypomniałem sobie o mieszkającym tam emerytowanym milicjancie, blisko ćwierć wieku temu prowadzącym sprawę zaginięcia Kraśnik.

– Pewnie też nas przepędzi. – Po dzisiejszym dniu trudno mi było zdobyć się na optymizm.

– Musimy spróbować. – Zawada schował dokumenty, pozostawiając na wierzchu jedynie kartkę z adresem. Wprowadzony na wysokie obroty suzuki zawył i ruszyliśmy w drogę. Przespałem ją. Obudziłem się po czterdziestu minutach szturchnięty przez Karola.

– Już? – Rozmazany obraz okolonych zielenią zabudowań przenikał przez przymrużone powieki.

– Tak. – Jechaliśmy powoli, Karol szukał wzrokiem numerów budynków. W oddali widniała strzelista kościelna wieża. Z tego, co się orientowałem, Brusy były jedną z większych miejscowości na trasie z Kościerzyny do Chojnic. Nie na tyle jednak dużą, byśmy mieli większe problemy z odnalezieniem interesującej nas ulicy.

– Jest. – Zawada przyhamował przed właściwym budynkiem.

Był to dwupiętrowy dom z szarą elewacją, mocno przypominający ten, w którym mieszkała Ewa Rohosz. Konieczność oszczędzania, wynikła z sytuacji panującej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wymagała zapewne prostoty architektonicznej, stąd taka powtarzalność podobnych budynków. W swoim czasie mógł być uważany za willę, teraz jednak zniechęcał odpadającymi kawałkami elewacji i porzewanym płótnem obrośniętym wszelkiego rodzaju zielskiem.

– Ktoś tu w ogóle mieszka?

Przed zamkniętą bramką widniał dzwonek. Zawada przycisnął guzik. Nic się nie wydarzyło, więc powtórzył czynność.

Z domu po prawej stronie wychyliła się siwa, ozdobiona ogromnymi

okularami głowa.

– Do Szumagów? – zadała pytanie. Przytaknęliśmy.

– Do Lesława czy młodych? – doprecyzowywała.

– Lesława – odparł Zawada.

Staruszek wyraźnie usatysfakcjonowany odpowiedzią przedreptał w kapciach przez schodki i podszedł do ogrodzenia. Wezwał nas gestem ręki.

– Lesław już tu nie mieszka – powiedział, gdy tylko się zbliżyliśmy.

– Nie? – Oczekiwałem na informację o śmierci sąsiada.

– Nie, wywieźli go do Prychowa.

– Jak to wywieźli, kto?

– Do domu starców. Dzieciaki. Szkoda mi Leszka, byliśmy sąsiadami przez ponad trzydzieści lat. A panowie czego od niego chcą, rodzina?

– Tak. – Zawada szybko zareagował, zdawszy sobie zapewne sprawę ze słabego oddziaływania historii z dziennikarzami. – Dalsza, ze strony matki. Tak się złożyło, że pierwszy raz od kilkunastu lat jesteśmy w okolicy, postanowiliśmy więc wpaść do wujka. Dawno go wywieźli?

– Będzie na wiosnę. Ale widziałem, że to na siłę. Nie wiem, co się stało, z dzieciakami nigdy się nie dogadywał, ale żeby oddawać do domu starców, to nie pomyślałbym.

– Zna pan może adres? Skoro już tu jesteśmy, to podjedziemy. Daleko ten Prychów?

– Za Człuchowem. Zaraz napiszę.

Staruszek wczłapał do domu i po kilku minutach wrócił z zapisaną kartką. Wręczył ją Karolowi.

– Pozdrówcie go ode mnie – poprosił. – Powiedzcie, że wpadnę

z koniaczkiem.

– Oczywiście. – Podziękowaliśmy i wróciliśmy do samochodu.

– Dowodził milicją w całym powiecie i wylądował w domu starców? Ciekawe. – Zawada wyjął ze schowka mapę i zaczął szukać Prychowa. W tym momencie mnie olśniło. Lekarstwa jednak nie otumaniały całkowicie. Gdy Karol wspomniał o szefowaniu w powiecie, przypomniałem sobie wpis w kronice szkoły o komendancie MO przecinającym wstęgę podczas oddania części kompleksu. Lesław Szumaga, to na pewno był on. W pewnym sensie łączył swoją osobą Magdę i Alicję. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wszystko obracało się wokół tej szkoły. Zupełnie jakby była Słońcem w kaszubskim wszechświecie. Pewnie ta zbieżność nie miała żadnego znaczenia, była jednak zastanawiająca.

Zawada jechał dość szybko. Minęliśmy Chojnice i Człuchów, potem skręciliśmy w prawo w węższą drogę lokalną. Po trzydziestu minutach od wyjazdu z Brus byliśmy w Prychowie. Zahaczyliśmy o małą stację benzynową. Karol zatankował suzuki i przy okazji podpytał o dom starców. Mężczyzna w żółtej kurtce i pomarańczowej czapce wskazał nam drogę. Gdy po kilku minutach mijaliśmy otwartą kutą bramę, naszym oczom ukazał się trzykondygnacyjny, rozległy budynek, okolony wystającymi ponad dach drzewami. Zajechaliśmy na wyłożony kostką brukową parking. Poza nim wzdłuż lasu rozciągał się park z licznymi alejkami i równo skoszonymi trawnikami; była nawet fontanna. Całość sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Oglądałem niedawno reportaż o przypominającym hotel robotniczy domu starców pod Łodzią, gdzie opiekunki znęcały się nad zaniedbanymi pensjonariuszami. W porównaniu z tamtymi warunkami dom w Prychowie zdawał się oferować luksusy. Po parku przechadzało się sporo osób – zarówno starcy, jak i młodzi ludzie, zapewne odwiedzające pensjonariuszy rodziny.

Nad głównym wejściem do budynku widniał napis: Lasek Seniora.

W środku powitał nas przyjemny chłód i wewnątrz rozświetlone zwisającymi z sufitu lampami. Pomimo iż do zmroku pozostało jeszcze trochę czasu, białe sztuczne światło odbijało się od ścian. Szliśmy po wyłożonej kafłami posadzce w kierunku recepcji.

– Panowie do kogo? – Głos odbił się w holu głuchym echem.

Za przeszkloną ścianą siedziała szczupła, naburmuszona kobieta. Musiała

mieć około pięćdziesiątki, a wyraz jej twarzy mówił, iż w wykazie znienawidzonych rzeczy na tym świecie przesiadywanie w niedzielę w recepcji przybytku starości zajmowało czołową lokatę.

– Przyszliśmy odwiedzić Lesława Szumagę. – Zawada przybrał aksamitny ton. Nie wiem, dlaczego silił się na modelowanie głosu do potrzeb sytuacji. Zawodowcowi z pewnością by to pomogło, lecz próby Karola zdradzały sztuczność i osiągały odwrotny efekt.

Na dźwięk nazwiska byłego komendanta kobieta rozdziawiła usta, zupełnie jakbyśmy oznajmili jej fakt odnalezienia yeti.

– Szumagę? – spytała. – Na pewno?

Potwierdziliśmy. Gdy wróciła do realnego świata, poprosiła nas o dowody osobiste, po czym zaczęła przeglądać zeszyt.

– Nie ma panów na liście – zakomunikowała. – Możemy wpuszczać tylko osoby, które zostały wcześniej zapisane.

– Nie ma nas na liście, bo nie planowaliśmy odwiedzin u wujka. – Zawada dalej bawił się w hipnotyzera. – Jesteśmy przejazdem, to dla nas jedyna okazja na spotkanie. Jesteśmy z wujem bardzo związani, przyjeżdżaliśmy do niego na wakacje, na pewno się ucieszy. To bardzo ważne. Proszę zrobić wyjątek.

Recepcjonistka chwilę analizowała sprawę, po czym chwyciła za telefon. Wystukała numer i odczekała chwilę.

– Pani kierownik, są tu osoby z rodziny do pana Szumagi, ale nie ma ich na liście... Tak, do Szumagi. No tego... nie mamy innego. Aha, aha. Bardzo nalegają, przyjechali z daleka... Aha, aha. Dobrze.

Kobieta odłożyła słuchawkę, po czym podniosła ją ponownie i wystukała kolejny ciąg cyfr.

– Ala, powiedz panu Szumadze, że ma gości spoza listy. Tak, Szumadze, tak, rodzina. Panowie Karol Zawada i Sylwester Cichy. Spytaj, czy przyjmie odwiedziny.

Spojrzeliliśmy po sobie, przewidując problemy. Nasze kłamstwo mogło zostać

bardzo szybko zdemaskowane. Minęły cztery minuty, nim odezwała się ponownie.

– Aha, no dobrze, dobrze, powiem. – Znudzona strażniczka wrót Lasku Seniora skierowała w naszą stronę zeszyt. – Proszę się wpisać.

Zrobiliśmy to, starając się ukryć zdziwienie.

– Pierwsze piętro, siedemnastka – rzekła. – O dziewiętnastej mamy kolację. Odprowadzicie go? Jadalnia jest na parterze.

Zapewniliśmy, że przyprowadzimy ukochanego wujka na posiłek o czasie, i ruszyliśmy po schodach na górę. Numer siedemnasty znajdował się w głębi wyłożonego granatową wykładziną korytarza. Trafiliśmy tam bez problemu. Drzwi pokoju były uchylone. Zawada pchnął je, zastukawszy wcześniej delikatnie. W środku krzątała się młoda dziewczyna w białym fartuchu, układając na łóżku równiutko poduszkę i kołdrę. Sterta powłoczek zalegających w plastikowym koszu tłumaczyła, że zmieniała pościel na świeżą. Przy oknie wpatrzony w widok na zewnątrz stał starszy człowiek. Przytrzymał się parapetu z wielkim trudem. Trzęsące się, nienaturalnie wygięte ręce przenosiły wibracje na całe ciało.

– O, ma pan gości – zaszczębiotała dziewczyna, dostrzegając nas w progu. – Świetnie, że ktoś pana odwiedza.

Łysa czaszka zwróciła się w jej stronę.

– Płacą ci za sprzątanie czy pieprzenie bezsensownych głupot? – Staruszek syknął na nią tak zajadle, że aż się cofnęła. Nie skomentowała jednak zachowania pensjonariusza, chwyciła tylko kosz i minęła nas bez słowa. Weszliśmy do środka, zamykając za sobą drzwi.

– A więc rodzinne odwiedziny – odezwał się słabym głosem mężczyzna. Osiadł na krześle i czynność ta musiała porządnie go zmęczyć, bowiem oddychał głęboko, nabierając sił, nim wypowiedział następne słowa: – Dawno nikt tu nie przychodził. Miałem nawet podejrzenie, że te pizdy specjalnie wybudowały swój bunkier w kurewskiej wiosce na końcu świata, by nikt nie był w stanie tu trafić. Powinni go nazwać Zdychalnia Seniora. Ale proszę, jednak można. Jak mam się do was zwracać: kuzyni? siostrzeńcy?

Zawada wydawał się wyraźnie zmieszany. Mnie też trochę zatkało. Wbrew wszystkiemu nie spodziewaliśmy się spotkać schorowanego starca. Przyglądając

się wysuszonej, zgarbionej sylwetce, miałem wątpliwości, czy Szumaga kontaktuje na tyle, by pamiętać, kim jest. Nie bez powodu umieszczono go w domu starców. Najwyraźniej wymagał stałej opieki.

– Tak naprawdę to nie należymy do pana rodziny. – Zawada mówił powoli, jakby tłumaczył oczywistość pięcioletniemu dziecku. – Chcieliśmy tylko...

Nie dokończył, bowiem przerwał mu gardłowy rechot mężczyzny. Z lewego kącika ust Szumagi popłynęła ślina.

– Wiem, kurwa, że nie jesteście z rodziny – rzekł staruszek zaskakująco przytomnie. – Macie mnie za kretyna, jak te pizdy? Rodzina ostatni raz odwiedziła mnie trzy miesiące temu i po naszej rozmowie nie spodziewam się szybko kolejnych wizyt. Zaciekawiliście mnie. Czego chcecie? Tylko nie pieprzcie mi tu żadnych głupot.

– Jestem dziennikarzem – przedstawił się Zawada, siadając na łóżku. – Sylwester uczy w szkole. Interesujemy się sprawą zaginięcia Magdy Kraśnik na balu maturalnym w Sławinie w 1985 roku. Z tego, co wiem, zajmował się pan tą sprawą.

W oczach staruszka pojawiło się coś, co niektórzy nazywają błyskiem. Mętne dotąd spojrzenie wyostriżyło się, zupełnie jakby niewidzialna potęga istnienia wykrzesiała z wątego organizmu resztki energii, a ta utrzymywała w nim chęć przeżycia.

– Dajcie fajkę – powiedział, wyciągając rękę.

– Nie wiem, czy tu...

– Co ty, kurwa, boisz się tych durnych cip? Chcesz pogadać, to daj papierosa.

Zawada wyjął paczkę i podał papierosa staruszkowi. Ten włożył go do ust i po przypaleniu przez Karola zaciągnął się. Nagle zaczął się dławić i krztusić. Zawada rzucił się przerażony na pomoc, ale zniedołężniała ręka odegnała go. Zajęło chwilę, nim Szumaga się uspokoił. Charczał, jakby przebiegł maraton nowojorski.

– Dawno nie paliłem – wysapał, po czym zaciągnął się ponownie, tym razem

mniej łąpczywie. Szary dym wydobywał się z ust starca i osiadał pod sufitem. Rozszczelniłem okno, by dać mu ujście.

– Pamięta pan sprawę Magdy? – zapytał Zawada.

– Zapewniam was, pamiętam więcej, niż myślicie. – Mężczyzna kilka razy przełknął głośno ślinę i dalej delectował się podarowanym papierosem.

Gdybym nie miał przekonania o gnębiącej go bliżej niekreślonej chorobie, pomyślałbym, że wygląda komicznie. Pokryta plamami łysa czaszka odbijała resztki wpadającego przez okna światła, a jej właściciel wsysał się w wypchany tytoniem kawał bibuły, jakby stanowiło to remedium na postępującą degradację organizmu.

– Był czas, że w całym powiecie nie zdarzyło się nic bez mojej wiedzy – powiedział słabym głosem. – Pytacie o Sławino? A co wam do tego?

Zawada nachylił się, opierając łokcie o kolana. Ja stałem pod ścianą obok drzwi.

– Jak mówiłem, jestem dziennikarzem, piszę artykuł o tej sprawie. Sylwester uczy w szkole, do której kiedyś chodziła Magda, i przypadkiem natknął się na historię o zaginięciu. Zainteresowała nas i tyle. Ciekawi nas, co zrobiła milicja, gdy Magda Kraśnik zaginęła. Pan to wie najlepiej.

Szumaga prześwietlał nas swymi małymi oczami. Od czasu do czasu odkaszlnął, co nie przeszkadzało mu nadal wypełniać się dymem.

– Ostrzegalem, jak będziecie pieprzyć głupoty, to się pożegnamy – rzekł ostro. Słaby dotąd głosik zaczynał przybierać stanowczy ton. – Gramoliliście się do tego kurwidołu, bo interesuje was zaginięcie jakieś gówniary przed laty? Macie mnie za zgredziałego idiotę? Albo gadamy poważnie, albo wypierdalać mi stąd.

Zawada zdawał się zaskoczony, ja też nie przewidywałem takiego rozwoju sytuacji, choć nie powinniśmy się dziwić. Ktoś, kto spędził w milicji, a później policji całe życie, musiał być twardy i bezkompromisowy. Dopiero gdy Szumaga rzucił w naszą stronę mocne wyzwanie, obraz dobrodusznego komendanta przecinającego wstęgę na otwarciu kompleksu szkolnego zastąpiła wizja wkurzonego służbisty ostro przesłuchującego podejrzanych w zaciszach milicyjnych posterunków. Naszła mnie myśl, że ktoś taki mógł kiedyś dopaść

mojego ojca – być przez chwilę panem życia i śmierci, by bezprawnie podjąć decyzję o losie niewinnego człowieka.

– Dobrze – rzekł Zawada. – Rzeczywiście nie mieliśmy zamiaru odsłaniać od razu wszystkich kart, ale skoro stawia pan sprawę w ten sposób, ustępujemy. Można powiedzieć, że prowadzimy śledztwo, które zahacza o zdarzenie sprzed lat, ale wszystko zaczęło się na początku września tego roku. Wtedy w Sławinie zaginęła uczennica trzeciej klasy gimnazjum. Przepadła bez wieści i nikt nie ma pojęcia, co się stało. Zestawiliśmy to ze zniknięciem Magdy Kraśnik w osiemdziesiątym piątym i zadziwiły nas punkty wspólne obu przypadków. Młode dziewczyny, pochodzące z tej samej małej miejscowości i chodzące do tej samej szkoły, przepadają bez śladu. Nie chce nam się wierzyć w taki zbieg okoliczności. Naszym zdaniem ktoś odpowiada za te zniknięcia.

Staruszek uniósł ledwo widoczne brwi.

– Morderca? – wypuścił to słowo wraz z dymem.

Zawada przytaknął.

– Wiem, to śmiała teza, ale jak dotąd nie znaleźliśmy powodu, by ją obalić.

– Byłby dobry temat, co? – Szumaga zaśmiał się. – Nie raz odprawiałem do diabła namolnych pismaków, którzy próbowali włożyć mi w usta zdania pasujące im do artykułu. I tak drukowali, co chcieli.

– Proszę wierzyć, zależy nam na prawdzie. Nawet jeśli się mylimy i żaden morderca nie istnieje, chcielibyśmy się o tym przekonać. Pan prowadził dochodzenie w osiemdziesiątym piątym, pewnie pamięta pan sporo szczegółów.

– To było cholernie dawno. Nie sądzicie chyba, że ten łeb jest w stanie magazynować tyle wspomnień? Myślałem, że drążycie we współczesnych sprawach, szukacie na kogoś haka czy coś w tym rodzaju. Z tego, co pamiętam, ta dziewczyna uciekła z domu.

Zawada otworzył torbę, wyjął teczkę z dokumentami i podał Szumadze. Staruszek rozłożył na stoliku przed sobą kopie milicyjnych protokołów.

– Podaj okulary – rzekł. – Są w pierwszej szufladzie.

Karol wykonał polecenie. Uzbrojony w mocne okrągłe szkła był funkcjonariusz zaczął wertować raporty. Co jakiś czas kiwał głową. Siedzieliśmy w ciszy dobry kwadrans.

– Nie pytam nawet, komu dałeś w łapę, żeby to wyciągnąć – powiedział Szumaga, odsuwając teczkę. Zdjął okulary i zniedołężniałą ręką przetarł zaczerwienione oczy. – I czego ode mnie oczekujecie? Dziewczyna zwała z balu maturalnego, zapewne z jakimś przydupasem. W tych papierach macie wszystko. Zerwała z chłopakiem i wyfrunęła z gniazdka. Pewnie ktoś jej obiecał złote góry w wielkim świecie.

– A krew na pręcie w stodole Labudy? Dostaliście przecież cynk. – Zawada otworzył teczkę na opisie anonimu.

– Był pręt i co? Chłoptaś się wykpił, bo to pachniało prowokacją na kilometr. Poza tym miał alibi i nie było ciała. Mówię wam, ta dziewczyna zrobiła z nas wszystkich wała. Podejrzywałem nawet, że sama napisała anonim i podzuciła zakrwawiony sprzęt byłemu chłopakowi. Wystarczyła w końcu mała ranka, krwi nie było wcale aż tak dużo. Spreparowała własną śmierć, a przynajmniej ją uprawdopodobniła, i buja się do dziś po świecie, mając nas wszystkich w dupie. Znałem setki takich kurewek. Zero zahamowań.

Karol podał Szumadze kartki z drugiej teczki. Staruszek ponownie włożył okulary.

– Co to? – spytał.

– Raport z oględzin szczątków znalezionych latem w Sławinie.

Były komendant czytał z uwagą.

– To na pewno ona? – Nie mógł się wyraźnie rozstać z teorią o ucieczce Magdy z nieznanym.

– Badania DNA to potwierdzają. – Karol triumfował, widząc zmieszanie na twarzy rozmówcy. – Magda Kraśnik została zabita w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Miał pan przez te wszystkie lata mordercę na swoim terenie, komendancie.

Szedłem korytarzem, niosąc tacę, na której pulchna kucharka ustawiła talerz z żółtawą ciecżą, koszyk wypełniony chlebem i półmisek z kilkoma rodzajami wędlin. Była też miseczka z sałatką warzywną.

Zestaw stanowiący kolację pensjonariuszy Lasku Seniora Szumaga przyjął z widoczną pogardą.

– Za pieniądze, które im płacę, powinni mnie karmić kawiosem i truflami – fuknął na widok posiłku. – Pieprzeni złodzieje okradają na każdym kroku.

Niemniej przysunął sobie krzesło i zaczął smarować pajdę chleba masłem. Obsługa jadalni nie była zdziwiona nieobecnością pensjonariusza z pokoju siedemnaście. Kucharka, usłyszawszy, że jestem jego rodziną, szybko skompletowała zestaw i wręczywszy mi go, zabrała się do nakładania kolejnej porcji innemu mieszkańcowi. Choć nikt tego głośno nie powiedział, trudno było nie zauważyć, iż traktują tu starego milicjanta jak zarazę.

– Gównu mnie obchodzi, co sobie teraz myślicie. – Szumaga przeżuwał powoli, siedząc pochylony nad talerzem. Na zewnątrz mrok przykrywał park i niewielki las. – Zrobiliśmy, co do nas należało. Dziś macie DNA, laboratoria, komputery, wtedy były maszyny do pisania i kilkunastu niedouczonek krawężników. To nie Gdańsk czy Warszawa, ale kaszubska prowincja, zwłaszcza w tamtych czasach. Sprawa została niewyjaśniona i umorzona. Kropka. Cieszcie się, że ktoś pomyślał, by zarejestrować, skatalogować i oddać do magazynu ślady. Inaczej nie przyszlibyście tu się wymądrzać.

– Nie mamy zamiaru pana obwinać. – Zawada studził emocje. – Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, jak wyglądało dochodzenie. Co robiliście? Myślę, że jednak nie wszystko trafiło do akt. Sam pan mówił, że musieliście sobie radzić w trudnych sprawach, a tamta nie była przecież łatwa.

Szumaga odłożył kanapkę i ponownie sięgnął po teczkę Zawady. Wertował kartki przez kilka minut.

– Nie siedziałem osobiście nad wszystkim, co się działo w powiecie. – Po raz pierwszy mówił tonem, który można by uznać za niekonfrontacyjny. – Dostawałem codzienne raporty o najważniejszych wydarzeniach i podejmowałem decyzję o ewentualnym wsparciu działań w terenie. O tym zaginięciu dowiedziałem się

dopiero w poniedziałek. Po przepisowych czterdziestu ośmiu godzinach podjęliśmy poszukiwania. Dwa dni później przyszedł anonim i przycisnęliśmy Labudę. Jak pokazaliśmy mu zakrwawiony pręt, to zsiakł się ze strachu. Autentycznie. Wpadł w jakąś histerię. Gdy potwierdziliśmy grupę krwi dziewczyny na pręcie, sąd w Kościerzynie zarządził areszt tymczasowy, ale wynajęty przez rodzinę adwokat złożył zażalenie i chłopak po kilkunastu dniach wyszedł. Musiał mieć papuga duże znajomości, pierwszy raz mi się zdarzyło, by sąd tak szybko uchylił areszt. Labudowie byli dość zamożni, nie szczydzili pewnie grosza na obronę jedynaka. Z drugiej strony niewiele na niego było. Miał alibi na cały wieczór i noc, ostro go przycisnęliśmy, ale nie przyznawał się do skrzywdzenia dziewczyny, no i nie było ciała. To przeważało. Tak naprawdę nie mieliśmy go o co oskarżyć .

– A inne działania? Tworzyliście chyba jakieś hipotezy?

To stwierdzenie wyraźnie Szumagę rozbawiło.

– Czy wy naprawdę myślicie, że zniknięcie tej dziewczyny było jakąś sensacją albo priorytetem? Miałem na głowie cały powiat, a zaczynały się wakacje i musieliśmy się przygotować na przyjazd hord turystów. W dodatku zjeżdżali się zawsze na ostatnią chwilę sekretarze, dygnitarze, ministrowie, którym trzeba było zapewnić obstawę, że o zagranicznych delegacjach nie wspomnę. Zaczynało się właśnie trzymiesięczne piekło i jak zawsze brakowało mi ludzi. Oddelegowałem osobę do tej sprawy i koniec. Takie były realia.

– Czyli odpuściliście?

Szumaga walnął pięścią w stół, zrzucając na podłogę kartki z protokołami.

– Kim jesteście, gnojki, żeby mnie krytykować ?! – mówił gniewnie. – Na moim terenie zawsze był porządek. Mam więcej odznaczeń państwowych, niż jesteście w stanie we łbach pomieścić. Mówiłem wam, wszystko wskazywało na to, że gówniara uciekła z domu.

Nastąpiła krępująca cisza. Starzec oddychał ciężko, jak na mój gust zbyt ciężko. Obawiałem się, że nadmiar emocji może spowodować u niego jakiś atak. Wypalony kilka minut wcześniej papieros z pewnością mu nie pomógł. Szumaga kiwał się w przód i w tył z rękami wciśniętymi między kolana. Gdy osiągnął spokój, odezwał się.

– Ten chłopak, któremu przekazałem dochodzenie, nie pamiętam, jak się

nazywał, wyfrunął rok później do Gdańska, przesłuchiwał świadków, głównie ludzi ze szkoły. Powiedział mi... – Staruszek znów zarechotał. – Cholera, dopiero teraz skojarzyłem, no jasne. Ktoś zeznał, że ta Kraśnik przed zerwaniem z Labudą spotykała się już z kimś innym. To dlatego pomyśleliśmy o ucieczce.

W tym momencie rozdzwoniła się komórka Zawady. Karol wyjął ją z kieszeni i odrzucił połączenie.

– Wiadomo z kim ? – zadał szybkie pytanie.

– Nie. – Szumaga z wyraźnym trudem konstruował kolejne zdania. – Rodzina nie miała pojęcia, choć... jak sobie teraz przypominam, mówili o dziwnym zachowaniu dziewczyny w czasie ostatnich tygodni przed zniknięciem. Raportował mi... Cholera, jak on się nazywał? Nie wiem. Ten mój człowiek w każdym razie raportował, że według znajomych Kraśnik poznała kogoś i straciła dla niego głowę, ale bała się powiedzieć, kim on jest. Dodaliśmy fakty i wyszła nam historia o upozorowanym zabójstwie i ucieczce. Z tego, co pamiętam, rodzice przyjęli ją jako prawdopodobną.

– A teraz, jak pan myśli, kto mógł ją zabić?

Były komendant sięgnął po szklankę i przełknął kilka łyków wody. Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się ósma. Obawiałem się, iż wkrótce mogą nas stąd wyprosić.

– Naprawdę zależy wam na mojej opinii? – wychrypiał. – Chcecie, żebym teraz analizował sprawę sprzed ćwierć wieku? Przyjrzyjcie mi się. Siedzę w tej umieralni, robiąc pod siebie i czekając na zgon. Gdyby nie resortowa emerytura, zamknęliby mnie pewnie w gorszym baraku. Tak naprawdę gównu mnie obchodzi, kto ją zakatrupił. Męczycie mnie.

– A może jednak Labuda? – Zawada nie dawał za wygraną. – Został przez Magdę upokorzony, porzucony, był pewnie wściekły. Kolesie mogli mu zapewnić fałszywe alibi i pomóc ukryć ciało.

Szumaga westchnął.

– Może – odparł po chwili. – Jeśli tak, to za cyrk, jaki przed nami odpiardolił, powinien dostać Oskara.

– A co z ówczesnym półświatkiem? Nikogo nie podejrzewaliście?

– Masz na myśli menelstwo? – Staruszek poprawił się na krześle. Pewnie marzył, by się położyć, jednak Zawada wciąż naciskał. – Miałem ich cały czas na celowniku, czy coś się działo, czy nie. Ale to nie żadna mafia, tylko pojedyncze przypadki. Było dwóch takich z wyrokami za gwałt, ale ich wykluczaliśmy.

– Czemu?

– Jeden leżał w szpitalu, a drugi przebywał w tym czasie na południu Polski. Z cięższych okazów, to był jeszcze jeden, nawet ze Sławina, po piętnastoletnim wyroku za zabójstwo. Chłopaki cisnęli go, ale nic konkretnego nie wypłynęło. Poza tym miałem fałszerza dokumentów, dwóch włamywaczy z wyrokami, czekających na odsiadkę, i notorycznego rozrabiakę barowego. Co jak co, ale tych typów nie zapomnę do końca życia. Reszta to drobnica, nic wartego uwagi.

– Pamięta pan nazwisko tego, który siedział za zabójstwo?

– Józef Holemba, Sławino, Chojnicka jedenaście – staruszek odpowiedział bez namysłu, a Zawada szybko zanotował informację. – Mówiłem, nie zapomnę ich i oni zapamiętają mnie do śmierci. Holemba był na dołku kilkakrotnie. Jak się ma u siebie kogoś takiego, trzeba go mieć na oku.

– A za co siedział?

– Zarąbał siekierą wkurzającą żonę. Potraktowano to jako działanie w afekcie.

Drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich kobieta, którą poznaliśmy w recepcji.

– Panowie jeszcze tutaj? – rzekła z wyrzutem. – Odwiedziny zakończyły się pół godziny temu. Proszę się zbierać.

– Ooo, bardzo przepraszamy. – Zawada udał zdziwionego. – Trudno nadrobić kilkunastoletnie zaległości w tak krótkim czasie. Bardzo proszę dać nam jeszcze kilka minut. Potem wyjdziemy, obiecuję.

– Panowie, jesteśmy zobowiązani do przestrzegania regulaminu...

– Wypieprzaj stąd, stara miągwo – wycedził Szumaga znanym nam już pogardliwym tonem. – Nie będziesz mi mówić, co mam robić, za durna jesteś.

– Panie Szumaga. – Twarz kobiety stała się czerwona jak burak. – Zaczynamy mieć już dosyć pańskiego chamskiego zachowania. Może rodzina przemówi panu do rozumu, bo jeśli tak dalej pójdzie, to będę musiała zawiadomić o wszystkim władze ośrodka.

– I faceci od liczenia kasy starych zgredów zrezygnują z mojej emerytury, która co miesiąc zasila ich konto, bo nie zależy im na wypełnieniu tego burdelu, który i tak w połowie stoi pusty? Mówilem, że durne z ciebie babsko. Wypieprzaj stąd.

– Pół godzinki... – Karol złożył błagalnie ręce i mrugnął w stronę recepcjonistki, jakby dawał znak „nie warto z nim dyskutować, sami mamy już dość starucha”.

– I ani minuty dłużej – zaznaczyła, nim opuściła pokój.

Sięgnąłem do włącznika i zapaliłem światło. Od dobrych kilkunastu minut siedzieliśmy w ciemnościach.

– Nie oszczędza ich pan – odezwałem się pierwszy raz od chwili przyniesienia Szumadze kolacji.

– Gardzą mną, więc odwdzięczam się tym samym. Nienawidzę tego barłogu. Gdybym był wierzący, błagałbym o szybką śmierć.

I błagasz. Jestem tego pewien.

– Czemu pan tu trafił? – Zadałem to pytanie, choć wiedziałem, że kryje się za nim ból. Nie potrafiłem wzbudzić w sobie współczucia do Szumagi. Był stary, zniedołężniały i zmęczony, a jednak epatował negatywną energią. Ciekawe, czy znalazłby się ktoś, kto zdołałby uronić łzę po jego śmierci.

– Chuj wam do tego – odparł jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń. – Miągwa miała rację, powinniście stąd spieprzać. I tak dużo ze mnie wyciągnęliście.

– Zna pan Stanisława Mecha? – wystrzelił niespodziewanie Zawada.

Szumaga trwał przez kilkanaście sekund w ciszy, po czym wzruszył ramionami.

– Dyrektoruje Technikum w Sławinie i ma wkurwiającą żonę. – Mówiąc to, otarł rękawem usta. – A co? Wyszło, że obściskuje się z małolatami?

Karol wyprostował się jak struna, we mnie również uderzyła fala ciepła. Staruszek, nie zdając sobie sprawy, jakie wrażenie zrobiły na nas jego słowa, zaczął podnosić się z krzesła.

– Mówiłem, żebyście szli. Jestem zmęczony.

– Już, już, proszę. – Zawada natychmiast ustąpił mu miejsca na łóżku. – Co to za sprawa z tym obściskiwaniem?

Szumaga zatrzymał się w pół drogi.

– Szukacie haka na starego? Koleżka zdaje się pracuje w jego szkole? – Prześwidrował mnie wzrokiem. – Zresztą mam to gdzieś, to wyjątkowo nadęty sukinsyn. Chcecie mu dać po dupie, proszę bardzo.

Opadł na łóżko i westchnął ciężko.

– Przyłapaliście go na czymś? – Zawada nie mógł doczekać się sensacyjnych informacji.

– Właściwie nie – odparł Szumaga. – Jedyne, co na niego miałem, to anonimy, które zaczęły napływać w dziewięćdziesiątym piątym. To było na kilka miesięcy przed moim przejściem na emeryturę. Ktoś oskarżał Mecha o bałamucenie nieletnich uczennic i uprawianie z nimi seksu. Były trzy czy cztery listy bez żadnych konkretów. Normalnie bym to olał, takie gówny spływało do nas non stop, ale wybuchła wtedy w mediach afera z jakimś warszawskim nauczycielem pedofilem i dostaliśmy z góry przykaz, by przyglądać się podobnym przypadkom. Odwiedziłem Mecha w domu i przepytalem o stosunki w szkole, niby rutynowo, ale pokapował się, że chodzi o niego. Powiedziałem w końcu o kilku anonimowych zgłoszeniach i zaczął się rzucać. Szykował się wtedy na dyrektora szkoły i twierdził, że ktoś go pomawia, bo chce mu zaszkodzić. W sumie mógł mieć rację. Uznałem sprawę za załatwioną i praktycznie o niej zapomniałem. Po kilku dniach zwała się na mnie kontrola z wojewódzkiej. Przetrzepali papiery,

sprawy, wszystko w najdrobniejszych szczegółach, przy okazji wspominając o skargach na moich ludzi. Po tygodniu wysmarowali niezły paszkwil. Wykorzystałem znajomości i dowiedziałem się, że kontrola to nie przypadek, a w mojej sprawie zadziałała osobiście Mechowa. Lepiej dbała o dobre kontakty w komendzie wojewódzkiej niż ja sam. Ponoć dzięki chodom w kuratorium załatwiła synowi zastępcy komendanta wojewódzkiego miejsce w dobrej szkole. Trzy miesiące później zostałem „poproszony” o przejście na emeryturę. Współgrało to zresztą z ogólną tendencją pozbywania się funkcjonariuszy z peerelowską przeszłością. Kurwa, miałem już wiek, ale zamierzałem jeszcze trochę popracować, a ta pizda mnie uwaliała.

– Co się stało z listami?

– Oficjalnie zostały zniszczone. Nieoficjalnie mam je ja.

– Moglibyśmy je zobaczyć? – Zawada nie potrafił ukryć podniecenia. Telefon w jego kieszeni po raz wtóry zagrał skoczną melodyjkę. Dziennikarz zdławił ją czym prędzej.

– To zależy. – Szumaga wyczuł podniecenie rozmówcy. – O co chodzi z tym Mechem? Macie coś na niego?

Zawada spojrzał na mnie, podnosząc brwi, jakby chciał się poradzić w kwestii szerszego otwarcia się przed Szumagą. Uznałem, iż nie mamy wyjścia, i kiwnąłem głową.

Karol dreptał nerwowo w kółko.

– Myślimy, że jest w jakiś sposób zamieszany w zniknięcia tych dziewczyn – rzekł w końcu.

– Mech załatwił Kraśnik, a potem tę gimnazjalistkę? – Szumaga, wcześniej mocno zmęczony, widocznie się ożywił. – Po jaką cholere miałby to robić? Mam go za buraka, ale oskarżenie o podwójne zabójstwo to nie przelewki.

– Nie musiało się skończyć na dwóch ofiarach...

Stary milicjant wlepił w nas oczy w osłupieniu, gdy Zawada opowiedział o segregatorze z wycinankami prasowymi i albumie ze zdjęciami. Nie wspomniał, w jaki sposób zdobyliśmy te materiały.

– Poza tym plotki o jego ciągotkach do młodych uczennic krążą w Sławinie od dawna. – Karol kontynuował opowieść. – Staramy się namierzyć jedną z takich dziewczyn, może to nam coś wyjaśni. Mech wyraźnie interesuje się doniesieniami o zaginięciach, zupełnie jakby kontrolował postępy w poszukiwaniach. Niepokoi się. Może ma świadomość, że przesadził, ale nie potrafi się powstrzymać?

Szumaga był wyraźnie pobudzony.

– Kurwa, widzę że nieźle pogrywacie. Facet najwyraźniej coś kombinuje, ale... seryjny morderca? Tutaj? To dlatego stara tak go kryła?

Zawada przyspieszył kroku. Widziałem, że pracuje na najwyższych obrotach.

– Może Mechowa zna całą prawdę, a może wie tylko o romansach. To zagadka, ale przyda się każdy szczegół. Dlatego tak zależy nam na listach.

Szumaga ułożył się na łóżku. Wobec tylu mogących wzbudzać grozę informacji, które mu przekazaliśmy, uśmiech na jego twarzy sprawiał dziwne wrażenie. Głos starca z powrotem nabrał mocy sprzed dwóch godzin.

– Zadzwoń rano do Wiktora. To sąsiad z domu obok. – Od razu skojarzyliśmy ze staruszką spotkanym przy płocie w Brusach. – Kumplowaliśmy się przez lata, to porządny chłop. Przed wyjazdem do tego barłogu zostawiłem mu karton z pamiątkami. Gdyby wpadły w łapy moich gówniarzy, pewnie poszłyby do pieca. W kartonie są listy. Powiem, żeby wam je przekazał.

– Dziękuję. – Zaczynałem odczuwać coś na kształt zalążka sympatii do tego człowieka.

– Jeden warunek – zastrzegł. – Chcę wiedzieć, kiedy zakują gnoja w kajdany. Jeśli trafi za kraty, zawieźcie mnie tam, bym mógł mu spojrzeć w twarz. Mam nadzieję, że zamkną również tę jego szmatę.

Pięć minut po tym, jak obiecaliśmy Szumadze spełnienie wymyślnej prośby, przemierzaliśmy spowity ciszą korytarz Lasku Seniora. Gdy mijaliśmy recepcję, opiekunka pogroziła nam palcem, wskazując na zegarek. Pomachałem jej na przeprosiny.

Na zewnątrz siąpił deszczyk, a mrok rozganiały światła latarni przed wejściem i na parkingu.

– Niezły okaz, nie ma co. – Zawada zaciągnął się zapalonym wcześniej papierosem. – Nie chciałbym być w skórze jego podwładnych.

– Rodzinie też podpadł.

Telefon Zawady zabrzmiał po raz kolejny.

– Cholera, co za natręt. – Karol podniósł klapkę i przyłożył aparat do ucha. – Halo. – Słuchał w milczeniu. – W takim razie ile? – spytał. – Aha, dobrze... trzysta. OK. Kiedy?... W porządku, będziemy. Do widzenia.

Złożył telefon i schował go w kieszeni.

– Pod koniec dnia szczęście się do nas uśmiecha – powiedział. – Ewa Rohosz przemyślała jednak sprawę i za jedyne trzysta złotych opowie nam o Magdzie Kraśnik.

– Zgodziłeś się?

– A mamy inne wyjście? Tylko ona знаła Magdę na tyle dobrze, by orientować się w zawiłościach jej życia. Może kasa zobliguje ją do większej szczerości.

– Albo wręcz przeciwnie.

– W każdym razie spotkanie jutro o siedemnastej. Mąż idzie do pracy na drugą zmianę, a matka gdzieś pojechała. Mamy zaparkować samochód z dala od jej domu i zachowywać się dyskretnie.

28.

Pierwszym, co poczułem w poniedziałkowy poranek, był nawracający ból; później pojawiły się zmęczenie i zniechęcenie. Ten weekend wykończył mnie totalnie i ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było zwleczenie się z łóżka i marsz do szkoły. Teoretycznie mógłbym zadzwonić i wymówić się dowolną niedyspozycją, ale obawa wzbudzenia podejrzeń – co do piątkowego włamania – nakazała mi zebrać się w sobie.

Łyknąłem na dzień dobry dwie tabletki przeciwbólowe i wziąłem szybki prysznic w letniej wodzie. Bojler, jakim dysponowała Zofia, nie był przystosowany dla dwóch osób i w konsekwencji zawsze brakowało ciepłej wody.

Zszedłem do kuchni, zrobiłem sobie kanapkę z serem i zapiłem ją czarną jak oko szatana kawą.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedziała na mój widok Zofia. Sam, przeglądając się kilka minut wcześniej w lustrze, zaskomlałem. Sine wory pod oczami i blada cera postarzały mnie o dziesięć lat. Pulsujące skronie i kark nie poprawiały samopoczucia. – Słyszałam, jak wczoraj wróciłeś. Późno. Wszystko w porządku? Co tam u mamy?

– Dobrze – odparłem, siląc się na uśmiech. – Robiliśmy u niej z siostrą mały remont i zeszło nam do późna. Chyba trochę się przeziębilem przy uszczelnianiu okien. Łyknąłem już jakieś witaminy. A jak tobie minął weekend?

– Trochę pospacerowałam, w ogrodzie trzeba było zabezpieczyć kwiaty i drzewka przed przymrozkami. Zajęć nie brakuje.

Pogadaliśmy trochę o nadchodzącej zimie, po czym zmyłem po sobie naczynia i ruszyłem do wyjścia. Wiał mroźny wiatr, co o dziwo odnotowałem z radością. Smagające kolczastymi maźnięciami powiewy działały orzeźwiająco. Wdrapując się po schodach, wyliczałem z pamięci rzeczy, które miałem tego dnia do załatwienia. Po pierwsze udać się do sali gimnastycznej oraz prowadzącego do niej przedsionka i poszukać książki, którą prawdopodobnie gdzieś zostawiła Alicja. Wątpiłem, by coś z tego wyszło. Minęło zbyt wiele czasu, ale należało spróbować. Po wtóre czekało mnie odpytanie Wilczyńskiego. W ramach paktu o nieagresji pomiędzy mną, Laurą a ojcem Wilczyńskiego na ten poniedziałek przypadła pierwsza tura zaliczenia. Miał przygotować się z trzech tematów. W piątek z kolejnych trzech. Później – praca klasowa, którą opuścił.

– Zabezpiecz się – radził mi Zawada, gdy podczas podróży z Brus opowiadałem mu o kłopotach z uczniem. – Będziesz z nim sam na sam?

– Tak, przyjdzie po lekcjach.

– Tym bardziej. Nie wiesz, jaki numer odwali. Powinieneś mieć świadka, to go w razie czego utemperuje.

Karol miał rację. Nie byłem w stanie przewidzieć zachowania Wilczyńskiego. Postanowiłem poprosić o przysługę Andrzeja. Liczyłem, że może przy okazji wyjawia mi, co wie o Kraśnik.

Pokój nauczycielski, jak zawsze rano, był gwarny i pachnący kawą. Dyskretnie rozejrzałem się za Andżeliką. Pomimo iż wspomnienie siedzącej na Mechu dziewczyny nadal wywoływało we mnie odruch wymiotny, ciekaw byłem, jak się trzyma ze świadomością, że ktoś ją podglądał. Podobnie dyrektor, choć w tym przypadku bałem się, że mógł mnie rozpoznać. Nadstawiałem uszu, próbując wychwycić spośród licznych rozmów wzmiankę o włamaniu do domu Mecha. Bez powodzenia.

– Wiesz co? – Andrzej zaszedł mnie z tyłu. – Nie dali nam szans. Pięć do jaja. Kompromitacja.

Domyśliłem się, że chodziło mu o niedzielny mecz.

– Jak tylko się podkuruję, nie zawiodę – zapewniłem.

Poprosiłem go o towarzystwo podczas spotkania z Wilczyńskim, a gdy się zgodził, pożegnałem go, zgarnąłem z przegródki dziennik pierwszej C i wyszedłem z pokoju. Do dzwonnika pozostał kwadrans. Wystarczająco wiele czasu, by przemierzyć zarejestrowaną przez kamery ostatnią znaną drogę, jaką przebyła Alicja. Zszedłem schodami w dół i znalazłem się w niewielkim korytarzu, właściwie ślepym przedsionku.

Rozejrzałem się. Jedyne miejsce, gdzie Alicja mogłaby wrzucić książkę, był śmietnik. Ten jednak stał wypełniony papierami i ogryzkami. Pomieszczenie było na tyle wąskie i małe, że nie ustawiono w nim żadnych mebli. Nie znałem się na architekturze, ale nie trzeba eksperta, by dostrzec, że jak na wymogi tak dużej placówki przejście pomiędzy schodami prowadzącymi do głównego holu a drogą ku sali gimnastycznej jest za małe i w sumie niebezpieczne. W przypadku paniki wywołanej pożarem droga zostałaby natychmiast zakorkowana i mogłoby dojść do tragedii. Wąski przesmyk był zapewne konsekwencją dobudowania hali sportowej kilka lat po oddaniu głównego budynku szkoły. Na szczęście dalej znajdowały się jeszcze jedne drzwi prowadzące na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, co się stało z książką. W każdym razie tam, gdzie szukałem, jej nie było. Obszedłem dla pewności jeszcze raz przedsionek, a następnie zrezygnowany wróciłem na górę i udałem się na zajęcia.

O czternastej w sali dwadzieścia osiem oczekiwałem Wilczyńskiego. Pojawił się pięć minut później. Zaraz za nim wszedł Andrzej. Chłopak wydawał się mocno zdziwiony obecnością dwóch nauczycieli. Dostrzegłem nawet w jego oczach znajomą iskrę wściekłości. Nie wiem, czy planował coś podłego, ale w jakimś stopniu pokrzyżowałem mu plany. Andrzej usiadł z boku, Wilczyński zaś naprzeciwko mnie. Zadawałem krótkie i nieskomplikowane pytania. O dziwo, odpowiadał poprawnie. Czasem mylił fakty i niektóre pojęcia, ale generalnie wiedział, o co chodzi. Musiał przynajmniej kilka razy zajrzeć do książek. Zaczynałem nawet podejrzewać, że pod otoczką wyrachowanego, bezczelnego dzieciaka może kryć się ponadprzeciętna inteligencja. Z jakichś przyczyn jednak wolał kreować się na olewającego świat buntownika. Zapewne zdawał sobie sprawę, że ciągnąc za sobą swego mniej rozgarniętego kolegę, pogrąży go całkowicie. Rozmawiałem z mamą Bartka Zwary i postanowiłem jemu również dać szansę. Niestety chłopak nie miał tyle instynktu samozachowawczego co kompan. Gdy próbowałem odpytać go w zeszłym tygodniu, nie wyjąkał ani jednego składnego zdania. Ten rok był już dla niego stracony.

Wilczyński otrzymał mocną tróję i wyszedł bez słowa.

– Stary, jestem w szoku. – Andrzej patrzył na mnie z wyraźnym podziwem. – Przez dwa lata nikomu nie udało się poskromić gówniarza, a ty przycisnąłeś go w dwa miesiące.

– Według mnie nikt wcześniej tak naprawdę nie próbował. – Gdyby Andrzej wiedział, że ceną za resocjalizację Wilczyńskiego będzie utrata pracy, z pewnością powstrzymałby się od zachwyków.

Nadarzyła się dobra okazja, by podpytać kolegę o wydarzenia z przeszłości. Byliśmy sami.

– Słuchaj, mam do ciebie pytanie, trochę nietypowe.

– Wal śmiało

– Pamiętasz Magdę Kraśnik?

Patrzył na mnie, ale coś w jego wzroku się zmieniło. Niemal widziałem, jak dobry humor sprzed chwili ulatuje bezpowrotnie.

– O co ci chodzi? – spytał chłodno.

– Nic wielkiego – odparłem. – Przypadkiem natknąłem się w notatkach Alicji Maj, dotyczących kroniki szkolnej, na wzmiankę o zaginięciu uczennicy. Wyszperała to z jakichś archiwów prasowych. Zastanawiałem się, czy może wiesz coś na ten temat.

Andrzej wyraźnie się uspokoił.

– Nadal drążysz temat Alicji? – W pytaniu wyczułem nutę zniechęcenia. – Trochę o dziewczynie przycichło, ale na twoim miejscu zostawiłbym to policji. Ludzie tu nie lubią, gdy ktoś nieznajomy zbyt mocno interesuje się ich sprawami. – Zabrzmiało to trochę jak groźba, udałem jednak obojętnego. – A co do Magdy Kraśnik, jasne, że pamiętam. – Andrzej podchwycił temat. – Przez cztery lata chodziliśmy do tej samej klasy, choć w sumie zamieniłem z nią w tym czasie może z pięć zdań. Gdy zaginęła, zrobiło się niezłe zamieszanie. Podobno związała z balu z jakimś nowym chłopakiem. Czemu cię to interesuje?

Znów uraczył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Mówiłem ci, z ciekawości. Gdy rozmawialiśmy o zniknięciu Alicji, nie wspominałeś, że wcześniej miało miejsce podobne zdarzenie.

– Człowieku, to było lata temu. Zresztą jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Mówię ci, daj sobie spokój i zostaw sprawę policji. Mało ci kłopotów z Wilczyńskim?

– Masz rację. – Udałem kapitulację i zabrałem się za składanie notatnika. – Tak z ciekawości, jaka była ta Magda?

Andrzej rozparł się na krześle i odpłynął w podróż w czasie.

– To była bogini, Sylwek, najpiękniejsza dziewczyna w okolicy. Jeśli o mnie chodzi, zdecydowanie nie moja liga. Większość chłopaków się w niej kochała, ona jednak łąziła z tym burakiem Labudą. Wszyscy przypuszczali, że to ze względu na kasę, jaką mieli jego rodzice. Ale i on dostał w tyłek na sam koniec. Kilka dni po balu wyjechałem do Gdańska na egzaminy na uniwersytet. Potem znalazłem sobie letnią fuchę w stoczni i prawdę powiedziawszy, nie interesowałem się sprawą. Dla niej byłem kmiotkiem, nie zwracała uwagi na takich jak ja. Pewnie nawet nie pamiętała mojego imienia. Trudno mi było wykrzesać z siebie przesadne

zainteresowanie jej losami.

– Mniejsza z tym. – Machnąłem ręką. – To nieważne, tak jak mówiłeś. Idziemy?

Zamknąłem klasę i ruszyliśmy holem. Andrzej poklepał mnie delikatnie po plecach.

– Jak tam twoja kontuzja? Będiesz w środę na treningu?

Odruchowo potarłem zbolałą szyję.

– Nie wiem, chyba środę sobie jeszcze odpuszczę, nie chcę się załatwić na amen. Ale w piątek wpadnę na rozruch.

– Super, bez ciebie i Wojtka znów dostaniemy baty.

Pożegnaliśmy się i skręciłem w stronę biblioteki.

– Andrzej! – zawołałem, nim zniknął za rogiem. – Widziałeś może dzisiaj Andżelikę?

– Jest do środy na zwolnieniu – odpowiedział.

– Aha, dzięki.

Piątkowa akcja nie spłynęła więc po „twardej” Andżelice jak woda po kaczce. Ruszyło ją, Mecha zapewne też.

W archiwum wyszukałem interesujący mnie rocznik. Upewniłem się, że jestem sam i skserowałem listy uczniów oraz arkusze ocen czwartych klas z roku szkolnego 94/95. Kilkanaście kartek szybko wcisnąłem do torby. Z ciekawości chciałem zajrzeć do danych z 1985 roku. Tych jednak tam nie było. Najstarsze listy i arkusze dotyczyły 1990 roku. Co się stało z wcześniejszymi latami? Ktoś je zniszczył? Ukrył? Kto? Laura? To prawdopodobne. Eliminowała najmniejszą możliwość ingerencji w niewygodne dla niej tematy. Czyżby dociekliwość Alicji tak ją spłoszyła?

O piętnastej wyszedłem ze szkoły. Nikt przez cały dzień nie wspomniał o włamaniu, co dawało nadzieję, że Mech nie powiadomił policji. W przeciwnym

razie przez weekend plotki z pewnością rozlałyby się po Sławinie i rankiem wykwitły w obrobionej formie w pokoju nauczycielskim.

Poszedłem do domu, by coś zjeść. Po szesnastej miał po mnie zajechać Zawada; czekało nas spotkanie z Ewą Rohosz.

29.

– Józef Holemba nie żyje od czterech lat, sprawdziłem. – Zawada referował swoje ustalenia z przedpołudnia. Wcześniej powiedziałem mu o fiasku poszukiwań książki, co przyjął ze spokojem, jak zresztą oczekiwałem. On też raczej nie miał w tym względzie zbyt wielkich nadziei. Jechaliśmy w kierunku Łubiany. – Byłem pod adresem, który dał nam Szumaga. Podąłem się za syna dawnego przyjaciela Holemby. Facet zatłukł żonę siekierą w siedemdziesiątym pierwszym, ale wszystko wskazuje na to, że później był już łagodny jak baranek. Umarł na raka żołądka. Pojechałem też do Brus. Stary dotrzymał słowa: sąsiad czekał przy oknie z kartonem. Leży z tyłu. Listy masz na górze.

Wychyliłem się i złapałem lekkie tekturowe pudło. Na wierzchu leżały trzy wypłowiałe kartki. Pod nimi kilka zalaminowanych dyplomów, zdjęcia w oprawkach i ukryte w pudełeczkach odznaczenia. Dorobek opuszczonego przez wszystkich siedemdziesięcioletniego milicjanta.

Rozwinąłem pierwszą zrolowaną kartkę i odczytałem napisane drukowanymi literami słowa:

STATNISŁAW MECH GWAŁCI UCZENNICE. ZRÓBCIE COŚ Z NIM
ALBO ZGINIE

ZANIEPOKOJONY RODZIC.

Na drugiej kartce widniały podobne litery:

JAK SIĘ ZA NIEGO NIE ZABERZECIE, TO ZAWIŚNIE
NA GAŁĘZI Z OBCIĘTYMI JAJAMI

ZANIEPOKOJENI RODZICE.

Trzeba przyznać, że „rodzice” brzmiało bardziej złowieszczo od pojedynczego „rodzica”. Komuś mocno zależało, by skierować uwagę na Mecha.

Trzeci anonim miał podobną treść:

MECH ZNOWU GWAŁCI. PODPISAŁ NA SIEBIE CZAPĘ

ZROZPACZENI RODZICE.

Trzeci list był najmocniejszy. Nic dziwnego, że Szumaga zainteresował się dyrektorem. Ciekawe, czy gdyby wiedział, jak to się dla niego skończy, ruszyłby choć palcem?

– I co myślisz? – spytał Karol.

Zastanowiłem się.

– Ktoś najwyraźniej dowiedział się o romansie Mecha z maturzystką. À propos, mam listy uczniów i arkusze ocen rocznika dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć. Ta dziewczyna musi tam być. Możliwe, że ktoś się bardzo zdenerwował zamięłowaniami Mecha, ale nie miał na tyle odwagi, by stanąć z facetem twarzą w twarz. Wkurzony rodzic, zazdrosny chłopak albo koleżanka. Możliwości jest wiele.

Skręciliśmy w prawo w kierunku Łubiany. Samochód pokonał przejazd przez tory i jechał w kierunku ulicy, przy której stał dom Rohoszków. Zawada zaparkował w zatoczce na początku ulicy. Dystans około stu metrów pokonaliśmy pieszo. Gdy stanęliśmy przed furtką, w oknie na parterze dostrzegłem głowę Ewy. Natychmiast zasłoniła firankę i uprzedzając naciśnięcie dzwonka, otworzyła drzwi. Poprowadziła nas bez słowa wąskim, ciemnym korytarzem do pokoju, którego okna wychodziły na podwórko i ogród na tyłach domu. Usiedliśmy na mocno zużytej kanapie.

– Kawa czy herbata? – spytała. Poprosiłem o herbatę, Karol wybrał kawę. Po pięciu minutach gospodyni pojawiła się z tacą i ustawiła przed nami parujące kubki. Zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko. Dzielił nas niewielki stolik ze szklaną szybą.

– Tak jak mówiłam...

– Pani Ewo... – Rohosz zaczęła, ale Zawada natychmiast wszedł jej w słowo. Kobieta wydawała się zdenerwowana, nieświadomie pocierała dłońmi o kolana i co

chwila poprawiała włosy. – Zgodziliśmy się na pani warunki, ale mamy również swoje. Liczymy na jak największą ilość szczegółów. Sporo już wiemy, dlatego interesują nas detale. Rozumie pani?

Kobieta potwierdziła kiwnięciem głową.

– Mówiliście, że piszecie artykuł – powiedziała. – Nie chcę, żeby ukazało się tam moje nazwisko. Nie zgadzam się.

– W porządku – potwierdził Zawada. – Bez pani zgody nie mam prawa podać pani danych. Dla nas liczy się sama historia. Podobno byliście z Magdą bliskimi koleżankami?

Zanurzyliśmy się na chwilę w kompletnej ciszy.

– Tak – odparła, przerywając milczenie. – Znałyśmy się jeszcze w podstawówce, potem trafiłyśmy do tej samej klasy w technikum. Póki nie zaczęła chodzić z Wiktorem Labudą, byłyśmy nierozłączne, potem już nie miała tyle czasu, ale nadal się spotykałyśmy po szkole.

– Kiedy się z nim związała? – spytałem, uprzedzając Zawadę.

– W trzeciej klasie, właściwie w wakacje pomiędzy drugą a trzecią klasą. Podrywał ją już wcześniej, nie on jeden zresztą. Magda była bardzo ładna, ale dotąd się nim nie interesowała. Dopiero na dyskotecę, gdy zajechał polonezem ojca, bez prawa jazdy oczywiście, i wręczył jej bukiet dwudziestu róż, to spuściła z tonu i zgodziła się z nim zatańczyć. Był uparty, zapraszał ją na wycieczki i do kina... chyba jej się to spodobało. Labuda miał pieniądze i mógł szpanować rzeczami, o których tu nikt nie śmiał nawet pomarzyć. Pamiętam, że pewnego razu Magda zabrała mnie ze sobą do domu Wiktora. Jego rodzice przywieźli z Niemiec komputer i magnetowid. Do rana oglądaliśmy filmy z kaset i graliśmy w gry. Ich dom, i to co w nim mieli, to był inny świat. U mnie w tym czasie stał rozklekotany rubin i wychodek na podwórzu. Podobnie było u Magdy. Labuda wybierał sobie znajomych. Co jakiś czas urządzał prywatki i wszyscy w klasie do ostatniej chwili siedzieli jak na szpilkach, mając nadzieję, że ich zaprosi. Miał super wieżę stereo z ogromnymi kolumnami i same najnowsze płyty. Jego ojciec poprzez różne firmy sprzedawał pieczarki do Niemiec i dość często wyjeżdżał, a jak wracał, to z torbami pełnymi zakupów. Banany, czekolady z orzechami, ciuchy, wtedy to było jak piękny sen.

– Podobały jej się te luksusy? – Tym razem pytanie zadał Zawada.

– Jasne, komu by się nie podobały. Labuda nie należał do przystojniaków, a jednak poleciała na niego. Zresztą byliśmy wtedy tylko dzieciakami. Takie chodzenie ze sobą to był szpan i zabawa.

– Ale go rzuciła. Dlaczego?

Ewa wzruszyła ramionami.

– Podobno się zakochała. Tak naprawdę. Nigdy nie wyjawiała mi w kim, ale widziałam, że ją wzięło, i to mocno. Ten ktoś pisał dla niej wiersze. Serio, pokazywała mi je. Nazwał siebie Romeo. Uwierzycie? Magda była wniebowzięta. Labuda został automatycznie odstawiony na bok. Był w szoku, błagał ją, przychodził do domu z kwiatami, nie zdawał sobie sprawy, że nie ma najmniejszych szans. Jak ja jej tego zazdrościłam. Facet, który mógł przebierać w dziewczynach, skomlał pod jej drzwiami, a ona przegoniła go jak zbitego psa.

– Może pani konkretniej umieścić to w czasie? Na bal poszła sama, to wiemy. A kiedy usłyszała pani o nowym wybranku Magdy?

– Zastanawiałam się nad tym i jestem niemal pewna, że zwierzyła mi się po powrocie z wycieczki.

– Wycieczki? – spytałem zdziwiony.

– Tak. Trzy tygodnie przed maturą nasza klasa pojechała na dwudniową wycieczkę do Torunia. To był pomysł wychowawczyni, Warychowskiej. Mieliśmy się odstresować i nie myśleć o egzaminie. Zachorowałam wtedy na gripę i nie pojechałam. Tam jej się odmieniło, więc to musiał być ktoś z naszej klasy.

Zawada pochłaniał kawę drobnymi łykami. Moja herbata stała nieruszona. Na widok niedomytego kubka ze śladami szminki straciłem ochotę na poczęstunek.

– Poznała nowego chłopaka na wycieczce? – dopytywał Zawada, próbując usystematyzować informacje.

– Na pewno znała go wcześniej, na wycieczce byli tylko uczniowie z naszej klasy. – Ewa Rohosz strzeliła palcami. – Teraz sobie przypominam, że przed wyjazdem dostała wiersz. Na pewno, chwaliła się nim. Ktoś podrzucił go

w kopercie pod drzwi jej domu. To było strasznie romantyczne. Romeo pisał, że ją kocha i że jest najpiękniejsza na świecie. Magda uwielbiała takie klimaty, a Wiktor, który początkowo wydawał się romantykiem, okazał się prostakiem szpanującym kasą rodziców.

– Wiersz był anonimowy?

– Tak. Autor napisał, że już nie może wytrzymać i wkrótce się ujawni.

– I ujawnił się?

– Przed nią na pewno. Nie chciała o nim powiedzieć, co mnie trochę wkurzało, bo byłyśmy kumpelami, ale przyrzekała, że jak tylko skończy się szkoła, to zdradzi prawdę i może wspólnie gdzieś pojedziemy. Chyba bała się Labudy. Nie przywykł, by mu odmawiano. Gdyby dowiedział się, kto go wygryzł, mógłby chcieć się odegrać, a łapę miał ciężką.

– Jaką Magda była uczennicą? – To, co Zawadzie mogło się wydawać mniej istotne, mnie jako nauczyciela interesowało szczególnie.

– Nie należałyśmy do kujonek, jeśli o to panu chodzi. Ja miałam średnią pomiędzy trzy i pół a cztery. Magda dostawała trochę lepsze stopnie, ale niewiele. Pamiętam, jak skakała z radości, gdy na koniec trzeciej klasy wyszła jej średnia powyżej czterech, ale matury nie napisała najlepiej. Matematykę ledwo zaliczyła, trochę lepiej poszło jej na polskim. Właściwie to najbardziej zadowolona była z wyniku pisemnej historii. Sprawiała wrażenie, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Chciała zamknąć rozdział szkoły średniej jak najszybciej.

– Kim mógł być autor listu? Znała pani dobrze chłopców z klasy. Byli tam jacyś romantyczni bruneci rodem z melodramatu?

– Nieraz się zastanawiałam, ale naprawdę nie wiem. Chłopaków było więcej niż dziewczyn. Z Magdą chciałby się umówić każdy. Zrozumcie, ona zakochała się w tych wierszach. Wygląd autora nie miał dla niej żadnego znaczenia.

Przeszło mi przez myśl, jak wiele zbieżności ujawniało się pomiędzy Magdą a Alicją. Obie były marzycielkami, szukały wielkiej miłości i w pewnym momencie sądziły, że taką odnalazły. Krótco potem obydwie rozplynęły się w otchłani czasu.

– Czy mogłaby pani sobie przypomnieć dzień balu? – Zawada świdrował kobietę spojrzeniem, Ewa jednak zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Odgarniała włosy i dalej pływała we wspomnieniach.

– Teraz już się ich nie organizuje – mówiła. – Dziś najważniejsza jest studniówka, ale gdy chodziłyśmy do szkoły, bal maturalny był głównym punktem zakończenia roku. Matka szyła mi suknię przez dwa tygodnie. Magda wbiła się w wystrzałową kieckę, która dał jej jeszcze Labuda. Nie miała żadnych skrupułów, by ją założyć. Nie byłam z nikim, więc poszłyśmy na zabawę razem. Magda kipiała z podekscytowania, cały czas cytowała wiersz, który wcześniej dostała. Oczywiście pytałam ją, kto i w ogóle, ale ona mówiła, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Sama zabawa była fajna. Grał zespół, robiliśmy pamiątkowe zdjęcia. Zatańczyłam parę razy z chłopakami z klasy. Magda przyniosła trochę nalewki w piersiówce ojca i od czasu do czasu sobie pociągałyśmy. Oficjalnie nie wolno było wnosić alkoholu, ale każdy coś miał. Nauczyciele patrzyli na to przez palce. W końcu byliśmy już pełnoletni. Nie wiem, kiedy to się stało, kiedy straciłam ją z oczu. Myślałam, że poszła do toalety. Bawiłam się dalej. Około jedenastej zaczęłam jej szukać. Zaraz jednak postukałam się w głowę, bo pomyślałam, że pewnie obściskuje się gdzieś pokątnie ze swoim nowym chłopakiem. Mijały jednak godziny, zabawa się skończyła, a jej nie było. Wróciłam sama do domu. Nadal myślałam, że spaceruje gdzieś w świetle księżycy ze swoim poetą. Dopiero rano przyszedł jej ojciec cały w nerwach. Szukaliśmy Magdy cały następny dzień. Potem pojawiła się milicja, ale nigdy jej nie odnaleziono. Mówili, że uciekła.

– Uwierzyła w to pani?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– W sumie nie dziwiłabym się, była naprawdę zauroczona. Nie chciała zostać na gospodarstwie, wiele razy o tym rozmawiałyśmy. Nie miała jednak pieniędzy na wyjazd, a rodzice finansowo by jej nie pomogli. Właściwie trochę się złościła za zerwanie z Labudą. Lubili go. Pewnie myśleli, że córka wżeni się w bogatą rodzinę i wszystkim się poprawi. Magdzie jednak nigdy na ślubie z Labudą nie zależało. Nawet jej to do głowy nie przyszło. Marzyła, by wyjechać. Bała się, że jak nic nie zrobi, zostanie w Sławinie na zawsze. Może rzeczywiście nic nikomu nie powiedziała i uciekła.

Zawada opadł na oparcie kanapy, co ta przyjęła głośnym skrzypnięciem. Po chwili zastanowienia znów nachylił się nad stolikiem.

– Magda nie żyje – powiedział. – Zginęła prawdopodobnie w dniu zabawy. Ktoś ją zamordował.

Ewa Rohosz wpatrywała się w Karola bez słowa. Wydawało się, iż usłyszane zdania docierają do jej mózgu z dużym opóźnieniem. Najpierw poruszała ustami, nie wydając żadnego dźwięku, jednak gdy emocje na jej twarzy się uwidoczniły, spytała cicho:

– Jezu... skąd to wiecie?

– Odnaleziono jej szczątki. – Zawada opowiedział pokrótce o czaszce i ustaleniach policji. Trzymanie tego w tajemnicy nie miało sensu, i tak sprawa wypłynęłaby na światło dzienne. Notki o czaszce znalazły się w kilku gazetach, w tym w dwóch ogólnopolskich. Było kwestią czasu, kiedy dziennikarze sprawdzą ustalenia policji i opublikują informację.

Z oczu Ewy Rohosz popłynęły łzy. Nie wytarła ich, może nie była świadoma płaczu. Rozmawiając z nami, na kilka krótkich chwil powróciła do czasu beztroskiej młodości. Nie wiem, czy czegokolwiek żałowała, ale mogłem strzelać, że mieszkanie w zaniedbanym domu razem z matką i gburowatym mężem nie stanowiło szczytu jej marzeń. Przynajmniej żyła. Jej ładniejsza, lepiej zapowiadająca się koleżanka przez ćwierć wieku rozkładała się w nieznanym grobie. Ostatecznie to Rohosz okazała się zwyciężczynią w rywalizacji o „życiowy sukces”, choć nie był to pojedynek uczciwy.

Kobieta wstała i wyszła z pokoju. Gdy wróciła, trzymała w ręku kilkanaście fotografii.

– Wyszukałam je wczoraj. To jedyna pamiątka, jaką mam po Magdzie.

Położyła zdjęcia na stoliku. Większość pochodziła z balu maturalnego w osiemdziesiątym piątym. Dziewczyny ścisnęły się, strojąc głupie miny. Fotografowały się na tle klasy, korytarza ustrojonego kolorową bibułą i pomalowanymi farbą imitacjami palm oraz przed szkołą. Na kolejnych zdjęciach Magda została skadrowana w tańcu i z innymi koleżankami. Podobnie Ewa – z kilkoma nauczycielami i równie odświętnie ubranymi dziewczynami. Były uśmiechnięte, tryskały energią. Magda prezentowała się nadzwyczaj atrakcyjnie. Niebanalna uroda w połączeniu z markową suknią robiły piorunujące wrażenie. Na końcu skromnego stosiku zdjęć znajdowała się fotka klasowa. Uczniowie ustawieni w trzech rzędach, wśród nich nauczycielka, zapewne wspomniana wcześniej

wychowawczynie Warychowska, w centralnym punkcie zaś Magda. Obok, jakby przypadkiem, stała Ewa. Nie pasowała do koleżanki ani stylem, ani urodą. Sukienka Rohosz była przesadnie napuszona, ilość falban przytłaczała, co w połączeniu z pulchną twarzą upodabniało dziewczynę do napompowanej bezy. W tle ciągnął się napis: BAL MATURALNY SŁAWINO 1985. Ten sam widniał na fotografii wykradzonej z domu Mecha, tyle że tamto zdjęcie przedstawiało wszystkie czwarte klasy i nauczycieli. Wymienialiśmy się z Zawadą zdjęciami przez kilka minut.

– Który to Labuda?

Ewa wskazała wysokiego chłopaka stojącego obok wychowawczynie. Nosił prostą, wchodzącą na oczy grzywkę i długą, spadającą za kołnierzyk koszuli plerezę z tyłu. Kwadratowa twarz i lekko wysunięta żuchwa mogły pogłębiać kompleksy. Nawet wbity w elegancki granatowy garnitur nie przedstawiał sobą ułamka klasy Magdy Kraśnik. Musiał mieć świadomość, iż taki diament drugi raz szybko nie wpadnie mu w ręce.

– Co się z nim działo po zniknięciu Magdy? – Zadane przeze mnie pytanie wyrwało Rohosz z głębin wspomnień beztraskich lat młodości.

– Milicja podejrzewała, że zrobił coś Magdzie, ale w końcu się odczepili – odparła, wpatrując się w roześmiane twarze dawnych kolegów i koleżanek. – Ludzie wiedzieli jednak swoje. Chodziły słuchy, że stary Labuda ostro sypnął kasą komu trzeba, żeby dali Wiktorowi spokój. Niby zdał egzaminy na studia prawnicze i wyjechał, co akurat było śmieszne, bo przez całą szkołę leciał na naciąganych trójkach. Po roku wrócił do Sławina, pewnie go wywalili. Prowadził gospodarstwo z ojcem, ale zaczął pić. Ponoć nie mógł przeboleć straty Magdy. Jakies pięć lat po maturze, zaraz... – Kobieta zaczęła przeliczać w myślach. – Nie, sześć, bo mieszkałam już w Łubianie, rozbił się po pijaku samochodem. Ledwo przeżył, ale jest sparaliżowany. Od czasu do czasu rodzice przywożą go na wózku do kościoła. Wygląda strasznie. Nie mówi, jest jak warzywo. Szkoda mi go. Mógł mieć wszystko, a skończył...

– Możemy pożyczyć to zdjęcie? – Podniosłem klasową fotografię. Nad każdym uczniem widniała cyfra.

– Weźcie je, mnie starczą te tutaj.

– Są tu wszyscy z klasy?

– Raczej tak, na odwrocie są podpisy.

Przewróciłem zdjęcie. Każde zapisane imię i nazwisko odpowiadało cyfrze umieszczonej na froncie. Ktoś sprytnie ułatwił sobie życie, przeczuwając, iż po latach pamięć bywa zawodna.

– Właściwie powiedziałam wam wszystko, co wiem. Jest późno... – Ewa zawiesiła głos.

Zawada wyciągnął portfel i odliczył trzy setki. Wręczył je kobiecie.

– To na opał – zaczęła się tłumaczyć. – Wszystko poszło tak w górę...

– Dziękujemy. – Zawada nie dał jej skończyć. – Bardzo nam pani pomogła.

Ruszyliśmy do wyjścia.

– Szukacie mordercy? – spytała, gdy szliśmy korytarzem. – Po tylu latach to jeszcze możliwe?

– Mam nadzieję, że kiedyś prawda wyjdzie na jaw. Może nasz artykuł w czymś pomoże. – Zawada kolejny raz wręczył kobiecie wizytówkę. – Proszę dzwonić, jeśli coś się pani przypomni.

– Oczywiście. Zapiszę wam swój numer.

Ciąg cyfr na odwrocie wizytówki Karola stanowił jedyny dowód naszego spotkania.

– Przepraszam za mamę i męża. Mamy problemy z sąsiadem. Dampc bezustannie kogoś nasyła, by uprzykrzyć nam życie.

– Nie ma sprawy – zapewniłem.

Gdy zmierzaliśmy w kierunku samochodu, jeszcze raz odtworzyłem w pamięci przebieg rozmowy z Ewą Rohosz i nadal nie miałem pewności, czy łyż i zaskoczenie na twarzy kobiety były wynikiem szoku i strapienia, czy też zgrabnie odegranym płatnym przedstawieniem.

30.

Tej nocy nie mogłem zasnąć, choć zmęczenie nakazywało udanie się do łóżka. Powinienem przejrzeć skserowane dokumenty, ale zwyczajnie nie miałem na to ochoty. Po raz pierwszy od czasu zaginięcia Alicji ogarnęło mnie zniechęcenie. Byliśmy z Zawadą jak poszukiwacze skarbu, którzy próbują szczęścia, kopiąc dziury na chybił trafił. W naszym działaniu nie było żadnej metodologii. Zgromadzone w ciągu ostatnich dni informacje nie składały się w logiczny ciąg. Mech, anonimy, tajemniczy adorator Magdy, list w książce Alicji – nic się nie kleiło. Gdybyśmy zdobyli choć namiastkę spoiwa, które połączyłoby poszczególne wątki...

Nie pamiętam, kiedy próbę dedukcji zastąpiła oniryczna wędrówka na granicy jawy i snu. Przemierzałem przestrzeń pomiędzy domem Mecha, gdzie przerażony dyrektor szkoły porzuca namiętą kochankę, by ścigać złodzieja ściśle chronionych tajemnic, a Laskiem Seniora i pokojem siedemnaście, w którym Szumaga z niespotykaną precyzją rozdaje słowne razy Bogu ducha winnym pielęgniarce. Tych dwóch mężczyzn sprawiało wrażenie zwierzaków zagonionych przez drapieżnika w kozi róg. Szamotali się i walczyli o przeżycie. Byli niebezpieczni, nie miałem co do tego wątpliwości.

W końcu w sposób znany jedynie wielkiemu kreatorowi snów trafiałem do Ewy Rohosz, by tam jeszcze raz wysłuchać płaczliwych opowieści o straconej przyjaźni i młodości. Kobieta szlochała, ukrywając twarz w materiałowej chusteczce, a ja przysięgłbym, że za zagiętym rogiem wykwitał szyderczy uśmiech. W tle niestrudzenie brzmiało echo niedawnych słów Andrzeja:

– Ludzie tu nie lubią, gdy ktoś nieznajomy zbyt mocno interesuje się ich sprawami.

A potem w przerażeniu oczekiwałem uderzeń lecących w moim kierunku kamieni.

Dziwne sny nie zniwelowały zmęczenia na tyle, na ile tego potrzebowałem. Jediną pocieszającą informacją zarejestrowaną po przebudzeniu był wyraźnie ustępujący ucisk w okolicach kręgów szyjnych. Zrezygnowałem z tabletek, ograniczając się do zakupionej w aptece maści przeciwbólowej.

Cały czas gnębiło mnie przeświadczenie o trzymanej w ręku odpowiedzi na wszystkie zagadki, której nie potrafimy odczytać. Był jakiś szczegół, coś, co kazało

mi dziesiątki razy przerzucać akta spraw i zdjęcia. Tam tkwił punkt wspólny, czułem to.

Lekcje w szkole trwały do trzynastej; po nich udałem się do kościoła, na którego tyłach w wyremontowanej zakrystii ruszaliśmy z zajęciami dodatkowymi. Na język polski przyszło dziewięć osób. Podzieliłem ich na uczniów szkoły podstawowej i gimnazjum i przez półtorej godziny odrabialiśmy wspólnie lekcje. Pomysł Adama był doskonały. Widząc zadowolenie na twarzach niektórych uczniów, sam wznosiłem się ku niebu. Nawet jeśli przyszli, by szybciej odbębnić pracę domową, to każda minuta spędzona na „wyższych obrotach”, wywołanych obecnością nauczyciela i kolegów, była cenniejsza od godziny bezproduktywnie spędzonej za biurkiem.

Po zajęciach spotkałem się z Zawadą w Muchomorze.

– Co teraz ? – spytałem.

– Musimy to wszystko uporządkować – odparł, popijając herbatę.

– Masz jakiś pomysł?

– Skupmy się na Mechu. – Mogłem się tego spodziewać. Stosunek Karola do dyrektora technikum zaczynał trącić obsesją. – Facet ma coś za uszami i wyraźnie się boi. – Owo „coś” jeszcze niedawno w ustach Zawady było podwójnym morderstwem. – Przez lata kolekcjonuje wycinki prasowe o zaginionych nieletnich, a zarazem jest oskarżany przez anonimowego autora o wykorzystywanie seksualne uczennic, co więcej, potwierdzają to krążące po okolicy plotki. Laura zdeterminowana w osadzeniu męża na stanowisku dyrektora ucina łeb sprawie, wysyłając przy okazji na zieloną trawkę Szumagę. Ale smród pozostaje. Mech znał Magdę Kraśnik, bo w osiemdziesiątym piątym pracował w szkole jako nauczyciel. Jest z nią nawet na zdjęciu zbiorowym z balu. Magda była młoda i super seksowna, a on takie lubi. Może na zabawie wywabił ją ze szkoły i zaczął się przystawiać, a gdy spotkał się z odmową, zaatakował. Potem wywiózł ciało i pozamiatane. Nikt go nie podejrzewał, bo teoretycznie nie było pomiędzy nimi żadnego związku. Wiedział, że Magda chodziła z Labudą, więc podrzucił chłopakowi zakrwawiony pręt.

Miałem wątpliwości co do tej teorii.

– A po jaką cholere zbiera te artykuły?

Karol odparł po namyśle:

– Mówię ci, Magda to mógł być jego pierwszy raz. Poczul satysfakcję, zew krwi i poszedł za ciosem. W pewnym momencie stracił cierpliwość i zabrał się za mordowanie chłopców. Po artykułach wiedział mniej więcej, na jakim etapie znajdują się śledztwa. Czuł się bezkarny. Alicja mogła być jego ostatnią ofiarą.

– A książka Alicji? Autor wierszy dla Magdy? Nadawca anonimów? To nic nieznaczące w całej sprawie epizody?

Na to Zawada nie znał odpowiedzi.

Kolejne dni były bardzo pracowite. Oprócz lekcji w szkole i tych przy kościele czekał mnie pojedynek z piętrzącym się na stole w pokoju okazałym stosem sprawdzianów i ocenienie zeszytów. Musiałem podkręcić tempo, by nadrobić zaległości. Zawada w tym czasie analizował na wszystkie sposoby zebrane informacje i zabrał się za przekopywanie list uczniów oraz arkuszy ocen z rocznika 94/95. Byliśmy w kontakcie telefonicznym, co po jakimś czasie stało się denerwujące, bowiem Karol dzwonił co chwilę z jakimś rewelacyjnym pomysłem, a ja, żeby go dobrze słyszeć, musiałem stać przylepiony do okna. Do północy uporałem się z połową roboty. Tym razem nie miałem kłopotu z zaśnięciem i cokolwiek mi się śniło, nie zdołało się przebić do świadomości po otwarciu oczu.

W szkole próbowałem dyskretnie namierzyć Mecha, jednak okazało się, że do końca tygodnia będzie na zwolnieniu lekarskim. Musiało go niezłe trafić. Dla placówki nieobecność dyrektora nie stanowiła wielkiego problemu, bowiem i tak większość roboty odwalala za niego Laura. Ciekawiło mnie, czy bez niej przetrwałby na stanowisku choćby parę miesięcy.

Widząc, jak wicedyrektorka mknie na przerwie korytarzem, a rozbrykana dzieciarnia rozpierzcha się przed nią w panice, chcąc nie chcąc musiałem wykrzesać z siebie odrobinę podziwu dla respektu, z jakim ją traktowano. Z doświadczenia wiem, iż szacunek ucznia do dyrektora szkoły nie jest rzeczą oczywistą.

– Panie Sylwestrze, można na słówko? – Sekretarka wywołała mnie z ostatnich wtorkowych zajęć. – Dzwoni mama Tomasza Libery, chciałyby się

z panem spotkać i porozmawiać o synu, ale pracuje do wpół do szóstej i pyta, czy byłaby możliwość spotkania pod wieczór? Bardzo jej zależy.

Libera był jednym ze słabszych uczniów. Miał problemy ze składnym pisaniem, a nawet czytaniem. Prawdę mówiąc, podejrzewałem dysleksję i miałem zamiar porozmawiać z jego rodzicami na temat przebadania syna. Nadarzała się okazja.

– Dobrze, proszę powiedzieć, że będę jutro w pokoju nauczycielskim. Czekam o wpół do siódmej. – W tym czasie w hali sportowej zaplanowaliśmy trening, który chciałem poobserwować, więc i tak miałem być na terenie szkoły.

Sekretarka mrugnęła obuocznie, czego nie potrafiłem zinterpretować, i zniknęła za drzwiami.

Następnego dnia, idąc do klasy, wpadłem na Andżelikę. Szła po schodach na drugie piętro, ja właśnie schodziłem.

– Słyszałem, że koleżanka chorowała? – zagałem frywolnie, ale tak naprawdę nie było mi do śmiechu. Najchętniej wykrzyczałbym jej w twarz: „Jesteś kolejną zwykłą...”, ale nie przeszło mi to przez gardło nawet w myślach.

– To infekcja, już minęło – powiedziała dziwnie spokojnym jak na siebie tonem. Wydawała się nienaturalnie wyciszona, jakby była na prochach.

– Napijemy się kawy? – zaproponowałem.

– Nie, dziękuję. Może później, mam przed dzwonkiem jeszcze coś do załatwienia.

Pożegnała się i poszła, a właściwie uciekła. Przeżywała horror, byłem tego pewien, a świadomość, że się do tego przyczyniłem, nie poprawiała mi nastroju. Pewnie bała się kompromitacji wywołanej ujawnieniem faktu jej romansu z Mechem i publikacji intymnych fotek albo co gorsza filmu, który mógł być w rękach włamywacza. Takie rozmyślenia musiały ją psychicznie dobijać. Źle się z tym czułem, ale choćbym chciał, nie mogłem wyjawiać jej prawdy. To by zrujnowało całe dochodzenie. Prawdopodobnie podejrzewała Laurę o nasłanie na męża szpiegów.

Wieczorem zadzwonił Zawada. Wytypował pięć dziewczyn, które

teoretycznie mogłyby być kochankami Mecha przed objęciem przez niego stanowiska dyrektora.

– Chciałbym, żebyś rzucił na to okiem. W końcu oceny i arkusze to twoja działka.

Umówiliśmy się w środę wieczorem po moim spotkaniu z mamą Libery. Nie powinno zająć więcej niż pół godziny. Przygotowałem sobie adresy poradni psychologicznych, które mogłyby zdiagnozować chłopaka.

Trening rozpoczął się o osiemnastej. Postanowiłem zasiąść na trybunie jako widz, by podnieść chłopaków na duchu po ostatnich porażkach. Wszystko wskazywało na to, że do niedzieli podlecę kontuzję na tyle skutecznie, by wystąpić.

Przed wpół do siódma pożegnałem się z kolegami i ruszyłem do pokoju nauczycielskiego. Niestety przejście pomiędzy halą sportową a głównym budynkiem o tej porze było już zamknięte na kłódkę. Musiałem wyjść z terenu hali, obejść szkołę i wejść do gmachu głównymi drzwiami. Tam również natrafiłem na opór. Zapukałem w szybę. Chwilę później otworzył mi stróż.

– Dobry wieczór, mam dzisiaj spotkanie z rodzicem, zostało zgłoszone w sekretariacie.

Starszy mężczyzna przewertował zeszyt, a gdy znalazł notatkę, wpuścił mnie do środka. Nie był zdziwiony. Popołudniowe, a nawet wieczorne spotkania z rodzicami nie należały do rzadkości. Duża część mieszkańców Sławina pracowała w Trójmieście, a to oznaczało późne powroty do domu.

– Jak przyjdzie pani Libera, proszę powiedzieć, że czekam w pokoju nauczycielskim – poprosiłem i poszedłem na piętro. Właściwie mógłbym umówić się z kobietą poza szkołą, ale wtedy nie miałbym wglądu do dziennika, a rodzice zawsze chcą zapoznać się z najświeższymi osiągnięciami swoich pociech.

Specjalną kartą otworzyłem drzwi pokoju nauczycielskiego i włączyłem światło. Było wpół do siódmej. Wydawało mi się, że w oddali słyszę dźwięk autoalarmu. Pewnie wiatr go uruchomił, pomyślałem, i nastawiłem czajnik, by zrobić kawę. Usiadłem na swoim stałym miejscu przy oknie. To było dziwne uczucie obserwować pustkę i bezruch w zwykle gwarnym pomieszczeniu. Gdy po paru minutach zza drzwi doszły dźwięki kroków, odstawiłem gorący kubek

i przysunąłem bliżej dziennik lekcyjny pierwszej B. Byłem pewien, że zaraz niedomknięte drzwi się otworzą i stanie w nich matka ucznia. Zamiast tego jarzeniowe lampy zasyczały i pomieszczenie zalał gęsty mrok. Wstałem.

– Halo, pani Libera, to pani? – zapytałem głośno. – Chyba nastąpiła jakaś awaria prądu, jestem w pokoju.

Cisza. Ciemność totalna. Zaciągnięte żaluzje izolowały pokój od nikłego blasku latarni świecących przed wejściem i w okolicach boiska.

– Jest tu kto? – rzuciłem w przestrzeń, nie doczekawszy się odpowiedzi na wcześniejsze pytanie.

Szedłem po omacku w kierunku wyjścia. Kilka razy obiełem się o krzesła i stoliki, ale w końcu osiągnąłem cel. Liczyłem na nieco więcej światła na korytarzu.

Coś przemknęło mi przed nosem. Mógłbym przysiąc, że wyczułem ruch. Cień, niewidoczna postać rozplątywała się w czarnej niczym sadza przestrzeni. Poczulem niepokój.

– Kto tu jest? – spytałem niepewnie.

Usłyszałem coś jakby szurnięcie, przesunięcie stopy po powierzchni podłogi.

– Wiem, że ktoś tu jest.

Chce mnie zaatakować?

Nagle zdałem sobie sprawę, jakim jestem idiotą. Dałem się zwabić w miejsce, gdzie można mnie bez świadków załatwić. Niby był jeszcze stróż, o ile ten ktoś go wcześniej nie uciszył.

Usłyszałem kroki. Z lewej. Intruz przyspieszył. Cofnąłem się do pokoju. Chciałem zatrzaskać drzwi i odseparować się od zagrożenia, ale w najmniej odpowiednim momencie potknąłem się i runąłem na podłogę.

Uciekaj! – wrzeszczał instynkt samozachowawczy.

Zacząłem się czołgać. Kroki były coraz bliżej. Prześladowca wszedł do

pokoju.

– Czego chcesz?! – zawołałem.

Natrafiłem na krzesło i opierając się o nie, wstałem. W tym momencie powietrze przed moim nosem coś przecięło ze świstem, po nim odczułem uderzenie ciałem napastnika, a następnie usłyszałem metaliczny zgrzyt w okolicach podłogi. Nie miałem wątpliwości, że zamachnął się na mnie. Pewnie myślał, że nadal tam leżę. Choć nie widziałem narzędzia, przeczucie podpowiadało mi, że musiał to być nóż. Odepchnięty, przekoziółkowałem przez stolik. Wpadłem w panikę. Chwyciłem krzesło i rzuciłem nim przed siebie, mając nadzieję trafić w napastnika. Ten najwyraźniej zmienił taktykę, bowiem zastygł w bezruchu. Zapewne też nie widział zbyt wiele. Był z prawej? Lewej? Przede mną? Całkowicie straciłem orientację. Zacząłem się cofać. Wtedy nastąpił kolejny atak. Na szczęście prześladowca źle ocenił moją lokalizację i nóż zamiast w mój brzuch, wbił się w stojący obok stolik.

– Panie Cichy, jest pan tam?! – Na korytarzu rozległo się wołanie stróża. – Panie Cichy, idę do pana!

– Tak, jestem!!! – zawyłem najgłośniejszym głosem, jaki umiałem, i natychmiast zanurkowałem pod stolik, bo wyobraziłem sobie, jak ręka z nożem mknie w moją stronę.

Gdy tylko zdołałem uspokoić się na tyle, by zaczerpnąć powietrza, ujrzałem zmierzającą ku mnie lunę światła.

Teraz zobaczy, gdzie jestem.

Napastnik jednak zaczął się wycofywać. Oddalające się kroki dobiegały z okolic drzwi, a później korytarza. Serce trzepotało mi się w klatce piersiowej jak oszalałe. Wstałem z podłogi. Było mi słabo. Nim uzbrojony w latarkę stróż pojawił się w pokoju nauczycielskim, zdałem sobie sprawę, że tylko jeden mały kroczek dzielił mnie od śmierci.

– Wszystko w porządku? Musiało być jakieś zwarcie. – Zdziwiony mężczyzna omiół światłem latarki poprzewracane krzesła i stoliki. – Co tu się stało?

– Nic – odparłem, siląc się na spokój. – Straciłem orientację w tych

ciemnościach i niechcący urządziłem małą demolkę. Zaraz to poustawiam.

– Aha. – Stróż przyjął tłumaczenie, nie zagłębiając się w jego logiczną wartość. – Nikogo do pana nie było. Przyszedłbym wcześniej, ale alarm w samochodzie pani dyrektor zaczął wyć i musiałem sprawdzić.

– Pani Mech jest w szkole?

– Nie, zostawiła tylko samochód, bo zeszło jej powietrze z koła. Chciałem wymienić, ale ten jej fiacik ma instalację gazową, a ona jak to kobita nie wozi koła zapasowego. Machnęła ręką i poszła na PKS.

Cholernie zaskakujący zbieg okoliczności, pomyślałem. Samochód Laury zostaje pod szkołą akurat wtedy, gdy może się przydać do wywabienia stróża i zyskania kilku minut, by mi wypruć flaki.

Stojąc przed szkołą, długo zastanawiałem się, czy ruszyć samotnie zagubionymi w ciemnościach schodami. Nożownik mógł się tam czaić. To już nie był zwykły, być może przypadkowy rzut kamieniem, ale zamach na moje życie. Po namyśle zadzwoniłem do Zawady. Gdy opowiedziałem o całym zdarzeniu, kazał mi czekać pod szkołą.

Suzuki grand vitara podjechało na parking po blisko trzydziestu minutach. Odetchnąłem, ale mój spokój był pozorny. Jadąc w dół, wypatrywałem ukrywającego się pomiędzy drzewami cienia. Jeśli napastnik tam tkwił, skutecznie wykorzystywał osłonę, jaką ofiarował mu mrok. Zastanawiałem się, kiedy nastąpi kolejne uderzenie.

Zajechaliśmy pod Pensjonat u Bobrów. Podczas kilkunastominutowej podróży Karol wiele razy zadawał to samo pytanie:

– Nie widziałeś go?

Pytanie kompletnie bezsensowne, bo przecież gdybym widział, to bym powiedział.

– Nie, ale chciał mnie zabić. Szybko i skutecznie. To już nie jest zabawa w detektywów.

Weszliśmy do pokoju. Zawada rzucił klucze na stolik i zagłębił się

w myślach. Po chwili zaczął swoim zwyczajem chodzić w kółko.

– W jakimś momencie dotknęliśmy czułego punktu – powiedział. – To musiał być on, morderca dziewczyn. Moim zdaniem to Mech. Dowiedział się o śledztwie. Może jednak rozpoznał cię w piątek i stwierdził, że nie ma na co czekać. Jako dyrektor orientuje się zapewne, jak wyłączyć prąd w całej szkole. Muszą mieć gdzieś bezpieczniki.

Świetnie, pomyślałem. Dyrektor biegający po szkole z nożem to marzenie każdego nauczyciela. Zwłaszcza tego, który miał nadzieje na twórczy spokój.

– Co robimy?

Powinienem raczej zapytać, co ja mam zrobić. Oczywiście reakcją byłoby zawiadomienie policji, tyle że to nie przyniosłoby żadnego skutku. Zresztą po włamaniu nie paliło mi się do kontaktów z policją. Poza tym nie miałem materialnych dowodów na istnienie napastnika. Wyszedłbym tylko na paranoika. Od momentu gdy do pokoju nauczycielskiego wparował stróż z latarką, instynkt podpowiadał mi, by nie robić zamieszania – i tego chciałem się trzymać.

– Może weź wolne – zaproponował Karol.

– Nie – odparłem. – Po prostu będę ostrożniejszy. – Nie miałem ochoty dalej ciągnąć tego tematu. – Powiedz, co ustaliłeś w sprawie listy dziewczyn.

Zawada zgarnął ze stolika kartkę.

– Według mnie nasza panienka jest wśród nich.

Pięć zapisanych nazwisk nic mi nie mówiło. Karol podał mi dokumenty dostarczone przez Zofię i zacząłem je wertować, podążając za tokiem myślenia dziennikarza. Po godzinie stwierdziłem, że wykonał kawał rzetelnej roboty. Wytypowane dziewczyny miały oceny poniżej ogólnej średniej i istniała możliwość, iż jednej z nich Mech udzielał korepetycji.

– Teraz trzeba je odnaleźć. – Zawada stwierdził oczywisty fakt. – Zajmę się tym w przyszłym tygodniu, po powrocie do Gdańska. Będę musiał uruchomić kilka nici swojej pajęczyny.

Gdy odwiózł mnie do domu, było po dziesiątej. Otwierając drzwi, czułem

ciarki na plecach. Wydawało mi się, że każda chwila szamotania się z rozklekotanym zamkiem przybliżyła do mnie długi, ostry nóż. W środku dzieła zniszczenia o mało nie dopełnił Leopold, który pojawił się znikąd i otarł leniwie o moją nogę, czym doprowadził mnie do stanu przedzawałowego. Zofia zapewne już spała. Wszedłem cicho na górę, zastanawiając się, w jaki sposób w ciągu niespełna dwóch miesięcy pobytu w Sławinie zdołałem ściągnąć sobie na głowę zdesperowanego zabójcę.

31.

– Panie Cichy! – zawołał mnie stróż, gdy wchodziłem rano do szkoły. – Wiesz pan co? – Zbliżył się i wyszeptał: – Znalazłem dziś śrubokręt wciśnięty do gniazdka w toalecie. Jakiś dowcipniś chciał sobie pożartować i zrobił spięcie. Co ci uczniowie wymyślają, to koniec świata, przecież mogło go popieścić. Mocno się pan wczoraj poobijał?

– Trochę – odpowiedziałem. – Dzięki za informację. Muszę lecieć.

Choć ławki i krzesła w pokoju nauczycielskim zostały poustawiane tak jak zawsze, długa rysa na podłodze rzucała się w oczy. Gdyby nie przypadek, na jej miejscu znajdowałaby się kałuża krwi. Najwyraźniej tylko ja zwróciłem uwagę na ubytek w linoleum. Dla reszty nauczycieli stan podłogi w pokoju był ostatnią rzeczą, jaką by się przejmowali.

W dzienniku pierwszej B odszukałem dane Libery wraz z telefonem domowym. Zadzwoiłem tam przed pierwszą lekcją. Mama Tomka bardzo się zdenerwowała, z góry zakładając nieszczęśliwy wypadek syna; szybko ją uspokoiłem. Nie zapytałem wprost, ale już po kilku zdaniach stało się jasne, że kobieta nie ma pojęcia o jakimkolwiek umówionym dzień wcześniej spotkaniu. Rozmawialiśmy kilka minut o problemach jej syna, na koniec zapewniła, że przyjdzie do szkoły w poniedziałek.

Dotąd tliła się jeszcze we mnie iskierka nadziei na to, że atak był przypadkowy. Mogłem nieświadomie nakryć włamywacza, który w panice zaczął atakować. Po rozmowie z panią Liberą zyskałem pewność: od samego początku chodziło o mnie. Telefon do szkoły, przebite koło w samochodzie Mechowej, wyjący alarm. Żadnych przypadków.

Staralem się możliwie jak najmniej myśleć o narastającym zagrożeniu. Remedium na strach miała być praca, a tej nie brakowało zarówno w szkole, jak

i w domu. Niemniej ustalenia ostatnich tygodni nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Zanim zabrałem się po lekcjach za klasówki i zeszyty z wypracowaniami, po raz setny przewertowałem dość grubą teczkę z materiałami dotyczącymi naszego śledztwa. Zawada skopiował dla mnie wszystkie raporty i protokoły, każdy miał więc swój egzemplarz. Uwagę przykuwały zdjęcia. Zarówno te wykradzione z domu Mecha, jak i te otrzymane od Ewy Rohosz – miały w sobie moc tajemnicy. Dzieciaki rozchichotane, uśmiechnięte, częściowo podchmielone wpatrywały się w obiektyw, pewne swej świetlanej przyszłości. Postacie zamknięte w kadrze nie mogły wiedzieć, jak potoczą się ich losy. Ja znałem dalszy ciąg przynajmniej w kilku przypadkach. Magda i Labuda przegrali na starcie. Ewa nawet dobrze się nie rozpędziła i... stanęła, odbierając sobie szansę na sukces w wyścigu. Był jeszcze Andrzej. Na zdjęciu niewysoki blondynek schowany za wyrośniętymi kolegami. Jego życie zatoczyło krąg i po rozwodzie wrócił do szkoły w Sławinie. Tym razem na nauczycielski etat. W porównaniu ze stojącą z przodu Magdą wyglądał jak chłopaczek, czyjś młodszy brat, który przypadkowo przyplątał się do nie swojej klasy. To była bogini, tak ją niedawno nazwał. Kochał się w niej? Może właśnie on był autorem tajemniczych listów miłosnych? Jeśli tak, to marne szanse, aby się do tego przyznał. Wspomnienie dawnych lat wyraźnie go zdenerwowało. Czyżby do dziś go trzymało?

Czekałem na Wilczyńskiego przed klasą. Był piątek, chłopak miał zaliczać kolejną partię materiału. Zbliżała się trzynasta trzydzieści. Wilczyński szedł korytarzem, ślimacząc się niemiłosiernie, zupełnie jakby czekał go szafot, a nie szybka odpytka. Wszedłem do sali, nim mnie dostrzegł. Nie wiem, czy w międzyczasie położył się na podłodze i przespał chwilę, bowiem dotarcie na miejsce zajęło mu kolejnych pięć minut.

Tym razem nie miałem żadnego towarzystwa. Andrzej prowadził zajęcia do piętnastej; Robert pojechał z klasą na wycieczkę; a inni nauczyciele, z którymi jako tako się dogadywałem, kończyli wcześniej i nie miałem serca prosić ich o czekanie i tracenie kolejnej godziny rozpoczętego już weekendu. Musiałem radzić sobie sam.

Wilczyński wszedł pewnym krokiem do klasy. Rozejrzał się i zajął miejsce w trzeciej ławce środkowego rzędu.

– Usiądź tutaj. – Wskazałem ławkę najbliższą mego biurka.

– Czemu? – zaperzył się.

– Bo ja tak mówię. Siadaj.

Chłopak niechętnie się przesiadł.

– Załatwmy to szybko, szkoda weekendu. Co powiesz o wierszu Wisławy Szymborskiej *Niebo*? Określ jego charakter.

Wilczyński siedział, nie odzywając się.

– No, jak tam? Nie przygotowałeś się?

W tym momencie przed moim nosem wylądowała koperta. Musiał ją ukrywać pod bluzą.

– Co to? – spytałem, choć wiedziałem dokładnie, z czym mam do czynienia.

– Zobacz. – Na twarzy ucznia wykwitł znany mi chytry uśmiezek.

– Wiesz co? Umówmy się tak: zabierzesz zaraz tę kopertę i odpowiesz na pytanie, a ja zapomnę o całym zajściu. W porządku?

Wilczyński aż podskoczył na krześle.

– Co ty, kurwa, udajesz debila? To dziesięć tysięcy. Mało? Ile musisz zapieprzać na taką kasę?

Choć krew we mnie buzowała, starałem się zachować spokój.

– To twój pomysł czy tatusia?

– Jezu, ale z ciebie idiota. Myślisz, że inni nie biorą? Biorą i trzymają mordę na kłódkę. Albo bierzesz, albo wyprę się wszystkiego i powiem, że mnie szantażujesz. Lepiej, napastujesz seksualnie. Będzie niezła jazda. Najpierw pobicie, a teraz wykorzystywanie dzieci. Będziesz cwelował w pierdłu aż miło.

– Weź tę kopertę i wyjdź – nakazałem. – Nie mamy już ze sobą o czym rozmawiać.

– Jaki debil. – Wilczyński rechotał, rozpierając się na krześle. – Możesz już się pakować. Stary ci nie popuści. Wypierdolą cię ze szkoły z wilczym biletem.

Wstał i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Siedziałem w ciszy przez kilka minut. Staralem się uspokoić. Następnie wyjąłem kartkę i spisałem notatkę służbową z całego zajścia. Kopertę z pieniędzmi wepchnąłem do plastikowej koszulki, na wszelki wypadek nie dotykając jej palcami. Sprawdziłem aparat ukryty za donicą w kącie pomieszczenia. Kompaktowa cyfrówka Canona nie była szczytem techniki, miałem ją od pięciu lat, ale posiadała cenną zaletę: dało się nią nagrać dwudziestominutowy film w niezłej jakości. Skadrowany na pierwszą ławkę aparat zarejestrował zajście z Wilczyńskim wystarczająco dokładnie.

Zaszedłem do biblioteki, podłączyłem aparat zabranym z domu kablem USB do komputera i jeszcze raz odtworzyłem sobie wszystko, tym razem na większym ekranie. Smarkacz się nie wykpi. Zofia pożyczyła mi pustą płytę DVD i zgrałem na nią swoje najnowsze dzieło filmowe. Potem skierowałem się do gabinetu Mechowej.

Nie byłem specjalnie zdziwiony, gdy przed jej drzwiami zobaczyłem awanturującego się Krzysztofa Wilczyńskiego. Laura stała z boku i z wyraźnym przejęciem słuchała jego wywodu. Dostrzegła mnie, a tropem jej wzroku podążył starosta powiatu.

– Jesteś skończony!!! – wrzasnął, zanim zdążyłem dojść do drzwi. – Takiej mendi jak ty to miasto nie widziało od lat! Wiedz, gnoju, że jeszcze dziś pójdziesz za kraty.

– Pani dyrektor, możemy porozmawiać? – spytałem, ignorując mężczyznę.

– Teraz to sobie pogadasz z prokuratorem. – Wilczyński zaczął dźgać moją pierś wyprężonym palcem wskazującym. – Za coś takiego wsadzają bez mrugnięcia. Posiedzisz z menelami, to zobaczysz, czym jest molestowanie.

– Nikogo nie molestowałem! – rzuciłem mu prosto w twarz. Mężczyzna cofnął się zaskoczony. – Pana syn chciał mnie przekupić. – Uniosłem koszulkę z kopertą na wysokość jego oczu. – I mam na to mocny dowód.

– Wejźmy do gabinetu. – Laura zmierzyła mnie surowym wzrokiem, ale powstrzymała się od komentarza.

Gdy drzwi się zamknęły, położyłem na biurku swoją notatkę wraz z kopertą i płytą z filmem. Dyrektorka przeczytała zapisaną na kartce treść, po czym podała Wilczyńskiemu. Ten prychnął po kilku sekundach.

– Gówno prawda – skomentował.

– Proszę odtworzyć nagranie. – Podałem Laurze płytę.

Dyrektorka włożyła ją do napędu laptopa. Po chwili na ekranie odtworzyła się sytuacja sprzed niespełna godziny. Wilczyński jęknął i ukrył twarz w rękach. Laura przez dłuższą chwilę lustrowała przestrzeń za oknem. Stałem nad nią, aż w końcu się odezwała:

– Krzysztof, tak dalej być nie może. Sam widziałeś. Na coś takiego szkoła nie przymknie oka. Przykro mi.

Wilczyński był blady jak papier.

– Zgnoją mnie za to w wyborach – rzekł załamany. – Nie wiem, kto cię nasłał, ale zadanie wykonałeś celująco – zwrócił się do mnie. – Ciesz się, długo nie będziesz triumfował.

Wyszedł z gabinetu, trzaskając głośno drzwiami. Kopnął chyba śmietnik, bowiem coś gruchnęło na korytarzu.

– Pozbył się pan problemu – skwitowała Laura.

– Wie pani, że nie o to mi chodziło.

– Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu zastanawiam się, o co panu naprawdę chodzi.

– Co będzie z Wilczyńskim?

– Zostanie relegowany ze szkoły, co nie zmienia faktu, że nasza umowa dalej obowiązuje.

– A kasa? Nigdzie pani tego nie zgłosi?

– Nie – odpowiedziała. – I panu też radzę siedzieć cicho. Pieniądze wrócą do właściciela, gnojek wyleci ze szkoły, a życie toczyć się będzie dalej.

Powoli, beztrosko i bezproblemowo, pomyślałem. Gdy okazało się, że stary Wilczyński i jego synalek mogli przynieść Mechom więcej szkody niż pożytku, prosta kalkulacja kazała Laurze pozbyć się ciężaru.

Wymogłem na dyrektorce podpisanie i podstemplowanie kopii mojej notatki oraz pokwitowania przekazania pieniędzy. Zrobiła to niechętnie, wiedziała jednak, że w tym temacie nie ma zbyt mocnej karty przetargowej.

Wyszedłem ze szkoły w nadziei, iż pogoda ukoi nieco nadszargane nerwy. Nie zawiodłem się. Pierwszy raz od kilku dni słońce zawładnęło niebem. Zdjąłem kurtkę i wciągnąłem głęboko w płuca rześkie październikowe powietrze. Było wystarczająco ciepło, by iść w samej koszuli. Weekend zapowiadał się wybornie. Nikt nie przewidział, jak tragiczny będzie jego koniec.

32.

Trudno to nazwać zwykłym krzykiem. To był ryk. Przerazające wycie nieopisanej rozpacz.

Zerwałem się z łóżka, nie wiedząc, czy to, co dzwoniło mi w uszach, było pozostałością sennego koszmaru, czy też wytworem świata realnego. Po chwili usłyszałem krzyk ponownie. Dochodził z dołu. Zarzucając na siebie bluzę, spojrzałem na zegarek. Szósta czterdzieści trzy. Była sobota dwudziestego szóstego października.

Zbiegłem schodami. Już będąc na półpiętrze, dostrzegłem otwarte drzwi wejściowe. Przy nich, opierając rękę o klamkę, klęczała Zofia. Łkała. Przypominało to odrealnioną scenę z taniego horroru.

– Co...?

Kobieta podniosła się. Wyglądała fatalnie; twarz miała napuchniętą, oczy podkrążone i przekrwione. Słaniała się na nogach, musiałem ją podtrzymać.

– Coś ty nam zrobił ? – zwróciła się do mnie oskarżycielskim tonem. Głos jej się łamał. – Przez tyle lat mieliśmy spokój. Boże, za jakie grzechy?

Wyrwała ramię z mojego uścisku i chwiejnym krokiem ruszyła do pokoju. Stałem oniemiały. Drzwi wejściowe trzeszczały popychane powiewami wiatru. Podeszedłem do nich i otworzyłem szeroko.

Początkowo zarejestrowany widok wziąłem za urojenie, żart umysłu nadal pogrążonego we śnie. Po chwili zrozumiałem, że *to* jest realne.

Do zewnętrznej strony drzwi był przybity Leopold. Został ukrzyżowany na samym środku. Z miejsc, w których puchate futro przeorały gwoździe, wypływały krwawe strumyki, a właściwie ich ślady, bowiem to, co miało spłynąć, już dawno zasiliło gęstniejącą przy progu kałużę. Kot wisiał z szeroko rozłożonymi łapami. Jeden z gwoździ tkwił w czaszce, rozłupawszy ją niemal na pół. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie mąk, jakie cierpiał zwierzak, nim zginął.

Nie wiem, ile tam stałem. Byłem w totalnym szoku. Ręce mi się trzęsły, kolana miałem jak z waty. Wszystkie wydarzenia ostatnich dni runęły na mnie, obarczając układ nerwowy niespotykaną dotąd nawałą doznań. Byłem tam, a jakbym stał gdzieś indziej, zagubiony. Gdybym w ostatniej chwili nie wziął się w garść, mógłbym zrobić coś, nad czym nie potrafiłbym zapanować. Spadające na głowę krople deszczu zdołały mnie otrzeźwić. Co powinienem zrobić?

Wróciłem do środka. W pokoju Zofia leżała na kanapie, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Płakała. Podeszedłem i ukląknę przy niej.

– Nie masz pojęcia, jak mi przykro – wyszeptałem. – Nie wiem, co powiedzieć. To chyba moja wina.

Kobieta podniosła się z trudem. Siedziała, osuszając policzki z łez.

– Kto mógł zrobić coś tak strasznego? – spytała nieco już uspokojona. – To dzieło jakiegoś zwyrodnialca. Obrzydliwa zbrodnia. Kochałam tego kota, był moim przyjacielem.

Nie potrafiłem znaleźć właściwych słów, by ją pocieszyć.

– Powinniśmy zawiadomić policję – zdecydowałem. – Zadzwoń.

Aparat stał na komodzie obok kredensu. Wykręciłem numer alarmowy; drugi raz w ciągu ostatnich miesięcy. Wyjaśniłem operatorce, w czym rzecz, i przyjęła zgłoszenie. Dyktując swoje dane i adres, wpatrywałem się w roześmianą twarz

syna Zofii z rodzinnego zdjęcia ustawionego na meblościance. Pewnie wściekłyby się, widząc, do jakiego stanu doprowadziły jego matkę zabawy w detektywa uskuteczniane przez lekkomyślnego lokatora, którego przyjęła pod swój dach. Może siostra miała rację. Jestem Jonaszem. Sprowadzam same nieszczęścia.

Zrobiłem herbatę, nadal nie wiedząc, jak się zachować. W końcu parę metrów od nas wisiał zmaltretowany kot. Siedzieliśmy w ciszy, popijając gorący płyn. Po czterdziestu minutach pod dom zajechała policyjna skoda. Wyszedłem mundurowemu na spotkanie. Był to ten sam funkcjonariusz, który przyjmował ode mnie zeznanie dotyczące znalezionej czaszki. Stanął przy drzwiach i przyglądał się scenerii mordu.

– O kurde! – wy dobył z siebie w ramach komentarza. – Ale masakra. To wasz kot?

– Zofii – odpowiedziałem. – Ja tu tylko wynajmuję pokój.

– Czy pan przypadkiem...? – Mężczyzna zdjął czapkę i zaczął drapać się po głowie.

– Tak, to ja zeznawałem w sprawie czaszki.

– Masz pan szczęście do problemów. – Policjant wyjął aparat i zrobił kilka zdjęć zabitego kota. Obeszliśmy dom wokoło, nie dostrzegliśmy jednak żadnych śladów. W nocy musiało padać, ziemia była zamoknięta, gdzieś grząska. Gdy skończyliśmy obchód, policjant gdzieś zadzwonił i odbył kilkuminutową rozmowę.

– Kto to mógł zrobić? – zadał pytanie po schowaniu telefonu.

– A skąd ja mam wiedzieć, to pan jest policjantem. – Facet zaczął mnie wkurzać. To, co sprawiło, że długo nie mogłem wyjść z szoku, na nim nie robiło większego wrażenia.

– Nikt się tu nie kręcił? Ktoś obcy, jakieś dzieciaki? Zauważyliście coś podejrzanego?

– Ja nie, ale w dzień jestem w szkole. Może Zofia?

Weszliśmy do domu. Zofia nadal siedziała nad herbatą. Była jakby

nieobecna.

– Dzień dobry, pani Sawicka – przywitał się policjant. – Straszna sprawa.

Kobieta wskazała gościowi krzesło. Funkcjonariusz położył czapkę na stole i usiadł.

– Ten, kto przybijał zwierzaka, musiał narobić niesamowitego hałasu. Niczego nie słyszeliście?

Sam się nad tym zastanawiałem. Nerwy związane z czwartkowym atakiem i wybrykiem Wilczyńskiego sprawiły, że wieczorem ległem na łóżko jak kłoda. Dwa wypite przed snem piwa z pewnością też się do tego przyczyniły. Podobnie jak tabletki przeciwbólowe, które łyknąłem, bo kark się znów odezwał. Tego jednak morderca Leopolda nie mógł wiedzieć.

– Biorę leki nasenne – powiedziała Zofia. – Od kilku lat mam problemy z regularnym snem. Tabletki mi pomagają, są dość silne.

Policjant zapisywał coś w notesie. Gdy skończył, zwrócił się do nas.

– W nocy była burza i nieźle lało. To sprzyjało sprawcy. Przypuszczalnie kot już nie żył, gdy go przybijał, inaczej narobiłby zbyt wiele hałasu. Ktoś pani groził? Może panu?

Groził? Dwukrotnie próbowano mnie zabić. Nie mogłem jednak wyjawić prawdy. Byłem zbyt mocno uwikłany w te wydarzenia. Popeliłem przestępstwo, włamując się do czyjegoś domu. To knebłowało mi usta.

Zofia powiedziała, że nikt jej nie groził. Nie zaobserwowała również nikogo podejrzanego kręcącego się po okolicy.

– Proszę niczego nie ruszać, zawiadomiłem ekipę, która zabezpieczy ślady. To może potrwać kilka godzin, w Kościerzynie są dwa zdarzenia do załatwienia. Zaczekajcie.

Zapewniliśmy, że tak zrobimy. Funkcjonariusz pożegnał się i wyszedł. Odprowadziłem go.

– A pan co o tym myśli? – spytałem.

– Moim zdaniem to dzieło podpitej gówniarzerii – odparł. – Coraz więcej z nimi kłopotu. W zeszłym tygodniu zatrzymaliśmy trzech szczyli po włamaniu do spożywczaka. Byli bardzo zdziwieni, gdy dowiedzieli się o grożącym im poprawczaku. Rodzice siedzą za granicą, dziadkowie nad niczym nie panują, a dzieciaki robią, co chcą. Kurde, kiedyś tak nie było.

– Ale dlaczego tu?

– Doszukuje się pan logiki? Zapewniam, w ich przypadku coś takiego nie istnieje.

Cokolwiek myślała policja, wiedziałem, że to nie dzieciaki. To było ostrzeżenie. Dla mnie. Martwy kot mówił: „Nie cofnę się przed niczym, by cię dopaść”.

Mężczyzna wsiadł do radiowozu i odjechał. Cztery godziny później pod domem pojawił się policyjny volkswagen. Przyjechało nim dwóch techników. Natychmiast zajęli się swoją robotą. Zostawiłem ich samych, nie miałem ochoty znowu oglądać scenerii rodem z koszmaru. Po wszystkim podpytałem ich tylko, chcąc zaspokoić ciekawość. Wyższy z mężczyzn wytłumaczył, iż wyjęli gwoździe z drzwi, zdjęli kota, następnie zabezpieczyli ślady krwi, zebrali próbki ziemi i zrobili zdjęcia miejsca zdarzenia. Zajęło im to w sumie niespełna pół godziny. Zapakowali Leopolda do plastikowego worka i zabrali do samochodu. Odjechali w pośpiechu, zapewne do kolejnego zgłoszenia. Nie miałem wielkich nadziei, co do wyników ich pracy. To w końcu tylko martwy kot.

Było dobrze po południu. Zofia zasnęła. Stres i rozpacz kompletnie ją wycieńczyły. Przykryłem wątle ciało kocem. Na stoliku przy lampce leżała paczka tabletek i stała szklanka wody.

Ochłonawszy nieco, zadzwoniłem do Zawady. Mieliśmy się tego dnia spotkać i podsumować dwutygodniowe śledztwo. W niedzielę kończył się jego urlop i wracał do Gdańska. Stwierdziłem jednak, iż w tej sytuacji nie powinienem zostawiać Zofii samej.

– Ukrzyżował kota? – Karol początkowo nie dowierzał moim słowom. Gdy powtórzyłem, nastąpiła cisza, po czym powiedział: – Dobra, przyjadę do ciebie.

To była cholernie przygnębiająca sobota. Dzień nieznacznie przekroczył

półmetek, a już brunatne chmury zasłoniły Sławino ciemną kotarą. Zimny wiatr sprawił, że wyjście z domu wymagało wyjątkowej zawziętości i hartu ducha. W środku było cieplej, lecz grobową atmosferę pogłębiała cisza zakłócana jedynie szumem gazowego pieca. Odruchowo spoglądałem pod nogi, oczekując łaszącego się Leopolda. Zwykle uważałem, by go nie nadepnąć. Teraz gnił w plastikowym worku, bo nieszczęśliwie wkroczyłem w jego życie.

Wstrząsnął mną dreszcz.

Gdy przyjechał Zawada, Zofia nadal spała. Weszliśmy po schodach do mojego pokoju.

– Musimy przystopować – rzekłem, ledwo zamknęły się drzwi. – Już nie chodzi tylko o mnie. On dał jasno do zrozumienia, że jest w stanie skrzywdzić Zofię. Gdyby coś się jej stało z mojej winy, nigdy bym sobie tego nie darował.

– To wcale nie musiał być nasz morderca. – Zawadzie wyraźnie nie spodobała się moja postawa. – Przecież wczoraj załatwiłeś Wilczyńskiego na cacy, miał piękny powód, by się zemścić.

– Na kocie? – Choć syn starosty był wrednym dzieciakiem, nie potrafiłem go sobie wyobrazić w roli mordercy zwierząt. Z drugiej strony policjant podejrzewał właśnie takich jak on. – Leopold nawet nie należał do mnie – odparłem. – Gdyby Wilczyński chciał zemsty, wymyśliłby coś innego.

– Poprzednim razem po awanturze z nim omal nie dostałeś kamieniem. Trochę zastanawiające.

– Może, ale pewności nie ma. Nie mogę ryzykować życia innych ludzi, bo mi się zachciało bawić w detektywa. Wkurzyliśmy sprawcę, ale to jedyne nasze osiągnięcie. Nie mamy punktu zaczepienia. Sam nie wiesz, o co tu chodzi. Niby pasuje Mech, ale to tylko domysły. Tak można dociekać latami. Mówię ci, człowiek, który napadł na mnie w czwartek, to nie był Mech. Nawet w ciemnościach wyczułbym, że mam do czynienia z kimś o niedźwiedziowatej posturze. Tamten poruszał się zwinnie, na pewno nie był wielkoludem.

– Chcesz się teraz poddać?

– Odpuśćmy na trochę. Może uspimy jego czujność. Zobaczy, że się przestraszyłem, i da spokój.

Zawada analizował propozycję.

– I tak muszę wracać do roboty – mruknął. – Co by nie powiedzieć, sporo udało się nam osiągnąć. Jest co analizować. Może, gdy nabierzemy do tego wszystkiego dystansu, dostrzeżemy coś, co wcześniej nam umknęło.

Karol rozwinął trzymany w ręku rulon. Była to kartka z tablicy, jaką ustawił w pokoju Pensjonatu u Bobrów. Wyrysowana na niej oś czasu wzbogaciła się o nowe elementy. Kreskę przy „roku 1995”, przy której został odnotowany fakt nadsyłania anonimów na policję. Wcześniej, bo przed balem maturalnym w 1985, Zawada napisał „wycieczka do Torunia – tajemniczy poeta”.

– Zostaw to sobie. – Rozwiniętą kartkę przypiął szpilkami do zasłony. – Może kiedyś przyśni ci się rozwiązanie tej zagadki.

Z dołu dobiegł nas brzęk szkła. Nieco zaniepokojeni zeszliśmy do kuchni. Zofia stała przy zlewie i zmywała kubki.

– Zrobię kawę – zaproponowała. – A może coś do jedzenia? Pewnie jesteście głodni.

– Daj spokój, ja zrobię. – Odsunąłem ją od zlewozmywaka. – Powinnaś odpoczywać.

– Ile można spać? Już głowa mnie boli. Pozwól starszej pani porządzić na jej włościach.

Dałem za wygraną. Zofia krzątała się, przygotowując posiłek. Po kilku minutach na stole wylądowała misa z jajecznicą na boczku, obok chleb i wędzona szynka.

– Przepraszam – powiedziała, stawiając przede mną talerz. – Nie powinnam się tak do ciebie zwracać. Byłam w szoku, nie panowałam nad sobą.

– Jesteś ostatnią osobą, która mogłaby za cokolwiek przeproszać – zapewniłem.

Jedliśmy, rozmawiając o przeróżnych sprawach, byleby nie poruszać tematu śmierci Leopolda. To jednak nie pomogło. Przez cały czas miałem przed oczami

zamordowanego kota i niewyraźny zarys postaci ruszającej na mnie z nożem w rękę. Pierwszy raz w życiu strach zaczął przejmować nade mną kontrolę.

33.

W końcu zagraliśmy w pełnym składzie. Ja podleczyłem kontuzję, a Wojtek Szpak powrócił z urlopu. Przeciwnikiem była drużyna z Podlesia, najsłabsza w grupie. Nasza pozycja też nie zachwycała: zajmowaliśmy miejsce trzecie od końca. Było więc co odrabiać.

Po krótkiej rozgrzewce przystąpiliśmy do rywalizacji. Paskudna pogoda i brak innych rozrywek sprawiły, iż hala sportowa pękała w szwach. Mieliśmy doping, o jakim inne drużyny mogły tylko pomarzyć. Nawet Karol Zawada postanowił zostać i obejrzeć mecz przed wyjazdem do Gdańska.

Muszę przyznać, że ta przerwa dobrze na mnie podziałała. Byłem w formie. Odpoczynek przysłużył się również Szpakowi, więc po pierwszych pięciu minutach prowadziliśmy już dwa do zera – obaj strzeliliśmy po jednej bramce. Potem wynik podwyższył Adam imponującym uderzeniem niemal z połowy parkietu, a wycieńczonych i rozbitych psychicznie Podlesian dobił Andrzej, pakując czwartą bramkę. Przed samym gwizdkiem kończącym mecz Adam po raz kolejny popisał się solowym rajdem i strzałem pod poprzeczkę. Obrońcy przeciwnika stali tylko i patrzyli, zupełnie jakby zaatakowanie księdza nawet w sportowej rywalizacji miało zesłać na nich piekielne potępienie. Publiczność szalała, a my czuliśmy się co najmniej jak pogromcy Lwów Albionu w finale Mistrzostw Świata.

– Kto jest najlepszy?! – zaintonował Szpak w szatni.

– MYYYYY!!! – odpowiedział mu ryk drużyny.

– Kto wygra ligę?!

– MYYYY, MYYYY, MYYYY!!! OLEEE, OLEEE...

Rytuał zwycięskiej celebry zajął nam około kwadransa. Potem zaczęliśmy się rozchodzić; każdy chciał złapać dla siebie jeszcze skrawek niedzieli. Pod szatnią żona Wojtka stała przy gablocie z ogłoszeniami, czytając je od niechcienia. Na moje „dzień dobry” odparła coś niezrozumiałe, najwyraźniej mocno zdenerwowana. Gdy szatnię opuścił Szpak, przystąpiła do szturm.

– No nareszcie! Pamiętasz chyba o obiedzie u mamy? – Oskarżycielski ton trafił z siłą pershinga. – Szkoda, że nie ma w tobie tyle chęci do remontu kuchni, co do kopania piłki.

Wojtek mruknął coś i objął żonę, chcąc najwyraźniej zdławić narastający kryzys.

Nie wiem, co mną powodowało. Być może uwaga, jaką kilkadziesiąt sekund wcześniej obdarzyła gablotę z ogłoszeniami żona Wojtka, w każdym razie machinalnie przejrzałem treści umieszczone za szybą. Na jednej połówce wisiał plan lekcji WF-u poszczególnych klas oraz rozpiska zajęć dodatkowych. Na drugiej znajdowała się informacja o turnieju tenisa stołowego i zaproszenie do udziału. Poniżej wisiało kilka kartek z odręcznie napisanym tekstem. Były to ogłoszenia. Ktoś chciał sprzedać narty, ktoś inny raketę tenisową i korki do piłki nożnej. Już miałem odejść, gdy moją uwagę przykuły dwa niechlujnie zapisane zdania: „Znaleziono książkę *Duma i uprzedzenie*. Wiadomość w pokoju nauczycielskim wf?”.

Poczułem się jak zagubiony wędrowiec, któremu nagle objawiła się poszukiwana droga. Zaginiona książka? To ogłoszenie nie musiało wcale dotyczyć Alicji, ale istniała ogromna szansa, że jednak miało z nią związek.

Szpak? Poszedł już! Pognałem do wyjścia. Wojtek z żoną byli już prawie poza terenem szkoły. Dopadłem ich przy bramie. Pani Szpak skrzywiła się, gdy usłyszała, że namawiam jej męża na powrót do budynku. Dostrzegła jednak moją determinację, bo dała się przekonać i przejęła niechętnie parasol.

– To nie może poczekać do jutra? – dziwił się wuefista.

– Wierz mi, to ważne. Kto zamieścił ogłoszenie?

– Ja – odparł, gdy wracaliśmy do szkoły atakowani przez deszcz. – Jakiś uczeń przyniósł do mnie tę książkę. Podobno leżała na podłodze. Pewnie ktoś ją zgubił.

– Dawno to było?

– Ja wiem...? Kilka tygodni temu.

Szpak wyjętym z torby kluczem otworzył pokój, a właściwie kantorek nauczycielski, który znajdował się obok szatni. Z szuflady biurka wyjął książkę i mi ją wręczył.

– Znasz właściciela? – spytał.

– Chyba tak. Muszę się upewnić.

Wojtek nie oczekiwał wyjaśnień, pożegnał się i szybko ruszył w kierunku zachmurzonej żony.

Książka Jane Austen miała filmową okładkę z ekranizacji sprzed kilku lat. Keira Knightley grała tam główną rolę i jej rozmarzona twarz zachęcała czytelnika do sięgnięcia po ponadczasową historię miłosną. Przerzucałem kartki w podnieceniu. Nie miałem pewności, czy to rzeczywiście zaginiona w tajemniczych okolicznościach książka Alicji. Do momentu, gdy mniej więcej w środku znalazłem kopertę – była rozerwana i pusta. Musiała mieścić list, bowiem jako adresat widniała Alicja Maj. Po drugiej stronie znajdowały się dane nadawcy: Karolina Pospieszalska, ul. Chopina 72/3, Wrocław.

Wertowałem książkę dalej. Pomędzy ostatnie kartki wepchnięto zdjęcie. Podszedłem z nim do otwartych drzwi, gdzie było więcej światła. Na fotografii ładna szesnasto-, siedemnastoletnia blondynka tuliła się do chłopaka w podobnym wieku. Para stała przed wysokim budynkiem przypominającym centrum handlowe. Trzymali się za ręce i wyglądali na szczęśliwych. Dziewczyna, niższa o głowę od swojego wybranka, opierając policzek na jego ramieniu, wpatrywała się weń z uwielbieniem.

– Stary, niezły mecz. Gratulacje. – Pochłonięty znaleziskiem, nie zauważyłem, kiedy podszedł Zawada. – Ten wasz księżulek to niezły drybler. Prawdziwy Deyna w habicie. Co jest?

Podąłem mu książkę i zdjęcie.

– Nasza tajemnicza zguba – powiedziałem.

Karol zrobił wielkie oczy.

– Skąd to masz?

Wskazałem mu ogłoszenie w pobliskiej gablocie.

– Cały czas tu leżała. Musiałem być ślepy, że tego wcześniej nie zauważyłem.

Oglądał książkę z namaszczeniem. Kilka razy przewertował kartki, mając nadzieję na odnalezienie czegoś jeszcze.

– Koperta i zdjęcie – podsumował. – Myślisz, że fotka była w liście?

– Na to wygląda.

– Wiesz, kto to?

Nie miałem pojęcia. Nagle coś sobie przypomniałem.

– Koleżanka Alicji mówiła, że chłopak, w którym się kocha, mieszka we Wrocławiu. Może to on?

– Może. Ale kim jest dziewczyna?

Dobre pytanie. Kolejna nieznana postać wkraczająca w zawily świat Alicji.

– Stawiam na autorkę listu – stwierdziłem. – Tylko z jakiego powodu to zrobiła?

Mogliśmy zgadywać. Pomimo skąpych danych starałem się wykreować jakąś sensowną teorię.

– Załóżmy, iż Pospieszalska przysłała zdjęcie na dowód, że odbiła Alicji chłopaka. Chciała tym samym pozbyć się namolnej rywalki. Tłumaczyłoby to reakcję Ali zarejestrowaną na nagraniu.

Karol nie skomentował mojej sugestii. Przyglądał się tylko kopercie, obracając ją w dłoniach delikatnie, jak odnalezione starożytne wykopalisko.

– O jasna cholera! – rzekł podekscytowany. – Widziałeś?

Podał mi kopertę.

– Co? – Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

– Spójrz na pieczętkę.

Stempel znajdował się na dwóch znaczkach z drzewami. Na okrągłym odbiciu pieczęci widniało: Poczta Kościerzyna.

– Kościerzyna? – To było naprawdę zaskakujące. Przyjrzałem się dokładniej. – List został wysłany z Kościerzyny piątego września.

– Ale udawał list z Wrocławia. Ciekawe, nie?

Ciekawe to mało powiedziane. W całej sprawie jedna mistyfikacja goniła drugą. Staralem się to sobie jakoś ułożyć.

– Ktoś podszył się pod Karolinę Pospieszalską i przesłał Alicji list, który wyraźnie wytrącił ją z równowagi. Po pierwsze po co, a po drugie skąd miał zdjęcie?

Zawada zostawił pytanie bez odpowiedzi. Tym razem zabrał się za lustrowanie fotografii.

– Ale jazda – rzekł po kilkuminutowych oględzinach. – Fotomontaż i to dość nieudolny.

– Znasz się na tym? – spytałem sceptycznie.

– Do Donosiciela bez przerwy różne świry albo zwykli oszuści przynoszą fotki niesamowitych rzeczy, by wyciągnąć kasę – wyjaśnił. – Nauczyłem się rozpoznawać średniej jakości przekręty. Lepsze zdjęcia opiniuje już zawodowiec. Ale ta tutaj to prymityw. Zobacz. – Wskazał mi punkt ponad ramieniem chłopaka. – Widzisz? Ręka dziewczyny nie dotyka ramienia, wisi nad nim. To nie może być naturalna pozycja. Teraz spójrz w dół. – Tym razem wskazał kawałek przy butach zakochanej pary. – Zwróć uwagę na cienie, na tym najczęściej rozkładają się amatorzy. Chłopak rzuca cień. A dziewczyna?

Przyjrzałem się.

– Nic – odparłem poruszony. – Zero cienia.

– No właśnie, bo ktoś dokleił dziewczynę, najpewniej w Photoshopie albo w Corelu. W dzisiejszych czasach to żadna filozofia, byle dzieciak to potrafi.

– Dzieciak? – Słowa Karola świdrowały korę mózgową.

W tamtym momencie stało się coś, co do dziś trudno mi wytłumaczyć. Po prostu nagle wszystkie elementy układanki związane z zaginięciem Alicji zaczęły się scalać, tworząc jasny obraz przebiegu wydarzeń. Oszustwo, list, rozpacz dziewczyny – te wydarzenia jak po sznurku prowadziły do jednej osoby.

– Musimy jechać. – Złapałem Zawadę za ramię i zacząłem ciągnąć ku wyjściu. – I to szybko.

– Gdzie? – spytał zdumiony.

– Za chwilę się dowiem. Idź do samochodu, uwinę się w kilka minut.

Pognałem do szkoły, zostawiając zdezorientowanego Zawadę pod halą sportową. Jako że była niedziela, by wejść na teren placówki, musiałem zameldować się stróżowi.

– O, pan Cichy. Znów jakieś spotkanie? – zawołał zza szyby dyżurki starszy mężczyzna. Siedział rozparty w fotelu. Na stoliku przed sobą miał rozłożoną gazetę, obok stał talerz z niedojedzonym obiadem. Z czternastocalowego telewizorka dobiegały odgłosy oklasków widowni teleturnieju.

– Nie, zostawiłem coś w pokoju nauczycielskim, a bardzo tego teraz potrzebuję. Mogę wejść na minutkę? – Przybrałem błagalny ton.

Stróż machnął od niechcenia ręką i otworzył drzwi. Podziękowałem i pobiegłem na piętro. Na szczęście miałem przy sobie kartę magnetyczną do drzwi. W pokoju nauczycielskim wyszukałem dziennik lekcyjny trzeciej B. Na ostatniej stronie widniały adresy uczniów. Odszukałem ten, który mnie interesował, i zapisałem na kartce.

Gdy opuszczałem szkołę, przystanąłem jeszcze przy dyżurce.

– Panie Władku, gdzie jest ulica Wrzosowa? – spytałem.

Mężczyzna pogłódkował chwilę, po czym wytłumaczył pokrętnie, jak tam

dojechać. Staralem się zapamiętać najważniejsze drogowskazy, machnałem mu na pożegnanie i wybiegłem.

Suzuki Zawady stało już przed wejściem do budynku.

– Dowiem się wreszcie, o co chodzi?

Opowieść dotyczącą wniosków płynących z rozszyfrowanego właśnie fałszerstwa przeplatałem ze wskazówkami mającymi przybliżyć nas do ulicy Wrzosowej. Orientację utrudniała pogoda. Deszcz padał coraz obficie, a chmury dość szybko, nawet jak na koniec października, zesłały mrok.

– Czekaj, to tu! – Wskazałem wąską uliczkę. Karol zawrócił samochód na następnym zakręcie i tym razem zjechał na drogę prowadzącą ku ulicy Wrzosowej. Pokonaliśmy kilkadziesiąt metrów, aż naszym oczom ukazała się odpowiednia tabliczka. Po numerem ósmym stał skromny parterowy domek. Otoczony wyższymi o dwa piętra solidnymi budynkami przypominał zahukanego, zubożałego krewnego.

Zawada zaparkował samochód. Otwierając drzwi, naraziłem się na solidny atak porywistego wiatru, wzmocnionego zacinającym deszczem. Wokół domu nie było płotu, podbiegłem więc bezpośrednio do drzwi. Nacisnąłem na dzwonek. Cisza. Tylko deszcz wałący w dach, okna i bruk. Po chwili usłyszałem kroki. Otworzył mi niski, krępy mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Widząc nieznanego, przyklepał bardzo rozrzedzoną, siwą czuprynę. Zgadywałem, że to pan Narloch.

– Dobry wieczór. Nazywam się Sylwester Cichy, jestem nauczycielem polskiego w szkole pana córki. Czy mógłbym porozmawiać z Ewą?

– Stało się co? – Zmoknięta postać materializująca się przed jego drzwiami w niedzielny wieczór musiała wzbudzić obawę.

– Nie, nic się nie stało – starałem się tonować napięcie. – Ale sprawa jest pilna. Dotyczy Alicji Maj. Muszę zapytać o coś Ewę.

– Aaa, Alicji. – Narloch nieco się uspokoił. – Ewa!!! – wydarł się. – Zaraz będzie.

Dziewczyna przyszła i na mój widok stanęła jak wryta.

– To pan? – wysapała. Obraz przemoczonego nauczyciela nachodzącego ucznia w domu był zapewne szokujący.

– Niech wejdzie – zaprosił mnie pan Narloch. Zanim ruszyłem do domu Ewy, zdecydowaliśmy, że Zawada zostanie w samochodzie. Pojawienie się nieznanego mogłoby skomplikować sytuację.

Przekroczyłem próg.

– Witaj, Ewo – rzekłem, gdy weszliśmy do kuchni. – Przepraszam, że nachodzę cię tak późno, ale mam kilka pytań dotyczących Alicji. Poznajesz to?

Podąłem jej zdjęcie przysłane przez Pospieszalską.

– Nie – odparła szybko.

– Na pewno? Przyjrzyj się. Widziałaś wcześniej tego chłopaka albo dziewczynę?

Ewa jeszcze raz skierowała wzrok na zdjęcie.

– To chyba gość, w którym kochała się Alicja – stwierdziła po namyśle. – Widziałam go na kilku innych fotkach. Ale jej nie kojarzę.

Właściwie spodziewałem się takiej reakcji.

– To fotomontaż – zdradziłem. – Ktoś przesłał go Alicji wraz z listem, by zepsuć jej relację z nowym chłopakiem.

Dziewczyna wybałuszyła na mnie oczy.

– Po co?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Zrobiłaś to, Ewo?

Uczennica cofnęła się i opadła na krzesło.

– Ja? Przecież to była moja przyjaciółka. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

– Ewa, wypieranie się nie ma sensu. – Staralem się ją przycisnąć. – Znasz się na komputerach na tyle dobrze, że zrobienie takiego falsyfikatu to dla ciebie betka. Przecież przygotowywałaś grafikę do kroniki pisanej przez Alicję, robiłaś stronę internetową szkoły. Chłopak w jej życiu zmałował waszą przyjaźń, a ty chciałaś, by było po staremu. Nie przypuszczałaś tylko, że Ala tak na to zareaguje.

– Nie, nie, to nieprawda. Ja tego nie zrobiłam.

– Ewa...

– Słuchaj pan. – Ojciec Ewy zepchnął mnie w róg kuchni. – Jeśli twierdzi, że tego nie zrobiła, to tak jest. Jakim prawem nachodzisz nas pan w niedzielę? Mam pójść do dyrektora?

– A ja mam pójść na policję? – Nie dałem się zastraszyć. – Za to, co zrobiła, grozi poprawczak. Rozumie pan? Chcę tylko znać prawdę. Może się skończyć na rozmowie w kuchni albo na komisariacie.

Nie wiem, czy Narloch miał coś za uszami, ale wzmianka o policji wyraźnie go utemperowała.

– Dobra, ale bez nerwów.

Podszedłem do dziewczyny. Szlochała.

– Ewa, jak było? – spytałem spokojnie.

– Nic nie było – odparła, przecierając oczy. – Byłyśmy najlepszymi kumpelami. Nie zrobiłabym jej takiego świństwa.

Postanowiłem odpuścić. Przyciskana, mogłaby się zamknąć w sobie i w konsekwencji niczego bym się nie dowiedział.

– Dobra. Przypomnij sobie dzień, w którym zaginęła Alicja. Widziałaś u niej jakiś list? Mówiła coś na ten temat?

Łzy nadal spływały po policzkach Ewy. Wytarła je i wróciła pamięcią do dnia sprzed dwóch miesięcy.

– Jak szliśmy do szkoły, Ala zobaczyła listonosza. Podbiegła do niego, bo

chciała się spytać, czy ma dla nich pocztę, i dostała list. Schowała go zaraz do plecaka. Nie pytałam, co to, bo już byłyśmy spóźnione, a potem zapomniałam.

– Załóżmy na chwilę, że ci wierzę i ktoś inny spreparował to zdjęcie. Co według ciebie czułaby Alicja, gdy je zobaczyła?

Ewa jeszcze raz spojrzała na uśmiechającą się zakochaną parę.

– Byłaby załamana – odpowiedziała. – Kochała się w nim na maksa. O niczym innym nie mówiła. Planowała spotkanie, pisała listy, to było najlepsze, co ją spotkało.

– A co smutna, załamana Alicja mogłaby zrobić? Były jakieś miejsca, gdzie mogłaby pójść? Ludzie, przyjaciele...?

– Nie miała innych przyjaciół. – Ewa pociągała głośno nosem. – Powinna mi o tym powiedzieć. Pomogłabym jej.

– Nadal twierdzisz, że to nie ty?

– Powiedziała już, a teraz proszę wyjść. – Ojciec Ewy nabrał wigoru. – Zaraz ja wezwę policję. A na skargę do dyrektora pójde na pewno.

– Ewa! To była twoja najlepsza przyjaciółka!

– Żegnam. – Poczulem silny uścisk na ramieniu. Niski mężczyzna wypchnął mnie na zewnątrz.

Byłem przekonany o winie dziewczyny i nie mogłem pojąć, dlaczego nie chce wyjawić prawdy. Bała się konsekwencji? Presji środowiska?

Wylądowałem na deszczu. Głośne trzaśnięcie drzwiami zobrazowało wściekłość pana domu. Niebo zaczęło mruzczyć. W jednej chwili świat rozświetlił pojedynczy błysk, następnie okolicę zalał huk gromu. Wracalem do samochodu.

– Ptasia samotnia!!!

Odwróciłem się. W drzwiach stała Ewa. Mówiła coś, ale odgłosy natury zagłuszały wszystkie inne dźwięki. Podbiegłem do niej.

– Ptasia samotnia! – wykrzyczała. – Przypomniałam sobie. Ala mówiła, że chodziła tam razem z tatą, kiedy pracował jeszcze jako leśniczy. To była ich sekretna przystań. Mogła się tam ukryć.

– Gdzie to jest? – Poczulem smak nadziei.

– Nie wiem, nie powiedziała mi. Pewnie gdzieś w lesie. Pani Maj powinna wiedzieć.

Coś było w jej oczach. Nie wiem, czy to poczucie winy, czy troska, albo po prostu chęć zniwelowania oskarżeń, ale czułem, że tym razem nie kłamała.

Chciałem jej podziękować.

– Wracaj do domu – rzekłem ostatecznie.

– Odnajdzie ją pan?

– Wracaj.

Gdy wsiadałem do samochodu, nie było na mnie suchego skrawka. Kolejne błysnięcia następowały jedno za drugim. Nawałnica przybierała na sile.

34.

Wiesława Maj sprawiała wrażenie, jakby moje słowa odbiły się od niej, niwecząc cały swój sens. Siedziała w ciemnym, chłodnym pokoju swojego domu, a jedyne światło stanowiła mała lampka stojąca na stoliku. Zawada zajął miejsce na krześle. Ja stałem. Byłem zbyt pobudzony, by siedzieć.

– Zygmunt zabierał tam Alę... – Słowa z ust pani Maj płynęły leniwie, jakby niewidzialny operator specjalnie spowalniał tempo tego koszmaru. Kobieta wydawała się być pod wpływem jakichś farmaceutyków. – Kiedy wracali, opowiadała, jakie to piękne miejsce. Nigdy mnie ze sobą nie zabierali, to była ich samotnia. Zygmunt wybudował leśniczówkę, właściwie chatkę na narzędzia i środki owadobójcze, ale dla niej to był prawdziwy luksus. Gdy zachorował, nie chciała tam chodzić. Bała się wspomnień. Gdybym...

– Pani Maj, gdzie jest ta Ptasia Samotnia? – zadałem pytanie równie powoli.

Zwróciła na mnie zmętniały wzrok. Powieki ślamazarnie przymykały się i otwierały.

– Na wyspie – odparła. – Na Ptasiej Wyspie.

– Tej na jeziorze Sławińskim?

Przytaknęła i odwróciła się od nas. Mówiła coś, ale jakby zwracała się do niewidzialnej postaci stojącej w kącie pomieszczenia.

– Moja Ala, moja mała, biedna Ala. – Jej słowa brzmiały jak modlitwa. – Ile jeszcze będę czekać? Kiedy wrócisz? Ala, moja dziecino, zawsze będzie dla ciebie miejsce. Wracaj do domu.

Zdania powtarzały się. Gdy raz skończyła deklamować formułkę, zaczynała od nowa. Miałem wątpliwości, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z naszej obecności. Odpłynęła gdzieś w kierunku nierealnych światów. Wpatrywała się w ciemną ścianę i rozmawiała z nieobecną córką. Nazajutrz miały wybrać się na zakupy, potem zrobić porządki w ogrodzie. Wiesława Maj opowiadała Alicji o swoich najskrytszych marzeniach.

Opuściliśmy dom Majów, zdając sobie sprawę, że mama Alicji wymaga opieki. Był jeszcze brat Ali, ale z tego, co wiedziałem, czasowo przebywał u najbliższej rodziny. Wiesława Maj nie miała sił, by się o niego troszczyć. Została sama w świecie, gdzie Alicja nadal była jej małą córeczką.

Szybko schowaliśmy się w samochodzie. Nie zanosilo się na poprawę pogody.

– Musimy tam dotrzeć – zdecydowałem. – Jak najszybciej.

– Na wyspę? Oszalałeś? Nie widzisz, co się dzieje?

– Mam to gdzieś. Ona może tam być. Sama i przerażona.

– Myślisz, że uciekła na Ptaszą Wyspę i siedzi tam dwa miesiące? Chyba żartujesz? Bez jedzenia, w starej chacie?

– Nie zapominaj, że to córka leśnika. Ojciec na pewno ją wyszkolił. Wie, jak zdobyć pożywienie i o siebie zadbać. Poza tym zna teren, a pogoda była

sprzyjająca. To całkiem realne. Załamała się i zamknęła w swojej samotni. Jak pustelnik. Musimy ją stamtąd wyciągnąć.

– Ale...

– I tak spróbuję. Z tobą czy bez.

Zawada zaklął pod nosem. Siedzieliśmy w ciszy, przyglądając się szalejącej burzy.

– Będziemy potrzebowali łodzi – odezwał się w końcu.

Tu pojawiał się problem. Nie miałem bladego pojęcia, skąd ją wytrzasnąć.

– Niedaleko jest ośrodek wypoczynkowy. – Zawada miał już plan. – Powinni mieć sprzęt pływający. Pożyczmy sobie.

To oznaczało kolejne włamanie. Trudno. Ruszyliśmy. Wycieraczki samochodu pracowały na pełnych obrotach, a i tak nie nadążały z usuwaniem wody z przedniej szyby. Światła z trudem przebijały się przez ścianę deszczu. Wyjechaliśmy na główną drogę. Zjazd do ośrodka wypoczynkowego znajdował się po lewej stronie. By go dostrzec, Zawada musiał zwolnić do czterdziestu kilometrów na godzinę. Toczyliśmy się kilkanaście minut, aż Karol zatrzymał auto. Przed nami widniał szyld: „Ośrodek Wypoczynkowy Jutrzenka. 3 km”.

Samochód skręcił w rozmokłą, grząską drogę. Podskakiwaliśmy na kamieniach i zwalonych przez wiatr gałęziach, z trudem dostrzegając zarys trasy. W pewnym momencie zamiast odbić w lewo, pojechaliśmy prosto i po chwili tuż przed nami wyrosły wysokie krzaki. Wpadliśmy w nie z impetem. Coś orało podwozie, metaliczny dźwięk wypełniłabinę. Od strony kierowcy auto uderzyło w przeszkodę i dobiegł nas głuchy odgłos wgniatanej blachy. Zatrzymaliśmy się. Karol włączył wsteczny bieg i wcisnął gaz. Opony buksowały w glinie. Napęd na cztery koła nie pomagał.

– Popchnę.

Wyskoczyłem z samochodu, lądując po kostki w czarnej mazi. Przeczłapałem przed maskę, z trudem przedzierając się przez wystające ze wszystkich stron ostre gałęzie. Natężyłem się, by wypchnąć auto, gdy nagle na kolana powalił mnie ogłuszający huk gromu. Miałem wrażenie, że ziemia zatrzęsła

się w posadach. Znajdowaliśmy się w samym sercu burzy. Adrenalina pobudzała do działania. Zaparłem się o stojący za mną pieniek i pchałem z całych sił. Karol dodał maksymalnie gazu i Suzuki wy dostało się z pułapki. Okrążyłem wóz i wskoczyłem do kabiny. Musiałem przypominać błotną bestię polującą nocami na naiwnych turystów. Pojazd ruszył. Włączenie długich świateł niewiele pomogło, bowiem odbijany przez deszcz blask tylko nas oślepił. Przejechaliśmy zapowiadane trzy kilometry i zatrzymaliśmy się przed zamkniętą bramą. Zawada zaciągnął hamulec ręczny i zgasił silnik.

– Dalej na piechotę – zarządził.

Z bagażnika wyciągnął latarkę oraz wielkie nożyce.

– A to co?

– Myślisz, że łódki czekają, by ktoś je sobie zabrał?

Miał rację.

Zabraliśmy sprzęt i zaczęliśmy wdrapywać się na bramę. Kolejną przeszkodę stanowił hangar. Dotarliśmy do niego, pokonawszy kilkadziesiąt metrów. W sumie było pięć hangarów, ustawionych rzędem przy małej przystani. Zawada rozdziawił nożyce i zabrał się za cięcie łańcucha. Ja przyświecałem mu latarką, choć równie dobrze za źródło światła mogły służyć strzelające wokół nas błyskawice. Łańcuch puścił po trzech próbach. Rozsunęliśmy drzwi. Wewnątrz stały pod ścianą dwie łódki, a na specjalnych stojakach – trzy kajaki. Wspólnie wynieśliśmy jedną z łodzi na przystań i osadziliśmy na wodzie. Później zamocowaliśmy uchwyty na wiosła i same wiosła zdjęte z półki pod sufitem.

– O kurde! Zobacz! – Zawada wskazał na snop światła zmierzający w naszym kierunku.

– Szybko, ktoś nas przyuważył.

Zanim wskoczyliśmy do łódki, zdążyłem wrzucić do niej jeszcze dwa kapoki.

Łódka telepała się na wszystkie strony, fale znosiły nas ku brzegowi. Zawada zajął miejsce wiosłarza i kilkoma mocnymi pchnięciami sprawił, że zaczęliśmy się oddalać. Gdy człowiek z latarką dobiegł do przystani, byliśmy na tyle daleko, że

nie słyszeliśmy, co do nas wykrzykuje.

Trudno określić odległość, jaka dzieliła nas od Ptasiej Wyspy. Nie byłem wodniakiem, nie miałem doświadczenia w takich wyprawach. Karol wiosłował pełną parą, ja pilnowałem właściwego kursu. Byliśmy jak dwa ziarenka na czarnej mapie jeziora. Jeśli Stwórca chciałby nas unicestwić, stanowiliśmy łatwy cel dla jego błyskawic. Nie zdawałem sobie sprawy, że jezioro może być tak wzburzone. Fale uderzały w nas z impetem, zalewając łódkę. W pewnym momencie bałem się nawet wywrotki. Znajdowaliśmy się w połowie drogi, gdy zmieniłem wycieczzonego Karola. Nie wiem, ile czasu zajęło nam przepłynięcie tego odcinka. Czterdzieści minut? Godzinę? Półtorej? W takich warunkach poczucie czasu gdzieś się zagubiło. Liczyło się tylko przetrwanie i dotarcie do celu.

Gdy łódka wpłynęła w sitowie, odetchnąłem. Zaraz potem zaczęliśmy szorować o dno. Wskoczyłem do wody; nie zdejmowałem butów, i tak były nasiąknięte jak gąbka. Zawada poszedł moim śladem i wyciągnęliśmy łódź na brzeg. Schronieni pod drzewami z ulgą przyjęliśmy zmniejszony impet ataku sił natury. Blask latarki oświetlił nam drogę w głąb wyspy. Przy brzegu na drewnianym palu umiejscowiono tabliczkę z napisem: „Rezerwat Przyrody. Wstęp wzbroniony”.

Szliśmy wąską ścieżką. Wyspa nie była duża. Od południowej strony znajdowały się pomost i miejsce dla łódek. Strona północna została odcięta i ogrodzona drewnianym płotem. Tę część stanowił ptasi rezerwat. Wysokie drzewa kłaniały się nisko przygniatane wiatrem. Dobrnęliśmy do rozstaju traktów. Jeden prowadził na lewo w stronę brzegu, drugi kierował się ku centralnej części. Ten wydał nam się odpowiedni. Pokonując gęste zarośla, wiatr i błoto, parliśmy do przodu. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że kręcimy się w kółko. Rozpoznałem charakterystyczną przechyloną brzoźkę, którą z pewnością wcześniej już mijaliśmy. Zawada doszedł do podobnego wniosku i przy najbliższej okazji skręciliśmy z szerszej ścieżki w wąziutką, prawie niedostrzegalną drożynkę. Karol świecił pod nogi. Zarośla zaczęły się przerzedzać, weszliśmy na małą polankę. W tym miejscu powstrzymywany przez drzewa wiatr tracił na sile. Nic nie zdołało jednak powstrzymać burzy. Błysk zalał połać bladym światłem. Był krótki, ale na tyle intensywny, bym dostrzegł drewniany domek.

– To tu! – przekrzykiwałem nawałnicę. – To musi być Ptasia Samotnia.

Karol skierował w jej stronę snop latarki. Domek był rzeczywiście niewielki, choć dla jednej osoby wystarczający. Dach kryła słoma. Staliśmy w odległości

kilkunastu metrów od drzwi. Spojrzeliśmy po sobie.

– Idziemy. – Zawada wyrwał się naprzód.

Dzień zbliżał się ku końcowi i właśnie ten koniec – w porównaniu z porankiem, a później treningiem i meczem – wydawał się całkiem inną epoką. Przekroczyliśmy jakąś granicę, weszliśmy na drugą stronę, gdzie życie jest nieprzyjazne i skore do nieopisanej brutalności.

Drzwi otworzył Zawada; stałem bezpośrednio za nim. W środku panował mrok, jednak nie on był najgorszy. Przy wejściu dopadła nas fala nieopisanego smrodu. Zatkąło mnie, zacząłem się krztusić. Powietrze we wnętrzu gniło. Gdy udało mi się unormować oddech, przysłoniłem nos rękawem. Karol uczynił podobnie i skierował światło do wnętrza. W centralnej części dostrzegliśmy stół i dwa krzesła. Na blacie stał wysoki wazon z uschniętymi pozostałościami roślin, na ścianie wisiał obrazek ukazujący panoramę jeziora. Dom nie miał okien, lecz drewniane okiennice. Jedna była dziurawa. Snop światła przesuwiał się w lewo...

Zdołałem dostrzec tylko lecące w moją stronę błyszczące oczy i zęby. Usłyszałem pisk. Przerażliwie głośny. Ostre pazury wbiły się w bluzę. Ryknąłem przerażony i upadłem na ziemię. Ból rozlał się po ciele, gdy ostre szpikulce rozorały skórę na szyi. Krzyczałem, szamocząc się. Karol ruszył z pomocą; oderwał ode mnie napastnika i przerzucił za siebie. Zwierzę, kwiląc, wbiło się w leśną otchłań.

– Co to, kurwa, było!?! – Trzymałem się za szyję, próbując powstrzymać krwotok.

Zawada podał mi rękę.

– Wyglądało na borsuka albo szopa, ale pewności nie mam. Cały jesteś?

Wstałem. Zwierzak podrapał mnie dość dotkliwie, jednak na tym się skończyło. Przejąłem od Zawady latarkę i ponownie wszedłem do chaty. Obawiałem się kolejnych ataków leśnych stworzeń. Oświetliłem kąt pomieszczenia.

Alicja patrzyła na mnie ogromnymi białymi oczami. Wydawało się, że coś mówi, przynajmniej próbuje, lecz z jakichś powodów dźwięk nie może się z niej wydobyć. Po chwili zorientowałem się, iż to złudzenie. To nie usta się ruszały, ale

coś, co z nich wypełzało. Nigdy wcześniej nie odczułem tak donośnego łomotu w klatce piersiowej. Krew uderzała do głowy, miazdząc skronie.

Alicja wisiała na sznurze przywiązanym do górnej belki. Pod jej nogami leżało przewrócone krzesło. Wytrzeszczone oczy na tle poszarzałej, oblepionej włosami twarzy wyglądały upiornie. Świdrowały trupim spojrzeniem. Coś jakby cichy głos w mojej głowie mówił: „Miałeś mnie uratować. Nie mogłam dłużej czekać. Zabrakło mi czasu”.

Co kilkanaście sekund błyskawica eksponowała makabryczny obraz wisielca.

– Jezu... – dobiegło z miejsca, w którym stał Zawada.

Dopiero w tym momencie dostrzegłem lewą nogę dziewczyny, która przypominała krwawą miazgę. Została obdarta ze spodni, skóry, tkanek i mięśni. W świetle latarki lśniły wystające z okolic uda zakrwawione kości.

Nie wytrzymałem – wybiegłem z chaty. Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza, mdliło mnie. Opadłem na kolana. Tym razem dziękowałem Bogu za ożywczy deszcz.

Nawałnica traciła impet. Odpływała, by pogrozić komu innemu. Trwaliśmy na polanie w absolutnej ciszy. Nie potrafiłem przyjąć do wiadomości tego, co zobaczyłem. Nie mogłem zrozumieć, że tak dobrze zapowiadające się życie zgasło, pozbawione nadziei i sensu.

Zawada próbował zadzwonić, ale jego komórka nie miała zasięgu.

– Uspokoilo się – powiedział. – Powinniśmy wracać i wezwać policję.

– Dasz radę? – spytałem. – Ja poczekam tutaj. Popilnuję, by nie tknęły jej już więcej żadne zwierzęta.

Karol przystał na to i ruszył w kierunku łodzi.

Podczas oczekiwania wszedłem do domu tylko raz. Staralem się nie patrzeć na ciało dziewczyny. Omiotłem światłem podłogę. Pod ścianą leżał plecak. Zerwałem z drzewa długą gałąź i przysunąłem go ku sobie. Nie chciałem, by moje ślady znajdowały się w pobliżu martwej dziewczyny. Policja z pewnością dokona

ogłędzin. To, czego szukałem, leżało zmięte w kulkę na dnie plecaka. Rozwinąłem kartkę i przeczytałem napisaną na komputerze i wydrukowaną treść:

Daj Arturowi spokój. Teraz ja i on jesteśmy ze sobą. To, co było w czasie wakacji, jest nieważne. Odczep się, bo dostarczasz mu tylko kłopotów. On już o tobie dawno zapomniał. Jako dowód przesyłam nasze wspólne zdjęcie. Jesteśmy szczęśliwi, a jeśli myślisz, że on będzie jeździł do ciebie przez całą Polskę, to jesteś głupią wieśniarką. Odwal się od nas.

Ten list cię zabił, pomyślałem. Był jak pocisk rozrywający serce.

Odłożyłem kartkę z powrotem do plecaka i odrzuciłem go na miejsce. Deszcz przestał padać, usiadłem na trawie. Mijały godziny. Nie wiedzieć kiedy zasnąłem. Świtało, gdy po otwarciu oczu dostrzegłem nad sobą odzianą w policyjny mundur postać.

35.

Gdy zabrali nas z wyspy, był już poniedziałkowy poranek. Zawada powiadomił policjantów ze Sławina i ci zjawili się motorówką jako pierwsi. Godzinę później przyплыnęła ekipa z Kościerzyny. Przybył również prokurator prowadzący sprawę. Opowiedzieliśmy im wszystko jeszcze na miejscu, a później po raz drugi na komendzie w Sławinie. Tym razem nie ukrywałem faktów. Powiedziałem o podejrzeniach wobec Ewy Narloch. Przyznałem się także do kradzieży łódki, licząc na umorzenie sprawy po zwrocie sprzętu.

Gdy skończyli nas przesłuchiwać, minęło już południe. Padałem z nóg. Zadzwoiłem do szkoły i wziąłem wolny dzień, choć była to tylko formalność, bo całe Sławino wiedziało już o odnalezieniu zwłok Alicji. Równie zmęczony Zawada odwiózł mnie do ośrodka zdrowia, gdzie lekarz zaaplikował mi zastrzyk przeciwtężcowy oraz lek zapobiegający wściekliznie. Przez oszalałego szopa musiałem się liczyć z serią domięśniowych wkłuć. Na myśl o tym, że zwierzak zaatakował mnie chwilę po konsumpcji rozkładającego się ludzkiego ciała, robiło mi się niedobrze. Z przychodni pojechaliśmy prosto do domu.

– W pewnym sensie to koniec – powiedziałem, przecierając przekrwione oczy. – Podjudzona przez koleżankę dziewczyna popełniła samobójstwo, a naszą teorię o seryjnym mordercy można włożyć między bajki. Przez cały czas się myliliśmy.

Ten fakt wyraźnie go męczył. Wielopoziomowa układanka nagle się rozsypała. Karol nie chciał jednak uznać sprawy za zakończoną.

– Ktoś jednak próbował cię dopaść – przypomniał mi. – Nikt bez powodu nie biega z nożem po szkole. Nasz błąd polegał na połączeniu tych śmierci. Najwyraźniej nie mają ze sobą związku. Magda została jednak zamordowana i znalezienie winnego powinno być teraz dla nas priorytetem.

Podtrzymaliśmy wcześniejsze ustalenia o przystopowaniu śledztwa. Powiniennem mieć się na baczności. Karol obiecał sprawdzić wytypowane przez nas dziewczyny i odnaleźć tę romansującą z Mechem. Pożegnaliśmy się, podając sobie ręce. Zawada wszedł do suzuki, które po ostatnim rajdzie przedstawiało sobą oplakany widok. Odjechał.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy nieco ponad trzy tygodnie wcześniej. Wpatrując się w znikające auto, wydawało mi się, że znam Karola całe życie.

W szkole ogłoszono żałobę. Dyrektor zorganizował uroczysty apel, na którym wspominał Alicję. Wypowiadali się również nauczyciele. Stałem z tyłu i przysłuchiwałem się słowom płynącym z ust piewców talentu dziewczyny. Sam także zostałem proszony o zabranie głosu, ale odmówiłem. Nie miałem ochoty na ckliwe przemówienia. Żałowałem tylko, że ci wszyscy ludzie nie szukali jej z takim zaangażowaniem, z jakim teraz ją wychwalają.

Mecha widziałem po raz pierwszy od czasu włamania. Najwyraźniej zdołał się pozbierać, bo nie wyglądał na spiętego. Chyba dostrzegłem delikatną obwódkę wokół lewego oka – pozostałość po kopniaku, który zaliczył, gdy forsowałem płot. Sądził zapewne, że sprawa z włamywaczem rozejdzie się po kościach. Andżelika także wydawała się spokojniejsza. Podobnie jak reszta nauczycieli nie omieszkała wypytać mnie o szczegóły odnalezienia ciała Alicji. Stanowiłem dla nich sensację dnia. Opuściłem szkołę, najszybciej jak mogłem.

W piątkowe popołudnie, dzień przed pogrzebem, Zofia zapukała do mojego pokoju.

– Idę do Wiesi na Pustą Noc – rzekła po otwarciu drzwi. Leżałem na łóżku, wpatrując się tępo w sufit. Jej wizyta zmusiła mnie do minimalnej koncentracji. – Może chciałbyś mi towarzyszyć i pożegnać Alicję?

Nie miałem pojęcia, czym jest Pusta Noc. Domyślałem się, że chodzi o jakiś kaszubski obyczaj. Zofia, dostrzegłszy moje zmieszanie, podeszła i usiadła na rogu materaca.

– To ostatnia noc przed pogrzebem, gdy żegna się zmarłego – tłumaczyła. – Rodzina i przyjaciele spotykają się w jego domu, by odmówić różaniec i zaśpiewać kojące duszę pieśni. To stara tradycja.

Chciałem uczestniczyć w Pustej Nocy. Brakowało mi jednoznacznego aktu pożegnania z Alicją. Czułem, jakbym stracił część siebie lub bliskiego członka rodziny. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Zwlokłem się z łóżka, założyłem na golf ciemną marynarkę i ruszyliśmy wspólnie do domu Wiesławy Maj.

Po przybyciu na miejsce dostrzegłem sznur samochodów ustawionych wzdłuż pordezwiątej siatki imitującej płot. Te, które się tam nie zmieściły, zajmowały pobocze drogi naprzeciwko budynku. Zbliżając się powolnym krokiem do miejsca, gdzie Alicja wraz z bratem, matką i ojcem stanowili przed laty szczęśliwą rodzinę, widziałem coraz więcej ludzi schodzących się z okolicy. Wszyscy cisi, skupieni, ze spuszczoneymi oczami.

W domu panował tłok. Pokój, w którym tak niedawno rozmawiałem z mamą Alicji, był pełen ludzi. Podobnie kuchnia i przedpokój. Stałem przy drzwiach, Zofia weszła dalej, by klęknąć bliżej przyjaciółki. Na stoliku, na którym w mieniącej się złotem ramie ustawiono obraz Matki Boskiej, stała również miniaturowa fotografia Alicji. Było to zdjęcie portretowe sprzed kilku lat, zapewne wykonane przy okazji wizyty w szkole fotografa. Wiesława Maj klęczała przed nim podtrzymywana przez chłopca w czarnym garniturze, jak się domyślałem, brata Alicji. Zgarbiona, pochylona, chowała twarz w dłoniach. W martwej ciszy gnieźdzącej się w każdym zakamarku pomieszczenia słyszałem jej szloch. Obok uklęknęła starsza kobieta, przeżegnała się i na głos rozpoczęła modlitwę. Pozostali powtarzali po niej słowa skierowane do Stwórcy, który z jakichś powodów zdecydował się zakończyć życie jednej ze swych owieczek na pętli starego sznura. Po różańcu zaintonowano pierwszą pieśń. Nie znałem jej. Podobnie jak drugiej i trzeciej. Stałem więc w milczeniu przez kilka kolejnych godzin, wpatrzony w szczerą rozpacz żałobników.

Pogrzeb odbył się w sobotę. Prokurator uznał śmierć Alicji za samobójstwo i ciało po sekcji zwłok dość szybko można było złożyć w grobie. Według ustaleń patologa dziewczyna zabiła się w dzień ucieczki, wieszając na linie, którą trzymano

w chatce w skrzyni z narzędziami. Na Ptasią Wyspę dotarła łódka, która niezapięta kłódką stała przy brzegu. Właściciel zgłosił kradzież, ale nikt nie skojarzył tego faktu z zaginięciem. W tym czasie wszyscy szukali Alicji w zupełnie innych miejscach. Tyle przynajmniej napisano w lokalnej mutacji Gazety Wyborczej, która zamieściła artykuł o historii Alicji w weekendowym wydaniu.

Na cmentarzu za kościołem zebrały się tłumy żałobników. Wcześniej zamkniętą trumnę z ciałem Alicji wystawiono w kaplicy. Kto chciał, mógł przyjść i odmówić ostatni różaniec. Stałem na końcu, odtwarzając w myślach dawno niewypowiedane modlitwy.

Ceremonię pogrzebową prowadził Adam. Wygłosił przejmujące kazanie o zagubionej latorośli, która nie potrafiąc doszukać się życiodajnego światła, obumarła. Jej kwiat, jak mówił ksiądz, zakwitnie jednak w ogrodzie Pana, ten bowiem daje szansę każdemu i pozwala rozrastać się z taką mocą, jaką daje mu siła życia wiecznego.

W pierwszym rzędzie siedzieli mama Alicji oraz jej brat. Obok ktoś z rodziny. Dalej dostrzegłem Zofię, która podtrzymywała Wiesławę Maj, gdy ta kilkanaście minut wcześniej powoli i chwiejnie wchodziła do kościoła. Nie wiem, czy była pod wpływem tych samych środków co wcześniej, ale gdyby miało jej to pomóc jakoś przetrwać koszarne chwile, miałem nadzieję, że łyknęła kilka tabletek.

W tylnej części stała Ewa Narloch. Przyszła z rodzicami i płakała. Trudno rozstrzygnąć, czy żałowała koleżanki, czy też bała się reakcji społeczności na swój czyn. W pewnym sensie stała się ofiarą samej siebie. Każde wspomnienie Alicji będzie odtąd wzbudzać w niej ogromne poczucie winy. Zapowiedzią tego były gniewne spojrzenia pozostałych żałobników.

Po uroczystości udałem się prosto na przystanek PKS. Chciałem odwiedzić mamę, oderwać się od Sławina i spojrzeć na wszystko z trochę innej perspektywy.

Część czwarta

Jonasz

36.

Pod koniec listopada spadł pierwszy śnieg. Temperatury w dzień oscylowały wokół zera stopni, wieczorem jednak pikowały o kilka kresiek. Biały puch przykrył chodniki, ulice i dachy całego Pojezierza Kaszubskiego.

Czas pomiędzy pogrzebem a zbliżającym się okresem Świąt Bożego Narodzenia poświęciłem pracy. Przez intensywne dochodzenie zaniedbałem zajęcia w szkole. Pierwotne plany twórczego urozmaicenia zajęć zastąpiłem nudną rutyną. Postanowiłem to zmienić. Wprowadziłem projekcje filmowe dotyczące lektur, starałem się wyciągać od uczniów coraz więcej spontanicznych wypowiedzi, rozluźniłem atmosferę, mając nadzieję wychwycić, a potem spróbować realizować ich pomysły. To była ostatnia szansa na nadrobienie zaległości. W końcu zaczęli to rozumieć. Cieszyłem się, bo prace pisemne wypadały coraz lepiej. Zachęceni do ćwiczeń, robili postępy.

Dwa razy w tygodniu prowadziłem zajęcia dodatkowe w salce parafialnej. Początkowe dziewięć osób szybko zastąpiła blisko trzydziestoosobowa grupa. Byli cwani, wyczuli, że lepiej oceniam prace, które są pisane pod moim okiem, a mnie nie robiło różnicy, czym się kierowali, poświęcając swój czas popołudniami. Widziałem, jak pracują i się starają; ja co najwyżej mogłem im trochę podpowiedzieć.

Polubiłem tę pracę. Po raz pierwszy od przyjazdu do Sławina zaczęła sprawiać mi przyjemność. Rozejm z Laurą, brak stresów, napięć i szoku, w co obfitowały pierwsze dni w tej szkole – procentowały.

Starałem się nie myśleć o Alicji, jednak całkowite wymazanie obrazów z Ptasiej Wyspy było niemożliwe. Raz na kilka nocy nawiedzały mnie martwe oczy rozkładającego się wisielca. Ten upiór nie mógł być dziewczyną poznaną na krótko przed zaginięciem. Był potworem, który nakazał niewinnej istocie sięgniecie po sznur. Bałem się tych nocy.

Może dlatego nie zaglądałem do teczki, która leżała w pokoju na półce nad biurkiem i pokrywała się kurzem. Choć obiecałem Zawadzie analizę zebranych materiałów, nie miałem na to ochoty. Moje życie nabierało rumieńców, byłem

spokojniejszy, bardziej optymistycznie usposobiony. Zacząłem nawet tłumaczyć niedawne ataki jako własne pomyłki i urojenia. W czasie ostatnich tygodni nie wydarzyło się nic niepokojącego. Idź naprzód, pomyślałem. Nie oglądaj się za siebie.

Po otrzymaniu ekspertyzy o czaszce Magdy Kraśnik miejscowa prokuratura prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa. Nie było wątpliwości, że gdzieś w pobliżu musi znajdować się grób dziewczyny i pozostałe szczątki. Przekopano kilka wytypowanych lokalizacji, jednak bez rezultatu. Z tego, co wiem, próbowali cisnąć Wilczyńskiego, ale chłopak zapierał się, że czaszkę znalazł nad jeziorem. Jego koledzy to potwierdzili i w sumie nic konkretnego na niego nie było. W końcu sprawa przycichła.

Zawada też przystopował. Zadzwoił raz, dwa tygodnie po wyjeździe ze Sławina, i opowiedział o próbach lokalizacji prawdopodobnej kochanki Mecha z 1995 roku. Spośród pięciu osób znalazł dwie, ale żadna nie przyznawała się do zażyłości z dyrektorem. Swoją drogą byłem ciekaw, w jaki sposób je o to wypytuje.

„Droga pani, nie zna mnie pani, ale mam pewne pytanie dotyczące okresu sprzed piętnastu lat i Technikum w Sławinie. Czy przypadkiem nie uprawiała pani seksu w dyrektorem Stanisławem Mechem? Tak pytam, bo piszę artykuł”.

Obłąd. Dlaczego ktoś miałby rozmawiać na taki temat z obcym facetem? Tego Karolowi jednak nie powiedziałem. Wiedziałem, ile ta sprawa dla niego znaczy. Sam musiał dojść do wniosku, że rozwiązanie jej amatorskimi metodami jest praktycznie niemożliwe. Zresztą policja także nie poczyniła postępów. Zawada, wykorzystując koneksje, dowiedział się jedynie o wznowionym dochodzeniu, które nie przynosiło rezultatów. Odnaleziona czaszka Magdy Kraśnik dowodziła faktu morderstwa. Ustalenie sprawcy przekraczało jednak możliwości współczesnej techniki. Może gdyby odkryto resztę ciała, sprawa posunęłaby się do przodu.

Podobne pytania rodziły się coraz rzadziej, a w miarę zbliżania się świąt niemal całkowicie ustały.

Dwudziestego drugiego grudnia urządziliśmy w szkole Wigilię, gdzie każdy każdemu życzył wszystkiego najlepszego. Prawie każdy, bowiem Laura była nieobecna, a Mech ograniczył się do ogólnych życzeń. Tego dnia planowałem wyjazd do Gdańska i cieszyłem się na dwutygodniową przerwę. Przed wyjściem

z domu powtórzyłem z Zofią rytuał świątecznych powinszowań. Gospodyni wręczyła mi obwiązany wstążką prezent. Zrobiło mi się głupio, bo ja nic dla niej nie miałem. Moje zmieszanie zbyła uśmiechem. Ucałowałem ją w podzięce w policzek. Zofia planowała spędzenie świąt u swojej kuzynki w Chojnicach; jak mówiła, to ich wieloletnia tradycja. Cieszyłem się, że nie będzie sama.

Rozwinałem pakunek, siedząc w autobusie. Był to *Elementarz Kaszubski*. Ostatnie wydanie uzupełnione słowniczkiem polsko-kaszubskim. Powiedziałem jej kiedyś, że chciałbym kupić tę książkę. Zapamiętała. Na pierwszej stronie napisała życzenia świąteczne i noworoczne. Przeglądałem podarunek do samego Gdańska.

Gdy dotarłem do mieszkania mamy, wpadłem w sam środek świątecznych przygotowań. Wnętrze lśniło czystością, a płynące z kuchni zapachy kusiły, zapowiadając prawdziwą ucztę. Co rusz pojadłem sałatkę warzywną, bigos czy rybę po grecku. Po słoikowym żywieniu w Sławinie domowe jedzenie stanowiło najlepszy z prezentów.

Dzień przed Wigilią kupiłem choinkę. Nigdy nie umiałem wybrać najładniejszego drzewka, choć spędzałem na parkingu, gdzie ustawiali się sprzedawcy, mnóstwo czasu. Tym razem padło na dość wysoką, jednostronnie pełną choinkę, na której widok mama parsknęła śmiechem. Miałem w sobie coś takiego, że im mocniej wyszydzano moją choinkę, tym więcej czułem dla niej sympatii i tym trudniej było mi się z nią po kilku tygodniach pożegnać.

Gdy wtaszczyłem drzewko do domu, wymknąłem się do miasta. Nie miałem żadnych prezentów, a czas naglił. Przedświąteczne zakupy to zawsze był horror. Zwykle podpowiadała mi Ania, a do prezentu dla mamy tylko się dokładałem, ale po ostatniej telefonicznej awanturze nie miałem kontaktu z siostrą. Wiedziałem, że przyjdą całą rodziną w Wigilię. Nie mogłem przywitać ich z pustymi rękami. Zajechałem autobusem do centrum. Wybrałem najprostszą drogę i udałem się do Galerii Bałtyckiej, którą zwykle omijałem szerokim łukiem, bowiem zarówno przestrzeń, jak i tabuny ludzi krążących po tych wszystkich piętach mnie przytłaczały.

Dzień przed świętami w aspekcie przestrzeni nic się nie zmieniło, za to tłum uległ potrojeniu. Błąkałem się od sklepu do sklepu, powiększając pustkę w głowie. Co można kupić siedemnastoletniej pannicy? Albo dziesięcioletniej? Jakiego prezentu oczekuje dwanaście lat starsza siostra, która uważa cię za partacza i naciągacza, albo jej mąż nieudacznik? A może mała podpowiedź w kwestii podarunku dla starszej pani?

Po dwóch godzinach bezsensownej krzątaniny wybrałem z oferty Empiku nową wersję gry Sims dla małej, która nie ruszała się nigdzie bez laptopa, i koncertową płytę Lady Gagi dla Kasi. Miałem nadzieję, że siostrzenica była jedną z owych nastolatek, które słuchają tego okropieństwa.

Mamie i Ani kupiłem perfumy, czym wydrenowałem i tak niezbyt głęboką kieszeń, Stasia zaś uraczyłem najtańszą whiskey, jaką mieli w sklepie.

Usatysfakcjonowany zwróciłem się ku wyjściu, gdy pod sklepem H&M dostrzegłem znajomą twarz. Skróciła włosy i znacznie je rozjaśniła. Coś zmieniło się także w jej sylwetce. Była w ciąży. Stałem po przeciwległej stronie, nie mogła mnie widzieć. Czulem, jak gorąco rozlewa się po całym moim ciele.

Ewelina wyglądała zabójczo pięknie. Zaawansowana ciąża dodawała jej uroku i majestatu. Znajdowałem się dość daleko, nie na tyle jednak, bym nie dostrzegł, że niepewna i rozkapryszona córeczka tatusia przemieniła się w kobietę. Po chwili podszedł do niej mężczyzna i objął ją ramieniem. Jego też znałem. Najwidoczniej romans z szefem przerodził się w coś poważniejszego. Z jej punktu widzenia pozbycie się mnie musiało stanowić strzał życia. Odziani w drogie ciuchy, płynąc dystyngowanie pomiędzy sklepami, sprawiali wrażenie szczęśliwej i ustawionej rodziny. W pewnym momencie Ewelina odwróciła głowę, szybko więc ukryłem się w tunelu prowadzącym do toalet. Po kilkudziesięciu sekundach po byłej narzeczonej nie został ślad.

To wydarzenie zepsuło mój niezły nastrój. Obladowany siatkami przebijałem się przez zaśnieżone chodniki w kierunku przystanku autobusowego. Gdy dotarłem do domu, była piąta. Mama dalej gotowała smakołyki, zabrałem się więc za ubieranie choinki. Choć ręce zajmowało wieszanie bombek, po głowie krążyły zgoła nieświęteczne myśli.

Wigilia przypominała stypę. Przynajmniej początkowo. Ania ze Stasiem i dziećmi przyszedli przed szóstą. Przywitaliśmy się, choć o rodzinnym zżyciu trudno było mówić. Ania uciekła zaraz do kuchni, zająłem się więc zagadywaniem siostrzenic. Kamila trajkotała jak nakręcona o szkole, koleżankach, grach, internecie, basenie i setce zajęć dodatkowych, na jakie uczęszczała. Kasia natomiast sprawiała wrażenie obezwładnionej czarem księżniczki, którą zła wiedźma zesłała na rodzinną kolację, podczas gdy wszystkie szanujące się

księżniczki w tym czasie obściskują się ze swymi chłopakami. Siedemnastolatka w pełnym makijażu i obcisłych ciuchach wyglądała na pięć lat starszą. Ubogie zdania, stanowiące odpowiedź na moje „luzackie” pytania, przerywała koniecznością odpisywania na pikające co chwilę SMS-y. Szybko zrezygnowałem z pozowania na cool wujka.

Stasiu też nie był zbyt rozmowny, co akurat przyjąłem z radością.

Zasiedliśmy za stołem, wcześniej niemrawo podzieliwszy się opłatkiem. Były to najbardziej żalodne życzenia opłatkowe, jakie kiedykolwiek widziałem. Siostra musnęła mnie tylko ustami w policzek, życząc wszystkiego najlepszego; ze Stasiem podaliśmy sobie ręce bez słowa. Dziewczyny w ogóle się nie pofatygowały. Jedynie z mamą wymieniłem kilka szczerych zdań.

Pochłanialiśmy barszcz z pierogami, a ciężką atmosferę nad stołem urozmaicał niekończący się dźwięk nadchodzących SMS-ów.

– Odłóż to – nakazała szorstko Ania.

– Piszę – odparła Kasia.

– I tak dzisiaj nigdzie nie pójdziesz – odezwał się bodaj pierwszy raz tego dnia Stasiu.

Dziewczyna prychnęła drwiąco.

– Nie będziesz mi rozkazywać. Mam gdzieś twoje zdanie.

– Uspokój się! – Ania ryknęła tak donośnie, że przestraszony upuściłem łyżkę.

Mama starała się łagodzić sytuację.

– Może spokojniej, bez takich nerwów.

– Nie wtrącaj się – odpaliła wyraźnie rozjuszona Anka. – To moje dzieci.

– Ale nie twój dom! – Tym razem ja nieźle się wkurzyłem. – A my nie jesteśmy manekinami, które będziesz rozstawiać.

– No proszę, w końcu się odezwał braciszek od siedmiu boleści. – Jej kpiarski ton ociekał jadem. – Przyjechałeś podjudzać i manipulować? Mało się przez ciebie wszyscy nacierpieliśmy?

– O czym ty mówisz? Zwariowałaś? – W tym momencie nikt już nie jadł. Patrzeliśmy po sobie jak zagonione do jednej zagrody zwierzęta z nienawidzących się stad.

– Zawsze tak było. – Siostra nie zamierzała mi odpuścić. – Przychodziłeś na gotowe i żądałeś swojej doli. Synalek mamusi na specjalnych prawach. Wiesz, kim jesteś? Nieudacznikiem. Wioskowym belfrem, który nie potrafi nawet utrzymać przy sobie dziewczyny. Rozpieprzyłeś sobie życie, choć cię ostrzegałam, a teraz robisz wszystko, by sparać przyszłość mnie i moim dzieciom.

– Jedyne, czego chcę, to gwarancji, że mama nie zostanie na lodzie – odpałitem. – Rządzisz się tym mieszkaniem, zapominając, że to był również mój dom. Wychowałem się tu. Nie odmówisz mi prawa do zabrania głosu, bo coś idzie nie po twojej myśli. Chcesz podejmować decyzje, musisz liczyć się z moim zdaniem.

– Mam w dupie twoje zdanie.

– NIEEEE!!! – Krzyk Kasi wypełnił pomieszczenie, wgrzył się w mózg po najdelikatniejsze tkanki. – Zamknijcie się! Zamknijcie!! Dłużej nie wytrzymam!!!

– Daj spokój. – Stasiu chwycił dziewczynę za rękę. Ta natychmiast się wyrwała.

– Nienawidzę was wszystkich! – Dziewczyna zerwała się z krzesła. – Jesteście bandą zachłannych i zakłamanych prostaków! Rzygać mi się chce!

Stasiu wstał, Ania również.

– Uspokój się. – Szarpnęła córką. – Są święta.

– I co z tego?! – Kasia nie dawała się udobruchać. Spojrzałem na mamę: jej twarz była blada jak papier. Siedziała zszokowana, wpatrując się we wnuczkę.

Dziewczyna wpadła w szał. Pomimo prób uciszania, strzelała kolejnymi

ostrymi zdaniem.

– Skoro jesteśmy taką fajną rodziną, to może powiecie, co się u nas wyrabia? O ludziach walących do drzwi o północy, wywlekających Stacha z łóżka i pakujących do bagażnika beemki. Pochwal się, jak dostałaś od łysego karka w pysk.

– Zamknij się!!! – Moja siostra straciła panowanie nad sobą i wymierzyła córce policzek. Kasia zatoczyła się na ścianę. Mama krzyknęła. Stasiu chwycił żonę i odciągnął.

Krzyk matki i uderzenie w twarz nie uciszyły siostrzenicy.

– Wiesz, co mi powiedział ten łyśy oblech? Chcesz usłyszeć? Powiedział, że jak Stachu nie odda im kasy, to sprzedadzą mnie do niemieckiego burdelu. Słyszałaś? Może ci się to spodoba? W końcu będziesz miała spokój!

Oblał mnie zimny pot. W głowie rozbrzmiały słowa Zawady z naszego pierwszego spotkania: „Wiesz, ile zapłaci Turek za ładną szesnastolatkę? Do dziesięciu tysięcy euro, plus procent z tego, co dziewczyna zarobi jako prostytutka”.

Ania opadła na krzesło. Schowała twarz w dłoniach i siedziała nieruchomo. Stasiu stał do nas tyłem, wpatrując się bez słowa w przestrzeń za oknem. Mama tuliła do siebie zszokowaną Kamilę.

Zapadła przerażająca cisza.

W końcu wstałem i podszedłem do Kasi. Dziewczyna opierała głowę o ścianę. Płakała.

– Usiądź. – Odprowadziłem ją do krzesła. – Ty też – nakazałem Stasiowi. Usłuchał bez słowa. – To chyba dobra chwila, żebyśmy usłyszeli prawdę – mówiłem spokojnie. Rozpętanie w tym momencie kolejnej awantury miało się z celem. – Kim są ci ludzie i jak duże macie długi?

Stasiu wychylił kieliszek z winem do dna.

– Dług spłaciłem z nawiązką już dawno temu – powiedział. Ręce mu się trzęsły. – Ale oni chcą więcej. Twierdzą, że wciąż mam zaległości, niespłacone

odsetki, które dokładają następne. To sytuacja bez wyjścia.

– Kim są ci ludzie?

– Dokładnie nie wiem. Dwa lata temu wpadłem w kłopoty. Sprzedaż w sklepach siadła, nie miałem jak rozliczyć się z kontrahentami i pracownikami. Banki podniosły wymagania i odmawiały mi kredytu. Dowiedziałem się, że jest facet, który pożycza kasę na procent. Gość ma trzy hurtownie i sieć sklepów spożywczych w Trójmieście. Dotarłem do niego i wyciągnąłem sto tysięcy na rok. Miałem oddać sto trzydzieści. Chciałem rozkręcić firmę, ale szło opornie. Zdołałem mu oddać w terminie osiemdziesiąt tysięcy. Facet zgodził się przedłużyć mi okres spłaty o następnych sześć miesięcy. Kiedy po tym czasie przyszedłem z pieniędzmi, powiedział, że sprzedał mój dług. Tak po prostu. Oficjalnie był przeterminowany o pół roku. Wtedy zaczęło się piekło. Czterech łysych przyjechało do nas czarnym BMW i zaczęli straszyć. Według nich zaległe pięćdziesiąt tysięcy rozrosło się do stu, a kiedy zdołałem uzbierać sto, to dług osiągnął sto pięćdziesiąt. Wyciągnęli od nas ze trzysta tysięcy i domagają się kolejnych stu. Nie mam już siły. Przepisałem na nich firmę, zgarniają wszystkie zyski.

– Byłeś na policji?

– Twierdzą, że mają chody i zaraz się dowiedzą, że coś kombinuję, a wtedy wszyscy wylądujemy w rowie.

To mi się nie mieściło w głowie.

– Jeśli nawet sprzedamy mieszkanie i dasz im tę kasę, to przecież i tak nie spłacisz długu.

Stasiu potakiwał załamany. W jego oczach szklily się łzy.

– Ale dadzą nam spokój. Choć na chwilę.

Teraz wiedziałem, skąd takie napięcie w zachowaniu siostry, rzadkie wizyty, milczenie szwagra, wściekłość Kasi. Wszyscy znajdowali się na krawędzi załamania psychicznego.

– Musicie iść na policję – zwróciłem się do siostry. – To jedyne wyjście.

– Nie słyszałeś, co mówił Stasiu? Chcesz, żeby nas pozabijali?

– A nie pomyślałaś, że i tak to zrobią, gdy wydrenują was do cna? A jeśli rzeczywiście zabiorą się za dziewczynki?

– O Jezu, nie! – jęknęła.

Mama zabrała zdezorientowaną Kamilę do innego pokoju.

– Spróbuję wam pomóc – oświadczyłem.

– Ty? W jaki sposób? Brat, tylko ty się jeszcze do tego nie mieszej...

– Może jednak nie jestem aż takim nieudacznikiem. – Rozlałem wszystkim po lampce wina. – Zapomnijmy o tym na chwilę. W końcu jest Wigilia.

Ania przytuliła Kasię i obie ryczały dobre pół godziny. Stasiu z posępną miną wychylił jeszcze dwa kieliszki i ręce przestały mu się trząść. Mama podała rybę, a ja podzieliłem opłatek. Wszyscy zasługiwaliśmy na to, by złożyć sobie porządne życzenia. Potem przyszedł czas na prezenty. Około dziewiątej ta Wigilia zaczęła w końcu przypominać rodzinne święta. Problemy, smutki i strach na krótki moment zostały spacyfikowane. Napięcie spłynęło i wszyscy żalowaliśmy, iż doszło do tego tak późno.

Goście zostali na noc. W ciasnym mieszkaniu na Morenie czuli się bezpiecznie. O wpół do dwunastej mama, Ania, Stasiu i ja poszliśmy na pasterkę. Było zimno jak diabli. Człapiąc za nimi, wysłałem SMS-a; po chwili otrzymałem odpowiedź. Zadzwoiłem.

– Wesołych świąt – powiedziałem. – Jesteś na miejscu?

– U matki w Sopocie – odparł Zawada. – Tobie też życzę wszystkiego najlepszego, Sherlocku.

Wyczułem, że jest lekko wstawiony.

– Mam sprawę. Ważną.

– Złapałeś mordercę? – Zachichotał.

– Nie. To coś zupełnie z innej beczki. Dotyczy mojej rodziny.

Opowiedziałem mu o bagnie, w jakie wpakował się mój szwagier. Liczyłem na policyjne koneksje Zawady; miałem nadzieję, że dyskretnie nas z kimś skontaktuje.

– Znam kilka osób w Komendzie Miejskiej – oświadczył poważnym tonem, gdy skończyłem mówić. – Nie wiem, czy w Święta będą dostępne. Spróbuję coś ustalić i zadzwonię rano.

– Dzięki. Trzymaj się.

– Ty też.

Rozłączyłem się. Msza była krótka, ale pełna ciepła i świątecznego nastroju. Po powrocie do domu otworzyłem następne wino. Dzieci spały, mu usiedliśmy przy stole. Ania wyciągnęła z torby album ze zdjęciami, na których była głównie Kamila.

– Zobaczcie, jak mała już jeździ. – Na fotografii młodsza z moich siostrzenic dosiadała konia. Kolejne trzy zdjęcia ukazywały, jak jedzie wzdłuż padoku. – A tu na konkursie recytatorskim. – Wskazała siostra. – Wiecie, że Kama pisze wiersze? Dostała drugą nagrodę w konkursie poetyckim dla uczniów klas cztery-sześć w Gdańsku. Jej wiersz wisi na stronie internetowej szkoły. Prawdziwa z niej poetka.

Ostatnie słowa skupiły moją uwagę. Poetka? Ktoś mi już kiedyś opowiadał podobną historię. Wiersze pisane dla Magdy Kraśnik. W tamtej szkole też był poeta. Jak on siebie nazywał? Romeo. Byłem zbyt skołowany, by zebrać myśli. Instynkt podpowiadał, że jestem bliski odkrycia czegoś istotnego, jednak enty kieliszek wina przytępił mój umysł.

Siedzieliśmy jeszcze godzinę, potem poszliśmy spać. Ania ze Stasiem zajęli łóżko w moim pokoju, Kamila położyła się z mamą w sypialni, a Kasia ułożyła się na kanapie w salonie. Na szczęście na takie okazje w pawlaczu spoczywała polówka i mnie przypadł w udziale zaszczyt jej rozstawienia.

– Przepraszam – szepnęła Ania, gdy mijaliśmy się w drzwiach łazienki. – Jestem najgorszą siostrą na świecie i kosmiczną idiotką. Kocham cię.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz obejmowałem się z siostrą. Doszedłem do wniosku, że chyba nigdy.

Wszyscy byliśmy wycieńczeni. Pomimo skrzypiących sprężyn i krzywego materaca sen ogarnął mnie bardzo szybko. I równie nagle się urwał. Z odrealnionego świata wyrwał mnie obraz chłopca ściskającego w rękach srebrny puchar. Obudziłem się o czwartej nad ranem.

Romeo. Był tam przez cały czas. Alicja go znalazła.

Coś, co od dawna chodziło mi po głowie, nabrało właściwych kształtów. Przypomniałem sobie przeczytane dawno temu zdania.

Wstałem i cicho otworzyłem drzwi pokoju, gdzie spała siostra z mężem. Pod meblościanką leżał mój plecak. Zabrałem go i zainstalowałem się w kuchni. Wyjąłem teczkę. Choć wzbraniałem się z zaglądaniem do niej przez długie tygodnie, wyjeżdżając, zabrałem ją ze sobą. To uspokoiło moje sumienie. Odpaliłem również laptopa. Odszukałem plik z *Kroniką Szkoły w Sławinie* autorstwa Alicji Maj. Przewinąłem początkowe strony, aż w końcu znalazłem to, czego szukałem: 1985 rok. Czwartoklasista Piotr Stasiński zdobywa główną nagrodę w wojewódzkim konkursie poetycko-recytatorskim „Złote strofy Pana Tadeusza”. Szybko wyszperałem z teczki podarowane przez Ewę Rohosz klasowe zdjęcie. Na odwrocie odszukałem nazwisko. Piotr Stasiński. Był. Na stronie zdjęcia numerek jedenasty widniał nad postacią czwartą od lewej. Niepozorny chłopiec z krzywo przystrzyżoną grzywką wpatrywał się z poważną miną w obiektyw. Chociaż nie, to stojąca niżej Magda w całości skupiała jego wzrok. Był to ten sam chłopak, którego zdjęcie z pucharem zamieściła Alicja w *Kronice*. Poeta, recytator, znawca *Pana Tadeusza*.

Odetchnąłem głęboko. Właśnie zdemaskowałem Romea.

37.

O dziewiątej rozdzwoniła się komórka. Odebrałem zaspany. Po swojej iluminacji o świecie powróciłem jeszcze na polówkę, gdyż umysł domagał się dłuższego odpoczynku. Dzwonił Zawada.

– Możecie być o jedenastej na Komendzie przy Okopowej? – zadał szybkie pytanie.

– Myślę, że tak. A co?

– Skontaktowałem się ze znajomym z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Okazuje się, że od dłuższego czasu mają podobną grupę na celowniku. Może to ci sami. Musicie przyjechać i się z nim spotkać. Policji zależy na informacjach i czasie.

– W takim razie zaraz się zbieramy. Przy okazji odkryłem coś w naszej sprawie. Przyjeźdź, to pogadamy.

– Trochę ruchu mi się przyda. Już nie dopinam spodni.

Powiadomiłem siostrę i szwagra o spotkaniu na komendzie. Widziałem przerażenie w ich oczach. Nie byli pewni, czy dobrze robią, ale fakt, iż nie mieli wyjścia, musiał w końcu do nich dotrzeć.

Podjechaliśmy na Okopową fordem Stasia. W przedsionku na parterze komendy siedział Zawada. Przywitaliśmy się.

– Domański już na was czeka – oznajmił Karol. – Z tego, co wiem, sprawa jest poważna. Musicie współpracować z policją. Róbcie co mówią, a będzie dobrze.

– Trzymajcie się – rzuciłem.

Ania ze Stasiem wylegitymowali się w dyżurce, po czym zostali przepuszczeni przez wysokie drzwi. My wyszliśmy z Zawadą na dwór.

– Jeśli to grupa Skargi, to nieźle wdepnęli – mówił, przypalając papierosa. – Specjalizują się w szantażach i wymuszeniach, są przy tym bardzo niebezpieczni. Duża część przerażonych biznesmenów nie powiadamia policji, dlatego czują się bezkarni. Jak wpadli na twojego szwagra?

Opowiedziałem mu o sprzedanym długu.

– To pic – skwitował dziennikarz. – Gość, który pożyczał mu kasę, musiał być ze Skargą w zмовie. Pewnie dostał dołę. Stara sztuczka ze sprzedanym długiem i niespłacalnymi odsetkami. Gdyby przestał płacić, odstrzeliliby go. W porę się zreflektował.

– Temu Domańskiemu można ufać?

– Nie słyszałem, by ktokolwiek się na nim zawiódł. Dowodzi jedną z najskuteczniejszych grup w Gdańsku.

– Chodzi mi o to, czy bandziory nie dowiedzą się o współpracy z policją? Twierdzą, że mają wtyki.

– Zawsze tak mówią. Zastraszony człowiek nie wie, co jest prawdą, a co blefem. Na wszelki wypadek więc woli nie ryzykować.

Pieniądze są lepem dla desperatów. Pożyczka nie jest wybawieniem, ale gwoździem do trumny. Gdyby tylko po oskubaniu zostawiali ofiary w spokoju... Wszystko wskazywało jednak na to, że nie odpuszczali do końca. Nie potrzebowali zdesperowanych świadków, a ktoś, kto nie ma już nic do stracenia, może stać się niebezpieczny.

– Wyciągną ich z tego? – spytałem.

– Mam nadzieję – odparł. – Ale łatwo nie będzie. Zobaczymy. Powiedz lepiej, co wyniuchałeś.

– Znalazłem Romea.

Karol uniósł w zdziwieniu brwi.

– Proszę, proszę, nasze szczenię dorasta. Opowiadaj.

– Właściwie cały czas mieliśmy go przed nosem, tylko zamiast zająć się kroniką, w nieskończoność mieliliśmy milicyjne protokoły. Według mnie Romeo to Piotr Stasiński, kolega z klasy Magdy i Ewy. W roku zaginięcia Kraśnik zwyciężył w konkursie poetycko-recytatorskim. Pasuje jak ulał.

– Jest szansa by go namierzyć?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Jeszcze nad tym nie myślałem.

Wydmuchiwany przez Karola dym wzmacniała unosząca się z ust para. Staliśmy na chodniku, obserwując nieliczne samochody. Zwykle w tym miejscu

panował tłok i korki, w świąteczny poranek większość ludzi jednak zajadała uroczyste śniadanie.

– Romeo może być kluczowym elementem zagadki – rozważał Zawada. – Według Ewy Rohosz Magda miała się z nim spotkać podczas balu. Prawdopodobnie nawet to zrobiła i mniej więcej wtedy została zabita.

– Według ciebie Stasiński jest mordercą? Przecież był w niej zakochany.

– Mogła go odtrącić. Może ochłonęła po początkowym zauroczeniu i doszła do wniosku, że ten związek nie ma przyszłości? On się wściekł i... stało się.

– Ewa twierdzi, że idąc na bal, była bardzo podniecona.

– Minęło ćwierć wieku... Człowiek czasem wmawia sobie wspomnienia.

– A Mech? To by znaczyło, że jest czysty i od początku się myliliśmy. W takim razie co znaczą te artykuły o zaginięciach? Czemu je zbierał?

Zawada postawił kołnierz, bo zaczęło zawiewać. Moja kurtka miała kaptur, który skutecznie osłaniał głowę przed mrozem. Papieros Karola dopalił się niemal do filtra. Dziennikarz przetwarzał otrzymane informacje. Najwyraźniej kreował kolejną teorię.

– A może Romeo wcale się z nią nie spotkał? – odezwał się po chwili. – Czekał w umówionym miejscu, ale Magda nie przyszła, bo wcześniej dopadł ją Mech. Albo lepiej, Stasiński mógł być świadkiem morderstwa. Widział, jak dyrektor zabija dziewczynę, i przeraził się. Dlatego do dziś siedzi cicho.

Znów zgadywanie, pomyślałem. Powinniśmy w końcu oprzeć się na solidnych dowodach, a do tego potrzebny będzie Stasiński. Chociażby po to, by na sto procent potwierdzić, że rzeczywiście był Romeem. Ale jak go zlokalizować?

– Wątpię, by w gminie cokolwiek wyjawili – myślał na głos Zawada. – Urzędasy jak na złość dość restrykcyjnie przestrzegają ustawy o ochronie danych osobowych. Trzeba by mieć duże chody, a niestety moja pajęczynka tam nie sięga. Ale szkoła powinna posiadać jakieś dane, w końcu to był ich uczeń. Spróbuj przeszukać archiwum.

Ania ze Stasiem wyszli z komendy po trzech godzinach. Obydwoje byli

bladzi jak papier. Okazało się, że ludzie którzy wyłudzały od nich pieniądze, to gang Skargi. Stasiu był drugą ofiarą, która przystała na współpracę z policją.

– Będę musiał ich wystawić – powiedział, gdy zbliżaliśmy się do samochodu. – Policja chce mieć nagrania. A jeśli coś się nie uda?

– Nie popadaj w defetyzm. – Staralem się podtrzymać go na duchu. – Zobaczysz, wszystko się dobrze skończy. Dostaniesz przecież ochronę.

Choć Ania ze Stasiem robili w portki ze strachu, był to strach przynoszący nadzieję. Gdzieś na końcu wyboistej drogi tliło się światełko wybawienia.

Podjęliśmy decyzję o czasowej przeprowadzce Ani z dziećmi do mamy. Stasiu po świętach będzie musiał wrócić do pracy, by nie wzbudzać podejrzeń. Siostra postanowiła wykorzystać zaległy urlop.

Czas pomiędzy świętami a Sylwestrem poświęciłem na bliższe poznanie siostrzenic. Nigdy wcześniej nie spędzaliśmy ze sobą więcej czasu ponad rutynowe obiady i świąteczne wizyty. Tym razem zabrałem dziewczyny do kina i na pizzę. Byłem zdziwiony, bowiem Kasia po zrzuceniu maski niedostępnej, zdzirowatej smarkuli okazała się inteligentną dziewczyną z klarownymi planami na przyszłość. Chciała po maturze dostać się na filologię angielską, by zostać tłumaczką i wyjechać za granicę; najlepiej do Stanów. Mogło się to podobać lub nie, ale przynajmniej był to jakiś konkretny plan. Niewiele dzieciaków w jej wieku myśli o przyszłości.

Sylwestra, a więc i moje imieniny, spędziliśmy spokojnie w domu; w noworoczne popołudnie Stasiu podrzucił mnie na dworzec PKS.

– Dziękuję za wszystko. – Uścisnął mi dłoń. – Jeśli się z tego wygrzebiemy, będę twoim dozgonnym dłużnikiem.

– Trzymam kciuki.

Wracając do Sławina, myślałem o Piotrze Stasińskim. Wyobrażałem sobie delikatnego chłopca zadurzonego w szkolnej bogini. Jedyne, czym mógł jej zaimponować, to wiersze. Spodziewał się, że zostaną tak dobrze przyjęte? Co się stało tamtego wieczoru? Jak go odnaleźć?

To pytanie nie dawało mi spokoju przez kolejnych kilka dni. W akcie desperacji udałem się nawet do Urzędu Gminy i kłamiąc jak najęty, próbowałem wyciągnąć informacje na temat mężczyzn o tym nazwisku i ich ewentualnych adresach. Oczywiście spotkałem się z odmową. Dowiedziałem się jedynie tyle, że Stasiński to dość popularne nazwisko i w samej gminie nosi je kilkadziesiąt osób. A nie miałem przecież pewności, że poszukiwany przeze mnie Piotr Stasiński mieszkał w tej gminie; mógł dojeżdżać do technikum z odległej miejscowości.

Jedno musiałem zrobić na pewno. Pod koniec tygodnia zadzwoniłem wieczorem do Ewy Rohosz.

– Ma pani chwilę? – spytałem, przedstawivszy się najpierw. Wydawała się nieco spłoszona.

– Tak, tak, chwileczkę. – Usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi. Najwidoczniej nadal skrzętnie ukrywała fakt naszego spotkania.

– Kojarzy pani Piotra Stasińskiego?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza trwająca kilka sekund.

– Nie – odpowiedziała.

– Chodził do waszej klasy. Jak może pani go nie pamiętać?

– Stasiński? – Wydawała się szczerze zdziwiona. – Naprawdę nie kojarzę nikogo takiego.

Byłem skołowany. Czyżby zaszła pomyłka? Ktoś niewłaściwie podpisał zdjęcie?

– Jest na fotografii, którą od pani dostałem. Taki niewysoki, z krzywą grzywką. Stoi nad Magdą.

Znowu kilkusekundowa pauza.

– Ach, może to ten nowy? – rzekła nagle. – Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Stasiński...? Chyba właśnie tak się nazywał. Przepraszam, nie skojarzyłam, całkowicie o nim zapomniałam.

– Co to znaczy, że był nowy?

– Przeniósł się do nas na początku czwartej klasy. Jego rodzina przeprowadziła się do Sławina, ale naprawdę nie wiem skąd. On był jakiś dziwny. Snuł się samotnie po korytarzach, nie miał żadnych znajomych. Ale generalnie go nie znałam, miałyśmy z Magdą własne towarzystwo.

– Czy słyszała pani, żeby uczestniczył w jakichś konkursach czy olimpiadach przedmiotowych?

– Nie.

– Miał w ogóle kolegów, znajomych?

– Trudno powiedzieć, nie interesowałam się nim. Zresztą nawet teraz nie do końca go kojarzę. Czwarta klasa była specyficzna. Każdy zajmował się sobą, swoim egzaminem i wybranymi przedmiotami. Może miał jakichś kolegów, ale ja o tym nic nie wiem. Dlaczego pan tak o niego wypytuje?

– Bez specjalnego powodu. – Nie chciałem zdradzać swoich ustaleń. – Staram się rozpracować wszystkich uczestników balu i o nim miałem najmniej informacji.

– Nic dziwnego. Tak szybko jak się pojawił, tak przepadł. Po skończeniu szkoły nigdy więcej go nie widziałam.

Po rozmowie z Ewą Stasiński jeszcze bardziej mnie zainteresował. Ze słów koleżanki Magdy wynikało, iż w ich klasie był duchem. Tak nazywam uczniów, którzy z różnych przyczyn nie potrafią się zasymilować z grupą. Duch to całkowite przeciwieństwo kapitana. To znów moje autorskie określenie. Niektórzy uczniowie mają dar przyciągania ludzi; robią to nieświadomie, lecz niezwykle skutecznie. W stworzonej naprędce grupie od razu rezerwują sobie pozycję lidera. Łatwo zaobserwować to podczas meczów piłki nożnej czy koszykówki: lider jest zawsze kapitanem drużyny i dyryguje innymi. W grupie kapitana nie ma miejsca dla ducha, zwłaszcza gdy ten drugi pojawia się wtedy, gdy karty zostały już dawno rozdane.

Stasiński pasował do roli ducha i Romea. Był też kluczowym elementem w układance prowadzącej do rozwiązania zagadki śmierci Magdy Kraśnik.

Jakiegokolwiek ustalenia dotyczące jego osoby były jednak bardzo trudne – dlatego uknułem plan.

– Chciałbym pokazać im, że przyłożenie się do nauki może być opłacalne – mówiłem, robiąc sobie kolację. Zofia siedziała przy stole w kuchni i jadła jogurt. Od kilkunastu minut kierowałem rozmową w ten sposób, by zadać pewne pytania i jednocześnie nie wzbudzić podejrzeń. Po śmierci Leopolda przyrzekłem nie mieszać się do przeszłości. – Wpadł mi do głowy pomysł – kontynuowałem. – Przeglądałem ostatnio kronikę szkoły i natknąłem się na wpis o laureacie konkursu poetycko-recytatorskiego. Fajnie byłoby dotrzeć do tego człowieka i sprawdzić, czy po skończeniu szkoły poszedł tą drogą. Może został pisarzem, dziennikarzem albo poetą. Zorganizowanie spotkania z absolwentem, który odniósł sukces, mogłoby dodać maruderom skrzydeł. Co o tym myślisz?

Zofia pokiwała głową.

– Pomysł dobry – odparła. – A o kogo chodzi?

– Piotr Stasiński – rzekłem. – Kojarzysz może?

Gospodyni zaprzeczyła po chwili namysłu.

– Szkoda – skwitowałem. – Pojawił się problem ze zlokalizowaniem go. Nie mam żadnych danych, adresu, nic. Myślisz, że w archiwum szkolnym mógłbym coś wygrzebać?

– Pewnie tak, ale musisz porozmawiać z Laurą Mech. Ona ma wszystko u siebie pod kluczem.

Tego się obawiałem. Mechowa na pewno nie kupi mojej historyjki o organizacji spotkania z niedoszłym poetą. Storpeduje każdą próbę taplania się w przeszłości.

– Masz rację. – Symulowałem zadowolenie. – Tak zrobię.

Potem rozmowa zeszła na temat Alicji. Zofia powiedziała mi, że stan zdrowia Wiesławy Maj pogorszył się po pogrzebie córki. Tydzień przed świętami kobieta została przewieziona do szpitala, gdzie leżała do Nowego Roku. Serce co rusz odmawiało posłuszeństwa, a leki, jakie ostatnio zażywała, poważnie

uszkodziły nerki. Najgorsza jednak była utrata chęci do życia.

– Ona chce umrzeć, Sylwek. Wszystko przestało się dla niej liczyć. Gdy znaleźli ciało Alicji, straciła wszelką nadzieję.

Ma przecież jeszcze syna, chciałem powiedzieć, ale ostatecznie się powstrzymałem. Jakie miałem prawo się oburzać czy udzielać świątłych rad wobec tak dotkliwej tragedii?

Było dość późno, gdy udałem się do swojego pokoju. Otworzyłem czekające od trzech dni piwo i opróżniwszy połowę butelki, zadzwoniłem do Zawady.

– Sam próbowałem zdziałać coś w Urzędzie Gminy przez znajomego w Starostwie Powiatu – tłumaczył Karol, gdy wyżaliłem się ze swoich niepowodzeń. – Naczelniczka w Sławinie to jednak sroga baba, a na dodatek służbistka i politycznie umocowana. Przed wyborami jest podwójnie ostrożna i trzyma cały wydział mocno za pysk. Wszystko musi mieć na papierze i odpowiednio umotywowane. Zdobycie dojścia przez niższe szczeble zajmie dużo czasu. Dowiedziałem się tylko tyle, że żaden Piotr Stasiński nie był nigdy zameldowany w Sławinie. Musiał dojeżdżać z okolic.

– Czyli dno.

– Niekoniecznie, jest jedno wyjście, bardzo proste.

Obawiałem się tego, co powie.

– Musisz się włamać – oznajmił ze spokojem. – Nie trzyma chyba tych papierów w żadnym sejfie.

Jezu, jeszcze nie otrząsnąłem się z traumy po szaleństwach w domu Mecha, a on wysyłał mnie na następny skok.

– Chyba żartujesz? – odparłem zdenerwowany. – Czy ja jestem fachowiec od włamów? Mam podejść pod gabinet z taranem?

– Spokojnie, to tylko sugestia, nikt cię do niczego nie zmusza. Zanim definitywnie odmówisz, sprawdź, jakie Mechowa ma zamki w drzwiach gabinetu.

Nie chciałem dłużej rozmawiać na temat tej szalonej propozycji, więc

szybko się rozłączyłem. Zawada nie rozumiał problemu. W dzień po szkole kręciło się mnóstwo ludzi, aktywność popołudniowa musiała być zgłaszana w sekretariacie, tak by było wiadomo, kto w budynku przebywa i w jakich godzinach. W dodatku wszystko monitorowały kamery. W jaki sposób jego zdaniem miałem się włamać niezauważony?

Nie przewidziałem tylko jednego: ścieżki losu. Ta wąska dróżka prowadząca nas przez życie w moim przypadku zdecydowanie kierowała mnie ku drzwiom gabinetu dyrektorki. Nie wiem, czy ktoś w niebiosach postanowił się zabawić, obserwując przemianę porządnego wydawałoby się nauczyciela w kryminalistę – w każdym razie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na tydzień przed końcem semestru pojawiła się idealna okazja, by spróbować niepostrzeżenie spenetrować szkolne archiwum.

38.

– Dostałem misję werbunku ludzi z gimnazjum – powiadomił mnie Andrzej po jednym z wtorkowych treningów. – Kilka osób z obsady technikum nieźle się struło na weselu u wspólnego znajomego. Przed studniówką nie staną na nogi, a brakuje ludzi do pilnowania dzieciaków. Po zeszłorocznej chryi dyrekcja jest szczególnie wrażliwa na utrzymanie porządku.

– Co się stało? – spytałem.

Andrzej chwycił się za głowę. Tamte wydarzenia wyraźnie zrobiły na nim wrażenie.

– Do budynku dostali się podpici goście z wiosek. Wybuchła awantura i bijatyka, mówię ci, koszmar. Skończyło się na interwencji policji i przerwaniu studniówki przed jedenastą. Teraz ma być inaczej, ale brakuje ludzi. Przyjdiesz?

– Ja?

– A co? Chodzi tylko o to, by mieć oczy otwarte i temperować chojraków. Wszyscy mają być na dole, góra zostanie wyłączona, bo jakby się rozleźli po całej szkole, to umarł w butach. Przy okazji nieźle sobie podjesz. Będzie fajnie, ja też idę. Błagam cię, stary, bo mnie powieszają.

I wtedy uzmysłowiłem sobie, że lepszej okazji na włam do gabinetu Laury mieć już nie będę. Skoro góra zostanie wyłączona, to prawdopodobieństwo

nakrycia mnie będzie minimalne. Poza tym w razie czego mogłem wytłumaczyć się rutynowym obchodem.

– Właściwie masz rację, zawsze to jakaś rozrywka.

– Super! – ucieszył się Andrzej. – Wpisuję cię na listę.

Tym razem świadomie pakowałem się w kłopoty. W przypadku domu Mecha decyzja o wejściu była spontaniczna, teraz działałem z premedytacją.

– Ale musisz coś dla mnie zrobić. – Starłem się wykorzystać sytuację.

– Co tylko chcesz.

Trochę się obawiałem dociekać, mając w pamięci jego nerwową reakcję na pytanie o Magdę, ale co miałem do stracenia?

– Pamiętasz Piotra Stasińskiego? To uczeń, który dołączył do was w maturalnej klasie? Co o nim wiesz?

Andrzej spojrzał na mnie nieufnie, więc przedstawiłem mu czym prędzej tę samą wymyśloną koncepcję co Zofii. Rozluźnił się.

– Uważasz, że mógł zrobić karierę? – zapytał. – No... może, ale kojarzę go jak przez mgłę. Właściwie, gdybyś mi nie przypomniał, w ogóle bym o nim nie pamiętał. Rzeczywiście był taki jeden, co miał szmergla na punkcie *Pana Tadeusza*. Przemknął przez ten ostatni rok praktycznie niezauważony. Polonistka, świętej już pamięci pani Dworska, była wniebowzięta, ale dla reszty Piotr był dziwakiem.

– Wiesz, skąd przyjechał? Gdzie mieszkał?

– Niestety nie. Zamieniłem z nim przez ten rok zaledwie kilka zdań. Nie mam pojęcia, co się z nim stało po szkole. Ale jeśli chcesz prawdziwą gwiazdę, to mogę dać ci namiar na brata jednego z naszych absolwentów Jacka Marcza. Swego czasu Marczak był piłkarzem Lechii, Legii i Śląska Wrocław, a teraz jest przymierzany na trenera Widzewa. To może zaciekać dzieciaki.

Udałem zainteresowanie. Podekscytowany Andrzej obiecał dostarczyć w poniedziałek numer telefonu do brata Jacka Marcza. W ten sposób zwałem

sobie na głowę zadanie wykręcenia się z organizacji spotkania z piłkarskim gwiazdorem.

Pod koniec dnia, gdy na parkingu nie było już samochodu Laury, wszedłem na piętro. Idąc powoli korytarzem, rozglądałem się dyskretnie. Interesowały mnie głównie kamery. Przyjrzałem się dokładnie – w tej części szkoły nie zainstalowano monitoringu. Gmach był zbyt wielki, by objąć wszystkie jego zakątki obserwacją. Wyjąłem telefon i podszedłem do drzwi gabinetu wicedyrektor. Udawałem, że z kimś rozmawiam. W rzeczywistości przyglądałem się zamkowi. Był to zwykły pojedynczy „patent”. Jeszcze raz się rozejrzałem, po czym zbliżyłem telefon do zamka i zrobiłem zdjęcie. Dla pewności powtórzyłem operację.

Pod wieczór wysłałem Zawadzie MMS z fotografiami.

- To betka, łatwiejszego zamka nie znajdziesz – skomentował.
- Co z tego. Nigdy nie otwierałem bez klucza żadnego zamka – zirytowałem się. – Myślisz, że byłem szkolony w akademii sztuk złodziejskich?
- Jutro się spotkamy, to ci powiem, co i jak. O której kończysz?
- O czternastej.
- Dobrze, w takim razie o drugiej będę czekał na przystanku PKS.

Nie miałem pomysłu na rozszyfrowanie określenia „co i jak”, ale nie przypadło mi ono do gustu. Obawiałem się, że podobne akcje nie są dla Zawady nowością.

Nazajutrz, gdy wracałem po pracy do domu, zielony suzuki stał już na przystanku. Wgniecenie na tylnych prawych drzwiach nadal kłuło w oczy.

– Coś może pójść nie tak, a wtedy leżę na całej linii – powiedziałem, gdy już wsiadłem do auta i przywitałem się z Zawadą.

– Musisz wybrać taką chwilę, gdy wszyscy będą zajęci na dole. Pewnie mają jakiś żelazny punkt programu, który z reguły skupia uwagę obecnych. – Karol mógł się mądrzyć, bo to nie on ryzykował karierą. – Tym otworzysz drzwi. – Wyjął

z kieszeni podłużny przedmiot, który wyglądał jak klucz. Z górnej i dolnej części trzonka wystawały cienkie laseczki drutu. Zawada manewrował umieszczonym z boku suwakiem, a drut chował się i wysuwał. – To tak zwany „szybki kluczyk”. Narzędzie proste i skuteczne. Zbliżasz go do dziurki, wysuwasz druciki i kręcisz delikatnie zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Gdy usłyszysz, że zapadka się odblokowuje, wtedy maksymalnie przyciskasz i przekręcasz.

– Używałeś już tego? – spytałem zaciekawiony.

– Czasem musiałem sobie radzić w niekonwencjonalny sposób. Ale zajmijmy się naszą sprawą. Twoja gospodyni jest teraz w domu?

– Zofia czwartkowe popołudnia zawsze spędza w kościele.

– Świetnie – ucieszył się Karol. – Jedziemy poćwiczyć.

Dziesięć minut później stałem pod drzwiami domu Zofii, próbując wykorzystać otrzymany rekwizyt. Zamek był podobny do tego w gabinecie Laury.

– Delikatniej – instruował Zawada. – Najpierw musisz ustalić odpowiednie położenia, a dopiero potem wysunąć druty.

Po czterdziestu minutach prawie mi się udało. Moim problemem była zbyt późna reakcja na odblokowanie zapadki. Po usłyszeniu metalicznego „stuk” powinienem niezwłocznie naprzeć na zamek. Dwadzieścia minut później odniosłem pierwszy sukces. W ciągu następnych trzydziestu minut powtórzyłem go jeszcze dwa razy.

– Masz na trening prawie dwa dni – podsumował Zawada. – Dobrze ci idzie.

Nie wiem, czy mówił szczerze, czy też chciał mnie tylko pocieszyć, ale poczułem się pewniej. Spojrzałem na zegarek. Zofia miała niebawem wrócić do domu; wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy kawałek.

– Weź to, przyda ci się. – Wręczył mi małą latarkę na jedną baterię typu paluszek. – Schowasz ją łatwo w kieszeni.

– Dzięki – odparłem. – Trzymaj za mnie kciuki. Zadzwoń zaraz po akcji.

Akcja... Boże, to brzmiało jak operacja oddziału komandosów, a ja nawet

w wojsku nie byłem.

W piątek dostałem od Andrzeja rozpiskę przewidzianych punktów studniówki. Impreza rozpoczynała się o osiemnastej. Po poczęstunku w klasach uczniowie zbiorą się w auli, gdzie przywita ich dyrektor. Potem – obowiązkowy polonez. Po zakończeniu tej części rozpocznie się zabawa. W sumie do tańca miały grać dwa zespoły. Około jedenastej przewidziano drugą odsłonę części oficjalnej. Do auli wjedzie tort, a przedstawiciele samorządu uczniowskiego podzielą go pomiędzy wychowawców klas, dyrekcję i pozostałych nauczycieli. Dyrektor wygłosi przemowę i będzie życzył wszystkim powodzenia na egzaminie dojrzałości. Potem nastąpi mini spektakl przygotowany przez uczniów. O dwunastej znów ruszy zabawa na parkiecie i potrwa do drugiej w nocy. Na tę godzinę przewidziano zakończenie studniówki.

Z mojego punktu widzenia najlepszym momentem na urwanie się na piętro była oficjalna część pomiędzy jedenastą a północą. W tłoku i zamieszaniu na auli nikt nie powinien zauważyć zniknięcia jednego, w sumie mało znanego nauczyciela.

Zaznaczyłem ten punkt gwiazdką na rozpisce Andrzeja. Przejście z auli pod gabinet Mechowej zajmie około pięciu, może siedmiu minut. Aby dostać się z poziomu technikum do gimnazjum, musiałem pokonać przeszkłone drzwi, które zwykle są zamknięte. Na szczęście kilkoro nauczycieli pracowało w obu częściach budynku, toteż klucz do drzwi był ogólnodostępny i leżał w pokoju nauczycielskim. Dyskretnie pożyczyłem go sobie rano. Na otwarcie wrót gabinetu dałem sobie kwadrans, co znaczyło, iż na dotarcie do danych o Piotrze Stasińskim będę miał pół godziny. Powinno wystarczyć.

W dzień studniówki wbiłem się w świeżo odprasowany garnitur. Zofia, widząc mnie tak odzianego, gwizdnęła.

– Wyglądasz jak prawdziwy angielski dżentelmen. Sama z chęcią zarezerwowałabym kilka tańców.

– Pamiętaj, że idę tam służbowo. Nie ja będę się bawić.

Weszliśmy do kuchni. Moja gospodyni zalała kubek wrzątkiem, tworząc w nim brązową breję.

– Młodzi świętują, a starsze panie idą pod kocyk popijać ziółka. Miłego wieczoru.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę o tym, co się może wydarzyć na studniówce, po czym pożegnaliśmy się i wyszedłem z domu. Idąc w kierunku szkoły, wykonałem telefon do siostry. Mniej więcej w połowie drogi zasięg był na tyle dobry, bym mógł chwilę porozmawiać.

– I jak?

– Dzwonili dziś do niego – odparła Ania drżącym głosem. – Na jutro Stasiu ma przygotować sto tysięcy albo rozwałą mu łeb. Potem zabiorą się za nas. Boże, Sylwek, jak ja się boję.

– Spokojnie, przecież policja go obstawia – pocieszałem siostrę, choć sam miałem mnóstwo obaw. – Pomyśl, jutro może być po wszystkim. Będziecie wolni. Żadnego zastraszania, koniec pobić i wyłudzeń.

– Mogą się mścić.

– Na pewno dostaniecie ochronę. Poza tym to jedyne sensowne wyjście z sytuacji.

Przyznała mi rację, choć wyczuwałem ogromny lęk. Umówiliśmy się na kontakt w niedzielny wieczór.

Wchodząc po schodach, dostrzegłem gromadzącą się pod szkołą, odświętnie ubraną młodzież. Śmiali się, byli w znakomitych nastrojach. Trudno się dziwić, czekała ich wyśmienita zabawa. Zastanawiałem się, czy tak samo wyglądała podobna impreza ćwierć wieku temu. Gdzieś tu krążyli tajemniczy wielbiciel, szkolna piękność, zawiedziony były chłopak i dyrektor o podejrzanych zamiarach? Na czyich rękach była krew Magdy?

Powolnym krokiem wszedłem do budynku.

Andrzej poinstruował mnie o obowiązkach studniówkowego ochroniarza. Przede wszystkim miałem pilnować, by nikt nie wchodził schodami na piętro. Co

prawda przejścia były zagrodzone krzesłami i taśmą, to jednak nie stanowiło żadnej przeszkody dla żadnej przygód młodzieży. Poza tym czekała mnie nudna krzątania i niwelowanie głupich zachowań nakręconych maturzystów.

Wieczór był dość spokojny. Przywitania i polonez minęły bez problemów. Orkiestra zaczęła grać skoczne rytmy i rozpoczęła się zabawa.

Dzieciaki krążyły nieustannie pomiędzy parkietem a klasami, gdzie mieli jedzenie i picie przygotowane przez rodziców ochotników. Przemierzałem korytarze, zaglądając co jakiś czas do sali nauczycielskiej, by porwać kanapkę, kawałek ciasta lub sałatkę. Opychałem się jak niedźwiedź na zimę.

Im było bliżej jedenastej, tym większe czułem podenerwowanie. Dziesiątki razy sprawdzałem, czy latarka i szybki klucz są w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Za pięć jedenasta uczniowie i nauczyciele zaczęli zbierać się w auli. W oddali przemknęła mi Laura Mech. Gdyby tylko wiedziała, co kombinowałem.

Zaglądnałem do każdej z klas w poszukiwaniu cwaniaków, którzy chcieli się wykręcić od godzinnego sterczenia przed gronem nauczycielskim.

Dziesięć po jedenastej wszyscy znaleźli się w największym pomieszczeniu w szkole. Aula pękała w szwach. Na podwyższenie wszedł dyrektor; ubrany w jasnobezowy garnitur przypominał starogrecką rzeźbę zafrasowanego filozofa. Spoglądał z góry na ocean głów ślepo wpatrzonych w niego wyznawców. Podejrzywałem, że tak właśnie to widział.

Celowo opóźniałem swoje przyjście, by stanąć na samym końcu. Gdy rozpoczął przemowę, dyskretnie się wycofałem. Nauczyciele stali z przodu, nikt więc nie zwrócił na mnie uwagi. Szybkim krokiem doszedłem do pierwszych schodów.

– ...ten czas się już kończy – mówił Mech. Jego głos wzmocniony głośnikami rozchodził się po całym budynku. – Czeka was najtrudniejsza próba, od niej zależeć będzie przyszłość. Jestem pewien...

Odsunąłem krzesło i zanurkowałem pod taśmą. Jeszcze byłem bezpieczny. W razie czego mogłem powiedzieć, że idę sprawdzić piętro. Wyjąłem latarkę. Nie ryzykowałem włączenia światła na korytarzu. Na szczęście przez okna wpadał

blask latarni.

– ...i liczę, że nie porzucicie nauki. Wkroczyliście w najlepszy wiek, nie zmarnujcie młodzięcych pasji i zainteresowań. Idźcie za ciosem...

Łatwo powiedzieć, pomyślałem, zbliżając się do drzwi stanowiących granicę pomiędzy technikum a gimnazjum. Mieszkałem w Sławinie wystarczająco długo, by się przekonać, że trzy czwarte osób kończących szkołę w ogóle nie myśli o studiach. Nawet jeśli mają dobre wyniki w nauce, to dla ich rodzin barierą nie do przejścia są finanse.

Wyjąłem klucz i otworzyłem drzwi. Teraz droga do gabinetu Laury stała przede mną otworem.

– Szkoła była dla was domem i zarówno ja, jak i całe grono pedagogiczne staraliśmy się, by był to dom bezpieczny oraz szczęśliwy. Życzę wszystkim powodzenia...

Szedłem wąskim przesmykiem, gdzie było o wiele ciemniej.

– ...na egzaminie...

To było jak wielotonowy ciężar zwalający się na kruche istnienie. Ból rozlał się po całym ciele. Sparaliżował czaszkę i kręgosłup. Nie potrafiłem stwierdzić, co się ze mną dzieje. Dopiero gdy spadło drugie uderzenie, dotarła do mnie przerażająca prawda.

W końcu mu się udało.

– ...doj...rzaaaaa...łłł...ooooo...

Słowa z głośnika krążące wokół rozlewały się leniwie, świat tańczył nakręcony diabelskim zegarem. Napastnik uderzył po raz trzeci, taką prawdę przynajmniej oznajmiały rozregulowane zmysły, ale to runięcie na podłogę, a nie... – łom? – wywołały szokową reakcję organizmu.

Kroki. Słyszałem je. Czułem ciepłą krew. Była wszędzie, lepiała się do rąk i twarzy.

Nie mogłem się ruszyć, nie umiałem wstać. Czołgałem się. Dostrzegłem

cień. Kręcił się jak na karuzeli, a wokół wybuchały miliardy barw. Unosił łom, by mnie zabić. Oto kres niewykorzystanego życia. Unieruchomiony czekałem na cios. Gdy jedynym doznaniem okazała się wszechobecna jasność, z ulgą przyjąłem swój koniec.

39.

Na krześle siedział tata. Nie mogłem się na niego napatrzeć. Postarzał się. Był zmęczonym człowiekiem z siwą, mocno przerzedzoną czupryną i zmarszczkami na twarzy, ale to był on. Na pewno.

– Gdzie byłeś? – spytałem. – Czekaliśmy na ciebie tyle czasu.

Nie odpowiadał. Po chwili wyszeptał coś niezrozumiale i podał mi podłużne pudełko. W środku znajdował się czerwony wóz strażacki. A więc dotrzymał obietnicy...

Przymknąłem powieki. Gdy je uniosłem, ojca już nie było.

– Tato! – chciałem zawołać, ale z gardła wyrwał się cichy pisk.

Znów byłem sam w pokoju na Morenie. Z innych pomieszczeń dochodziły głosy, tak mi się przynajmniej wydawało. Czemu się ukrywali?

Nie wiedzieć kiedy na krześle zajmowanym przed chwilą przez ojca zasiadła Ewelina. Na rękach trzymała dziecko, tuląc je do piersi.

– Teraz będziemy rodziną – rzekła. – Szczęśliwą i kochającą. Chcesz tego?

Tak, chciałem odpowiedzieć, najbardziej na świecie. Ale i ona się roz płynęła.

Tym, co mnie przerażało, był mrok. Zalewał ukształtowane obrazy i zakrzywiał rzeczywistość. Oblepiony czarną mazią czułem strach. W tym mroku kryło się coś nieznanego i wrogiego.

Ciemność co jakiś czas odpływała i pozwalała wcisnąć się światłu.

Gdy zobaczyłem mamę, sądziłem, że jest kolejnym z gości nawiedzających mój pokój, ale tym razem było jakoś inaczej. Jasność kłuła w oczy, ból wywołany

poruszeniem się drenował mózg.

– Sylwek, Sylwuś, to ja, mama. Widzisz mnie?

Widziałem, choć miałem trudności z wypowiedzeniem jakichkolwiek słów. Naszło mnie zmęczenie. Musiałem się przespać.

Gdy ocknąłem się po raz kolejny, dostrzegłem Anię. Stała z mamą w rogu jasnego pomieszczenia. Podeszły do mnie i coś mówiły. Obok znajdował się mężczyzna w białym fartuchu, zadawał te same pytania. Nie wiem, czego chcieli. Mogłem tylko na nich patrzeć.

Po następnym przebudzeniu zdałem sobie sprawę, że znajduję się w szpitalu. Zacząłem przyswajać bodźce świata zewnętrznego. Nie pamiętałem, w jaki sposób tam trafiłem. Gdy zdołałem spytać o to mamę, powiedziała coś o wypadku. To mi wystarczało, nie miałem sił, by dociekać szczegółów.

Dużo spałem.

Blisko trzy tygodnie znajdowałem się w śpiączce farmakologicznej. Po badaniach i usunięciu krwiaka mózgu oczekiwano na pozytywną reakcję organizmu. Początkowe rokowania nie były najlepsze. Lekarze obawiali się uszkodzenia nerwu rdzeniowego i paraliżu. Niewiele brakowało, bym resztę życia spędził na wózku.

Pracownicy szpitala przychodzili, robili badania, wywozili mnie gdzieś na prześwietlenia. Pierwsze dni po odzyskaniu świadomości przetrwałem w całkowitym otępieniu. Musiałem być nieźle naszprycowany lekami, bowiem świat przepływał przed moimi oczami w zwolnionym tempie, pozostawiając mnie gdzieś na uboczu.

Po paru dniach odzyskałem jasność umysłu i pojawił się ból.

– Niestety ból będzie panu przez jakiś czas dokuczać – wytłumaczył lekarz. Miał około pięćdziesiątki i widziałem go przy swoim łóżku najczęściej. Dowiedziałem się, że leżę w szpitalu w Kościerzynie. – I tak miał pan sporo szczęścia.

Lekarz wyjawiał mi prawdę o napadzie. Nie byłem zaskoczony. Gdzieś zza grubej skorupy dochodziły do mnie stłumione przebłyski; mężczyzna je tylko potwierdził. Niemniej nie pamiętałem tamtego dnia, podobnie jak wielu wcześniejszych. Umysł jakby za dotknięciem guzika zrobił pstryk i wygasił kanały związane z ostatnimi miesiącami.

Po tygodniu przenieśli mnie do innej sali. Leżałem razem z dwoma cichymi starszymi panami. Nie należeli do gadatliwych typów, co mi odpowiadało. Wtedy też pojawiła się policja. Wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i średniej budowy szatynka. Oczekiwali ode mnie zeznań, ale musiałem ich rozczarować.

– To jak czarna dziura. Nic, pustka – mówiłem. – Co się właściwie stało?

Policjanci spojrzeli po sobie. Tym razem odezwała się kobieta.

– Został pan uderzony ciężkim narzędziem. To się wydarzyło w szkole, podczas studniówki. Uczniowie znaleźli pana w kałuży krwi. Miał pan jakiś wrogów? Zalażł pan komuś za skórę?

Próbowałem, naprawdę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Kojarzy pan ucznia o nazwisku Wilczyński? – wtrącił się mężczyzna. – Podobno byliście w ostrym konflikcie, wyleciał przez pana ze szkoły.

Gdy powiedział o Wilczyńskim, coś sobie przypomniałem. Awantura w gabinecie Laury...

Gabinet Laury. Gabinet.

– Coś mi świta – odparłem. – Rzeczywiście mieliśmy na pieńku.

Mężczyzna skrętnie notował. Potem wyszli. Stracili zapewne nadzieję na wyciągnięcie ze mnie większej ilości faktów.

Od chwili przeniesienia do ogólnej sali niemal codziennie ktoś mnie odwiedzał. Kilka razy przysłała Zofia. Mama wraz z siostrą od paru tygodni mieszkały u niej w moim pokoiku. Co dzień były w szpitalu.

– Mogą tam zostać, jak długo będzie potrzeba – zapewniła mnie moja

gospodyni. – Dzięki Bogu, jakoś z tego wychodzisz.

Pojawił się też Andrzej, wraz z resztą drużyny Gromu Sławino. Gdy ich zobaczyłem, przykrywająca wspomnienia mgła poczęła się rozrzedzać. W jednej chwili przypomniałem sobie treningi, mecze, moje akcje i gole. To dawało nadzieję, że i reszta wspomnień powróci.

Pewnej niedzieli przyszła Ania ze Stasiem. Szwagier trzymał zagipsowaną prawą rękę na temblaku. Uśmiechnął się, siadając przy łóżku.

– Cześć – powiedział.

– Co ci się stało ? – spytałem zaskoczony.

Stasiu spojrzał wymownie na siostrę. Ta kiwnęła głową.

– Postrzelili mnie – odparł.

– Co? – Nagle i ten kanał wspomnień został udrożniony. Grupa Skargi, pieniądze, policyjna zasadzka. Boże, to przecież wydarzyło się niemal miesiąc temu!

Było mi głupio. Od kilku tygodni wszyscy zajmowali się mną, a tak naprawdę to Ania z mężem mieli prawdziwe kłopoty.

– Przyszli do sklepu po pieniądze i jak zawsze okazało się, że dług nie został do końca spłacony. – Stasiu referował zdarzenia z policyjnej akcji. – Stojąc tam z pistoletem przyłożonym do głowy, byłem pewien, że to koniec. Policja też tak pomyślała, bo natychmiast weszli i rozpętała się strzelanina. Nie zdążyłem zanurkować pod ladę i dostałem w ramię.

– A co z gangiem?

– Jeden z łysoli został zastrzelony. Resztę zgarnęła policja. Siedzą razem ze Skargą w areszcie, ale to dopiero początek drogi. Przed nami proces, zeznania. To wszystko będzie się jeszcze ciągnąć.

Odetchnąłem. Przynajmniej w tym temacie trochę się uspokoiło.

Ania wystawiła ich dotychczasowe mieszkanie na sprzedaż. Było zadłużone,

więc większość uzyskanych pieniędzy pójdzie na spłatę kredytu. To, co zostanie, chcieli przeznaczyć na rozpoczęcie nowego życia.

– Wiesz co? Podoba mi się tutaj – ciągnął Stasiu. – W twoim Sławinie przespałem wreszcie spokojnie kilka nocy, to świetne miejsce. Za mieszkanie w Trójmieście można kupić tam niewielki domek z działką. W sam raz na nowy start.

Snuł plany. To duży postęp. Zaczynałem przekonywać się do pomysłu sprzedaży mieszkania mamy i kupienia wspólnego domu za miastem.

Pod koniec piątego tygodnia pobytu w szpitalu, do sali wkroczył Zawada. Gdy go zobaczyłem, mętlik w głowie przybrał rozmiary trąby powietrznej. Nie mogłem spokojnie zebrać myśli.

– Nie powiesz chyba, że mnie nie pamiętasz? – spytał, gdy wpatrywałem się w niego wytrzeszczonymi oczami. Przypomniałem sobie spotkanie w meksykańskiej restauracji. Potem samochód i błyski. Świat zalewały fale białego światła, ale to wszystko.

– Nie przejmuj się – pocieszał. – Jeszcze zatęsknisz za błogą niewiedzą.

Wyraźnie się wzbraniał z wyjawieniem prawdy, gdy dopytywałem go o wydarzenia ze szkoły. Jak tylko mógł, zmieniał temat.

– Co teraz zrobisz? – spytał. – Nie wrócisz chyba do szkoły?

Nie miałem sprecyzowanych planów. Prawdę powiedziawszy, nie zastanawiałem się nad tym, co będzie, gdy wyjdę ze szpitala.

– Jeśli miałbym coś doradzić, to wynajmij dobrego prawnika, najlepiej specjalistę od odszkodowań – rzekł. – Według mnie za taki uszczerbek na zdrowiu i to w miejscu pracy powinieneś wyciągnąć co najmniej dwieście tysięcy. Firma ubezpieczeniowa na pewno będzie się migać i zaniżać wypłatę, dlatego potrzebujesz fachowca.

Wyszedł po godzinnej pogawędce. Wzbudził we mnie emocje, ale nie do końca wiedziałem, czym były powodowane.

Gdy wyszedłem ze szpitala, kończył się luty. Ania ze Stasiem przyjechali po mnie do Kościerzyny; Stamtąd pojechaliśmy do Sławina po rzeczy. Zofia z zaczerwienionymi oczami patrzyła, jak się pakuję.

– Znowu zostaję sama – skwitowała ze smutkiem. – Przyzwyczyłam się do twojego towarzystwa.

Uściskaliśmy się serdecznie, a ja obiecałem ją odwiedzić. Zanim ruszyliśmy do Gdańska, miałem jeszcze do załatwienia sprawę w szkole. Laurę zastałem w gabinecie. Wręczyłem jej zwolnienie lekarskie.

– To raczej definitywnie kończy naszą współpracę – powiedziała. – Chyba pamięta pan umowę? – Przytaknąłem. Tego akurat umysł nie wymazał z rejestru. – Może pan wierzyć lub nie, ale przykro mi, że stało się to w takich okolicznościach. Mam nadzieję, że policja złapie tego drania. Życzę powodzenia. Pewnie spotkamy się jeszcze pod koniec roku, by dopełnić formalności. Udało nam się nakłonić panią Warmińską na powrót do końca roku. Pana klasy będą miały zastępstwo.

Warmińska oznaczała spoczęcie na laurach. Mój kilkumiesięczny trud zapewne dość szybko zostanie zmarnowany.

U mamy zająłem swój dawny pokój. Jako że gnieździliśmy się na sześćdziesięciu metrach w szóstkę, ścisk był niemiłosierny. Poczucie stanu wyjątkowego nie dopuszczało jednak narzekania i marudzenia.

Przełom nastąpił kilka dni później, gdy dowiedziałem się o aresztowaniu Wilczyńskiego. Oficer, który odwiedził mnie w szpitalu, zadzwonił na komórkę i powiadomił o odnalezieniu w kontenerze na śmieci w domu Wilczyńskich zakrwawionej bluzy i rękawiczek. Po ekspertyzie okazało się, że to moja krew. Chłopak się wypierał, ale nie miał alibi, a wiele osób potwierdziło, że rzucał groźby pod moim adresem. Poczulem ulgę. To aresztowanie stanowiło kłamrę zamykającą sprawę.

Byłem w błędzie.

Nieświadomość ulotniła się trzy tygodnie później. Tej nocy zobaczyłem we

śnie trupie, białe oczy i usta rozwarte w niemym krzyku. Samotna dziewczyna zakończyła swe życie na pustej, zimnej wyspie. Patrzała na mnie i mówiła: „Spóźniłeś się. A teraz o mnie zapomniawsz”.

Gdy rozwarłem powieki, wiedziałem już wszystko. Wspomnienia jakby na ten sam pstryk, który nakazał im banicję, wróciły na właściwe miejsce. Alicja, Magda Kraśnik i Piotr Stasiński. Znów byli realni i tajemniczy. No i napastnik. Ostatecznie przypieczętował triumf. Nie wiem, czy chciał mnie zabić, czy tylko skutecznie usunąć. W każdym razie udało mu się.

40.

Setki razy odtwarzałem zdarzenia ze Sławina. Cały czas liczyłem na kolejną odsłonę, jeszcze jeden zapomniany szczegół. Napastnik najwyraźniej na mnie czekał przy gabinecie Laury. Skąd wiedział o akcji?

W domu nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Ania chodziła do pracy, Stasiu coś w kółko załatwiał, dziewczyny były w szkole. Czas, który zwykle spędzałem w szkole, teraz musiałem jakoś zagospodarować. Zabrałem się za analizowanie akt z teczki, ale utknąłem w martwym punkcie. W pojedynkę nie miałem szans na rozpracowanie zagadki. Chciałem zaprząć do pomocy Zawadę, lecz musiał nadrobić zaległości w redakcji. Poza tym, jak tłumaczył, wydawnictwo zmieniło właściciela i wszyscy bali się nowej miotły. W końcu jednak udało nam się umówić. Spotkaliśmy się w McDonalddie na dworcu PKP w Gdańsku.

– Już cię spisałem na straty – rzekł, witając się ze mną.

– Nie tak szybko – odparłem.

Usiedliśmy za stołem. Jadłem frytki, Karol popijał colę przez słomkę.

– To było jak błysk – powiedziałem po chwili. – Pstryk i nagle wszystko powróciło.

– Ludzki umysł to skomplikowana maszyna. W sumie miałeś fart. Jesteś cały i w niezłej formie.

– Ale dalej nie wiem nic o Piotrze Stasińskim. Komuś bardzo zależało, bym nie wygrzebał niczego z archiwum.

Zawada pociągnął długi łyk coli.

– Myślałem o tym – rzekł. – Moglibyśmy spróbować progresji wiekowej. – Nie miałem pojęcia, o czym gada. Karol wyczuł moje zdziwienie i zaczął tłumaczyć: – To technika kryminalistyczna pozwalająca postarzać zdjęcia ludzi, by zobaczyć, jak wyglądaliby kilkanaście lub kilkadziesiąt lat później. Stosuje się ją głównie wobec osób zaginionych. W zeszłym roku zrobiliśmy w Donosicielu dwie kolumny z tak obrobionymi zdjęciami osób, które zaginęły wiele lat temu. I był odzew. Mamy zdjęcie Stasińskiego z osiemdziesiątego piątego, można spróbować postarzyć go o dwadzieścia pięć lat.

Interesująca koncepcja, ale nie widziałem w niej większego sensu. Fakt posiadania aktualnego zdjęcia Stasińskiego nie rozwiązywał problemu jego odnalezienia. Gdy wyraziłem swoje wątpliwości, Zawada wyjawiał mi szczegóły swego pomysłu:

– Posiadając aktualną podobiznę, można za pomocą specjalnego programu komputerowego przeszukać internet. Automat wychwytyje z sieci podobne obrazy i je porównuje. Możesz w filtrze wyszukiwania określić procent podobieństwa. Firmy i agencje reklamowe stosują to narzędzie głównie do demaskowania plagiatów albo szukania piratów wykorzystujących zdjęcia z zastrzeżonymi prawami autorskimi.

– Zakładamy więc, że Stasiński na przestrzeni lat zamieścił jakieś swoje zdjęcie w sieci – podsumowałem.

– Właściwie tak, ale równie dobrze fotka mogła się tam znaleźć bez jego wiedzy. Na przykład znajomy lub ktoś z rodziny umieścił zdjęcie ze wspólnych wakacji na swoim profilu na Facebooku lub Naszej Klasie. Może rzeczywiście został poetą lub pisarzem, wtedy będzie łatwiej. Co prawda Google nie wyrzuca wyników łączących Piotra Stasińskiego z jakąkolwiek sztuką, ale mógł zmienić nazwisko albo działa pod pseudonimem.

Tak, to miało sens. Zwłaszcza wobec braku innych pomysłów.

Zawada zapisał mi na serwetce adres.

– Dziś pogadam z Zenkiem. Wiesz, tym który podrasował nam nagranie ze szkoły. Powinien się z tym uwinąć dość szybko. Umówię was.

Pracownia komputerowego fachury mieściła się na Chełmie. Karol miał wieczorem dać znać co do terminu spotkania.

– Cieszę się, że wydobrzałeś – powiedział mi na odchodne. – Nawet nie wiesz, jakie miałem wyrzuty sumienia. W końcu to ja namówiłem cię na to włamanie.

– I tak w końcu bym poszedł. Nie umiałbym się powstrzymać.

Karol zadzwonił zgodnie z obietnicą: umówił mnie z Zenkiem na jutro o jedenastej.

Na Chełm podjechałem autobusem. Szybko znalazłem właściwy numer domu na ulicy Dragana. Nasz komputerowy mistrz nazywał się Kazimierski i mieszkał na drugiej kondygnacji czteropiętrowego bloku. Gdy wpuścił mnie do domu, od razu zorientowałem się, że jest kawalerem. Długa broda, wydatny brzuch, przekrzywione okulary w grubych oprawkach i poplamiony podkoszulek zalatujący potem – tego żadna normalna kobieta by nie tolerowała. Do tego dochodził wszechobecny bałagan.

– Piwka? – zaproponował, zanim zdążyłem pokonać ciemny, wąski korytarz i wejść do pokoju, który zazwyczaj nazywany jest pokojem dziennym lub salonem.

– Nie, dziękuję – odparłem, wzdrygając się na samą myśl o tak wczesnym piciu alkoholu.

Zenek wskazał mi miejsce na kanapie. Po odgarnięciu gazet, czegoś przypominającego skarpetę i papierów znalazłem dla siebie kącik. Gospodarz klapnął obok, nie zwracając uwagi na śmieci. Na stoliku przed nami rozłożył komputer z siedemnastocalowym monitorem. Obok postawił szklanę z piwem.

– Zatem szukamy zdjęcia, tak? – ni to stwierdził, ni zapytał. – Poproszę o materiał.

Podąłem mu płytę z fotografią Piotra Stasińskiego zawartą w kronice szkolnej oraz zeskanowanym zdjęciem klasowym podarowanym przez Ewę Rohosz.

Zenek otworzył oba pliki.

– To wszystko? – spytał zawiedziony.

– Tak.

– No to mamy problem. Do progresji wiekowej potrzeba więcej danych, inaczej strzelamy na ślepo. Aby określić cechy dominujące, które prawdopodobnie zaważą na wyglądzie za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, powinienem mieć zdjęcia jego rodziców, ewentualnie rodzeństwa. Ideałem byłaby fotografia rodziców w wieku, w jakim znajduje się obecnie poszukiwany.

– To niemożliwe – odparłem. – Czy to oznacza, że nic się nie da zrobić?

Zenek milczał i klikał w klawiaturę. Był wyraźnie w swoim żywiole. Biorąc pod uwagę stan jego mieszkania, już dawno wybrał dla siebie właściwy świat.

– Zrobię, co się da, ale procent zgodności będzie niższy – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu. – Karol zlecał mi kiedyś podobną robotę dla Donosiciela. Wtedy się udało. Przygotuję kilka wersji postarzenia, a później wrzucimy do Lusterka.

– Lusterka?

– Tak nazwałem swój program. Żle?

Zapewniłem, że Lusterko brzmi wspaniale. Siedziałem przy nim, obserwując niezrozumiałe dla siebie wykresy. Po kilkunastu minutach Zenek miał mnie dość.

– Wiesz, nie lubię, jak ktoś zagląda mi przez ramię. Podaj swój adres mailowy, prześlę ci wyniki.

Na taką prośbę grzecznie opuściłem królestwo wirtualnego guru. Wolałem się nie domyślać, w jaki sposób Zawada rozlicza się z nim za zlecenia.

Pierwsze wyniki spłynęły do mnie po trzech dniach. W treści maila Zenek oznajmił, iż opracował trzy portrety; przesłał mi je. Pierwsze ujęcie prezentowało owalną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, nieco haczykowatym nosem i wysokim czołem. Postarzany mężczyzna miał rzadkie, krótko przystryżone włosy; pod jego oczami zagnieździły się zauważalne zmarszczki. W sumie jednak,

porównując z twarzą nastolatka, dostrzegałem spore podobieństwo. Drugi wariant prezentował bardziej zaokrągloną twarz, co od razu przykryło kości policzkowe. Zmarszczek było mniej, a włosy gęstsze. Na trzecim z portretów spoglądał na mnie otyły gość z wydatną łysiną i podwójnym podbródkiem. Zapadnięte głęboko oczy zdawały się ginąć na ogromnej twarzy. Żadna z postaci z nikiem mi się nie kojarzyła.

Zenek przysłał kolejnego maila, w którym tłumaczył, że w opracowaniu portretów kierował się jego zdaniem najbardziej charakterystycznymi cechami wyglądu, czyli uwzględnił oczy, usta oraz kształt czaszki, i postarzył je według statystycznie najczęściej następujących wśród naszej populacji form progresji. Wynik określił na siedemdziesiąt procent zgodności. Pierwsze rezultaty porównawcze Lusterka miałem otrzymać za kilka dni.

Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałem się takiego zalewu pracy. Na początek spłynęły do mnie wyniki łączące stworzone portrety ze zdjęciami, którym odpowiadały frazy „Piotr” lub „Stasiński”. Była ich ponad setka. Przeważająca część zdjęć pochodziła z przeróżnych portali społecznościowych. Przeglądałem je, popadając stopniowo w coraz większe zniechęcenie. Nie potrafiłem znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Zwracałem uwagę na miejsce pochodzenia, jeśli takie dane były dostępne, zawód i zainteresowania. Cały czas liczyłem na powiązania z pisarstwem. W przypadku profili na portalach zadanie miałem ułatwione, jeśli jednak patrzyłem na zdjęcie wyrwane z kontekstu, byłem całkowicie bezradny.

Ostatecznie wytypowałem kilkunastu potencjalnych Piotrów Stasińskich, absolwentów Technikum w Sławinie. Zenek przesłał mi hasło do prywatnego serwera, gdzie zamieścił fotografie nieprzypisane do imienia ani nazwiska. Po zalogowaniu jęknąłem załamany. Znajdowało się tam blisko dwa tysiące zdjęć. Na szczęście do poszukiwań włączył się Zawada.

– Procent zgodności jest dość niski, dlatego wywaliło nam tyle wyników – powiedział, gdy dwa dni później siedzieliśmy przy komputerze w moim pokoju. – Musimy liczyć na skojarzenie, trop, który sam się pojawi... Jednym słowem na szczęście.

Niektóre analizowane twarze w ogóle nie przypominały postarzonych portretów, inne w szczegółach. Musiałem być głupszy od programu Zenka.

– To bez sensu – skwitowałem zniechęcony. Był środek nocy, piekły mnie oczy i bolała głowa. Wstałem z krzesła, by rozprostować nogi. – Nie znajdziemy

go w ten sposób. Nawet jeśli wytypujemy obiecujące zdjęcia, a będzie ich pewnie kilkadziesiąt, dotarcie do tych ludzi i zweryfikowanie danych zajmie miesiące, o ile w ogóle będzie to możliwe. Powinniśmy nastawić się jednak na szukanie dojsć w urzędach.

Po wyrazie twarzy Zawady odgadłem, iż przyznaje mi rację. Jemu zapewne również ciągi podobnych zdjęć zlewały się przed oczami.

– Dajmy sobie na dziś spokój – zaproponowałem – lecę z nóg.

Miałem wyłączyć laptopa, gdy Karol złapał mnie za rękę.

– Poczekaj – rzekł, wpatrując się z uwagą w kliknięte przed momentem zdjęcie. – Zobacz – nakazał. Zbliżyłem się do ekranu. W jednej sekundzie serce podskoczyło mi do przełyku. – Czy to nie jest...?

Nie dokończył, bowiem z ust wyrwało mi się bezwiednie:

– Tak.

41.

Zenek zamienił zaplamiony podkoszulek na wymiętą koszulę. W miejsce przepoconej bluzy pojawił się przedpotopowy sweter. Najwidoczniej jakaś nieznana temu światu komputerowa wróżka, posiadając prawdopodobnie to samo pojęcie o realnym świecie co jej brodaty kolega, wymusiła tę szokującą przebierankę. Szkoda, iż nie napomknęła o myciu i goleniu.

Siedzieliśmy z Karolem na kanapie, na której gościłem kilka dni wcześniej. Tym razem gospodarz usunął śmieci, zwalając je na podłogę.

– Myślałem, że już nic z tego nie będzie – rzekł brodac, gdy czekaliśmy, aż przyniesione przez nas zdjęcie zgra się na komputer. Po zakończeniu operacji uruchomił porównywarkę. Wyszukana przez Lusterko fotografia wisiała na ekranie obok zdjęcia Stasińskiego z nagrodą. Oba obrazy nałożyły się na siebie, a czerwony słupek z prawej strony zapełniał się brązowym kolorem.

Czekaliśmy na rezultat kilka minut.

– Do diabła, to rzeczywiście on. – Zenek był wyraźnie zaskoczony, gdy

wykres osiągnął szczyt. – Wynik powyżej dziewięćdziesięciu procent praktycznie przesądza sprawę.

To nam wystarczało. Uścisnęliśmy sobie z komputerowcem ręce, po czym ruszyliśmy do wyjścia.

– Mamy go – obwieścił triumfalnie Zawada, gdy opuściliśmy klatkę schodową. – W końcu dorwaliśmy sukinkota.

Nadal nie mieściło mi się to w głowie. Przyglądając się wytypowanemu przez Zenka zdjęciu, nie dostrzegałem wyraźnego podobieństwa z wizerunkami po progresji. Jak się okazało, to komputer miał rację.

– Ale po co to robił? – Próbowałem uporządkować myśli.

– Romeo zabił Magdę, a potem zwiął – Karol podsumowywał fakty. – Musiał wcześniej pozbyć się ciała i zrobił to dość skutecznie. Moim zdaniem wrzucił je do jeziora. Potem wyjechał i zmienił tożsamość.

Parę rzeczy mi w tym wszystkim nie pasowało.

– To był zahukany, nieśmiały chłopak. Skąd by nagle wytrzasnął nowe dokumenty, by stać się innym człowiekiem?

Na to pytanie Zawada nie znalazł odpowiedzi.

Jechaliśmy przez Gdańsk w milczeniu. Karol wjechał na obwodnicę, by po kilkunastu kilometrach zjechać w kierunku Wrzeszcza. Przed skrzyżowaniem, na którym mieliśmy zamiar skręcić na Morenę, natknęliśmy się na tradycyjny korek.

Karol odezwał się po długim okresie ciszy.

– Jakoś jednak sfalszował te papiery.

W tym momencie iskierka olśnienia rozpałała w moim umyśle stos, oświetlając czarne tunele pamięci. W głowie zagrał słaby głos: „Miałem fałszerza...”.

– Masz jakiś zamiar na ten ośrodek? – zwróciłem się podekscytowany do Zawady.

– Jaki znów ośrodek?

– Ten, w którym mieszka Szumaga. Muszę go o coś zapytać.

Niestety nie posiadaliśmy żadnego kontaktu do Lasku Seniora. Po dotarciu na Morenę wyszukałem natychmiast stronę internetową domu opieki. Zadzwoiłem pod podany numer i najuprzejmiej jak potrafiłem, poprosiłem o rozmowę z Lesławem Szumagą, zapewniając, iż to ważna sprawa rodzinna.

– Dzwoni bratanek, który odwiedził go jesienią. Powinien skojarzyć.

Po kilkuminutowym przekonywaniu recepcjonistka zdecydowała się umożliwić nam rozmowę z pensjonariuszem. Gdy usłyszałem słabe „halo”, wybadałem najpierw Szumagę, czy mnie pamięta, a następnie zadałem kilka pytań. Kiedy odpowiedział na pierwsze, zdębiałem. Poprosiłem, by powtórzył, i wtedy wyraźnie się zirytował.

– Co ty, kurwa, masz mnie za zgredziałego sklerotyka? – zagrzmiał. – Oczywiście, że jestem pewien. Mówiłem wam, tych gości nigdy nie zapomnę.

Skończyłem rozmowę po dwudziestu minutach. Nie wiedziałem, jak zareagować.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytałem Zawadę.

Przytaknął.

Przez kolejne godziny siedzieliśmy zamknięci w pokoju. Mama donosiła nam kanapki i napoje. Dzień wcześniej przedstawiłem Karola jako kolegę z dawnej szkoły w Gdańsku. Powiedziałem, że przygotowujemy projekt na konkurs, co przyjęła z zadowoleniem. W końcu się czymś zająłem, pomyślała zapewne, a ja nie chciałem jej denerwować swoim dochodzeniem, które zresztą cały czas trzymałem w tajemnicy przed rodziną.

Na łóżku leżały rozłożone milicyjne protokoły, wydruki z kroniki i zdjęcia. Karol przyklepił na ścianie naszą oś czasu. Pracowaliśmy do późnej nocy. Po drugiej podjęliśmy decyzję.

– Załatwię sobie zwolnienie z pracy i przyjadę jutro po dziesiątej – powiedział, przeciągając się. – Na razie spadam.

Długo nie mogłem zasnąć. Bezustannie analizowałem w myślach rozwój wypadków w ciągu ostatnich miesięcy. Przez cały czas błądziłem boczną ścieżką.

Sen wessał mnie nieoczekiwanie.

Urząd Gminy Dębogrodzie mieścił się w niewielkim budynku ukrytym przed petentami za gęstymi konarami drzew rosnących przy drodze. Zawada zaparkował na chodniku. Przejrzał się w lusterku, po czym przyklepał odstające za uszami włosy. Odetchnął głęboko.

– To idę – rzekł i pospieszył ku wejściu do urzędu.

Gdy nie wrócił po trzydziestu minutach, zacząłem się denerwować, po godzinie nie mogłem już usiedzieć na fotelu. Karol pojawił się po półtorej godziny.

– Straszne trzpiotki z tych babek – powiedział, wsiadając do samochodu. – Trajkotają jak nakręcone.

– Ale co? Udało się?

– Tak, był tu zameldowany do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Przynajmniej z tym Dębogrodziem to była prawda. Nie masz pojęcia, ile musiałem się nasłuchać, by wyciągnąć tę informację.

Niemal wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Pozostał jeszcze tylko jeden punkt.

Droga do Lipusza zajęła nam pół godziny, odnalezienie właściwego budynku kilka minut. Tym razem Zawada został w samochodzie. Zabrałem teczkę z materiałami i udałem się do drzwi. Nacisnąłem dzwonek. Przeciągle „diiingggg-dooooonnnnggg” przydawało dostojęństwa samej czynności oczekiwania.

Drzwi otworzyła Laura Mech i natychmiast zatkało ją na mój widok.

– A co pan tu...?

– Musimy porozmawiać – oznajmiłem stanowczo.

– O czym?

– O tym wszystkim, co wydarzyło się blisko ćwierć wieku temu na balu maturalnym w Sławinie.

Trwała zastygła niczym marmurowy posąg. Gdy zaskoczenie minęło, wpuściła mnie do środka.

42.

Wiosna w Sławinie jest znacznie piękniejsza od jesieni. Idąc w kierunku cmentarza, czułem zapach budzącego się życia. Zima tego roku była sroga, ale krótka. Biała Pani dokreśliła śrubę przed Bożym Narodzeniem, prawdziwą kulminację przygotowując jednak na koniec stycznia i luty. Ten czas spędziłem w szpitalu, więc największe mrozy mnie ominęły. W marcu temperatury znacząco podskoczyły, co dało naturze znak do maźnięcia wszelkiej roślinności na zielono.

Wieczór poinformował o swoim panowaniu, zsyłając szarówkę. Przyspieszyłem kroku. Z kościoła dobiegał śpiew wiernych. Minąłem figurę mosiężnego Chrystusa i uchyliłem ciężkie wrota świątyni. Na mszy nie było wielu ludzi. Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie.

– Wyznajmy naszą wiarę – mówił nieznany mi ksiądz.

Wierni wstali, by wymówić stałą formułę. Z tyłu rozległ się dźwięk potrójnego stuknięcia. Spojrzałem za siebie. Starsza kobieta wykonała znak krzyża, po czym odeszła od konfesjonału. Jej miejsce zajął siwy pan. W kolejce do spowiedzi znajdowały się jeszcze trzy osoby.

Czas płynął leniwie, msza zbliżała się do końca. Gdy ksiądz wymówił „Idźcie w pokoju Chrystusa” i pojawiła się odpowiedź „Bogu niech będą dzięki”, organista zaintonował melodię pieśni *Oto Pan Bóg przyjdzie*. Ludzie zaczęli śpiewać, a po kilku minutach opuszczać świątynię. Pozostała tylko jedna osoba w pierwszej ławce.

Z klęcznika przy konfesjonale wstała młoda dziewczyna; za nią nie było już

nikogo. Podszedłem i po trzech stuknięciach ukląknęłam.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziałem.

Za drewnianą kratką widziałem jedynie zarys człowieka.

– Na wieki wieków – odpowiedział kapłan.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. – Przeżegnałem się.

– Bóg niech będzie w twoim sercu, abyś skruszony w duchu wyznał swoje grzechy.

Ksiądz przywarł szczelniej do kratki.

– Nie o swoich grzechach przyszedłem dziś rozmawiać – oznajmiłem spokojnie.

Osoba po drugiej stronie była wyraźnie poruszona.

– Synu, to jest spowiedź, intymne wyznanie przed Bogiem. Tylko twoje przewinienia Pan chce teraz usłyszeć.

– Może więc byłoby lepiej, gdyby to ksiądz klęczał teraz na moim miejscu.

Przegrodzeni drewnianą kratką patrzyliśmy na siebie.

– Sylwek? – spytał Adam z niedowierzaniem.

– Witaj, Adasiu. A może powinienem powiedzieć: Piotrze, Piotrze Stasiński?

Cisza, jaka nastąpiła po tych słowach, nieprzyjemnie dudniła w uszach. Adam oparł głowę o ściankę konfesjonału, choć nie mógł się spodziewać wyznania grzechów. Czekałem na to, co powie, zrobi. Mógł się zdenerwować, zaprzeczyć, uciec lub wyznać prawdę.

– Wyobrażałem sobie ten moment setki razy – odezwał się po dobrej minucie głosem zdradzającym rezygnację. – Wiedziałem, że nadejdzie. Bóg i tak wystarczająco długo tolerował moje kłamstwo. Właściwie czuję ulgę. Przygotowałem się i nie będę się opierał, taką złożyłem przysięgę. – Westchnął, po

czym się rozplakał. Nie wiedziałem, czy to łzy porażki, czy też reakcja na ulgę. – Co wiesz? – spytał po chwili.

Wiem wystarczająco wiele, by otworzyć przed tobą bramy Piekła, pomyślałem.

– Zabiłeś Magdę Kraśnik – rzekłem jednak. – Byłeś w niej zakochany, ale zrobiła coś, co cię zraniło. Nie wytrzymałeś i zatłukłeś ją prętem. Gdy policja porówna zabezpieczone na nim odciski palców z twoimi, zapewne nie będzie żadnych wątpliwości. Potem ukryłeś ciało i uciekłeś.

Adam z twarzą schowaną w dłoniach kiwał się w przód i w tył, jakby w rytm wypowiedzianych przeze mnie słów. Było mi go żal, kontynuowałem jednak mowę oskarżycielską:

– Twój ojciec odsiadywał w przeszłości wyroki za fałszerstwa i załatwił ci lewe dokumenty. Między innymi świadectwo maturalne. Postanowiłeś wstąpić do seminarium i zostać księdzem. Gryzło cię sumienie, a służba Bogu miała być odkupieniem. Zakochany w *Panu Tadeuszu* romantyk wziął górę, chciałeś zastać współczesnym Jackiem Sopicą.

Tym razem Adam parsknął śmiechem. Konfrontacja z rzeczywistością musiała okazać się znacznie bardziej skomplikowana od wyobrażeń wieszca.

– Po dwudziestu latach postarałeś się o przeniesienie do parafii w Sławinie. Chciałeś być bliżej matki. Nikt cię nie poznał; przed zabójstwem mieszkaliście tu zbyt krótko, by ktoś cię dobrze zapamiętał. Pewnie gdyby nie nawałnica, która przeszła przez miasteczko pod koniec sierpnia, twoja tajemnica nie ujrzałaby światła dziennego. Ale napór wody rozmył część płytkiego grobu i czaszka Magdy spłynęła wraz z nurtem do jeziora. Tam znalazł ją Wilczyński.

Adam szeptał coś pod nosem, chyba modlitwę. Gdy się odezwał, był już spokojny.

– Chcę ci się wyspowiadać – rzekł.

– Nie możesz – odparłem, nie kryjąc zdziwienia. – Nie jestem kapłanem.

– Ale możesz być pośrednikiem – upierał się. – To Bogu wyznam swe grzechy. Przecież przed chwilą tego ode mnie zażądałeś.

Nie wiedziałem, jak prośba Adama ma się do wymogów sakramentu spowiedzi, i w tamtym momencie wcale mnie to nie obchodziło. Liczyło się tylko, by powiedział prawdę.

– Dobrze – zgodziłem się.

Znów cisza, a po chwili z ust kapłana popłynęła relacja koszmaru sprzed lat:

– Nie wiem, jaki szatan mnie wtedy opętał. – Głos, który do mnie docierał, był cichy, zimny i bezosobowy. – Myślałem, że listy się jej podobają, wyglądała na zadowoloną. Zerwała nawet z chłopakiem. Ale kiedy mieliśmy się spotkać pod szkołą podczas balu, gdy widziałem już w wyobraźni przepiękny uśmiech, którym mnie obdarzy, przyszedł on i wszystko zburzył.

– Mech – wtrąciłem, a Adam nie zaprzeczył.

– Całował ją tak namiętnie, obłapiał, robił, co chciał, a ona mu na to pozwalała. Musiała wiedzieć, że patrzę. To była drwina. – Nawet teraz, opisując tę sytuację po latach, był wzburzony. – Migdalili się kilkanaście minut, potem Mech wrócił do szkoły. Magda została. Pewnie nie chcieli pokazywać się razem. Wtedy wyszedłem, ujawniłem się. Udawała zaskoczenie, twierdziła, że nie wie, o czym mówię. Śmiała się. Ogarnęła mnie wściekłość. Chciałem się na nią rzucić, ale na ziemi leżał stalowy pręt zbrojeniowy. Szkoła była w rozbudowie, pełno się tego wokół wałało. Chwyciłem go i w szale uderzyłem ją kilka razy w głowę. Boże, dlaczego nie potrafiłem się powstrzymać?! Czemu ona mi to zrobiła?!

Minęły dwie dekady, a Magda wciąż tkwiła w jego umyśle bardzo, bardzo głęboko.

– Nie drwiła z ciebie – tłumaczyłem. – Po prostu nie zdawała sobie sprawy z twojego istnienia. Listy urzekły ją dokładnie w tym samym czasie, w jakim zaczął się do niej przystawiać Mech. Flirtowali już wtedy, gdy dawał jej korepetycje przed maturą, a pierwszy poważny krok zrobił zapewne podczas wycieczki klasowej do Torunia, gdzie pojechał jako dodatkowy opiekun. Magda pomyślała, że to on jest autorem wierszy, a Mech nie zaprzeczył. Dla niej był Romeem. Zadurzyła się.

Zapadła długa cisza. Wstałem dopiero, gdy usłyszałem szcęk zasuwki w drzwiczkach konfesjonau. Mężczyzna, który na mnie patrzył, był zaledwie

marnym cieniem znanego mi energicznego Adama.

– Teraz jestem wolny – powiedział. – Poddam się karze i wytrwam w niej aż do odkupienia win.

Kobieta, która dotąd modliła się przed ołtarzem, zaczęła iść w naszym kierunku. Gdy dotarła na tyle blisko, by mnie rozpoznać, zatrzymała się jak rażona gromem.

– To ty? – Wbiła we mnie wzrok. – Co tu robisz?

Adam przestąpił naprzód.

– To koniec, mamó – powiedział ze spokojem. – Sylwester poznał całą prawdę. Nie mogłem dłużej tak żyć, to kłamstwo mnie zabijało.

Zofia zachwiała się na nogach. Od upadku uchronił ją filar, którego się przytrzymała. Adam chciał ją pochwycić, jednak to ona złapała go za rękę.

– Coś ty zrobił?! – krzyknęła, szarpiąc nim, a echo jej głosu wypełniło całą świątynię. – To się nie może stać. Nie rozdzielą nas!

– Damy radę. – Z ust syna płynęły kojące słowa. Podprowadził matkę do ławki.

Kobieta usiadła, oddychała głęboko.

– Powinnam cię zabić za pierwszym razem – wyszeptała na tyle głośno, bym usłyszał. – Węszyłeś jak pies za padliną. Trzeba było dokończyć dzieła.

– Mamó, co ty mówisz?

Nie była słaba i samotna. Drzemała w niej siła. Zrobiła wszystko, by bronić syna.

– Zofia od początku mną manipulowała, a widząc, że się nie poddaję, próbowała mnie uciszyć – wyjaśniałem coraz bardziej zszokowanemu Adamowi. – Zaczęło się od rzutu kamieniem, potem był atak nożem w szkole. Jak na starszą panią popijającą ziółka porusza się nad wyraz sprawnie. Nie cofnęła się nawet przed zabiciem własnego kota. Wszystko po to, by odstraszyć mnie od

sprawy Magdy. Prawie jej się udało... Gdyby jacyś smarkacze nie zapalili światła i nie wystraszyli jej podczas studniówki, zatłukłaby mnie tym łomem. Skąd wiedziałaś o planowanym włamaniu do archiwum? Domyśliłaś się, przeglądając notatki na studniówkowym planie? Pewnie cały czas na bieżąco sprawdzałaś mój pokój. Po wszystkim wrobiłaś w napad Wilczyńskiego, wykorzystując schemat z podrzuceniem dowodu i anonimem na policję.

Dzwon na wieży wybił osiemnastą. Zofia nie odezwała się, patrzyła przed siebie, jej syn siedział obok. Był całkowicie rozbity. Pragnął wyjawienia prawdy, ale ta okazała się nad wyraz brutalna. Nie przypuszczał, do czego zdolna jest Zofia, by go chronić.

– Gdy po przeczytaniu kroniki zapytałem cię o Magdę Kraśnik, wpadłaś w panikę – ciągnąłem. – Dobrze się maskowałaś, ale już wtedy zaczęłaś kombinować. Postanowiłaś zwrócić moją uwagę na Mecha i udało ci się. Opowiastka o rzekomym romansie nauczyciela z uczennicą przed wyborami na stanowisko dyrektora była bujdą. Wiedziałaś, że połknę haczyk. Nie istniała dziewczyna, którą moglibyśmy wytypować.

Zofia nadal trwała w ciszy. Może nie chciała pogarszać swojej sytuacji, ale ja znałem prawdę. Wyjawiała mi ją Laura Mech.

Gdy pojawiłem się u wicedyrektor parę godzin przed rozmową w kościele, nie potrafiła ukryć zdziwienia. Na moje słowa o balu maturalnym zareagowała spokojnie. Miałem wrażenie, iż podobnie jak Adam spodziewała się dnia ujawnienia tajemnicy.

– Muszę przyznać, że w całej swojej karierze nie spotkałam tak irytującego i upartego człowieka jak pan – oznajmiła, proponując mi miejsce na stylowym fotelu. – Przyznaję szczerze, podziwiam pana. Kiedyś byłam taka sama, ale proszę zobaczyć, zatraciłam się. Mój mąż pławi się w rozkoszy w objęciach jakiejś cizi, mnie został zimny, pusty dom. I szkoła.

Pomyślałem o Andżelice.

A więc wie o romansie.

– Dawno już nie obchodzą mnie podboje męża – mówiła, jakby czytała mi

w myślach. – Nasze kontakty ograniczyliśmy do sfery zawodowej.

– Ale w osiemdziesiątym piątym było inaczej.

– Owszem – stwierdziła. – I jak się domyślam, chodzi panu o Kraśnik. Nie mam pojęcia, w jaki sposób pan na to wpadł. Najwidoczniej nie chroniałam go zbyt dobrze. Teraz to już jednak nie ma znaczenia.

– Spotykali się.

– Spotykali – powtórzyła z drwiną. – Dawał jej korepetycje przed maturą, ale smarkuli to nie wystarczało. Pieprzył się z nią bez umiaru, a gdy gówniara zniknęła, wpadł w panikę i skruszony błagał o pomoc. Milicja zaczęła węszyć. Gdyby dowiedzieli się o romansie, stałby się głównym podejrzanym.

Opróżniła kieliszek jednym haustem.

– Sprawę skomplikowały listy – dodała.

Laura dołała sobie czerwonego wermutu i opowiedziała o pierwszych anonimach, które zaczęły sływać miesiąc po zaginięciu Magdy. Autor pisał w nich, że widział, jak Mech zabija dziewczynę i może dostarczyć dowody milicji. Niczego nie żądał. Chodziło mu po prostu o zastraszenie. Mąż Laury wpadł w panikę, zaczął wertować prasę w poszukiwaniu informacji o zaginięciach. Zbierał wycinki dotyczące poszukiwanych osób. Bał się tego, w co może zostać wmieszany.

– Nie myślała pani, że naprawdę mógł być zabójcą?

– Ten tchórz? – Zaśmiała się. – Jest może erotomanem, ale nie mordercą. Pan wie, kto zabił tę gówniarę?

Nie odpowiedziałem.

– Wie pan.

Coraz bardziej odurzona alkoholem Laura nie naciskała. Znów wróciła do zdarzeń sprzed lat. W końcu listy przestały przychodzić. Ale następna fala pojawiła się dziesięć lat później, przed wyborami na dyrektora. Laura zdołała spacyfikować policję – wysyłając między innymi Szumagę na emeryturę – lecz strach pozostał.

Pozycja dyrektora technikum była dla nich celem numer jeden. Już wtedy ich życie małżeńskie praktycznie nie istniało.

Gdyby wiedzieli, że zastraszała ich samotna kobieta ogarnięta paranoidalną chęcią ochrony syna, pękliby ze śmiechu. Zofia wykorzystwała wiedzę o Mechu i Magdzie do rozciągniętego w czasie terroru. Zdawała sobie sprawę z rosnących wpływów Laury, jej ambicji rządzenia szkołą oraz z tego, że zrobi wszystko, by ukryć prawdę o romansie męża. Złękła się, gdy Mech miał zostać dyrektorem. Myślała zapewne, że na takim stanowisku będzie trudniej go zastraszać. Zależało jej jedynie na tym, aby zdawał sobie sprawę, że blisko jest ktoś, kto w każdej chwili może go pogrążyć. Wspomnie o balu i Magdzie Kraśnik miało być ukryte głęboko i strzeżone przed wścibskimi pytaniami. A takie zaczęła zadawać najpierw Alicja, a potem ja.

Najsmutniejsze było to, że wszystkie posunięcia Zofii miały się z celem. Nikt tak naprawdę nie szukał Magdy, a nawet gdyby znaleźli zwłoki, prawdopodobnie nigdy nie skojarzyliby ich z Piotrem Stasińskim. Był duchem, choć pewnie o tym nie wiedział.

Laura była pijana, gdy opuszczałem jej dom. Przed zatrześnięciem drzwi usłyszałem niewyraźne słowa o nienawiści i samotności.

Obserwując dwie godziny później zgarbioną postać Zofii, wciśniętą w drewnianą ławkę, czułem niechęć połączoną z żalem i rezygnacją.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o tej nocy – usłyszałem słowa Adama. – Teraz chcę wiedzieć, wyznaj prawdę. To oczyszcza. Zobaczysz. – Złapał ją za rękę, a ja dostrzegłem różaniec, który trzymała w dłoniach.

Kościół był pusty i ciemny. Zająłem miejsce w ławce za nimi. Wiedziałem, że potrzeba czasu, by wyrzuciła z siebie wszystkie popełnione grzechy. Spojrzała na syna, po jej policzkach spływały łzy. W końcu cichy głos wypełnił przestrzeń między nami.

– Jak zobaczyłam cię przerażonego i pobrudzonego krwią, wiedziałam, że stało się coś złego. – Słowa płynęły powoli, jakby Zofia znajdowała się w hipnotycznym transie, przeżywając raz jeszcze emocje sprzed lat. – Przyszedłeś do domu i mamrotałeś „zabiłem ją, zabiłem”. Nie masz pojęcia, jak się

zdenerwowałam. To mógł być koniec, prawdziwy koniec naszej rodziny. Byłeś taki radosny, idąc na studniówkę. Nie miałam pojęcia, co się stało. Zdołałam z ciebie wyciągnąć tylko, gdzie ukryłeś zwłoki. Cały czas miałam nadzieję, że coś ci się przewidziało, że cię upili albo podali narkotyki. Ojciec spał zamroczony wódką. Zabrałam żuka i pojechałam pod szkołę. W cegielni znalazłam trupa dziewczyny.

Ukryła twarz w rękach.

– Była cała we krwi – ciągnęła po chwili przerwy. – Nigdzie nie znalazłam pręta. Wróciłam do domu i próbowałam wydobyć z ciebie, gdzie go zostawiłeś, ale wpadłeś w jakąś dziwną apatię. W końcu zasnąłeś. Pojechałam jeszcze raz do szkoły i szukałam przez dwie godziny, aż znalazłam. Leżał w trawie za budynkiem. Załadowałam zwłoki na pakę i wróciłam do domu. Bałam się, ktoś mógł mnie zobaczyć.

Przetarła chusteczką oczy. Adam słuchał opowieści w osłupieniu.

– Zakopałam dziewczynę w ogrodzie przy kapliczce – mówiła. – Spała spokojnie przez tyle lat. Ale...

– Ale Pan w końcu się rozgniewał i zesłał deszcz, który obalił kłamstwo – uzupełnił ksiądz. – Boże, odprawiałem przy tej kapliczce mszę na Boże Ciało. Ona cały czas tam była...

Wyobraziłem sobie przerażonego swym czynem chłopaka. Jednym wściekłym napadem furii przekreślił życie wielu ludzi. Szok malujący się na jego twarzy dowodził, iż przez te wszystkie lata nie poznał prawdy o tym, co się stało po zabójstwie. Matka chroniła go przed traumatycznymi wspomnieniami.

– Dokumenty dla Piotra załatwił twój mąż? – upewniłem się.

Gdy stało się jasne, że Piotr Stasiński potrzebował fałszywych papierów, aby rozpocząć nowe życie, przypomniałem sobie rozmowę z Szumagą podczas naszej wizyty w Lasku Seniora. Stary milicjant wspomniął wtedy o fałszerzu recydywiście, którego miał pod swoją kuratelą. Kiedy zadzwoniłem do ośrodka i zapytałem emerytowanego kapitana o adres tego faceta, podał go bez zająknięcia. Na Ogrodowej pod numerem czwartym mieszkała tylko jedna rodzina. Zofia z mężem przeprowadziła się z Dębogrodzia do Sławina w połowie osiemdziesiątego czwartego roku, po śmierci rodziców Hieronima Stasińskiego. Rozmawiając kiedyś ze mną na ten temat, Zofia skłamała, podając fałszywą datę

przeprowadzki. Tym samym odsuwała od siebie podejrzania, a mnie nie przyszło do głowy, by zweryfikować tę informację. Piotr nigdy nie był zameldowany w Sławinie, dlatego mieliśmy z Zawadą problemy, by go zlokalizować. Choć mieszkał z rodzicami, był zameldowany u babci, matki Zofii, w mieszkaniu kwaterunkowym w Dębogrodzie. Dzięki temu po śmierci staruszki mógł przejąć lokal.

– Tata był kiedyś zdolnym rysownikiem i malarzem, ale wpadł w złe towarzystwo. – Adam postanowił odpowiedzieć na moje pytanie. – Zaczęło się od podrabiania zwolnień lekarskich i zaświadczeń ZUS, a skończyło na dowodach osobistych. Wykorzystywali jego talent. Był lojalny, nie sypał kolegów, gdy milicja go zgarniała. Pierwszy raz poszedł do więzienia na cztery lata, gdy byłem w podstawówce, po raz drugi, kiedy miałem dwanaście lat. Po tym stał się strzępem człowieka, alkoholikiem. Nie nadawał się już nawet na fałszerza. Był dla nas praktycznie obcy, mieszkał w pokoju na piętrze jak osobny lokator. Brakowało mu pieniędzy na alkohol, więc za kilka butelek wódki zgodził się załatwić dokumenty. Chodziło o świadectwo maturalne, dowód osobisty i akt urodzenia. Właściwie był tylko pośrednikiem, ktoś inny produkował papiery, mama dała za nie wszystkie oszczędności. Wiesz, że on nawet nie zapytał, po co mi nowa tożsamość? Po prostu dał mamie papiery i zainkasował siatkę butelek. Gdy wchodził z nimi po schodach, widziałem go po raz ostatni. Zmarł z przepicia dwa miesiące później. Serce mu wysiadło.

Nie wierzyłem w taki przypadek. Jedyna osoba, która posiadała wiedzę o nowej tożsamości Piotra, umiera nagle, milknąc na wieki. Z punktu widzenia Zofii to bardzo wygodne. Moja była gospodyni była zbyt metodyczna i uporządkowana w swoim działaniu, by pozostawić niespacyfikowane zagrożenie w postaci zapijaczzonego męża mogącego w każdej chwili wypaplać jej tajemnicę. Nagła śmierć alkoholika nikogo nie zaskoczyła, a sekret, jak do niej doprowadziła, Zofia zabierze do grobu.

– Potem jako Adam Wolina wstąpiłeś do seminarium – stwierdziłem.

– Taką podjąłem decyzję. Przez trzy dni po śmierci Magdy siedziałem zamknięty w pokoju, aż w końcu się zdecydowałem. Inaczej nie stłumiłbym wyrzutów sumienia.

A twoja mama w tym czasie próbowała zrobić w morderstwo Labudę, podrzucając mu zakrwawiony pręt, pomyślałem. Potem wróciła do panińskiego nazwiska i korzystając z okazji, zatrudniła się w bibliotece szkolnej. Chciała mieć

wszystko pod kontrolą. Wymyśliła historię o synu, który wyemigrował do USA i znikła co kilka lat na parę tygodni, symulując wyjazd.

Zenek pomógł nam dotrzeć przez internet do wykazu firm motoryzacyjnych zarejestrowanych w Chicago. Spis był całkiem jawny, by każdy mógł zweryfikować prawdziwość danych ewentualnego kontrahenta. Tylko u nas przepisy blokują ujawnianie pozornych tajemnic. Żaden Karol Sawicki nie był właścicielem warsztatu samochodowego na terenie miasta. Zofia zapewne ściągnęła z sieci zdjęcia przypadkowej rodziny i wstawiła je w ramki, by uwiarygodniały kłamstwo.

Kobieta nadal siedziała w ciszy, podróżując pomiędzy kolejnymi przystankami niemych modlitw. Pochyliłem się nad nią.

– Zdajesz sobie sprawę, jak daleko zabrnęłaś? Ilu osobom zniszczyłaś życie, by utrzymać waszą tajemnicę? Nie oszczędziłaś nawet Alicji.

– O czym ty mówisz? – wydawało się, że Adama nic już nie zaskoczy, a jednak poderwał się jak rażony gromem.

– Początkowo myślałem, że nadawcą fałszywego listu była Ewa Narloch – wyjaśniłem. – Pasowała jak ulał. Znała się doskonale na komputerach i programach, mogła z łatwością spreparować zdjęcie, by z zazdrości zaszkodzić koleżance. Ale z biegiem czasu zaczęły pojawiać się wątpliwości. Ewa to perfekcjonistka w tym, co robi, a fotomontaż został wykonany nieudolnie. Na tyle dobrze, by zdenerwować Alicję, ale jednak zalatywał amatorszczyzną. Teraz wiem, że to twoja sprawka, Zofio. Wykorzystałaś zaufanie Alicji i to, że zwierzała ci się z sekretów. Gdy zaczęła drążyć sprawę Magdy Kraśnik, zdenerwowałaś się. Na wieść o notatce dotyczącej zaginięcia sprzed lat Mechowa też przykręciła Ali śrubę, dziewczyna jednak nie odpuszczała. Pewnie mówiła ci, że chce opublikować historię Magdy w internecie. Musiałaś ją uciszyć i postanowiłaś wysłać list z fotomontażem. Miałaś w bibliotece dostęp do nowoczesnego sprzętu i fachowej literatury. Taka robota to żaden problem. Zdjęcie chłopaka wyciągnęłaś pewnie z jednego z wakacyjnych albumów, które pokazywała ci Alicja. Wiedziałaś o jej depresyjnych stanach, konflikcie z matką i braku kontaktu z chłopakiem. Musiałaś zdawać sobie sprawę, że ten list ją przygniecie.

– Nie chciałam doprowadzić do śmierci Ali – powiedziała i było to ostatnie, co od niej usłyszałem.

– A płacz po zniknięciu dziewczyny? – rzuciłem w jej stronę. – Pocieszenie Wiesławy Maj i pomoc przy organizacji pogrzebu? Byłaś doskonałą aktorką. Wszyscy się dali nabrać na twój szczery żal.

Moje zarzuty pozostały bez odpowiedzi. Zbliżała się dziewiętnasta.

– Co teraz ? – zapytał Adam.

– Sam mówiłeś, że chcesz się oczyścić. Teraz jest najlepsza chwila.

Podąłem mu swój telefon. Długo wpatrywał się w wyświetlacz, po czym wybrał numer alarmowy.

Wyszedłem na zewnątrz, zostawiając Adama samego z matką. Pod kościołem czekał Zawada. Wyciągnąłem z kieszeni dyktafon i jeszcze raz odsłuchałem nagraną rozmowę. Później uczyniłem to ponownie.

– Gdyby nie paranoja starej, Alicja mogłaby żyć – podsumował Karol.

Mogłaby. I byłoby to dobre życie.

Po czterdziestu minutach pod kościół zajechał radiowóz. Piotr Stasiński po raz kolejny będzie musiał wyznać swoje grzechy. Ciekawiło mnie, czy gdyby wiedział o powiązaniach swojej matki z zaginięciem Alicji, pomógłby mi w zdobyciu nagrań z monitoringu. Bez nich przecież nie ruszylibyśmy z miejsca. Nie poznałem odpowiedzi na to pytanie, ale wierzyłem w jego szczery żal. Wierzyłem w wyrzuty sumienia i w ulgę po wyjawieniu prawdy. Gdy popełniał najcięższy z grzechów, był w końcu tylko zahukanym smarkaczem. Był duchem, którego nikt nie chciał wpuścić do realnego świata.

Epilog

Sierpień 2009

Na poddaszu zawsze jest ciszej. Lubiłem tam pracować. Cały niepotrzebny gwar pochłaniały parter i pierwsze piętro. Postanowiłem zrobić sobie przerwę. Zamknąłem komputer i zszedłem do ogrodu.

Stasiu grillował obiad, Ania nakrywała do stołu. Pogoda była wspaniała, w sam raz na posiłek na powietrzu. Mama skończyła pielęgnować ogródek i zabrała się za ustawianie krzeseł. Kamila krążyła wokół domu na rowerze, Kasia dopieszczała na leżaku delikatną opaleniznę.

– Karkówka czy kurczak? – spytał szwagier.

Wolałem karkówkę.

Z perspektywy podwórka dom nie wyglądał okazale. Tynk się kruszył, bariere przy schodach wymagały naprawy. Wnętrze było jednak przytulne i dobrze utrzymane. Dom znajdował się w Brusach, kilkaset metrów od budynku, w którym niegdyś mieszkał Szumaga. Środki ze sprzedaży mieszkania mamy oraz kilkadziesiąt tysięcy pozostałych po sprzedaży mieszkania Ani i spłaty ich zobowiązań wystarczyły tylko na tyle. Miałem zamiar dołożyć im na remont, gdy tylko wyciągnę od firmy ubezpieczeniowej odszkodowanie. Jak zapowiedział Zawada, bez procesu sądowego się nie obeszło. Normalka.

W maju Stasiu zeznawał na procesie ludzi Skargi. Dwa dni potem znaleziono w areszcie herszta bandy powieszzonego na prześcieradle. Dlaczego trójmiejski twardziel postanowił się zabić? Podejrzewano, że ktoś mu w tym pomógł. Według doniesień medialnych Skarga, chcąc uniknąć wysokiego wyroku za wymuszenia, poszedł na współpracę z policją i wystawiał ludzi z branży narkotykowej, w którą powoli wkraczał. Tym samym pewnie wydał na siebie wyrok.

Do Brus przyjeżdżałem w weekendy, by pisać. Po odejściu ze szkoły w Sławinie nie wróciłem do nauczania, straciłem zapał. Odkryłem w sobie inne powołanie.

Nowy właściciel firmy, która wydaje Donosiciela, postanowił powiększyć portfolio o dziennik opinii. Zbiegło się to z tematem zgłoszonym przez Zawadę, a dotyczącym wydarzeń w Sławinie. Karol dzięki temu od razu wskoczył do

pierwszej ligi. Co więcej, ten sam wydawca zaproponował mu napisanie książki. Morderstwo, tajemnica, śledztwo i jeszcze na dodatek książdz, wszystko na faktach – to pachniało bestsellerem. Zawada zrezygnował, polecając mnie jako czynnego i żywego uczestnika zdarzeń. Przed wakacjami podpisałem umowę wydawniczą. Skrobię więc, wertując pamięć i dokumenty, by wyrobić się w terminach. Śledzę także bieżące wydarzenia. Chcę, by książka była jak najbardziej aktualna.

Prokuratura oskarżyła Piotra Stasińskiego o morderstwo pierwszego stopnia. Czekają na proces w areszcie. Rozprawa powinna być łatwa, przyznał się do wszystkich przewinień. Gorzej ma się rzecz z Zofią – ta nie odzywała się w ogóle. Jest co prawda podejrzewana o napad na mnie i ciężkie uszkodzenie ciała, ale w tej sprawie nie zakończyło się jeszcze dochodzenie. Podobnie jak w sprawie doprowadzenia Alicji do samobójstwa. Czekają mnie jeszcze zeznania w prokuraturze, a potem w sądzie.

Dziwię się często, jak niewiele brakowało, byśmy nie wpadli na trop Adama. Gdyby Lusterko Zenka wśród tysięcy zdjęć nie wytypowało pojedynczej fotki reprezentacji piłkarskiej Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie i stojącego na jej czele Adama Woliny, moglibyśmy błędzić do dziś. To paradoks. Nikt inny poza martwym, nieczułym programem komputerowym nie był w stanie zdemaskować błędzącego sługi bożego.

Pod koniec roku przyjechałem na chwilę do Sławina. Chciałem spotkać się z chłopakami, pospacerować po wąskich uliczkach, odświeżyć wspomnienia.

– Jak rozmawialiśmy kiedyś o Magdzie, skłamałem – wyznał Andrzej, gdy popijaliśmy piwo w Muchomorze. Knajpa pękała w szwach. – Chodzi mi o to, że nie była mi obojętna. Wręcz przeciwnie, kochałem się w niej do szaleństwa. Nawet nie masz pojęcia, jak mocno. Wyjawiłem jej to kiedyś, ale tylko się uśmieła. Było coś takiego w tej dziewczynie, co doprowadzało facetów do zguby. Kiedy zniknęła, wpadłem w rozpacz. Później się uspokoilem. Nie chciałem mieć z nią więcej do czynienia.

Przerwał, błędząc myślami we wspomnieniach.

– Wiesz, ona do dziś mi się śni po nocach. Czasem myślę, że była wampirem infekującym człowieka szaleństwem.

A w miejsce osikowego kołka pojawił się stalowy pręt.

Pożegnałem się z Andrzejem serdecznie. Umówiliśmy się na następne spotkanie, ale jak dotąd do niego nie doszło.

Przed wyjazdem ze Sławina miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Spokojnym krokiem przemierzyłem kilkukilometrową trasę. Gdy doszedłem do szeregu domków jednorodzinnych, nacisnąłem dzwonek pierwszego z nich. W drzwiach pojawiła się Andżelika. Na jej twarzy zdziwienie mieszało się z lękiem.

– Możemy porozmawiać? – spytałem.

– No... tak – odparła. – Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę. Wejdz, ale...

Nie dokończyła, bowiem za jej plecami pojawił się Mech.

– Zapraszamy – rzekł spokojnie.

Wiedziałem, że mieszkają razem. Ona najwyraźniej się tego wstydziła. Andrzej opowiedział mi o rewolucji w szkole. Mech zgodnie z planem wystartował w wyborach samorządowych, ale przepadł z kretesem; ponoć przez fatalną kampanię. Od kiedy Laura zwinęła parasol ochronny, dyrektor okazał się słabej jakości graczem. Za to Mechowa parła naprzód i już w pierwszym podejściu zajęła fotel dyrektora Zespołu Szkół w Sławinie. Byli ze sobą w separacji. Mech wyprowadził się ze swojej samotni, którą po śmierci mamy zajęła Laura.

– Zajmę tylko chwilę – powiedziałem. – Chcę was uspokoić, nie macie się czego obawiać. Żadne kompromitujące materiały nie istnieją.

Mech i Andżelika spojrzeli po sobie.

– O czym ty mówisz? – spytała wstrząśnięta.

– O zeszłorocznym włamaniu.

Wpatrywali się we mnie bez słowa.

– To był pan? – Tym razem pytanie zadał zszokowany Mech.

Opowiedziałem im o naszych podejrzeniach w stosunku do niego. Powinien

się dowiedzieć; ten wątek zamierzałem zawrzeć w książce.

– Naprawdę brał mnie pan za seryjnego mordercę dzieci? – W tamtym momencie pytanie byłego dyrektora wydawało się absurdalne. Ale tak właśnie myślałem. Sprytna manipulacja starszej pani zrobiła z przyzwoitego w sumie faceta nieprawdopodobnego zwyrodnialca.

– Przepraszam. – To jedyne, na co potrafiłem się zdobyć.

Wstałem i ruszyłem ku drzwiom. Nie odezwali się słowem.

Zamykałem właśnie furtkę, gdy Andżelika pojawiła się jak zjawą i chwyciła mnie za rękę.

– Wiem, co o mnie myślisz – rzuciła bez ogródek. – To samo, co cała ta pieprzona wiocha. Powiem ci tylko, że mam to gdzieś. Jestem z nim szczęśliwa.

– To dobrze – powiedziałem zaskoczony. – Nie oceniam cię przecież.

– Nie? Widziałam, jak na nas patrzysz. Ale wiedz, że bez względu na to, czy jest dyrektorem, czy nie, będziemy razem.

Jej głos drżał, zdradzając ogromne emocje. Nie wiem, co się tu działo podczas mojej nieobecności, ale dla nich na pewno nie był to spokojny okres.

– Przyszedłem tu, bo szanuję wasz związek – odparłem. – Nie chciałem, byście bali się brudów, które mogą wyciec. To wszystko.

Andżelika wyjęła z kieszeni wymiętą paczkę marlboro i włożyła papierosa do ust. Odezwała się dopiero wtedy, gdy wypaliła połowę.

– Przyjechałam do Sławina, bo miałam dość palantów, dla których szczytem ambicji było zaciągnięcie mnie do łóżka. – Mówiła cicho i powoli. – Sprzedawałam najwięcej tych pieprzonych kredytów, ale to inni awansowali. Wiesz dlaczego? Bo tylko w moim przypadku warunkiem koniecznym było zadowolenie samców tak obleśnych, że własne żony nie chciały im już dawać. A jeśli myślisz, że poskarzenie się na nich było jakimkolwiek rozwiązaniem, to jesteś tak samo głupi jak ci wszyscy korporacyjni kretyni. – Przerwała, by kolejna porcja dymu mogła wypełnić jej płuca. – Od kiedy skończyłam szesnaście lat, nie spotkałam faceta, który zamiast lustrować mój

dekolt, wolałby pogadać o książkach czy kinie. A Staszek taki właśnie był. Nie uwierzysz, ale to ja zaciągnęłam go pierwsza do łóżka. Inaczej pewnie do dziś bym czekała. Teraz zarabiam dziesięciokrotnie mniej, ale w końcu jestem szczęśliwa. Dlaczego oni nie mogą tego zrozumieć?

Nie wiedziałem, kim byli ci „oni”, ale z pewnością dali im się we znaki. Czyżby Laura po raz kolejny uruchomiła swe rozległe kontakty. Byłaby tak małostkowa, by odgrywać się na mężu? Możliwe.

– Wszystko się ułoży – zapewniłem, choć nie miałem żadnych podstaw, by tak twierdzić. – Na pewno dacie sobie radę.

Gdy odchodziłem, kiwała głową. Pierwszy raz w jej oczach widziałem łzy.

Przed wyjazdem udałem się na cmentarz. Mosiężny Chrystus powitał mnie z otwartymi ramionami. Nie bez trudu odnalazłem grób Alicji. Pokrywały go kwiaty, a wśród nich paliły się dwa czerwone znicze. Położyłem z przodu skromną wiązanekę, obok zapaliłem szklany lampion.

– Nie mogłabym jej skrzywdzić.

Niesiony wiatrem głos dobiegał spod wierzby. Obok drzewa stała Ewa Narloch, w rękę trzymała różę. Była jak zjawą. Przeżyłem zbyt wiele, by dociekać, dlaczego przyszła na cmentarz akurat w dniu mego przyjazdu. Ktoś jej o tym powiedział? A może była tu codziennym gościem?

– Kochałam ją jak siostrę. – Ciche zapewnienie pogłębiło moje poczucie winy.

– Wiem – odpowiedziałem. – Skrzywdziłem cię tym oskarżeniem. Przepraszam.

Staliśmy w milczeniu.

– Będzie tam szczęśliwsza. – Ewa przetarła rękawem oczy. – Razem z tymi swoimi zwierzakami.

Dziewczyna ułożyła kwiat na grobie przyjaciółki.

– Nigdy o niej nie zapomnij – poprosiłem.

Odszedłem, ale nie opuściłem cmentarza. Rozszyfrowując notatki z biura parafialnego, ruszyłem na usianą grobami górkę. Blisko czterdzieści minut przeciskałem się przez wąskie alejki, by w końcu odnaleźć właściwe miejsce. Magda Kraśnik spoczęła w grobie razem z rodzicami. Niewielka mosiężna tabliczka umieszczona w górnej części poszarzałej płyty fałszywie sugerowała, iż dziewczyna zesła z tego świata ostatnia. Na grobie nie było kwiatów ani zniczy. Imiona i nazwiska rodziców Magdy, trudne do odczytania, pokrywał zielony nalot. W Sławinie nie został nikt z rodziny Kraśników, by opiekować się tym miejscem. Po wydobyciu zwłok Magdy z prowizorycznego grobu w ogrodzie Zofii, podjęto poszukiwania krewnych dziewczyny. Udało się w końcu odszukać ciotkę mieszkającą w Berlinie. To ona zorganizowała pogrzeb i pochówek w rodzinnym grobie. Na tym się jednak skończyło. Trudno mieć nadzieję, by z biegiem lat cokolwiek mogło uchronić tych ludzi od zapomnienia.

Rozpaliłem trzy znicze i ułożyłem na płycie grobowca. Wokół panowała cisza. Nawet drzewa przestały szumieć. Patrząc ponad marmurową tablicę, widziałem szkołę. Ten budynek krył w sobie wiele zła. Ludzie, którzy się z nim zetknęli przegrali swoje życie. Przeszedł mnie dreszcz.

Na co dzień mieszkam w wynajętej kawalerce na Morenie. Coś mnie trzyma w tamtej dzielnicy. To szare blokowisko jest moim jedynym domem; nie potrafiłbym się go wyrzec. Wieczorami spaceruję. Zaczynam łapać się na tym, iż nieświadomie zbaczam z głównej trasy w kierunku gęstwiny bloków. Przemierzam drogę, którą przed zniknięciem mógł pokonać mój ojciec. Liczę kroki i metry. Rozpatruję różne warianty, robię notatki. Myszkuje po klatkach schodowych, by namierzyć miejsca, z których ktoś mógł coś widzieć. Mam pewne pomysły, by poszerzyć bazę danych.

Ludzie nie znikają tak po prostu. Przekonałem się o tym. Przede mną wiele pracy, ale odkryję prawdę. Mam dużo czasu. Jestem mu to winien.

Spokojnie, tato. W końcu cię odnajdę.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Krzysztof Golczak: SZCZĘŚCIARZ

Przy każdym morderstwie odpowiedzi na wszystkie pytania znają dwie osoby: sprawca i ofiara.

Po samobójstwie partnera podkomisarz Robert Jastrzębski próbuje odnaleźć się w nowej dla niego rzeczywistości. Przymusowy urlop nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Pozostaje liczyć na to, że kolejne dochodzenie przy wsparciu młodych sił śledczych poprawi sytuację. W Poznaniu, niemal pod nosem komendy, ktoś zastrzelił spokojnego biznesmena w jego własnym mieszkaniu. Wszystko wskazuje na to, że ofiara jest przypadkowa, a raczej nic sugeruje istnienia racjonalnego motywu zbrodni.

Trudna sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy w równie niejasnych okolicznościach ginie osoba powiązana z ofiarą. Żmudne, drobiazgowo śledztwo nabiera nowego wymiaru. Czyżby Jastrzębskiemu trafił się pierwszy seryjny zabójca w jego długiej policyjnej karierze? A może to niezwykley zbieg okoliczności? Czy kontakty podkomisarza z miejskim półświatkiem zaowocują obiecującymi tropami? A może inteligentny, cyniczny i dotąd skuteczny

podkomisarz poniesie spektakularną porażkę? Szczęście zdaje się sprzyjać sprawcy, pech prześladowuje policję, a nieregulaminowy flirt z niesfornym świadkiem grozi kłopotami.

„Szczęściarz” to miejski kryminał w starym dobrym stylu. Policjant, ofiara, śledztwo, morderca. Dobro kontra zło. I jeszcze coś pomiędzy...

Grzegorz Bartos: CUKIERECZEK

Poszukiwanie, które staje się obsesją, mężczyzna, który nie ma czasu do stracenia, i kobieta, dla której warto żyć.

Gerard Burzyński, policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego radomskiej Jedyńki prowadzi prywatne śledztwo w sprawie zaginięcia Eweliny Frankowskiej – byłej mistrzyni kickboxingu. Przemierza zakamarki „miasta z wyrokiem”, jego zaułki, ślepe ulice, torowiska, Planty. Poszukiwanie Cukiereczka to dla niego znacznie więcej niż praca, więcej niż zadanie – w grę wchodzi uczucie. Czeką go niełatwa przeprawa, bowiem porywacz, postać z cienia, obdarzył swoją ofiarę równie silnym afektem.

„Współczuję temu, kto spróbuje jej zrobić krzywdę” – mówi o Frankowskiej jej stary trener. Cukiereczek walczy od trzynastego roku życia. Dziewczyna, która wychowała się w najgorszej dzielnicy miasta, weszła na sam szczyt sportów walki i... zrezygnowała. Dlaczego? „Pies z martwego miasta”, szukając tropów, dotyka niejednej tajemnicy związanej z byłą mistrzynią. A zegar tyka. Gerard ma coraz mniej czasu, aby odkryć, kto jest stalkerem.

„Cukiereczek” to thriller o obsesji. Powieść kryminalna o poszukiwaniu odpowiedzi. Przejmujący obraz szaleństwa i portret miasta skazanego na śmierć.

Kasia Szewczyk i Jacek Skowroński: MASKI

Zbiór siedmiu przesyconych grozą historii, w których prawda i fałsz grają z czytelnikiem w ciuciubabkę. Nic nie jest oczywiste, zdrowy rozsądek może okazać się zdrajcą, a szaleństwo – błogosławieństwem. Po lekturze czytelnik zastanowi się sto razy, nim sięgnie po lukrowane pączki, nie zmruży oka, nocując w hotelu, i dowie się, do czego potrafi być zdolny człowiek kochający literaturę... ponad życie.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Tomasz Mróz: FABRYKA WTÓRÓW

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłowninie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: PRZEJŚCIE A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Przygotujcie się na spotkanie z komisarzem Wątrobą (w roli kuszonego), posterunkowym Chwiejczakiem (niezłomnym) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed

jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Tomasz Mróz: SZARY CIEŃ

Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści „Szary cień”. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

W salonie zaniedbanej przedwojennej willi zostaje znalezione ciało młodego człowieka. Z zebranych informacji wynika, że był on związany z tajemniczą sektą religijną. Okoliczności zdarzenia i brak śladów walki wskazują na samobójstwo, jednak symboliczne ułożenie zwłok, niejasne zeznania świadków, jak również sny prowadzącego śledztwo – podsycają podejrzenia, że było to morderstwo. W tym samym czasie w pobliskim parku trwają poszukiwania sprawcy brutalnego pobicia włóczęgi. Policjanci nie umieją, a może nie chcą połączyć tych dwóch faktów. Dopiero upływ lat, wyrzuty sumienia i... nuda starości powodują, że komisarz Wątroba i posterunkowy Chwiejczak postanawiają rozwiązać starą sprawę.

„Błędy się mszczą przez całe życie” – ta sentencja sprawdza się i tym razem, a osoba tytułowego Szarego cienia jest właśnie takim życiowym błędem sprawców zbrodni.

Marian Kowalski: MROczne DZIEDZICTWO

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym teraźniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy.

W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w terażniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomięjski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądanie kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...? Jak to się skończy, czy Inga znajdzie to, czego szukała, czy odmieni swoje życie, nagrywając wymarzoną świąteczną audycję o ludziach morza?

Marian Kowalski: STRAŻNICY ZMARŁYCH

Zbiór opowiadań sensacyjno-kryminalnych, głównie o tematyce marynistycznej, w której bohaterami są marynarze, piękne kobiety, chciwi piraci i okrutni esbecy. To opowieści ze zbrodnią w tle, uwodzące klimatem tajemnicy, egzotyki; inne historie porażają historyczną prawdą oglądaną z okna lub... opatrzoną kryptonimem. Dzięki lekturze zagłębia się w tygiel skrytych żądź, marzeń, których spełnienie może oznaczać śmierć. Twoją lub cudzą. Dlatego: uważaj, czego pragniesz. Strażnicy zmarłych czuwają.

Akcja tytułowych „Strażników zmarłych” toczy się na redzie portu nigeryjskiego Lagos. Na statku Oban dochodzi do morderstwa. W Nigerii ogłoszono stan wojenny i policja nie może przypląć; przeprowadzenie śledztwa kapitan powierza zatem stewardowi Ramsdellowi, który z wykształcenia jest... logikiem.

Joanna Łukowska: DRESZCZE

Opowiadane przez narratorów historie dotyczą przeżyć bolesnych, nierzadko traumatycznych, po których pozostają widzialne i niewidzialne blizny; opisują stany, kiedy śmierć wydaje się jednym rozwiązaniem; wnikają w świat niesamowity, z pogranicza horroru, thrillera, fantastyki; zagłębiają się w szarość ludzkiej samotności...

Myślimy, że zło przytrafia się innym – dopóki nie dotknie nas swoimi zimnymi palcami, nie złapie za gardło, nie ściśnie za serce.

Z otchłani ratuje nas miłość, przyjazna dłoń, drugi człowiek. Bo sami dla siebie jesteśmy demonami i aniołami.

Grzegorz Krzyżewski: TERCET I INNE HISTORIE

Kryminał, obyczaj, horror? Wszystko to znajdziemy w zbiorze opowiadań Tercet i inne historie. Oraz sporą dawkę seksu, rozumianego jednak w każdym z opowiadań inaczej. Jak rodzaj sportu, rozrywki młodych ludzi, którzy idą do łóżka równie łatwo jak do pubu; jako wyraz marzeń, tęsknot i miłości; wreszcie jako przejaw chorych pragnień albo... wstęp do kary.

Piotr Sikorski: STREFA LĘKU

By zapanować nad naszą wewnętrzną strefą lęku, musimy najpierw ją nazwać, zdefiniować jej przyczyny, a potem stanąć twarzą w twarz z naszymi największymi koszmarami. Bohaterowie zbioru opowiadań „Strefa lęku” wpadli w sidła strachu. Czy zdołali się z nich wydostać? Strach jest częścią naszego życia, towarzyszy nam od dzieciństwa. Czy można przed nim uciec? A może lepiej nauczyć się go kontrolować?

Prezentujemy pięć opowiadań. W każdym z nich strach ma inną twarz, która objawia się odmiennych sceneriach. Bo strach jest przebiegły i może nas dopaść

w każdej chwili, nawet podczas snu.

Jan Siwmir: ŻABEŁ TROJAŃSKI

Powieść kryminalna z mocnym tłem obyczajowym. Historia dwóch inteligentów na samym dnie drabiny społecznej. Wygadany Żabeł i ambitny Maryśka zostają wyrobnikami na obczyźnie. Muszą się przystosować nie tylko do walijskich realiów i ciężkiej pracy fizycznej, ale i do stylu życia oraz poczucia humoru obowiązującego w rejonach z pogranicza klasy robotniczej, marginesu i jaskiniowców. A przy tym mają niełatwe zadanie: rozwiązać sprawę tajemniczych zaginięć Polaków na Wyspach...

Prolog dodaje powieści „poetyckich barw”, a epilog – zaskakuje.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego

wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

